




DUKE  
UNIVERSITY



LIBRARY





Digitized by the Internet Archive  
in 2017 with funding from  
Duke University Libraries

<https://archive.org/details/wietnam01wilk>

**Stefan Wilkosz**

**Wietnam –**

**anatomia zwycięstwa i klęski**

**Czytelnik · Warszawa 1977**

Okladkę projektowała  
Małgorzata A. Pióro

„Czytelnik”, Warszawa 1977. Wydanie I.  
Nakład 4290. Ark. wyd. 13,4; ark. druk. 19,75.  
Papier druk. m/gł. 92×114, kl. V, 65 g.  
Oddano do składania 8 VII 1976 r.  
Podpisano do druku 8 II 1977 r.  
Druk ukończono w marcu 1977 r.  
Zakłady Graficzne w Toruniu.  
Zam. wyd. 955; druk. 1560. J-86.  
Cena zł 27.—  
Printed in Poland

959 764

W 6 7 W

Trzydziestoletnia wojna w Indochinach należy do przeszłości. Problem wietnamski został rozwiązany. Naród Wietnamu odzyskał niepodległość, jedność i możliwość samodzielnego kształtowania swojego losu. Nie są to już tylko pięknie brzmiące zasady wpisane z łaski dyplomatycznych kompromisów do układów genewskich czy paryskich. Zostały one wywalczone przez cały naród kosztem olbrzymich strat ludzkich i straszliwych zniszczeń kraju. Są owocem bohaterstwa, wyrzeczeń, poświęceń i nieopisanych cierpień całej ludności. Są zdobyczą, której nikt nie jest w stanie jej wydrzeć.

Kiedy 30 kwietnia 1975 roku oddziały patriotów wietnamskich wkraczały do Sajgonu, zamykał się proces historyczny rozpoczęty przed trzydziestu laty, u schyłku II wojny światowej. Ho Szi Min i grupa jego wiernych współpracowników proklamowali wówczas niepodległość i jedność Wietnamu, uwalniającego się spod kolonialnego francuskiego panowania i japońskiej okupacji. Wydawało się wówczas, że na fali wielkiego zwycięstwa idei wolnościowych nad faszystowską niewolą — dążenia te zatriumfują. Stało się jednak inaczej. Na niewielkim obszarze Półwyspu Indochińskiego rozpoczęła się najdłuższa wojna czasów nowożytnych. Musiały zginąć miliony

ludzi — Wietnamczyków, Laotańczyków, Kambodżan, Francuzów i Amerykanów — zanim zrealizowany został całkowicie i dokładnie program, który 30 lat przedtem proklamował Ho Szi Min.

Wojna została zakończona, ale nadszedł czas obrachunków. W różnych krajach przybierają one różne postacie. W Wietnamie jest to sprawa odpowiedzialności za postawę polityczną i moralną w okresie wojny domowej i obcego najazdu, a także olbrzymia sprawa odbudowy zniszczeń wojennych, wreszcie wyrównanie różnic ustrojowych, gospodarczych i moralnych, narosłych pomiędzy Południem a Północą. Dla wszystkich państw Azji obrachunki powietnamskie to przede wszystkim zagadnienie dostosowania własnej polityki do nowego układu sił, który powstał na kontynencie po klęsce interwencji Stanów Zjednoczonych w Indochinach, i rewizja stosunku do amerykańskich zobowiązań i wpływów. Najbardziej skomplikowane są jednak obrachunki w samych Stanach Zjednoczonych. Obejmują one sprawę odpowiedzialności za pierwszą w historii tego kraju przegraną wojnę i związaną z tym porażkę prestiżową i polityczną wielkiego mocarstwa. Wyrażają się w głębokim kryzysie zaufania do grupy rządzącej, kryzysie obejmującym dużą część ludności, a co za tym idzie — dokonują polaryzacji społeczeństwa. Zmuszają przywódców amerykańskich do wypracowania nowej koncepcji globalnej polityki USA.

Wszystkie te obrachunki i procesy dostosowywania się do nowej sytuacji trwać będą długo, a ich przebieg i skutki zależą w dużej mierze od sytuacji politycznej na świecie. Ale bilansowanie zobowiązań i ustalenie nowych granic wpływów, rewizja polityki i gotowość opracowania nowych doktryn politycznych wymagają przede wszystkim trzeźwej analizy przeszłości. Trzeba zdać sobie jasno



sprawę, dlaczego wojna wietnamska skończyła się tak, a nie inaczej. Więcej: dlaczego musiała się tak skończyć.

Wojna ta ciągnęła się tak długo, a przebieg jej był tak skomplikowany, że trudno jest uzmysłowić sobie pełny obraz wszystkich czynników, które przesądziły losy tych zmagają. Zwłaszcza pokolenie powojenne nie zna zapewne odpowiedzi na wiele zasadniczych pytań, nasuwających się nieodparcie przy omawianiu wydarzeń na Półwyspie Indochińskim. Jak to się stało, że mały, słabo rozwinięty, kolonialny naród odniósł zwycięstwo nad potężnym państwem europejskim — Francją — w latach 1945—1954? Dlaczego najpotężniejsze mocarstwo zachodniego świata — Stany Zjednoczone — poniosło porażkę w Wietnamie i zmuszone zostało do odwrotu? Co zdecydowało o zwycięstwie słabszych liczebnie i materiałowo sił DRW i FWN nad olbrzymią armią sajsgońską w wieloletniej wojnie domowej?

Odpowiedź na te pytania nie jest prosta i łatwa. Długo jeszcze politycy, stratedzy i znawcy problemów azjatyckich będą analizować elementy poszczególnych okresów tej wojny, aby wyjaśnić jej przebieg i rezultaty.

W książce tej chcielibyśmy zatrzymać się nad zjawiskiem, które miało ogromne znaczenie dla losów tej wojny. Analizując jej przebieg natrafiamy co chwila na przykłady zdumiewających błędów politycznych i wojskowych, nie dających się wytłumaczyć racjonalnym rozumowaniem. Popełniali je zarówno kolejni kierownicy polityki państw, które uwikłały się w ten konflikt, jak sztaby i dowództwa wojskowe. Przez cały okres owych tragicznych i krwawych trzydziestu lat historia Półwyspu Indochińskiego kształtowana była przez decyzje oparte na nieznajomości faktów, ignorowaniu rzeczywisto-

ści, fałszywym jej ocenianiu, na błędnych wnioskach i obsesyjnych iluzjach. Polityczne koncepcje rozwiązania konfliktu nie uwzględniały psychiki, kultury i tradycji miejscowej ludności. Plany operacyjne nastpników nie doceniały siły i zdolności bojowej przeciwnika, a wyolbrzymiały potencjał własny. Nie brały pod uwagę właściwości klimatycznych i terenowych kraju. Politycy zachodni z uporem odrzucali realistyczne propozycje pokojowego zakończenia konfliktu. Podejmowali decyzje pod naciskiem wewnętrznych potrzeb politycznych swoich krajów, powtarzali uparcie poprzednie błędy, marzenia brali za rzeczywistość. Polityka wietnamska Francji, a następnie Stanów Zjednoczonych, była niebywałą demonstracją politycznego irracjonalizmu.

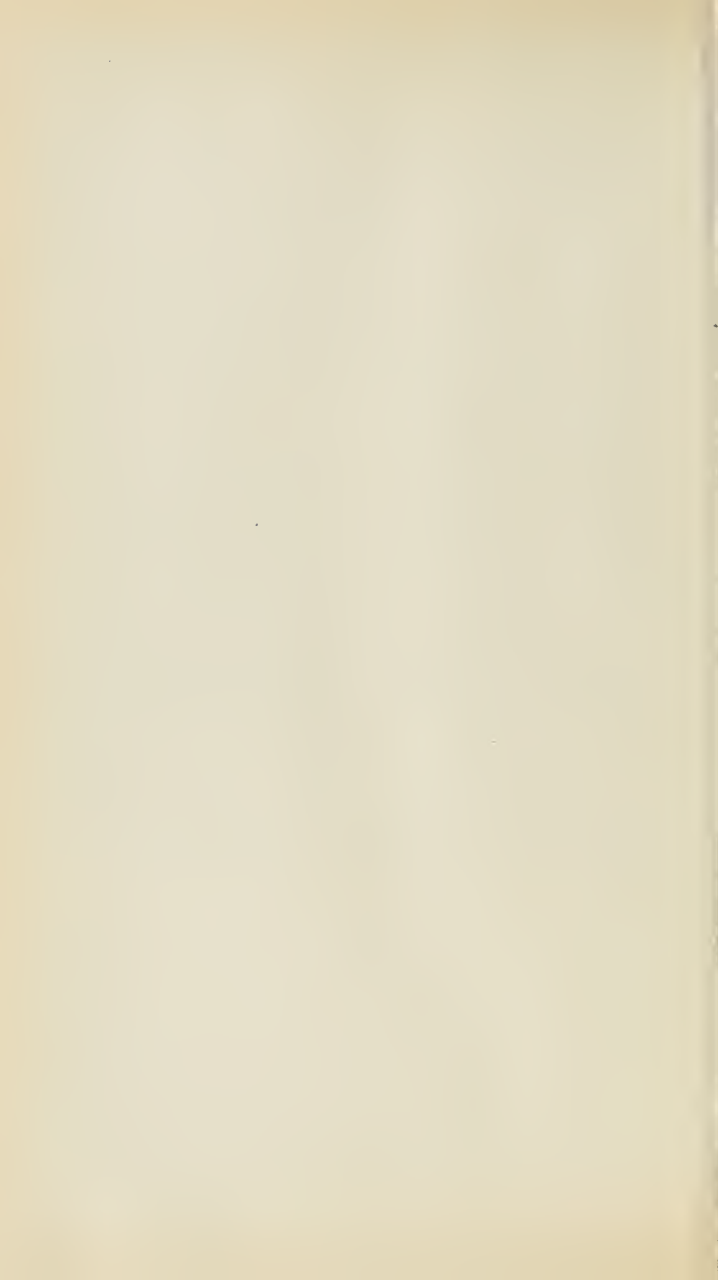
Poczynając od 1945 roku wydawało się wielokrotnie, że konflikt wietnamski znajduje się o krok od politycznego rozwiązania i że narody tego półwyspu uzyskają możliwość decyzji o swoim losie bez obcej interwencji. Za każdym razem następowały jednak wydarzenia, które burzyły nadzieje na pokój. Wydarzenia te nie miały żadnego racjonalnego uzasadnienia, zdawały się nosić w sobie ponure elementy greckiej tragedii, gdzie fatum, a nie racjonalne przesłanki, decyduje o ludzkich losach.

Europejska wojna trzydziestoletnia XVII wieku miała swoje podłoże racjonalne. Były w nim zagadnienia dynastyczne i wyznaniowe, niezmiernie zasadnicze w owych czasach. Wojnie wietnamskiej brakowało takiego współczesnego racjonalizmu. Była to wojna średniowieczna, prowadzona w połowie dwudziestego wieku. Wszystkie jej kolejne etapy opierały się na politycznej ignorancji, militarnych iluzjach i obsesyjnej wierze w decydującą rolę siły. Toczyła się i rozwijała wbrew zdrowemu rozsądkowi, na skutek błędów popełnianych przez europejskich

amerykańskich mężów stanu zajmujących stanowiska, na których właśnie takich błędów popełniać nie wolno.

Zadaniem tej książki nie jest historia wojny wietnamskiej, ale próba ukazania i przeanalizowania tych błędów. Wiele ważnych aspektów konfliktu powinno stać się przedmiotem odrębnych opracowań. Nie poruszamy bowiem takich spraw, jak kwestia legalności tej wojny i postępowanie stron w konfrontacji z prawem międzynarodowym, nie zatrzymujemy się nad zagadnieniami ekonomicznymi czy humanitarnymi konfliktu.

Książka oparta jest na bogatej literaturze przedmiotu, a przede wszystkim na tzw. „Aktach Pentagonu” („Pentagon Papers”). Jest to zbiór dokumentów amerykańskich, dotyczących tej wojny, opracowany przez ekspertów Pentagonu na zlecenie ministra obrony USA McNamary w latach 1967—1968 i liczący 47 tomów. Dopiero w 1971 roku „New York Times” uzyskał część tego zbioru i rozpoczął publikację dokumentów wbrew zakazowi Ministerstwa Sprawiedliwości. Wyrok Sądu Najwyższego zezwolił jednak na publikację „Aktów Pentagonu”. Są one bezcennym źródłem dla każdego badacza historii tego konfliktu. Pełna bibliografia znajduje się na końcu książki. Wszystkie cytaty pochodzą z wymienionych w niej książek.



## I. Jak doszło do wojny trzydziestoletniej

Przy końcu II wojny światowej Wietnam uzyskał wielką szansę odbudowy swej niepodległości po prawie stuletnim francuskim panowaniu. Kraj był wprawdzie wtedy okupowany przez Japończyków, ale klęska armii japońskiej nie ulegała wątpliwości i była tylko kwestią czasu. Wydawało się, że Francja — długoletni władca kolonialny kraju — została już wyeliminowana z Azji. Wojska francuskie były rozbrojone i zniszczone przez Japonię, a w Europie Francja po tragicznych przejściach wojennych dopiero rozpoczynała proces odbudowy i organizowania na nowo bytu państwowego. Trzymała wciąż w ręku posiadłości afrykańskie, gdzie ruch niepodległościowy jeszcze dostatecznie nie dojrzał, a przebieg działań wojennych — przy pomocy aliantów — ułatwiał wojskom francuskim utrzymanie władzy w koloniach. Trzeba będzie jeszcze czekać kilka czy kilkanaście lat na niepodległość Tunisu, Maroka, Algierii oraz krajów czarnej Afryki i na całkowity rozkład afrykańskiej części imperium francuskiego.

Sytuacja w Wietnamie była inna. Na całym Półwyspie Indochińskim, a więc w trzech częściach Wietnamu — Annamie, Kochinchinie i Tonkinie — oraz w sąsiednich Laosie i Kambodży istniała już własna, dojrzała i rozwinięta administracja narodo-

wa, która wprawdzie współpracowała z władzami okupacyjnymi, była jednak dostatecznie przygotowana do rozpoczęcia w odpowiedniej chwili całkowicie samodzielnego funkcjonowania. Sprzyjało temu utrzymywanie przez władze okupacyjne tradycyjnej, choć fikcyjnej niemal struktury państwowej krajów półwyspu w postaci dworów królewskich w Laosie i Kambodży oraz cesarza Bao Daia w Wietnamie.

Najważniejszym elementem sytuacji był jednak rozwój podziemnego ruchu niepodległościowego i rewolucyjnego, który — początkowo rozproszony i niejednolity w poszczególnych prowincjach Wietnamu — pod koniec wojny skoncentrował się dokoła utworzonej w 1941 roku Ligi Niepodległości Wietnamu, zwanej w skrócie Wietminhem. Znaczenie i popularność tej organizacji stale rosła, a ludność kraju uznawała coraz powszechniej kierowniczą rolę wybitnej postaci Ho Szi Mina — sekretarza generalnego Ligi.

Wietminh opierał się początkowo na członkach podziemnej partii komunistycznej i zbliżonych do niej ugrupowań politycznych, ale wkrótce przyłączyły się do niego szerokie koła patriotycznej ludności wietnamskiej. Znajdowały się wśród nich wykształcone i wyrobione kadry, które mogły natychmiast przejąć administrację państwową, wojsko i życie gospodarcze. Był więc Wietminh już w 1945 roku rozbudowanym jądrem kierowniczym niepodległego państwa wietnamskiego. Miał on też wielkie wpływy i poparcie wśród chłopstwa wietnamskiego, stanowiącego 90% ludności. Przynosił im bowiem nie tylko niepodległość — co dla wielu chłopów wietnamskich było jeszcze wtedy pojęciem dość abstrakcyjnym — ale zasadnicze reformy społeczne i gospodarcze. Przede wszystkim uwolnienie od władzy obszarników, lichwiarzy i poborców podatkowych, których siła w feudalnej jeszcze strukturze kraju była ogromna.

Wielka szansa niepodległościowa Wietnamu miała również swe uzasadnienie w czynnikach zewnętrznych. Jednym z najważniejszych wśród tych czynników było stanowisko Stanów Zjednoczonych, a ściślej mówiąc prezydenta Franklina Delano Roosevelta.

Roosevelt był zawsze zdecydowanym wrogiem kolonializmu. Jego syn, Elliot, cytuje w swoich wspomnieniach taką wypowiedź ojca z roku 1943: „Kiedy wygramy wojnę, użyję wszystkich sił i środków, aby USA nie zostały zmuszone do zaakceptowania planu, który ułatwi imperialistyczne zamiary Francji... albo pomoże Wielkiej Brytanii w jej imperialistycznych ambicjach”.

Jeszcze wyraźniej formułuje swój pogląd Roosevelt w memorandum przesłanym sekretarzowi stanu Cordell Hullovi w styczniu 1944 roku: „Widziałem w ubiegłym tygodniu Halifaxa (ambasador angielski) i potwierdziłem mu otwarcie moją opinię sprzed roku, że Indochiny nie powinny wrócić do Francji. Należy je oddać pod administrację międzynarodowego powiernictwa. Francja miała ten kraj — 30 milionów mieszkańców — prawie przez 100 lat i ludność jest tam w gorszej sytuacji, niż była na początku. Mam w tej materii pełne poparcie generalissimusa Czang Kaj-szeka i marszałka Stalina. Nie widzę powodu, aby ustępować w tej sprawie Foreign Office. Jedy- nym argumentem ich sprzeciwu jest wpływ tego problemu na ich własne i holenderskie posiadłości. Nie lubili nigdy koncepcji powiernictwa, gdyż często prowadziło ono do niepodległości. Tak jest w przypadku Indochin. Każdy kraj musi być traktowany odrębnie, ale jeśli chodzi o Indochiny, to sprawa jest jasna. Francja doła je przez 100 lat. Naród Indochin zasługuje na lepszą przyszłość”.

W czasie wojny prawie na każdej konferencji przy-

wódców koalicji antyhitlerowskiej stanowisko Roosevelta powodowało poważne konflikty między prezydentem a Winstonem Churchillem. W Teheranie, w listopadzie 1943 roku, Churchill ostro sprzeciwiał się powiernictwu dla Indochin. Roosevelt, poparty przez Stalina, wołał przez stół do premiera Anglii: „Widzisz, Winston — jesteś przegłosowany w stosunku 3 do 1!” Prezydent USA miał tu na myśli jeszcze stanowisko nieobecnego Czang Kaj-szeka, z którym uzgodnił sprawę poprzednio na spotkaniu w Kairze. (Również na konferencji w Quebec spór o Indochiny i rolę Francji na Dalekim Wschodzie wywołał zatarg pomiędzy aliantami, to samo nastąpiło w Jałcie, a jeszcze 15 marca 1945 roku, a więc na cztery tygodnie przed śmiercią, Roosevelt daje następującą instrukcję doradcy w Departamencie Stanu, Charlesowi Taussigowi, w sprawie polityki wobec Indochin: „To musi być niepodległość. Taka jest nasza polityka i może pan to oświadczyć Departamentowi Stanu.”)

Ostatnie słowa tej instrukcji mają szczególną wymowę. Prezydent mimo wyczerpania i choroby był znakomicie poinformowany o nastrojach administracji waszyngtońskiej. Wiedział dobrze, że w Departamencie Stanu działa silna i wpływowa grupa, która dąży do zmiany jego polityki. I w tym miejscu dochodzimy do pierwszego tragicznego błędu politycznego, który zaciążył na losach Wietnamu. Był on początkiem długiego ciągu dalszych błędnych decyzji, mylnych ocen, fałszywych przewidywań i upartego brnięcia przeciwko rozsądkowi i logice historycznej. Ta tragedia pomyłek towarzyszyć będzie odtąd historii wydarzeń na Półwyspie Indochińskim przez następne 30 lat. A może i dłużej. Wątpliwy zaszczyt popełnienia tej pierwszej poważnej omyłki, którą uważać możemy za grzech pierworodny — bo stała się przyczyną całego dalszego rozwoju wydarzeń —



przypada Departamentowi Stanu Stanów Zjednoczonych.

Polityka Roosevelta w sprawach kolonialnych, a zwłaszcza azjatyckich, napotykała w Departamencie od dawna na sprzeciw i bierny opór. Antykolonializm Stanów Zjednoczonych opierał się początkowo na tradycyjnych przesłankach: USA były przecież pierwszą na świecie kolonią, która potrafiła się wyzwolić. Później antykolonializm amerykański związał się z koncepcją wolnego dostępu do surowców i zwalczał ustalony w XIX wieku podział stref ich eksploatacji ustalony przez mocarstwa kolonialne. Ale po II wojnie światowej ta koncepcja utraciła swą siłę. Zamiary prezydenta w stosunku do Indochin krytykowane były ostro przede wszystkim przez tzw. „europejczyków” w Departamencie Stanu. Stanowisko ich opierało się na kilku zasadniczych argumentach.

Jednym z tych argumentów była solidarność z interesami i poglądami brytyjskimi. Anglii chodziło w dramatycznym i przełomowym momencie zbliżającego się zakończenia wojny o wypracowanie nowego układu stosunków pomiędzy metropolią a jej posiadłościami azjatyckimi. Zależało jej bardzo w tym momencie na uniknięciu wszelkich precedensów naruszających kolonialny, przedwojenny status quo. Niepodległość Indochin byłaby niebezpiecznym i zagraźliwym przykładem dla krajów sąsiednich: Indii, Birmy, Malajów.

Drugim argumentem była potrzeba poparcia Francji. Chodziło amerykańskim dyplomatom zarówno o wzmocnienie tego państwa, którego rola polityczna została osłabiona w czasie wojny, jak i o próbę odzyskania tam wpływów i poprawę stosunków z rządem generała de Gaulle'a, jedne i drugie bowiem w czasie wojny kształtowały się niekorzystnie dla USA.

Trzecim silnym argumentem był lęk przed politycz-

nym zabarwieniem niepodległościowego ruchu wietnamskiego. Politycy Departamentu Stanu widzieli w nim kombinację nacjonalizmu i komunizmu, niebezpieczną dla interesów USA. Nie chodziło tylko o przeszłość wpływów Stanów na Pacyfiku. Mimo że nie urodziła się jeszcze „teoria domina”, a w Chinach pozycja Czang Kaj-szeka była mocna, wielu realistycznie myślących specjalistów Departamentu Stanu od tego obszaru obawiało się, że przykład i sukces Wietminhu może być zaraźliwy dla krajów sąsiednich i spowoduje na kontynencie azjatyckim nieodwracalne zmiany polityczne.

Najsilniejszą jednak przyczyną oporu przeciw polityce Roosevelta w sprawie Indochin była coraz wyraźniej kształtująca się koncepcja krucjaty antykomunistycznej, która już wkrótce wyjść miała na powierzchnię międzynarodowego życia politycznego przy okazji przemówienia Churchilla w Fulton. Koncepcja ta w rezultacie spowodowała wypowiedzenie zimnej wojny, remilitaryzację Niemiec i utworzenie NATO. Antykolonializm musiał ustąpić antykomunizmowi w hierarchii doktryn politycznych. W początku 1945 roku dyplomacja amerykańska utrzymywała jeszcze pozory sojuszu ze Związkiem Radzieckim, ale Departament Stanu, a zwłaszcza jego wydział europejski, już myślał o odtworzeniu militarnej potęgi Europy zachodniej. Do tego potrzebna była silna Anglia i odbudowana, mocna Francja. A więc nie należy ułatwiać procesów rozkładu imperiów kolonialnych tych państw. Przeciwnie, należy dopomóc w utrzymaniu ich.

Już 8 maja 1945 roku, a więc w 4 tygodnie po śmierci Roosevelta, jego sekretarz stanu, Edward Stettinius, którego Harry Truman po objęciu urzędu prezydenta zatrzymał na tym stanowisku przez dwa miesiące, oświadczył ministrowi spraw zagranicznych

Francji, Georgesowi Bidaultowi: „Nie ma żadnego oficjalnego oświadczenia rządu USA, które by kwestionowało nawet pośrednio francuską suwerenność nad Indochinami”. W ten sposób jeden z najbliższych współpracowników zmarłego prezydenta przekreślił jego dobrze mu przecież znane stanowisko wobec Indochin.

25 sierpnia 1945 roku generał de Gaulle odbył w Białym Domu rozmowę z prezydentem. Truman oświadczył mu, że USA nie sprzeciwiają się powrotowi Indochin do Francji, a kiedy de Gaulle poskarżył się, że podobno amerykański generał Albert Wedemayer, naczelny dowódca na Dalekim Wschodzie, porozumiewa się potajemnie z Ho Szi Minem — Truman stanowczo zaprzeczył. A zaraz po wizycie de Gaulle'a Departament Stanu oświadczył oficjalnie, że „USA uznają francuską suwerenność w Indochinach”.

Tak więc Stany Zjednoczone już w połowie 1945 roku zdecydowanie porzuciły Rooseveltowską koncepcję, która miała prowadzić do niepodległości Indochin. W swych planach powojennego świata umieściły Wietnam jako kolonię silnej Francji, która oparta o swoje imperium stanie się eksponentem polityki USA w Europie, dostarczy wojsk przyszłemu sojuszowi europejskiemu, mającemu na celu przeciwstawienie się wpływom ZSRR, a w Azji wzmocni wspólny front antykomunistyczny.

Już najbliższe lata wykazały podwójny błąd tej polityki. W Azji stworzone zostało zapalne ognisko, zagrażające przez przeszło ćwierć wieku pokojowi świata. A Francja, wykrwawiona w ośmioletniej wojnie wietnamskiej i rozdarta wewnętrznymi konfliktami, spowodowanymi tą wojną, nie mogła stać się takim sojusznikiem, na jakiego Stany Zjednoczone liczyły.

Złe rozeznanie? Fałszywa ocena? Prostactwo parweniuszy wielkiej polityki światowej? Histeria antykomunistycznej krucjaty? Strach przed potęgą Związku Radzieckiego? Było w tych decyzjach Białego Domu i Departamentu Stanu tych wszystkich elementów po trosze. A że Stany Zjednoczone były w tym czasie jedynym wielkim mocarstwem, które z II wojny światowej wyszło nie zniszczone, nie osłabione i miało wtedy decydujący wpływ na ukształtowanie mapy świata, a zwłaszcza Azji — polityka ta stała się tragiczna i brzemienna w długotrwałe skutki.

Praktyczne rozstrzygnięcie dalszych losów Wietnamu i państw sąsiednich nastąpiło w lipcu 1945 roku na konferencji poczdamskiej, a właściwie na jej marginesie. Komitet wojskowy angielsko-amerykański ustalił, że po kapitulacji Japonii nastąpi podział Wietnamu wzdłuż 16 równoleżnika. Była to więc prawie ta sama linia podziału, którą przyjmie w 1954 roku konferencja genewska. Na północ od tej linii rozbrojenie Japończyków i objęcie tymczasowej administracji powierzone zostało wojskom chińskim, na południe zaś Anglikom. Dokumenty konferencji wskazują, że sugestię podziału przedstawił amerykański generał George Marshall. A więc zapomniano już o niepodległości, a nawet o powiernictwie. Amerykanie umyli ręce od tej sprawy, ale nie wiedzieli jeszcze, że ręce te nie pozostaną czyste na długo. Inicjatywę w sprawie Wietnamu przejmują Anglicy. 22 sierpnia lord Mountbatten szczerze oświadcza francuskiemu generałowi Philippe'owi Leclerkowi: „Gdyby Roosevelt żył, nie mielibyście żadnej szansy powrotu do Indochin. Ale teraz to może da się zrobić”.

Stosunek Anglii do Wietnamu zdeterminowany był kompleksem Churchilla, wyrażonym w jego słynnym powiedzeniu, że nie będzie on premierem Jego Kró-

lewskiej Mości dla przydywania nad rozkładem Imperium Brytyjskiego. Sytuacja w Indiach, Birmie i na Malajach pod koniec II wojny światowej zapowiadała dramatyczne wysiłki w zrzuconiu kolonialnej zależności. Wzrost świadomości narodowej uległ w czasie wojny znacznemu przyspieszeniu. Wpłynęła na to służba wojskowa miejscowej ludności w armii angielskiej, zapoznanie się jej ze światem, a także i z nowoczesną bronią. Wzrósł również znacznie udział tej ludności w administracji kolonialnej. Ogromne znaczenie miał również w Azji upadek prestiżu białego człowieka po ciężkich klęskach poniesionych w pierwszej części wojny i kapitulacji przed triumfalnym pochodem żółtej, japońskiej armii. Dużą rolę odegrała znajomość haseł i historii zwycięstwa Rewolucji Październikowej.

Churchill z obawą patrzył na niebezpieczeństwa czekające Imperium po zakończeniu wojny. Nie umiał jednak ocenić realistycznie narastających konfliktów kolonialnych, był Anglikiem starej daty, opanowanym przez wizję imperium, w którym nie zachodzi słońce. Chciał utrzymać siłą Indie, Birmę i Malaje, nie zdając sobie sprawy z niemożliwości status quo ante bellum. Stąd płynęła jego polityka ułatwiania i innym mocarstwom powrotu do posiadłości kolonialnych — Francuzom do Indochin, Holendrom do Indonezji. Stąd jego walka z azjatycką polityką Roosevelta na wszystkich konferencjach: w Quebecu, Teheranie, Kairze i Jałcie.

Taka była geneza brytyjskiej krótkowzrocznej polityki w Azji u schyłku wojny. Ale w lipcu 1945 roku zdrowy instynkt społeczeństwa angielskiego spowodował zmianę, której nikt na świecie się nie spodziewał. W pierwszych powojennych wyborach przegrała partia konserwatywna zwycięskiego bohatera wojennego, Churchilla, a rządy w Anglii objęła Par-

tia Pracy. Bardzo szybko udało się jej skorygować pomyłki Churchilla w stosunku do Indii i Birmy, co pozwoliło uniknąć na pewno katastrofalnej dla Anglii wojny azjatyckiej. Ale losy Wietnamu były zbyt obce i niezrozumiałe dla nowych przywódców w Londynie, którzy nie grzeszyli nawet geograficzną znajomością obszarów pozaimperialnych. Decyzje podjęli tutaj generałowie starej daty. Jeden z nich zaakceptował w Poczdamie plan Marshalla podziału Wietnamu i okupacji jego południowej części. Drugi popełnił błąd znacznie większy i tragiczniejszy w skutkach.

Generał JKM Douglas Gracey zgodnie z decyzjami poczdamskimi wylądował w Sajgonie na czele wojsk brytyjskich po kapitulacji Japonii. Rozkazy, które otrzymał, brzmiały: „Cel misji — rozbicie Japończyków. Nie mieszać się do spraw porządku wewnętrznego”. Ale generał znacznie przekroczył swoje kompetencje. Przede wszystkim ułatwił uzbrojenie żołnierzy francuskich zwolnionych z obozów japońskich. Przekazał też administrację w ręce wypuszczonych z więzień urzędników francuskich, mimo że miał okazję oparcia się na wietnamskich patriotach. Jak sam pisze w swoich wspomnieniach: „Wietminh przyjął mnie przyjaźnie po moim przybyciu. Stworzyło to dość nieprzyjemną sytuację. Wkrótce jednak udało mi się ich kopnąć”.

Generał Gracey ułatwił następnie lądowanie wojsk francuskich i przekazał dowództwo francuskiemu generałowi Leclerkowi oraz admirałowi Thierry d'Argenlieu, a następnie przystąpił do ewakuacji wojsk brytyjskich. Wziął więc na siebie wielką odpowiedzialność za dalszy, katastrofalny bieg wypadków. W ten sposób w rozpoczynającym się dopiero łańcuchu błędów popełnionych w Wietnamie Anglia zapewniła sobie własne, ważne ogniwo.

Dla patriotów wietnamskich i ich kierownictwa rok 1945 był okresem trudnych decyzji politycznych. Odizolowani od świata, a zwłaszcza od intryg politycznych Białego Domu i Departamentu Stanu, mogli oni żywić jeszcze wtedy pewne iluzje co do antykolonialnych zasad i idealizmu Roosevelta. Mogli wierzyć w wolnościowe hasła USA tak pięknie usymbolizowane przez posąg z pochodnią w ręku w porcie nowojorskim, który zapamiętał Ho Szi Min ze swego krótkiego pobytu w Stanach.

Kiedy w 1945 roku do Wietnamu przybyła misja OSS (Office of Strategic Service, z którego później powstała CIA) szukając sojuszników do walki z Japonią i dla zbierania informacji, została przyjęta przez Wietminh przyjaźnie. Nawiązano bliski kontakt, w wyniku którego m.in. oddziały Wietminhu otrzymały sporo lekkiej amerykańskiej broni maszynowej i sprzętu radiokomunikacyjnego. Kiedy przystąpiono do formułowania deklaracji niepodległości Wietnamu, Ho zwrócił się do szefa misji OSS o egzemplarz amerykańskiej deklaracji niepodległości z 1776 roku. Tekst deklaracji wietnamskiej ogłoszony 2 września 1945 roku rozpoczynał się od słów: „Wszyscy ludzie zostali stworzeni równi. Otrzymali od swego Stwórcy pewne niezbywalne prawa, a wśród nich prawo do życia, wolności i dążenia do szczęścia”. Było to niemal dosłowne powtórzenie amerykańskiej Deklaracji Niepodległości.

Stosunek przywódców wietnamskich do USA w tym okresie opierał się jednak nie tylko na sentymentach. Miał również swoją realistyczną, polityczną podstawę. Wietminh znajdował się w bardzo skomplikowanej sytuacji: walczył jeszcze z japońskim okupantem, przeciwstawiał się powrotowi francuskiego kolonializmu i musiał się liczyć z prawdopodobieństwem chińskiej ekspansji, której możliwość pod-

kreślona została przez wkroczenie chińskich wojsk do Tonkinu we wrześniu 1945 roku.

W owym czasie Ho Szi Min nie mógł liczyć na pomoc Związku Radzieckiego, oddzielonego od Wietnamu przez Chiny Czang Kaj-szeka i zaangażowanego całkowicie w Europie. Przywódcy wietnamscy, szukając politycznego oparcia przeciwko Japonii, Francji i Chinom, spodziewali się, że Stany Zjednoczone — mimo śmierci Roosevelta — nadal będą reprezentować politykę antykolonialną i nie będą zainteresowane w popieraniu zaborczych planów Francji.

Stany Zjednoczone miały zatem wtedy historyczną szansę udzielenia pomocy niepodległościowemu ruchowi wietnamskiemu i pozyskania sobie w ten sposób zaprzyjaźnionego państwa w Azji Południowo-Wschodniej. Szansa ta została zaprzepaszczona. Liczne apele Ho Szi Mina, kierowane do Waszyngtonu, a przekazywane początkowo przez OSS, a następnie przez ambasadę USA w Paryżu, pozostały bez odpowiedzi. W czasie pobytu we Francji we wrześniu 1946 roku Ho Szi Min odbył rozmowę z urzędnikiem ambasady USA G. Abbotem, w której powoływał się na pozytywne skutki polityki USA w Filipinach, gdzie Stany Zjednoczone po zakończeniu okupacji japońskiej ułatwiły uzyskanie niepodległości. Wskazywał też na możliwości współpracy amerykańsko-wietnamskiej.

Poprzednio, w lutym 1946 roku, Ho przekazał pracownikowi OSS w Hanoi, Landonowi, list do Trumana, w którym zwraca się o interwencję celem zatrzymania wojny w Indochinach i wzywa do wniesienia sprawy niepodległości tego obszaru do ONZ. Jak wynika z „Aktów Pentagonu”, w ciągu lat 1945 i 1946 Ho przekazał co najmniej 8 listów do Trumana i Departamentu Stanu. Nie istnieją żadne śla-



dy odpowiedzi na te listy. W dokumentach przechował się natomiast tekst depeszy Deana Achesona, pełniącego wówczas obowiązki sekretarza stanu, wysłanej do przedstawiciela Departamentu Stanu w Indochinach w dniu 5 grudnia 1946 roku: „Proszę pamiętać o przeszłości Ho Szi Mina jako agenta międzynarodowego komunizmu, o braku wyraźnego wyparcia się z jego strony powiązań z Moskwą, o zawilej politycznej sytuacji Francji i o pomocy udzielanej Ho przez Francuską Partię Komunistyczną... Informujcie o sile niekomunistycznych elementów w Wietnamie”. Polityka amerykańska znajdzie też wkrótce swój oficjalny wyraz w deklaracji Departamentu Stanu: „...Naszym bezpośrednim interesem jest utrzymanie przy władzy przyjaznego rządu francuskiego, który pomoże w osiągnięciu naszych celów w Europie. Te bezpośrednie i życiowe interesy muszą mieć pierwszeństwo przy realizacji naszych zamiarów w Indochinach...”

Konsul amerykański w Sajgonie otrzymał wkrótce od Achesona instrukcję precyzującą te zamiary. Instrukcja zapowiada pomoc gospodarczą i zbrojeniową dla przywróconego na tron wietnamski cesarza Bao Daia, znanego powszechnie króla nocnych knajp Riwiery i Sajgonu.

W ten sposób rozwiały się szlachetne iluzje Ho Szi Mina co do możliwości współpracy z USA.

Spośród innych mocarstw działających na obszarze Indochin Japonia przestała się liczyć. Brytyjczycy nie wykazywali żadnych zamiarów prowadzenia tam aktywnej polityki i po kilkumiesięcznej zaledwie okupacji południowego Wietnamu wprowadzili tam wojska francuskie, a sami załadowali się na okręty. Chiny, od setek lat tradycyjnie zagrażające niepodległości Wietnamu, na podstawie porozumienia z Poczdamu obecnie okupowały jego część północną.

Pozostawała też Francja, próbująca wszystkimi możliwymi środkami powrócić do swej dawnej kolonii. Jak wynika z dostępnych obecnie dokumentów tego okresu, Czang Kaj-szek zbyt był zajęty problemami wewnętrznymi, aby kontynuować tradycyjną ekspansję na teren Indochin. Przywódcy Wietminhu nie mogli jednak wówczas znać chińskich zamiarów, a zarówno zastarzałe obawy, jak i fakt okupacji chińskiej musiały wpływać na ich politykę. Wybierając mniejsze zło — po amerykańskim rozczarowaniu — Ho Szi Min postanowił spróbować porozumienia z Francją. „Nie żywimy nienawiści do Francji — oświadcza 6 stycznia 1946 roku. — Chcemy nawiązać z nią kontakt. Możemy zawrzeć porozumienie. Ale jeżeli trzeba — będziemy walczyć...”

Ho zrobił rzeczywiście wszystko, aby uzyskać porozumienie. Mało tego — porozumienie zostało zawarte. Jeżeli jednak Francja je zerwała i pozostała tylko walka — nie było to już winą Wietnamczyków. W latach 1945—1946 kierownicy polityki francuskiej popełnili niewybaczalne błędy polityczne, których skutkiem była krwawa ośmioletnia wojna zakończona klęską pod Dien Bien Phu i wyeliminowaniem Francji z Półwyspu Indochińskiego.

19 sierpnia 1945 roku generał de Gaulle uroczyście deklarował, że „w chwili, kiedy Francja odzyskuje Indochiny, oświadcza solennie, iż gotowa jest wypełnić swe zobowiązania podjęte dla dobra wszystkich”. Kiedy w tydzień później generał zasiada przy owalnym stole w Białym Domu, aby rozpocząć pierwszą konferencję z Trumanem, mającą mu przynieść potwierdzenie praw do Indochin — ma w kieszeni list otrzymany właśnie od cesarza Bao Daia.

„Nacierpieliście się dosyć w ciągu tych czterech tragicznych lat, aby zrozumieć, że naród annamicki nie może dłużej tolerować żadnego obcego panowa-

nia i administracji... Jeżeli uda się wam przywrócić francuskie rządy — nie będziemy posłuszni. Każda wioska stanie się gniazdem oporu..." Playboy Dalekiego Wschodu potrafił się w tym przełomowym momencie zdobyć na słowa godne jego formalnego tytułu. Może to miał właśnie na myśli Ho Szi Min mówiąc kiedyś, że „w Wietnamie nawet zdrajcy są patriotami!"

Ale de Gaulle — podobnie jak przedtem Churchill — uważał, że nie po to zasiadł świeżo w Pałacu Elizejskim, aby patronować rozkładowi Imperium Francuskiego. Kiedy powróci do tego pałacu w 1962 roku, będzie już mądrzejszy o wielkie doświadczenie indochińskie i o samotne rozmyślenia w Colombey-les-Deux-Eglises. Wtedy zdobędzie się na śmiałe i mądre rozwiązanie węzła algierskiego. Ale w 1945 roku myśli tylko o rewindykacji zamorskich posiadłości francuskich. Uzyskawszy błogosławieństwo Trumana działa szybko. 3 września francuski krążownik „Richelieu” przywozi do Wietnamu tysiąc francuskich żołnierzy, a w trzy tygodnie później Francuzi opanowują Sajgon i przywracają tam swoją administrację. W styczniu 1946 roku Anglicy wycofują się z Indochin, a w lutym Francja porozumiewa się z Czang Kaj-szekiem w sprawie odzyskania Wietnamu północnego. W zamian zrzeka się wszelkich koncesji i przywilejów w Chinach, wyzbywa się akcji kolei w Junanie i przyrzeka Chinom wolny port w Hajfongu.

Tymczasem zaszły w Wietnamie wydarzenia, które poważnie zmieniły sytuację. 27 sierpnia 1945 roku został proklamowany w Hanoi rząd wietnamski Ho Szi Mina. Większość kraju — zwłaszcza część północna i środkowa — jest już opanowana przez Wietminh. Kiedy przysłany na naczelnego dowódcę wojsk francuskich generał Philippe Leclerc zapoznał się na

miejscu z sytuacją, powiedział do swego zastępcy: „Zdobycie tego kraju wymaga pół miliona żołnierzy. A nawet przy tej ilości będzie to niemożliwe”. O słuszności tych słów Francuzi przekonają się wkrótce. W dwadzieścia lat później do takiego samego wniosku będzie musiał dojść również prezydent Stanów Zjednoczonych, Lyndon Johnson.

Jednakże w 1945 roku francuscy kolonialiści nie podzielają trzeźwego poglądu generała Leclerka. Nie wiemy, jak oceniał sytuację de Gaulle — pochłonięty wtedy trudną wewnętrzną rozgrywką polityczną. 20 stycznia 1946 roku odchodzi na wygnanie do swego wiejskiego domku i możemy tylko zgadywać, jak ten człowiek rozegrałby sprawę wietnamską, gdyby pozostał w Pałacu Elizejskim.

Pewne światło na stanowisko de Gaulle'a rzuca jego rozmowa z dziennikarzem amerykańskim C. Sulzbergerem 21 I 1954 roku. Generał powiedział wtedy: „Nie mamy naprawdę bezpośrednich interesów w Indochinach... Jest to tylko wojna prestiżowa... Ho jest rzeczywistością, reprezentuje niepodległość, nacjonalizm, komunizm, Azję... Francja nie ma już autorytetu w tym kraju... A więc musi stamtąd wyjść. Bardzo żałujemy — ale musimy wyjść!”

Słowa te zostały wypowiedziane już przy końcu wojny. Nie wiemy, czy generał zdobyłby się na taką trzeźwość i na wycofanie się z Wietnamu siedem lat wcześniej. Tak samo do dziś dnia trwa spór wśród polityków amerykańskich, czy wojna amerykańsko-wietnamska wybuchłaby, gdyby John Kennedy nie został zamordowany w roku 1963...

Istnieją jeszcze inne analogie pomiędzy tymi dwoma momentami historycznymi. We Francji i wśród francuskiej administracji w Sajgonie powstają dwa obozy, dwie koncepcje postępowania. Podobnie będzie później w Waszyngtonie, a obydwie frakcje zo-

staną obdarzone nazwami ptaków: jastrzębie i gołębie. W 1946 roku w Wietnamie początkowo przeważają francuskie gołębie, reprezentowane przez trzeźwego generała Leclerka i mądrego, świetnie oceniającego sytuację, specjalnego wysłannika de Gaulle'a, Jeana Sainteny'ego, który potrafił nawiązać bezpośrednio stosunki i szczerzy dialog z Ho Szi Minem. W 10 lat później będzie opowiadać z goryczą, jak ciężką walkę staczać musiał na każdym kroku z wysokim komisarzem Francji w Wietnamie, admirałem Thierry d'Argenlieu — karmelitą, który zrzucił habit w czasie wojny, a wówczas przewodził grupie jastrzębi sajgońskich. Sytuacja jest tak napięta i trudna dla Francuzów w Wietnamie, a tak chaotyczna w Paryżu po odejściu de Gaulle'a, że dzięki swej ogromnej zręczności Sainteny na razie zwycięża. 6 marca 1946 roku podpisuje z Ho Szi Minem układ, w którym Francja uznaje Demokratyczną Republikę Wietnamu jako państwo niepodległe w ramach Unii Francuskiej, z własnym wojskiem, skarbem i rządem. Armia francuska ma się stopniowo wycofać w ciągu 5 lat. Układ był kompromisem dla obydwu stron. Ho powiedział wówczas do Sainteny'ego: „Pan wie, że chciałem uzyskać więcej... Ale rozumiem, że nie można od razu mieć wszystkiego”. Gdyby układ został przez Francję dotrzymany, powstałaby możliwość pokojowego ułożenia stosunków na podstawie zasady: „Niepodległość i sojusz”. Ale znowu pojawia się motyw nieuchronnego fatum z greckiej tragedii, które nie opuści Wietnamu przez wiele lat. Jastrzębie sabotują porozumienie, stwarzając na terenie Wietnamu fakty dokonane, sprzeczne z układem i interesem obu stron. We Francji 2 czerwca w wyborach zwycięża prawica, popierająca twardą linię w rokowaniach, które toczą się w Fontainebleau z udziałem Ho Szi Mina i Pham Van Donga. Miały one szcze-

gółowo rozpracować i sformalizować warunki porozumienia z 6 marca. Jest więc jeszcze szansa uniknięcia tragedii. Ale nowy rząd francuski ulega presji kolonizatorów i sprowadza rokowania do spraw drugorzędnych. Jednakże podpisane 15 września tzw. „Modus vivendi” jeszcze mogło stworzyć możliwości współpracy wietnamsko-francuskiej. Jeszcze można było zapobiec wojnie.

A jednak Francuzi brnęli dalej. Kiedy 10 listopada nowe wybory francuskie przynoszą sukces socjalistom i komunistom — powstaje perspektywa utworzenia rządu lewicowego. Wówczas frakcja kolonizatorów z Bidaultem i d'Argenlieu na czele postanawia działać szybko, aby uniemożliwić nowemu rządowi zbliżenie z Wietminhem. Prowokuje zajścia w Hajfongu i 22 listopada wydaje rozkaz bombardowania miasta przez krążownik „Suffren”. Ginie wtedy ponad 6000 ludzi pod pociskami artylerii okrętowej i w płomieniach pożarów. Depesza Ho do rządu francuskiego, nawołująca do zmiany postępowania, została zatrzymana po drodze. 18 grudnia socjalista Léon Blum formuje w Paryżu lewicowy rząd. Kolonialiści dobrze pamiętają, że przed tygodniem Blum opublikował artykuł wzywający do porozumienia z Ho Szi Minem. Trzeba więc działać natychmiast i stworzyć fakty dokonane, zanim nowy rząd obejmie władzę. 19 grudnia wojska francuskie urządzają krwawą masakrę w Hanoi i obsadzają budynki rządowe. Na dawnym gubernatorskim pałacu, gdzie w parku, w domku ogrodnika skromnie urzędował Ho Szi Min — powiewa znowu sztandar francuski. Ho, Pham i Giap wycofują się z miasta i ogłaszają deklarację wojny niepodległościowej: „Walczcie bronią, łopatami i kilofami, walczcie kijami. Ratujcie wolność i jedność naszego kraju. Zwycięstwo jest pewne!” Kości zostały rzucone, ale nie przez patrio-

tów wietnamskich. Zadufanie, konserwatyzm, arogancja i brak realizmu grupy francuskich polityków, interesy kolonialne. Banku Indochińskiego i tępota generałów zburzyły możliwości politycznego uregulowania sprawy Wietnamu. Wbrew interesom Francji, wbrew zdrowemu rozsądkowi rozpoczęli oni pierwszą wojnę wietnamską — ośmioletnią wojnę, która zakończy się klęską Francji pod Dien Bien Phu. Potem przyjdą dalsze fazy tej wojny: druga — domowa i trzecia — amerykańska.

Zapamiętajmy sobie mechanizm i istotę błędnej decyzji, fałszywej oceny i uparte brnięcie w eskalację wbrew zdrowemu rozsądkowi pochodzące z tego pierwszego okresu. Zjawiska te będą się wielokrotnie powtarzać na przestrzeni następnych 20 lat. Historia nie jest jednak dobrą nauczycielką polityków i generałów.

## II. Pierwsza faza wojny francusko-wietnamskiej

Ośmioletnia wojna wietnamsko-francuska składała się z dwóch wyraźnie rozgraniczonych faz. Pierwsza trwała od 1946 do 1950 roku. Istotą tej fazy była próba ponownego narzucenia kolonialnego panowania Francji narodowi wietnamskiemu. Była to wojna ograniczona, peryferyjna, prowincjonalna. W drugiej fazie od 1950 do 1954 roku zatarg się rozszerzy, zdobędzie powiązania z rewolucją chińską i z wojną koreańską, a obok Francuzów pojawią się już w Wietnamie Amerykanie. Konflikt zostanie więc umiędzynarodowiony.

W pierwszej fazie walki politycy i oficerowie francuscy uważali, że powracają tylko po krótkiej przerwie do tego samego kraju, którym rządili sto-sunkowo łatwo przez prawie sto lat i w którym zdołali zakorzenić zarówno francuską kulturę, jak i francuskie instytucje gospodarcze i administracyjne. Byli przekonani, że przykry incydent wojenny został zlikwidowany, samozwańcza, komunistyczna grupka, usiłująca utworzyć wywrotowy rząd, została wyparta z Hanoi, nie ma poparcia w kraju i wszystko niebawem powróci do normy. Plantacje będą produkować kauczuk dla Francji, poborcy zbierać podatki, Banque d'Indochine finansować handel francuskich kolonów, szkoły — uczyć wietnamskie dzieci języka



Moliera i Balzaka, a oficerowie w białych mundurach ćwiczyć annamickich żołnierzy, których w razie potrzeby można będzie użyć na innych terenach Unii Francuskiej.

Okazało się bardzo szybko, że sytuacja jest zupełnie inna. Ludność, która jeszcze przed pięciu laty była stosunkowo posłuszna, przyjazna i łatwo pozwalala sobie rządzić i wyzyskiwać się, stała się teraz wroga i zamknięta. Wielki wiatr wolności, przechodzący przez Azję w czasie II wojny światowej, stał się w Wietnamie monsunem ożywiającym nadzieje i tęsknoty narodu wietnamskiego, mającego tysiącletnią historię i tradycję walk wolnościowych. Znalazła się tu też grupa ludzi i organizacja, która potrafiła zogniskować marzenia o wolności, stworzyć dla nich podstawę społeczną i gospodarczą i zbudować mocny aparat, partię, a później rząd i wojsko. Podczas gdy autorytet panowania francuskiego ulegał całkowitej korozji, a profrancuskie grupy ludności — głównie burżuazji — skompromitowały się przede wszystkim kolaboracją z Japończykami, Wietminh zdobył sobie emocjonalne i prawne uznanie i zaufanie ogromnej większości świadomego społeczeństwa. Kiedy Ho Szi Min ogłosił w sierpniu 1945 roku utworzenie rządu narodowego, nawet Bao Dai nie uciekł na emigrację. Przekazał wielką pieczęć cesarską Ho Szi Minowi i wydał deklarację, w której oświadczył, że „jesteśmy szczęśliwi, iż możemy stać się wolnym obywatelem niepodległego państwa. Niech żyje nasza Republika Demokratyczna!” Z przyzwyczajenia jeszcze użył formy „my” — ale zaraz przyjął nazwisko obywatela Vinh Thuy i posadę „głównego doradcy politycznego” rządu w Hanoi.

Wiele czynników składało się na błyskawiczny wzrost autorytetu Wietminhu w społeczeństwie wiet-

namskim. Wietminh reprezentował hasła patriotyczne, ogromnie aktualne w istniejącej sytuacji. Był wyrazicielem nastrojów populistycznych tego chłopskiego kraju o nieskomplikowanej strukturze społecznej, niósł hasła socjalistyczne, znajdujące żywy oddźwięk wśród masy bezrolnych chłopów i miejskiej nędzy. Dążenie do zmiany i zdolność do poświęceń chłopca wietnamskiego miały również swe przyczyny w niewielkiej różnicy pomiędzy stanem śmierci a warunkami, w których żył. A oto pojawiła się perspektywa innego życia. Wietminh ofiarował wszystkim udział w rządach, szybko rozpoczynał reformy społeczne, wśród których najważniejsza była reforma rolna, skreślał lichwiarskie długi, karał zdrajców i ciemiężców, tworzył świetną armię, miał siłę. Nie bez znaczenia był również element rasowy, który wprawdzie nigdy nie był akcentowany przez kierownictwo, ale oczywiście przyczyniał się do cementowania oporu przeciwko okupantowi. Wreszcie los zrzucił, że na czele Wietminhu znalazła się grupa ludzi rzeczywiście wyjątkowych. Byli zdolni, wykształceni — przeważnie na francuskich uniwersytetach — i posiadali prawdziwe cechy przywódców, połączone z rzadką zaletą skromności i jeszcze radszym darem charyzmy. Ho Szi Min, Pham Van Dong, Vo Nguyen Giap i wielu jeszcze innych stanowili wspaniały zespół, zdolny poprowadzić swój naród do walki politycznej i wojskowej.

Tego wszystkiego nie rozumiała większość urzędników francuskich zarówno w Sajgonie, jak i w Paryżu. Toteż początkowo próbowali oni przywrócić przedwojenne stosunki w Wietnamie i rządzić bezpośrednio za pomocą francuskiej biurokratycznej administracji. Wkrótce okazało się, iż znajdują się w politycznej pustce. Nawet duża część dawnej klasy wietnamskich właścicieli ziemskich i miejskiej

burżuazji przestała współpracować z kolonialistami. Na znacznych obszarach kraju powstawały we wsiach rady współpracujące z Wietminhem, a mieszkańcy okupowanych przez wojsko miast wynosili na plecach maszyny z fabryk, narzędzia i surowce do dzungli, gdzie Wietminh budował warsztaty i całe fabryki służące ruchowi oporu. Ludność burzyła w miastach domy, aby nie mogły służyć okupantowi, i uchodziła na wieś. Wysadzano mosty i koleje. Na tyłach garnizonów francuskich powstawał drugi Wietnam, tworzono własną sieć administracyjną, urzędy, aparat gospodarki wojennej, szkoły i wojsko. Sabotaż, dezinformacja i oszukiwanie okupantów stało się codziennym, normalnym zajęciem wietnamskich mężczyzn, kobiet i dzieci. Francuzi trzymali jeszcze siłą główne, umocnione ośrodki — ale kraj już do nich nie należał.

Świadomość tego oderwania się od „sprzymierzonego Wietnamu” powoli zaczęła docierać do polityków francuskich. Zaczęli szukać możliwości porozumienia się ze społeczeństwem wietnamskim. Ale pomijając możliwości nawiązania prawdziwego dialogu wybrali niewłaściwą drogę. Możliwości porozumienia istniały. Ho Szi Min wielokrotnie apelował do polityków francuskich o przywrócenie układu z marca 1946 roku. 21 marca 1947 roku Ho oświadcza, że „jedno słowo Francji wystarczy, aby wstrzymać działania wojenne”. W następnych miesiącach przesyła projekty porozumienia do kolejnych rządów francuskich w Paryżu. Sytuacja polityczna Francji nie sprzyja jednak wtedy ukształtowaniu się racjonalnej polityki wobec Wietnamu. W Paryżu panuje całkowity chaos polityczny. Rządy zmieniają się co parę miesięcy. Ale niezależnie od partyjnej przynależności premiera sprawy kolonialne za każdym razem pozostają w ręku MRP — partii, która stanowczo

sprzeciwia się wszelkiemu porozumieniu z Wietminhem, trzyma się twardej, wojskowej polityki i popiera grupy kapitałowe, osiągające ogromne zyski na wojnie w Indochinach. Wojna ta już wtedy otrzymuje swój przydomek „la sale guerre” — „brudna wojna”. Mnożą się liczne afery związane z wojną — na tle handlu opium, wynikające z różnicy kursów piasra wietnamskiego, licencji eksportowo-importowych, łapownictwa i kumoterstwa. Część tych brudnych spraw wyszła na światło dzienne w 1950 roku w postaci tzw. „afery generałów”, która spowodowała we Francji ostry kryzys polityczny.

W takiej politycznej i kryminalnej atmosferze we Francji coraz bardziej dojrzewająca świadomość potrzeby znalezienia jakiegoś oparcia w społeczeństwie wietnamskim nie jest jednak w stanie wyeliminować błędnych i fałszywych decyzji. Rząd francuski odrzuca oferty Ho Szi Mina i nawiązuje flirt z byłym cesarzem Bao Daiem, który po krótkim okresie współpracy z Wietminhem wyjechał po cichu do Hongkongu i tam się osiedlił, urządzając sobie częste wypady do kasyn gry w Nicei i Cannes. Koncepcję współpracy z cesarzem popiera Departament Stanu USA, który przy pomocy ambasadora Williama Bullita pośredniczy w nawiązaniu stosunków pomiędzy Bao Daiem a Francuzami i organizuje im spotkanie w Genewie.

Bao Dai, który ma jeszcze w Sajgonie i w starej stolicy — Hue — grupę współpracujących z nim przedstawicieli klas mandaryńskich i kontakty z niektórymi sektami religijnymi — długo się waha i targuje. Chce uzyskać od Francuzów co najmniej te same warunki, jakie otrzymał poprzednio w marcu 1946 roku Ho. Cesarz wie, że tylko w ten sposób będzie miał szanse na uzyskanie poparcia w społeczeństwie. Czas i sytuacja w Wietnamie grają na ko-

rzyść cesarza. Po 18 miesiącach negocjacji, w marcu 1949 roku, prezydent Francji Vincent Auriol podpisuje z Bao Daiem układ, uznający znowu solennie niepodległość Wietnamu. Cesarz otrzymuje nawet prawo wysyłania własnych przedstawicielstw dyplomatycznych — ale tylko do Tajlandii, Indii, Chin i do... Watykanu — co jest o tyle dziwne, że katolicy stanowili w Wietnamie jedynie około 6% ludności.

Tym razem nie ma już jednak mowy w układzie o wycofaniu wojsk francuskich. Przeciwnie, układ zapewnia Francuzom bazy w całym kraju.

Cesarz wraca do Wietnamu pod opieką francuskich wojsk, ale od razu staje się jasne, że autorytet jego rządu z premierem generałem Xuanem jest żaden, a układ z Francuzami tylko fikcją. Wietnam stał się protektoratem. W ten sposób Francja znowu przekreśliła istniejącą jeszcze w tym czasie możliwość powrotu do koncepcji „niepodległość — sojusz”, proponowanej przez Ho Szi Mina.

W tym samym okresie uwidoczniła się również niewłaściwa ocena sytuacji wojskowej dowództwa francuskiego w Wietnamie. Po utracie Hanoi, Hue i Hajfongu partyzanci wietnamscy wycofali się do dżungli. Wojskom francuskim bez trudu udało się opanować główne ośrodki i sieć komunikacyjną kraju. Bataliony francuskie poruszały się wprawdzie w pustce i bezludziu, ale w kraju przez jakiś czas panował względny spokój. Francuzi nie wiedzieli, że tuż za skrajem dżungli powstaje ogromny aparat wojskowy. Genialny generał Vo Nguyen Giap, do niedawna nauczyciel historii w sajońskim gimnazjum, zakłada szkoły wojskowe, organizuje komunikację, warsztaty produkujące czy przerabiające zdobytą broń, fabryki amunicji, wojskowe szpitale — jednym słowem, tworzy armię. Już w 1947 roku li-

czy ona 106 000 żołnierzy. Giap opracowuje też strategię partyzanckiej wojny wyzwolenczej — przystosowanej do miejscowych warunków, w ryżowiskach i dżungli. Pierwsza faza tej wojny jest defensywna, oparta na małych grupkach partyzanckich, które prowadzą działania nękające w stosunku do mniejszych oddziałów wroga. W drugiej fazie zaczną dopiero działać większe jednostki. Wciągają one w zasadzki poważniejsze oddziały nieprzyjaciela, wybierając przy tym zawsze wygodny dla siebie czas i miejsce. Wreszcie w trzeciej fazie będą następować uderzenia niszczące, głównie na tyły wroga.

We wszystkich tych fazach istotną częścią strategii jest ściśle powiązanie wojska z ludnością kraju. „Ludność dla partyzantki to jak woda dla ryby”. „W przyjaznym kraju każdy krzak jest sprzymierzeńcem” — mówił Mao Tse-tung. To powiązanie z ludnością przynosi partyzantom informacje, zapewnia żywność, daje schronienie, ułatwia zasadzki, kryje odwroty, maskuje podstępny. Po spełnieniu zadania i ukryciu broni partyzanci rozpraszali się do chałup i przyłączali do prac na ryżowiskach, a żaden francuski żołnierz nie był w stanie odróżnić chłopów walczących od pracujących.

Giap wzoruje się na systemie współzawodnictwa pracy i wprowadza współzawodnictwo okupowanych wiosek w walce z wrogiem. Ma wkrótce na wszystkich szczeblach oddane, ofiarne i świadome kadry, jest wspaniale poinformowany o każdym ruchu przeciwnika.

Francuzi nie wiedzą nic. Są pewni siebie i arogancy, oszukiwani przez Wietnamczyków uważają, że wróg przestał się liczyć. W maju 1947 roku minister wojny Francji Coste Floret oświadcza: „Nie ma już żadnego problemu wojskowego w Indochinach!” Śmieszność tego fałszywego oświadczenia zbladła

bardzo na kartach historii. Ileż razy w następnych 20 latach takie same niemal oświadczenia składali generałowie, ministrowie, premierzy i prezydenci już nie tylko Francji, ale i Stanów Zjednoczonych...

W 1948 roku Giap przechodzi do drugiej fazy wojny wyzwolenczej. Mnożą się wypadki z dżungli i zasadzki na drogach. Francuzi poczynają ponosić bolesne straty. Powoli rezygnują z utrzymywania mniej zaludnionych obszarów kraju i obrony wszystkich wiosek. Przecież w samej delcie Rzeki Czerwonej jest ich cztery tysiące! Powoli wycofują się do miast i węzłów komunikacyjnych i stosując taktykę „tłustej plamy” starają się utrzymać bezpieczeństwo przynajmniej dokoła ważniejszych ośrodków.

W październiku 1950 roku Giap wydaje przeciwnikowi pierwszą większą bitwę i dzięki wspaniałemu manewrowi niszczy pod Cao Bang osiem batalionów francuskich — około 4000 żołnierzy. W ręce Wietminhu dostaje się ogromna ilość sprzętu. Armia DRW liczy już wtedy 5 dobrze wyekwipowanych dywizji. Wezwany z Francji na ratunek słynny generał Alphonse Juin po rozejrzeniu się w sytuacji informuje Paryż, że widzi tylko trzy możliwe wyjścia z sytuacji: 1 — nawiązać rokowania z Wietminhem, 2 — wycofać się z Wietnamu, 3 — umiędzynarodowić konflikt.

Ten pierwszy — od czasów generała Leclerka — pesymistyczny głos wybitnego fachowca nie wywołuje trzeźwej reakcji ani wśród cywilnego kierownictwa Francji, ani wśród sajgońskich jastrzębi. Bez zastanowienia i dyskusji odrzuca się dwa pierwsze warianty jako niemożliwe do przyjęcia. Pozostaje więc tylko trzecie rozwiązanie.

Wojska francuskie w Wietnamie liczą w tym czasie 143 000 żołnierzy. W tym 57 000 Francuzów, 16 000 żołnierzy z Legii Cudzoziemskiej — głównie

Niemców rekrutowanych z obozów jenieckich lub esesmanów, ukrywających się w ten sposób przed karą. 21 000 — to żołnierze algierscy i marokańscy, 11 000 Senegalczyków, reszta — około 38 000 — to Wietnamczycy, element niepewny i często współpracujący z Wietminhem. Koszty wojny urastają do fantastycznej kwoty 150 miliardów franków rocznie. Francja nie jest już w stanie wytrzymać tego obciążenia ani powiększyć jeszcze liczby żołnierzy i odnowić uzbrojenia. A więc jeżeli odrzuca się rokowania i wyklucza odwrót — to trzeba znaleźć współnika do tej wojny, trzeba umiędzynarodowić konflikt. W ten sposób następuje wejście na równię pochyłą, po której Francja stoczy się do klęski.

W 1949 roku rząd francuski zasypuje Waszyngton nieustannymi żądaniem pomocy dla opanowania sytuacji w Indochinach, przy czym nabierają one coraz wyraźniej charakteru politycznego szantażu. Metody stosowane przez Francuzów najlepiej scharakteryzował ówczesny sekretarz stanu Dean Acheson w wywiadzie udzielonym w 1969 roku „New York Timesowi”: „Francuzi nas szantażowali. Na każdym spotkaniu, kiedy wzywaliśmy ich do większego wysiłku w Europie, wysuwali Indochiny... Żądali naszej pomocy dla Indochin, ale odmawiali odpowiedzi na pytania, co mają tam zamiar osiągnąć i w jaki sposób. Prawdopodobnie sami nie wiedzieli. Mieli obsesję, że jak się coś posiada, to trzeba to utrzymać... Namawialiśmy ich, aby dali większą swobodę politycznej działalności Wietnamczykom — nie przyjmowali naszych rad”.

Stany Zjednoczone przez pewien czas opierają się temu szantażowi. Odrzucają również sugestie, aby bezpośrednio poprzeć Bao Daia. Jeszcze w marcu 1949 roku Departament Stanu wysłał instrukcję do ambasady w Paryżu, informując, że „nie możemy



obecnie zobowiązywać USA do pomocy wietnamskiemu rządowi, który — nie zdobywając sobie poparcia wśród Wietnamczyków — może jedynie stać się marionetkowym rządem, oderwanym od narodu i istniejącym jedynie dzięki obecności francuskich sił zbrojnych”.

Opory te jednak słabną w miarę narastania zimnej wojny i pękają ostatecznie już w II połowie 1949 roku. Wpływa na to zmiana sytuacji politycznej w Azji.

1 października tego roku kończy się „Długi Marsz” chińskiej rewolucji. Wojska Mao Tse-tunga opanowują Pekin. Czang Kaj-szek ucieka na Tajwan. Proklamowana zostaje Chińska Republika Ludowa.

To historyczne wydarzenie, które będzie miało ogromny wpływ na dzieje świata, wywołało wstrząs w Ameryce. Oznaczało całkowitą porażkę wieloletniej polityki amerykańskiej w Chinach. Wstrząs ten wywołał jednak reakcję, która opierała się przede wszystkim na całkowicie fałszywym pojmowaniu istoty chińskiej rewolucji. Niemalą odpowiedzialność za te błędy ponosiła demagogia potężnego wówczas senatora Josepha McCarthy'ego, który uważał, że „to nie demokracja chińska pod wodzą Mao zdobyła Chiny... To Związek Radziecki podbił ten kraj, a poważnym sojusznikiem tego podboju była mała, lewicowa grupka w naszym Departamencie Stanu”. Może dla wyraźnego odcięcia się od tego oskarżenia podsekretarz stanu Dean Rusk wkrótce oświadcza: „Pekiński reżim to kolonialny rząd rosyjski. Nie jest rządem Chin. Nie jest chiński”.

Mniejsza o to, jak historia sprawdziła po latach trafność i dalekowzroczość tych błyskotliwych ocen. Nas interesuje przede wszystkim fakt, że znalazły one swój natychmiastowy wyraz w formułowaniu polityki Stanów Zjednoczonych na terenie Azji.

Już 23 grudnia 1949 roku studium Narodowej Ra-

dy Bezpieczeństwa stwierdza: „Jasne jest, że Południowo-Wschodnia Azja jest celem skoordynowanej ofensywy kierowanej przez Kreml... Jeżeli obszar ten zostanie opanowany przez komunistów, doznamy poważnej politycznej klęski, której skutki będą odczuwane na całym świecie...”

W Białym Domu zapada decyzja zablokowania „ekspansji komunizmu” w Azji, a rezultaty tej polityki rzutują od razu na sprawę Wietnamu. 7 lutego 1950 roku Waszyngton oficjalnie uznaje rząd Bao Daia, 8 maja następuje przyznanie pierwszej raty pomocy wojskowej dla Francuzów w Indochinach. Acheson deklaruje wtedy, że Ho Szi Min „zdemaskował się przyjęciem chińskiej pomocy i musi być uważany za śmiertelnego wroga narodowej niepodległości w Indochinach”. Oświadcza dalej, że Stany Zjednoczone postanowiły „wysłać pomoc ekonomiczną i wojskową... celem ułatwienia Francji przywrócenia porządku oraz dla pokojowego i demokratycznego rozwoju Indochin”.

W ten sposób rozpoczęło się wojskowe zaangażowanie Ameryki w Wietnamie, na razie poprzez pośredników. Zaczęło się od pieniędzy i uzbrojenia, ale koszty tej pomocy rosną w zawrotnym tempie. W 1954 roku amerykański udział USA w francuskiej wojnie wynosi już 78% jej kosztów. Łącznie w ciągu 4 lat pomoc ta wyniesie 2,6 miliarda dolarów. Oprócz tego Bao Dai otrzyma bezpośrednio około 130 milionów. Wraz z pierwszym transportem uzbrojenia wyjeżdża do Wietnamu niewielka na razie, bo tylko 35-osobowa grupa doradców wojskowych, stanowiąca zaczątek instytucji, która wkrótce rozszerzy się znacznie pod nazwą MAAG (Military Advisory Assistance Group).

W drugiej połowie 1950 roku rozmiary i tempo amerykańskiego udziału w wojnie wietnamskiej

wzrastają szybko pod wpływem innego ważnego wydarzenia w tym rejonie świata. 25 czerwca wybucha wojna koreańska i wojska amerykańskie wchodzą bezpośrednio do walki w pobliżu Indochin. Jeszcze nie urodziła się efektowna „teoria domina”, chociaż pierwsza, wielka kostka tej gry — w postaci Chin — właśnie przewróciła się z hukiem. Stany Zjednoczone zostały uwikłane w konflikt na Dalekim Wschodzie na wiele lat. Wietnam, który zyskał teraz granicę z komunistycznymi Chinami i możliwość komunikacji lądowej ze Związkiem Radzieckim — stał się dla polityki amerykańskiej obszarem pierwszorzędno znaczenia. Został więc awansowany urzędowo do roli kluczowej pozycji w obronie tzw. „wolnego świata”. O ile dotychczas Wietnam dla polityki amerykańskiej był tylko elementem pomocy dla Francji, głównie dla uzyskania jej dywizji dla NATO, o tyle teraz USA zdecydowały bronić Indochin z punktu widzenia swojej własnej, globalnej polityki. W 1969 roku ambasador William Sullivan, wielki amerykański specjalista od sprawy wietnamskiej, przyzna w Senacie, że „był to błąd, który popchnął Stany Zjednoczone na bardzo kosztowną drogę”.

Na razie jednak skorzystali na tym Francuzi. Umieędzynarodowienie konfliktu dało im pomoc finansową i zbrojeniową. Ułatwiło sprowadzenie posiłków z Europy oraz rekrutację i uzbrojenie oddziałów miejscowych. Przysłali też z Francji do Wietnamu doskonałego dowódcę, generała de Lattre de Tassigny. Dowództwo wietnamskie, podniecone i zachęczone zwycięstwem pod Cao Bang, zbyt szybko chciało przejść do trzeciej fazy wojny wyzwoleniczej i poniosło kilka bolesnych porażek. W 1951 roku zarówno w Paryżu, jak i w Waszyngtonie zapanowało odprężenie. Zwycięstwo Francuzów przy amerykańskiej pomocy wydawało się teraz pewne i bliskie.

Bardzo szybko okazało się jednak, że przekonanie to było oparte na fałszywej ocenie sytuacji i na braku zrozumienia praw tej wojny. Prowadziło więc do nowych, tym razem katastrofalnych błędów, prowadziło do klęski.

### III. Błędy i klęska Francuzów

Pomoc finansowa i materiałowa, która w 1950 roku poczęła napływać ze Stanów Zjednoczonych dla francuskiej operacji wojskowej w Wietnamie, okazała się na dłuższą metę bezskuteczna. Wśród głównych przyczyn tego zjawiska wymienić należy przede wszystkim całkowicie niewłaściwą politykę francuskich władz kolonialnych wobec ludności Indochin.

Mówimy o „władzach kolonialnych”, gdyż pomimo zawartych porozumień, uroczyście potwierdzających suwerenność kraju, formalnych uprawnień miejscowego rządu i cesarza oraz wietnamskiej armii — wysoki komisarz Francji był nadal wielkorządcą kraju, a dowództwo wojskowe spoczywało wyłącznie w rękach generałów francuskich. Wymownym przykładem fikcyjnych uprawnień rządu Bao Daia może być fakt zdewaluowania wietnamskiego piasra przez Francuzów w 1953 roku bez żadnej konsultacji z rządem wietnamskim. Posunięcie to miało zresztą bardzo istotne i ujemne skutki dla gospodarki wietnamskiej, a przyniosło ogromne zyski spekulantom w Paryżu.

Taki system rządzenia władz francuskich odbierał resztki autorytetu rządowi cesarskiemu, a jednocześnie rozpałił nienawiść ludności do Francuzów. Francuzi nie próbowali nawet uchodzić za zbawców,

chroniących przed „chińskim najazdem komunistycznym”, nie przybierali pozy obrońców demokracji i sprawiedliwości — co później będzie stałą taktyką Amerykanów. Po prostu stosowali wobec odpornej ludności terror, przemoc i bezwzględność. A jednocześnie bronili interesów wietnamskiej klasy posiadaczy ziemskich wobec chłopów.

Rząd DRW rozpoczął w tym czasie na terenach, które całkowicie czy częściowo kontrolował, przeprowadzać poważne reformy społeczne. Wywłaszczył na rzecz państwa ziemię należącą do kolaborantów i oddał ją w użytkowanie bezrolnym. Obniżył kwoty zadłużenia małorolnych u lichwiarzy i ustanowił górną granicę stopy procentowej pożyczek. Przystąpił do reformy rolnej i rozdziału gruntów wielkich posiadaczy ziemskich, wprowadził nowy system podatkowy. Akcja ta spotkała się z entuzjastycznym przyjęciem u chłopów, a wiadomość o niej rozchodziła się błyskawicznie na tereny opanowane jeszcze przez Francuzów. Ale władze francuskie reagowały na te posunięcia w sposób, który tylko pogarszał ich sytuację. Wysyłając karne ekspedycje na obszary, gdzie przeprowadzone zostały reformy, natychmiast unieważniały akty partyzantów. Odbierały ziemię chłopom oddając ją obszarnikom, przywracały wagę długom i siłą egzekwowały zaległe podatki. Czy można się dziwić, że chłopci coraz powszechniej nienawidzili okupantów i pomagali partyzantom? Wszystkimi możliwymi sposobami ułatwiali wojskom DRW usuwanie ze swoich terenów oddziałów francuskich, aby szybciej odzyskać utracone prawa i korzystne reformy.

Walka się zaostrzała. Francuskie posterunki i patrole tylko w dzień panowały nad wsiami i osadami. O zmroku cofały się do obszarów umocnionych. A wtedy na noc we wsiach powracała władza usta-

nowiona przez DRW, wracały nowe prawa własności i ponosili zasłużoną karę ci, którzy w dzień odważyli się kolaborować z okupantem.

Nie należy się łudzić, że już wtedy wszyscy chłopcy wietnamscy mieli określoną świadomość narodową, poglądy ideologiczne czy polityczne sympatie. Można ich jeszcze było sobie pozyskać przez rozsądną i dalekowzroczną politykę, może przekonać, a może nawet przekupić. Władze francuskie zrobiły wszystko, aby masy wietnamskie odrzucić od siebie, zantagonizować i popchnąć w ramiona Wietminhu. Bo — jak mówią Algierczycy — „chłop jest tym dla rewolucji, czym powietrze dla życia”.

Postępowanie władz francuskich było przedmiotem ostrych kontrowersji z rządem Bao Daia, który stale i bezskutecznie domagał się powiększenia swoich uprawnień i szanowania zasad wietnamskiej niezależności. Stanowisko Bao Daia było zresztą popierane przez Waszyngton, który bardzo krytycznie oceniał postępowanie Francuzów. Ale amerykańskie interwencje nie pomagały. Mimo rosnącej zależności finansowej i materiałowej od Ameryki Francuzi strzegli zazdrośnie swoich praw w Indochinach. Cele ich walki były tam inne. Nie walczyli z komunizmem w Azji. Używali w rozmowach z Amerykanami frazeologii zimnowojennej, bo ułatwiało im to uzyskiwanie większej pomocy. Zwrócili się poprzez generała de Lattre de Tassigny do papieża Piusa XII o nominację amerykańskiego biskupa O'Dooleya na delegata apostolskiego w Indochinach pod pozorem organizowania tam katolików do walki z komunizmem — ale traktowali ten fakt jako element wojny psychologicznej. W istocie rzeczy chcieli tylko utrzymać swoje posiadłości azjatyckie, swoje plantacje kauczuku i swój autorytet. W dużej mierze dlatego, że utrata twarzy w Azji Południowo-Wschodniej gro-

ziła w konsekwencji utratą kolonii w Afryce Północnej.

W tym okresie Francuzi stale odrzucali możliwości negocjacji z rządem DRW. Kilkakrotnie jeszcze w 1951 i 1952 roku Ho Szi Min wysuwał propozycje nawiązania rozmów. Nie tylko sytuacja w Wietnamie, ale wydarzenia paryskie przemawiały za podjęciem tych inicjatyw. Opór i zmęczenie społeczeństwa francuskiego tą brudną i beznadziejną wojną przybierały formy coraz ostrzejsze. Pod naciskiem opinii i parlamentu rząd odmawiał zadośćuczynienia żądanom posiłków, które wciąż nadchodziły z Indochin. Obawiano się rozruchów ludności i buntów żołnierzy. Jednakże stanowisko wobec ofert rozmów pokojowych było twarde i nieustępliwe zarówno w sferach wojskowych, jak i cywilnych. Zwłaszcza kiedy w 1953 roku na czele rządu stanął Laniel, a ministrem spraw zagranicznych znowu został Bidault.

Najpierw trzeba pobić przeciwnika, a dopiero potem można rozmawiać! Stanowisko takie podtrzymywane było stanowczo przez Stany Zjednoczone. Jak wynika z „Aktów Pentagonu”, między rokiem 1952 a 1954 Departament Stanu na zlecenie Białego Domu kilkakrotnie domagał się od rządu francuskiego zapewnień, że „żadne zawieszenie broni w Indochinach nie będzie przedmiotem negocjacji, zanim nie nastąpi zdecydowane zwycięstwo wojskowe i uznanie porażki przez komunistów”.

Możliwość taka stawała się coraz bardziej iluzoryczna. Stosunek sił przechylał się coraz wyraźniej na stronę Wietminhu. Wpływały na to już nie tylko poprzednio omawiane względy polityczne, ale i niewłaściwa strategia i taktyka wojskowa dowództwa francuskiego.

Studiując historię wojen obserwujemy bardzo



często, że po wybuchu konfliktu jedna ze stron podejmuje walkę przy pomocy metod, jakie stosowała przy końcu poprzedniej wojny, w której brała udział. Jest to z reguły taktyka przestarzała, nie dostosowana do zmienionych warunków i nowej technologii.

Francuzi w wojnie wietnamskiej popełnili taki błąd po raz czwarty w historii ostatniego stulecia: w wojnie francusko-pruskiej 1870 roku walczyli jak w wojnach napoleońskich. Skończyło się to klęską pod Sedanem. W sierpniu 1914 roku zastosowanie strategii z 1870 roku odrzuciło Francuzów aż nad Marnę. Trzeba było kilka lat krwawej rzezi i wysiłku potężnych sojuszników, aby wypracować nową strategię, która przyniosła wreszcie zwycięstwo. Jednakże ta strategia w 1940 roku była już znów przestarzała i znowu przyniosła klęskę.

W latach pięćdziesiątych sztab francuski dowodził w Wietnamie metodami, których nauczył się w europejskiej wojnie przed dziesięciu laty. Były one niewłaściwe zarówno co do czasu, jak miejsca i warunków tej wojny. Walczyć metodami stosowanymi na polach Bretanii czy Normandii przeciwko partyzantom w dżunglach Wietnamu było równie absurdalne, jak nacieranie zwartymi kolumnami na tyralierę czy szarżowanie kawalerią na czołgi.

Ogromną słabością francuskiej armii był także jej skład narodowościowy. Dużą część żołnierzy stanowili Arabowie z Algierii, Maroka i Tunisu oraz Senegalczycy. Byli to żołnierze dobrze wyszkoleni, ale brakowało im chęci walki i woli poświęcenia w tej obcej im wojnie. Zaś świeżo rekrutowani i szybko uzbrajani w amerykańską broń Wietnamczycy nie tylko nie stanowili dobrego wojska, ale przy każdej okazji przechodzili na stronę przeciwnika, dostarczali mu informacji, a przede wszystkim broni. W 1954 roku duża część artylerii Giapa, bombardują-

cej Dien Bien Phu, uzbrojona była w amerykańskie działa 105 mm.

Armia Wietminhu była natomiast idealnie dostosowana do czasu i charakteru tej wojny, do warunków terenowych, środowiska ludzkiego i napięcia psychicznego wojny wyzwolenczej.

W 1952 roku Giap rozporządzał już siedmioma dywizjami piechoty, jedną dywizją artylerii i kilkoma pułkami odwodu. Nie były to jednostki zorganizowane w sposób zrozumiały dla klasycznego wychowania absolwentów słynnej francuskiej akademii w Saint-Cyr. Składały się wszystkie z niezależnych, ruchliwych batalionów i kompanii, mogących zupełnie samodzielnie manewrować w terenie, miały własne zaopatrzenie, własny transport — głównie rowery — i własną łączność. Jednostki te przerzucały się błyskawicznie z miejsca na miejsce — przeważnie nocnymi marszami — uderzały zniemacka w najmniej spodziewanym miejscu, po czym rozpraszały się w dżungli, odchodziły na miejsce zbiórek w niedostępnych górach lub bagnach albo po prostu roztapiały się w wioskach i wśród ryżowisk jak armia duchów. Symbioza regularnego wojska z walczącą również ludnością była główną cechą armii wyzwolenczej. Ludność zapewniała im schronienie, żywność, informację o ruchach Francuzów, znajomość terenu i możliwość składowania zapasów broni i amunicji — ale była również źródłem stałej rezerwy ludzkiej. Armia wyzwolencza potrafiła wynaleźć i udoskonalić wiele prymitywnych na pozór metod walki, które w specjalnych warunkach Indochin okazywały się bardzo skuteczne w zadawaniu przeciwnikowi bolesnych strat i podważały jego morale. Do stałych metod walki należały pułapki i wilcze doły, podcinane drzewa, zrywane tamy, a nawet roje os wypuszczanych na przeciwnika.

W warunkach takiej walki szybko topniała teoretyczna i techniczna przewaga ogniowa wojsk francuskich. Jedyną rozsądną taktyką byłoby mocne obsadzenie głównych ośrodków ludnościowych i produkcyjnych Wietnamu — przede wszystkim delty Rzeki Czerwonej (Tonkin) i dorzecza Mekongu, a więc obszaru Sajgonu, zorganizowanie tam elastycznej obrony i pozostawienie przeciwnikowi słabo zaludnionych części kraju, w których nie mógł mieć ani rezerwuaru sił ludzkich, ani bazy ekonomicznej. Z tej pozycji, którą byłoby trudno partyzantom atakować, można byłoby rozpocząć negocjacje. Takie stanowisko zajmował gen. Revers, francuski szef sztabu.

Ale dowództwu francuskiemu nie odpowiadała taktyka pasywna. Chciało decydującego zwycięstwa. Zwłaszcza że rząd w Paryżu nalegał na szybkie zakończenie wojny, gdyż presja społeczeństwa stawała się coraz groźniejsza. Dowództwo wciąż nie rozumiało sytuacji i niewłaściwie oceniało stosunek sił tych dziwnie niesymetrycznych armii. Ślepa wiara w wyższość regularnych wojsk francuskich trwała do ostatnich niemal dni wojny. „Razem z nowymi wietnamskimi batalionami będziemy mogli do 1955 roku oczyścić deltę Rzeki Czerwonej” — oświadczył w marcu 1953 roku generał R. Salan, dowódca wojsk francuskich w Wietnamie. Jego następcą, generał H. Navarre, 1 stycznia 1954 roku obiecuje „zwycięstwo... po dalszych sześciu miesiącach twardej walki”. W trzy miesiące później generał P. Ely, szef sztabu armii francuskiej, dziwi się: „Nie rozumiem, jak to się dzieje, że komuniści jeszcze walczą mimo strat, jakie ponieśli!”

W tym czasie następują też poza Wietnamem wydarzenia, które wzmagają nacisk na przyspieszenie ostatecznej rozgrywki z przeciwnikiem. W lipcu

1953 roku, po trzyletnich walkach, nastąpiło zawieszenie broni w wojnie koreańskiej. Amerykanie zaczynają straszyć rząd francuski, że zwolnione w Korei oddziały chińskich ochotników mogą zostać przetruczone do Wietnamu. Paryż nie bardzo wierzył w otwartą chińską interwencję, ale liczył się z możliwością znacznego zwiększenia dostaw chińskiej broni dla partyzantki i z dopływem instruktorów wojskowych, którzy przeszli szkołę wojny koreańskiej. Wprawdzie Amerykanie jednocześnie obiecywali skierowanie broni z koreańskiego demobilu do Wietnamu, ale nie była to zbyt nęcąca propozycja. Broń ta służyłaby przede wszystkim do uzbrajania tworzących się oddziałów wietnamskich, a wartość jej była co najmniej wątpliwa. Można było przypuszczać, że lwią część tej broni dość szybko znajdzie sobie drogę do oddziałów partyzanckich.

Fałszywa ocena stosunku sił, lekceważenie i niezrozumienie przeciwnika, arogancja kolonialna i pośpiech złożyły się na cechy tzw. „Planu Navarre”, który miał jakoby przynieść w 1954 roku zwycięstwo. Celem tego planu było zmuszenie przeciwnika do przyjęcia decydującej walki w północno-zachodniej części Wietnamu, ściągnięcie wojsk Wietminhu z Laosu i doliny Czarnej Rzeki, aby w górach, na jego własnym terenie, zadać mu decydujący cios. W listopadzie 1953 roku generał Navarre zrzuca więc spadochroniarzy do doliny Dien Bien Phu, zamienia ją w twierdzę i nasycza doborowym wojskiem w liczbie 16 000 żołnierzy. Jedną czwartą tej załogi stanowili Niemcy z Legii Cudzoziemskiej.

Navarre nie pomylił się tylko w jednym swym operacyjnym przewidywaniu. Ściągnął istotnie na ten obszar cztery dywizje Giapa — w tym dywizję artylerii, której działa żołnierze i okoliczni chłopcy nieśli przez góry na plecach. Wojska wietnamskie otoczyły

ogromnym pierścieniem ciasną dolinę. Wydłużone linie komunikacyjne Francuzów utrudniały im zaopatrzenie i posiłki. Wąskość doliny i zimowa pogoda niemal uniemożliwiały wsparcie powietrzne i dostawy lotnicze. Ludność całego obszaru powstała do walki, przecinając drogi w dżungli i górskich wąwozach. Jednocześnie Giap organizuje akcje dywersyjne w rejonach Vinh i Nam On, zamrażając tam rezerwy francuskie. Garnizon francuski zimuje w oblężonej fortecy w tej dolinie bez wyjścia. 13 marca Giap rozpoczyna atak. Obrona trwała 56 dni, była uporczywa, ale beznadziejna. 7 maja Dien Bien Phu zostaje zdobyte, a klęska ta oznacza zakończenie roli Francji w Indochinach.

Klęska pod Dien Bien Phu nie zniszczyła jeszcze całej armii francuskiej, ale rozbiła ostatecznie jej morale i zdolność do dalszej walki. Wywołała natomiast ogromny wzrost entuzjazmu wśród ludności miejscowej i umocniła pewność siebie w szeregach Wietminhu. Przyniosła wreszcie ostateczny wstrząs polityczny we Francji. W czerwcu upada w Paryżu rząd Laniel. Premierem zostaje Mendès-France, który ogłasza całkowite wycofanie się z Indochin.

Ale zanim to nastąpi, zanim konferencja genewska zakończy tę fazę konfliktu wietnamskiego, zawiśnie nad światem wielkie niebezpieczeństwo, które mogło spowodować wojnę w skali globalnej. Tym razem była to groźba bezpośredniej interwencji zbrojnej USA, a nawet groźba użycia broni jądrowej.

Po uzyskaniu amerykańskiej pomocy na wojnę wietnamską rząd francuski starannie unikał dalszego umiędzynarodowienia konfliktu. Wietnam był ich własną sprawą i taką miał pozostać. Nie chcieli tam widzieć ani Chińczyków, ani Amerykanów. Odrzucali też stanowczo proponowany od czasu do czasu przez sztaby udział w walkach sił zbrojnych USA. Amery-

kanie zresztą nie nalegali, zwłaszcza że oceniali sytuację wojskową w Indochinach z niezmiennym optymizmem. W czerwcu 1952 roku Dean Acheson oświadcza, że „sytuacja wojskowa w Indochinach rozwija się pomyślnie”. Jego zastępca, W. Robertson, w grudniu 1953 roku zapewnia, że „fala w Indochinach się odwróciła”, a jego kolega, ambasador W. Bedell Smith, w lutym 1954 roku dalej twierdzi, że „sytuacja wojskowa jest w Wietnamie pomyślna”. Minister obrony USA Ch. Wilson w tym samym czasie zapewnia, że „zwycięstwo Francji jest możliwe i prawdopodobne”, a jeszcze w marcu, czyli na dwa miesiące przed klęską przewodniczący Połączonego Komitetu Szefów Sztabów, admirał Radford, oświadcza: „Francuzi zwyciężają!... Możliwości osiągnięcia przez komunistów decydujących sukcesów nie istnieją”.

Amerykanie byli mądrzy dopiero po szkodzie. Eisenhower pisze w swoich pamiętnikach wydanych w 1963 roku: „Jestem przekonany, że Francuzi nie mogli wygrać tej wojny, ponieważ wewnętrzna sytuacja Wietnamu była słaba i pogmatwana i bardzo podcięła ich sytuację wojskową”. A Bedell Smith w czasie konferencji genewskiej — gdzie przewodniczył delegacji amerykańskiej — może niezbyt taktownie rzuca ministrowi Bidault: „Byle drugorzędny generał mógłby wygrać wojnę w Indochinach, gdyby istniała tam odpowiednia atmosfera polityczna”. Ambasador Cabot Lodge w 1965 roku nazwie to zdanie „najślusznieszą wypowiedzią amerykańską o Wietnamie”. Nie wiemy jednak, czy stosował ten pogląd również do lat 1963—1965, to znaczy do czasów, kiedy był ambasadorem amerykańskim w Sajgonie.

Ale powróćmy do 1954 roku. Na miesiąc przed upadkiem Dien Bien Phu, kiedy sytuacja jest już beznadziejna, Francuzi zapominają o swojej niechęci

do dalszego umiędzynarodowienia konfliktu. Aby uratować obleżony garnizon, zaczynają prosić, a później błagać Waszyngton o bezpośrednią pomoc w postaci interwencji amerykańskiego lotnictwa.

Amerykanie, mimo urzędowego optymizmu wypowiedzi o sytuacji w Wietnamie, od dawna już przygotowywali się do udziału w akcji. Wojna indochińska już od 1950 roku przestała być traktowana jako wojna antykolonialna. W Stanach w tym czasie narastają nastroje zimnowojenne, wzmaga się moralny terror narzucany politycznemu życiu kraju przez senatora McCarthy'ego, a utrata Chin i wojna koreańska doprowadziły kompleks antykomunistyczny do formy szczytowej, zwłaszcza w stosunku do Dalekiego Wschodu. W tej sytuacji konflikt w Indochinach nabiera nowego znaczenia, staje się wysuniętym frontem walki z komunizmem. Tworzy się koncepcja, którą dziś nazwalibyśmy „kompleksową”, a którą wtedy prezydent Eisenhower określił jako „teorię domina”. Upadek jednego kraju na tym obszarze ma pociągnąć za sobą kolejno upadek innych — tak jak padają jeden za drugim ustawione sztorcem klocki domina, kiedy się potrąci pierwszy. „Amerykański żołnierz w Korei i francuski w Indochinach walczą o to samo” — mówi Eisenhower w swym inauguracyjnym wystąpieniu. „Bezpieczeństwo Francji w Indochinach jest żywotne dla wszystkich krajów Azji Południowej. Wojnę należy prowadzić dalej i doprowadzić do zwycięskiego zakończenia” — powie w Senacie młody John F. Kenedy.

Zaostrzenie antykomunistycznych nastrojów amerykańskiego establishmentu nastąpiło zwłaszcza po wyborczym zwycięstwie republikanów w 1952 roku. Konsekwencją tego było też zwiększenie presji na podjęcie interwencji w Wietnamie. John Foster Dulles, sekretarz stanu nowej administracji, uważał bo-

wiem Ho Szi Mina za „marionetkę Pekinu, a Pekin za kukłę Moskwy”.

Od 1952 roku Narodowa Rada Bezpieczeństwa opracowuje plany reakcji na ewentualną interwencję Chin w Wietnamie, a nawet na ich „pośredni udział zagrażający utrzymaniu Deltę Tonkińskiej w rękach francuskich”. W tym wypadku przewidywano wysłanie amerykańskich sił lotniczych i morskich dla obrony Indochin, a sztaby przygotowały odpowiednie plany i rozkazy. 12 stycznia 1954 roku Dulles ostrzega, że „interwencja chińska będzie miała ciężkie konsekwencje, nie ograniczające się do Indochin”.

Jednakże interwencji chińskiej nie było, a mimo to klęska zawisła nad głowami Francuzów. W tych warunkach kwietniowe prośby francuskie o pomoc wywołały w Waszyngtonie wyraźny podział stanowisk.

Grupa jastrzębi parła do natychmiastowej akcji wojskowej. Przewodniczący Połączonego Komitetu Szefów Sztabów admirał Arthur Radford z własnej inicjatywy zaproponował francuskiemu szefowi sztabu, generałowi Ely, zmasowany nalot amerykańskich bombowców na pierścień wojsk otaczających Dien Bien Phu. W operacji tej pod kryptonimem „Akcja Sęp” miało wziąć udział 60 bombowców eksportowanych przez 150 myśliwców. Ówczesny wiceprezydent Richard Nixon w wywiadzie 14 kwietnia zadeklarował: „Uważam za konieczne podjęcie teraz ryzyka i wysłanie tam naszych chłopców”. Głównym zwolennikiem interwencji był Dulles. Z jego polecenia w połowie kwietnia na wodach Zatoki Tonkińskiej pojawiają się dwa amerykańskie lotniskowce z samolotami uzbrojonymi w bomby atomowe. Świat znowu znalazł się „na krawędzi”.

To wojownicze stanowisko części administracji wywoływało jednak silną opozycję. Szef sztabu sił



lądowych, generał J. Ridgway, i jego zastępca generał James Gavin uważali, że uderzenie lotnicze w rejonie Dien Bien Phu niczego nie rozstrzygnie, a interwencja lądowa w Indochinach będzie wymagała co najmniej 10 dywizji. Potem Ridgway dodał, że „nawet dwa miliony ludzi tam nie wystarczy”. Ten opór wobec zamiarów interwencji znalazł też zdecydowanych stronników w Kongresie, przy czym jednym z najbardziej aktywnych był ówczesny wpływowy senator Lyndon Johnson. Sprawę przesądziły ostrożność i rozsądek prezydenta Eisenhowera. Zdobyl się on w tym wypadku na przeciwstawienie się Dullesowi i oświadczył, że „Stany Zjednoczone nie pójdą do wojny bez upoważnienia Kongresu”. Generał dobrze wiedział, że Kongres nie da mu takich pełnomocnictw, chyba że akcja USA byłaby poparta przez inne państwa zaangażowane w tym rejonie, a przede wszystkim przez Wielką Brytanię. Z polecenia prezydenta Dulles poleciał 11 kwietnia do Londynu na rozmowy z rządem brytyjskim. W pamiętnikach Edena jak i w „Aktach Pentagonu” zawarte są szczegóły czterokrotnych prób Dullesa, który chciał uzyskać zgodę Anglików na wspólną interwencję.

Pierwsza próba w Londynie zakończyła się zdecydowaną odmową Edena, który oświadczył, że brytyjska opinia publiczna nie zaakceptuje żadnych zobowiązań, mogących prowadzić do wojny.

Po raz drugi Dulles próbował przełamać opór Wielkiej Brytanii 23—24 kwietnia 1954 roku w czasie konferencji NATO w Paryżu, wykorzystując dramatyczną depezę generała Navarre, wzywającą pomocy. I tym razem Eden odrzucił namowy Dullesa, a premier Churchill potwierdził tę decyzję, mówiąc z goryczą do Edena, że Dulles „usiłuje użyć Anglii do wprowadzenia w błąd Kongresu celem uzyskania

zgody na operację wojskową, która będzie bezskuteczna i może zaprowadzić świat na krawędź groźnej wojny”.

Po raz trzeci Dulles próbował uwikłać w tę wojnę Wielką Brytanię 25 kwietnia 1954 roku okrężną drogą, poprzez rząd francuski. Dulles poinformował premiera Francji, że — o ile ten zdoła przekonać Londyn o konieczności wspólnego wystąpienia — marynarka i lotnictwo amerykańskie rozpocznie 28 kwietnia akcję przeciwko DRW. Specjalnie zwołane posiedzenie rządu angielskiego zdecydowanie odrzuciło i ten nacisk USA.

Wreszcie już po upadku Dien Bien Phu, w czasie trwania konferencji genewskiej, między 7 maja a 11 czerwca 1954 roku, Dulles ponownie próbował doprowadzić do interwencji wojskowej w Indochinach. Dulles opracował listę warunków, których spełnienie umożliwi wystąpienie do Kongresu o zgodę na rozpoczęcie działań. Głównym warunkiem była zgoda Tajlandii, Filipin, Australii, Nowej Zelandii i Anglii na wspólną akcję oraz wciągnięcie do niej ONZ, podobnie jak to miało miejsce w czasie wojny koreańskiej. Ponadto — jako echo amerykańskich tradycji antykolonialnych — warunkiem miało być solenne zobowiązanie Francji dania pełnej niepodległości Wietnamowi, Laosowi i Kambodży, potwierdzone przez Parlament.

Jednocześnie opracowany został nawet szczegółowy wniosek do Kongresu, żądający upoważnienia na wysłanie wojsk amerykańskich do Wietnamu. Szefowie sztabów zalecali przy tym ograniczenie się jedynie do „akcji lotniczej i morskiej, kierowanej spoza Indochin”. Dulles sądził, że uchwalenie takiej rezolucji przez Senat postawi sojuszników wobec faktów dokonanych i zmusi Anglię do zmiany stanowiska.

Ale ten spiszek był już spóźniony. Rząd Laniela poinformował w Paryżu ambasadora USA Dillona, że nie ma szans, aby Parlament francuski mógł w obecnych warunkach podjąć uchwały, których żądali Amerykanie. Sytuacja militarna w Wietnamie pogarszała się z dnia na dzień. 11 czerwca rząd Laniela przestał istnieć, a jego następca, Mendès-France, zadeklarował koniec francuskiej obecności w Indochinach. Nie było już kogo ratować.

Tak oto realistyczne i twarde stanowisko rządu brytyjskiego, ostrożność prezydenta Eisenhowera i wreszcie zdecydowanie Mendès-France'a uratowały wtedy Stany Zjednoczone, a być może i cały świat przed konsekwencjami planów niektórych polityków i generałów amerykańskich. Historycy będą jeszcze badać wszechstronnie pobudki decyzji Churchilla i Edena. Czy była to istotnie tylko przezorność, trzeźwość i realistyczne rozeznanie sytuacji, czy też poza tą decyzją kryły się tradycyjne angielskie cele osłabiania pozycji Francji na kontynencie europejskim oraz niechęć do wpuszczenia USA na Daleki Wschód? Teraz już nie działały argumenty sprzed 10 lat, kiedy Churchill popierał powrót Francuzów do Indochin, aby ratować pozycje Imperium Brytyjskiego w Indiach, Birmie i na Malajach. Francuzi wtedy wrócili, ale Imperium i tak się rozpadło. Nie było więc już żadnego brytyjskiego interesu w podtrzymywaniu francuskiego kolonializmu w Azji. A w teorię domina Anglicy nie wierzyli. Zbyt dobrze znali Daleki Wschód.

Tak oto zakończyła się wojna francusko-wietnamska. Jej likwidacja przeniosła się na zielone stoły konferencji w Genewie.

## IV. Konferencja genewska

Konferencje pokojowe opracowują zwykle trakta-ty, które kończą wojnę pomiędzy walczącymi strona-mi i przynoszą im krótszy lub dłuższy okres pokoju. Konferencja genewska, która toczyła się od maja do lipca 1954 roku, zakończyła się jednak inaczej. Zawarty wówczas układ oznaczał pokój jedynie dla strony zwyciężonej — dla Francji. Dla zwycięzcy, czyli dla Wietnamu, układ genewski zamknął jedynie pierwszy okres jego walki o niepodległość i zapoczątkował niestety znacznie cięższe i kosztowniejsze zmagania, które miały trwać 20 lat.

Ażeby zrozumieć, dlaczego tak się stało, aby do-trzeć do źródła błędów, które znalazły się wśród po-stanowień układów genewskich i wywołały ciąg kon-fliktów, prowadzących do wojny domowej, a na-stępnie do interwencji amerykańskiej — zatrzymaj-my się nad zamiarami i planami, z którymi przybyły do Genewy *dramatis personae* — członkowie de-legacji państw uwikłanych w sprawę wietnamską.

Zacznijmy od Francuzów. Konferencja genewska w sprawie Wietnamu (poprzedzona rokowaniami nad rozejmem w Korei) rozpoczęła się 8 maja. Poprze-dniego dnia, o godzinie 18 czasu wietnamskiego, padło Dien Bien Phu. Dla Francuzów po 8 latach, 7 miesiącach i 1 dniu walk, w których zginęło 93 000

francuskich żołnierzy i które kosztowały ten kraj 93 miliardy obecnych franków — wojna była skończona. Rząd francuski przewidywał groźne reperkusje tej klęski w swoich koloniach afrykańskich i gorzką, gniewną reakcję własnego społeczeństwa. Dodajmy do tego zniechęcenie i zawód z powodu chwiejnej postawy najbliższych sojuszników — Anglii i USA. Udzielając pomocy finansowej i politycznej oraz zachęcając Francję do wytrwałej walki w ostatniej, dramatycznej jej fazie państwa te cofnęły się przed zaangażowaniem swoich wojsk i nawet przed poparciem lotniczym. W tych warunkach Francja miała bardzo ograniczone możliwości politycznego manewru na konferencji. Rozgoryczony Bidault wybuchł w rozmowie z Edenem: „Mam w moich kartach tylko dwójkę trefl i trójkę karo!”

W pierwszej części konferencji rząd Lanieli próbował jeszcze nakłaniać Stany Zjednoczone do zmiany decyzji, jeszcze liczył, że grupa jastrzębi w Waszyngtonie zdoła przekonać Eisenhowera i Kongres do zbrojnej interwencji. Część francuskich polityków i generałów łudziła się, że mimo klęski w Dien Bien Phu i rozkładu armii francuskiej można będzie wspólnie z amerykańskim lotnictwem odwrócić bieg wojny. Ale nie trwało to długo. Francja miała dosyć. Nowy rząd był zdecydowany na wycofanie armii z Dalekiego Wschodu i na zawarcie pokoju, który zabezpieczy jedynie ekonomiczne i kulturalne interesy Francji w Indochinach. Takie zamiary na przyszłość były zresztą zupełnie rozsądne i realne. Niestety nie zostały one zrealizowane. W dalszej analizie układów zrozumiemy, dlaczego ich decyzje pokrzyżowały te nadzieje i doprowadziły do usunięcia nawet ekonomicznych i kulturalnych wpływów Francji z Wietnamu.

Drugie mocarstwo biorące udział w konferencji —

Anglia — przysłało do Genewy swego najwytrawniejszego dyplomatę, ministra spraw zagranicznych Anthony Edena. Prowadził on za kulisami konferencji niezmiernie aktywną działalność, której celem było przypieczętowanie wyjścia Francuzów z Indochin, ale jednocześnie zapobieżenie interwencji USA. Anglia nie chciała uwikłać się w wojnę, grożącą rozprzestrzenieniem się na Chiny, a może i na dalsze tereny. Nie chciała też zbyt dużego wzrostu wpływów amerykańskich „na wschód od Suezu” — a więc w obszarze, który wciąż jeszcze konserwatywni angielscy politycy uważali za swoją sferę wpływów. „Jeżeli konferencja się załamie, będziemy gotowi do ponownego rozważenia sytuacji, ale obecnie nie chcemy brać udziału w zbrojnej interwencji” — oświadczył Eden Dullesowi tuż przed rozpoczęciem obrad. Potem dokonał dużego wysiłku i wykazał wiele zręczności dyplomatycznej, aby zapobiec powstaniu takiej sytuacji, która by go zmusiła do rewizji tej polityki. Udało mu się w ten sposób uniknąć bezpośredniego zaangażowania swego kraju w przyszłe konflikty nawet za cenę narażenia się na wiele gorzkich zarzutów ze strony potężnego sojusznika. Eden przyczynił się bardzo do osiągnięcia kompromisowego porozumienia w Genewie.

Postawa Związku Radzieckiego była logicznym ogniwem nasilającej się akcji pokojowej, którą to mocarstwo rozpoczęło w tym czasie rozwijać w dążeniu do odprężenia stosunków międzynarodowych. Przecież właśnie w lutym 1954 roku na berlińskim spotkaniu czterech ministrów spraw zagranicznych ZSRR wystąpił z propozycją zwołania konferencji pięciu wielkich mocarstw dla zmniejszenia napięcia międzynarodowego. Eden podtrzymał ten wniosek i pozyskał dla niego poparcie Churchilla. Ale Dulles stanowczo się sprzeciwił, głównie z powodu niechęci

do przyznania Chinom pozycji uznanego i równorzędnego mocarstwa przy wspólnym stole konferencyjnym. „Nie spotkam się z Chińczykami — powiedział wtedy — chyba że zderzą się nasze samochody!” Po długich negocjacjach udało się dzięki współpracy Edena i Mołotowa skłonić Dullesa do zgody na ograniczoną tematycznie konferencję w sprawach Korei i Indochin. W tym kontekście Dulles — choć niechętnie — musiał się zgodzić na udział Chin.

Związek Radziecki chciał wykorzystać konferencję genewską jako namiastkę swego pierwotnego projektu uważając, iż sukces jej może stać się elementem odprężenia międzynarodowego i pozwoli na dalsze inicjatywy w tym kierunku. Tak też istotnie się stało — ale nie od razu. Sytuacja światowa w okresie zimnej wojny 1954 roku nie dojrzała jeszcze do odprężenia lat siedemdziesiątych.

Osiągnięcie porozumienia w Genewie strony zawdzięczały w dużej mierze realizmowi politycznemu delegacji ZSRR, a minister Gromyko — jako współprzewodniczący konferencji — z dużą elastycznością umiał wykorzystać swoje stosunki z Edenem dla przebicia muru amerykańskiej opozycji przeciwko porozumieniu.

Dla Chin Ludowych Genewa była pierwszym wyjściem z izolacji wprost na arenę wielkiej polityki międzynarodowej. Jeszcze nie minęło pięć lat od utworzenia ChRL. Wojna koreańska zakończyła się remisowo. Rozpoczął się okres stabilizacji światowej roli Pekinu. Na konferencję przyjechała stamtąd olbrzymia, dwustuosobowa delegacja m.in. po to, by kształcić kadry nowych dyplomatów. Przedmiotem obrad była sprawa Wietnamu, a więc kraju znajdującego się od setek lat w orbicie wpływów i zainteresowań Chin. Mimo przynależności do tego samego ideologicznego obszaru, stwarzało to pewien

dystans i potrzebę ostrożności. Czou En-laj, który przewodniczył chińskiej delegacji, bardzo chciał w tym czasie pokazać światu elastyczność i realizm polityki nowych Chin. A więc i on był za kompromisowym zakończeniem konferencji.

A jakie było stanowisko najbardziej zainteresowanej delegacji? Z czym przyjechał Pham Van Dong?

Wietnamczycy w chwili rozpoczęcia konferencji genewskiej osiągnęli triumf wojskowy w postaci zdobycia Dien Bien Phu i związany z tym efekt moralny i propagandowy. Bataliony Giapa pokonały potężną armię jednego z mocarstw światowych. Francuzi w czerwcu 1954 roku mieli na terenie Indochin 190 000 żołnierzy korpusu ekspedycyjnego, w tym 10 000 lotnictwa i 5000 marynarki. Ponadto wietnamska armia Bao Daia wynosiła wtedy 225 000 ludzi. Francuzi rozporządzali 250 samolotami i 20 helikopterami.

Zwycięstwo nad taką armią było możliwe tylko dzięki oparciu, które partyzanci mieli w całej prawie ludności wietnamskiej. I tutaj należy szukać drugiej podstawy poczucia triumfu Wietnamczyków: 8 lat wojny wyzwolenczej ostatecznie sformowało naród wietnamski, ukształtowało jego narodową świadomość i samookreślenie. Z bezkształtnej masy chłopskiej, której ogromna część identyfikowała się dotychczas jedynie ze społecznością rodzinną czy wioskową i żyła świadomie tylko w kręgu swojej chałupy, sąsiadów i ryżowiska — powstało społeczeństwo ożywione wspólnotą patriotyczną i ideologiczną, sięgające wzrokiem daleko poza granice wioski, odczuwające już więzi narodowe, zespolone przeciwko wspólnemu wrogowi.

Dwa czynniki wpłynęły na tę przemianę: jednym był Wietminh — jego organizacja, ideologia, aktywność polityczna i wojskowa oraz reformy społeczne, które pociągnęły i zmobilizowały chłopą wietnamskiego.



Drugim współtwórcą narodowego zjednoczenia wietnamskiego byli chcąc nie chcąc Francuzi. Zwalczając reformy społeczne Wietminhu i popierając lichwiarzy i obszarników nie tylko zantagonizowali przeciw sobie masy małorolnych i zadłużonych, ale stworzyli dla nich obraz wspólnych dążeń i cel walki. Masowe represje, egzekucje i tortury stosowane w czasie wojny obudziły nienawiść dla wroga, dla obcego, dla Europejczyka. Uczucie to było silnym cementem spajającym jedność narodową.

Pham Van Dong, lądując na lotnisku genewskim, wiedział dobrze, że reprezentuje już nie Partię Pracujących Wietnamu, nie garść rewolucjonistów i patriotów — ale zwycięski i świadomy naród.

W takich okolicznościach łatwo można było ulec „zawrotowi głowy od sukcesów”. Ale Pham Van Dong i jego zespół znali również dobrze słabości swojej sytuacji: ogromne wyczerpanie gospodarcze i wojskowe kraju, brak kadr — najlepsi zostali zdiesiątkowani w walce — chaos zaopatrzeniowy armii, która operowała wieloma typami różnych rodzajów broni i amunicji — zdobytej, dostarczonej przez sojuszników i wyrabianej rzemieślniczo — a wreszcie wiszącą nad głową obawę amerykańskiej interwencji. Toteż wysuwając zasadnicze żądania pełnego uznania i utrwalenia niepodległości i jedności całego Wietnamu — Pham Van Dong zdawał sobie sprawę z konieczności kompromisów.

Wreszcie ostatni z głównych partnerów tej konferencji: Stany Zjednoczone. Zmuszeni na berlińskim spotkaniu w lutym do zgody na przyjazd do Genewy Amerykanie mieli do tej konferencji stosunek zdecydowanie negatywny. Po zakończeniu jej koreańskiej części 3 maja Dulles demonstracyjnie opuszcza Genewę w tym samym dniu, w którym przylatuje tam Pham Van Dong. 12 maja Dulles prze-

syła głównemu delegatowi amerykańskiemu, Walterowi Bedell Smithowi, następującą telegraficzną instrukcję: „W indochińskiej fazie konferencji genewskiej USA zajmują pozycję kraju zainteresowanego, ale nie są ani stroną walczącą, ani głównym partnerem w negocjacjach... Nie będzie pan rokować z delegatami komunistycznego, chińskiego reżimu ani żadnego innego reżimu nie uznanego obecnie przez USA... Stany Zjednoczone nie zamierzają wyrazić bezpośredniej ani pośredniej zgody na żadne zawieszenie broni, rozejm lub inne porozumienie, które w skutkach może zachwiać istniejącymi, prawowitymi rządami trzech państw (Indochin) lub trwale zagrozić ich integralności terytorialnej”.

Miesiąc wcześniej specjalny komitet „do sprawy groźby komunizmu” przedstawił Eisenhowerowi swoje wnioski: „Pozycja Zachodu w Indochinach musi być utrzymana i umocniona przez zwycięstwo militarne... Polityka USA nie zaakceptuje niczego poniżej wojskowego zwycięstwa... Wszelkie możliwe środki politycznego i ekonomicznego nacisku na Francję muszą być użyte dla umocnienia jej woli kontynuowania operacji w Indochinach... Żadne zawieszenie broni nie może nastąpić, zanim nie zostanie osiągnięte zwycięstwo”.

Amerykańskie stanowisko wobec rozpoczynającej się konferencji jest schizofreniczne. Nacisk McCarthy'owskiej histerii antykomunistycznej, strach przed Chinami — zwłaszcza po wojnie w Korei — i cała atmosfera zimnowojenna 1954 roku wzmacniają interwencyjne zamiary grupy jastrzębi z Dullesem na czele. Dochodzi do tego, że na wiadomość o klęsce Francuzów sekretarz stanu twierdzi, iż „Dien Bien Phu jest w istocie rzeczy błogosławieństwem: wchodzimy tam (do Wietnamu) bez piętna kolonializmu”.

Przeciwko wplątaniu się w aferę wietnamską nie

występują wtedy jeszcze w Ameryce studenci. Nie chce interwencji ostrożny prezydent, realistyczny Przewodniczący Komitetu Szefów Sztabów oraz przywódca Kongresu, z którymi administracja wtedy się liczy. Ostro przeciwstawia się interwencji Churchill, ostrzegają przed nią Nehru oraz przywódcy Australii i Japonii. W czasie konferencji genewskiej przyszedł główny zwolennik eskalacji, senator Lyndon Johnson, stwierdza ze smutkiem: „Stanom Zjednoczonym grozi wyraźne niebezpieczeństwo, że znajdą się nagie i samotne we wrogim świecie. Nasi przyjaciele i sojusznicy są zaniepokojeni i tak jak i my zgadują tylko, do czego zmierzamy... Jasne jest tylko to, że polityka zagraniczna Ameryki w całej jej historii nie przeżyła tak zdumiewającej zmiany”.

Johnson przypomina, że jeszcze przed paru miesiącami Dulles nazwał genewską konferencję „największą nadzieją ludzkości”. Potem ją demonstracyjnie opuścił. 23 lipca znowu przypomina, że „USA przez ponad rok wypowiedziały się za wojskową akcją w tym obszarze, ale okazała się ona niemożliwa w istniejących warunkach”.

Kiedy po powstaniu nowego rządu w Paryżu zaczyna się w Genewie decydująca rozgrywka o zawarciu układu, polityka delegacji amerykańskiej znowu się zmienia. Chce ona już tylko ograniczyć do minimum sukces DRW, przyjmuje angielską koncepcję podziału Wietnamu i zmierza do utrzymania południowej części kraju już nie w ręku Francuzów, ale pod władzą posłusznego sobie rządu. Wtedy właśnie premierem cesarskiego rządu Bao Daia zostaje z amerykańskiej inicjatywy Ngo Dinh Diem, o którym szczegółowiej mówić będziemy w następnym rozdziale. Amerykanie dla celów taktycznych utrzymują nadal groźbę interwencji, praktycznie wycofują się z udziału w obradach, pozostawiając Edeno-

wi trudną rolę wynegocjowania kompromisu. „Od-grywaliliśmy krytyczną rolę za kulisami... podsycając lęk możliwości militarnej interwencji USA” — przy-znaje potem William Bundy, zastępca sekretarza stanu.

Nie będziemy tutaj opisywać szczegółowo trudnej i skomplikowanej rozgrywki, która w końcu doprowadziła 20 lipca 1954 roku do zawarcia układów gene-wskich. Ważne jest to, że żadna z delegacji nie osiągnęła swoich celów i zamierzeń. Układy były wynikiem kompromisu ze strony wszystkich uczestni-ków.

Dla oceny rezultatów konferencji i ich wartości w perspektywie dalszego rozwoju sytuacji w Indo-chinach zastanówmy się nad pozytywnymi i nega-tywnymi stronami zawartych na niej układów.

Najbardziej korzystnym wynikiem konferencji było zaprzestanie działań wojennych i zawieszenie broni wraz z całym zespołem związanych z tym postano-wień, jak wymiana jeńców, rozdzielenie i przegrupo-wanie wojsk, zwolnienie internowanych itp. Po 8 la-tach krwawej i okrutnej wojny był to niezaprze-czalny sukces.

Drugim ważnym osiągnięciem Genewy było zakoń-czenie panowania Francji w Indochinach. Tak za-mknął się stuletni prawie okres kolonialnej zależ-ności narodów tego półwyspu. Uzyskały one w ukła-dach uznanie swej niepodległości terytorialnej, su-werennych praw, a w tym i prawa do jedności.

Trzecim pozytywnym elementem układów było uznanie istnienia i suwerenności Demokratycznej Re-publiki Wietnamu. Stała się ona odtąd pełnoprawnym kontrahentem o niepodważalnym autorytecie na swo-im terytorium.

Na tym właściwie kończy się spis pozytywnych osiągnięć konferencji gene-wskiej — przy czym na-

leży stwierdzić, że dotyczyły one głównie przeszłości. Natomiast te części układu, które miały zorganizować i ustalić przyszłość narodów Indochin, powstały w rezultacie kompromisu. Kompromis był w ówczesnych warunkach konieczny i stał się na pewno poważnym czynnikiem rozpoczynającego się nieśmiało procesu odprężenia — jak się mówiło wtedy „odwilży” — w stosunkach międzynarodowych. Zawierał jednak wiele elementów, które miały się stać zalążkami nowego konfliktu.

Wyliczmy główne punkty, które stwarzały sytuacje niebezpieczne dla przyszłości:

1. Wietnam podzielony został na dwie części wzdłuż 17 równoleżnika. Układ mówi o tymczasowości tego podziału, a deklaracja końcowa podkreśla, że „linia demarkacyjna jest tymczasowa i nie może być uważana za polityczną granicę terytorialną. Konferencja wyraża przekonanie, że wykonanie postanowień... stworzy dostateczne podstawy do osiągnięcia w bliskiej przyszłości uregulowania politycznego (stosunków) w Wietnamie”.

Deklaracja ta pisana jest językiem dyplomatycznym, doprowadzonym niemal do parodii. Porozumienie, którego nie osiągnięto, ma się stać podstawą do porozumienia. Znacznie szczerzej brzmią zdania użyte w protokole brytyjsko-amerykańskim podpisanym 29 czerwca, który wyjaśnia intencje tych rządów co do podziału Wietnamu: wyrażają one chęć respektowania porozumienia, które zostanie zawarte, jeżeli „uratuje ono przynajmniej południową część Wietnamu i, o ile to możliwe, enklawę w Delcie (Rzeki Czerwonej)...” oraz decydują „nie akceptować takich postanowień politycznych, które mogłyby pociągnąć za sobą ryzyko utraty tego obszaru na rzecz komunistów”. Protokół ten wyjaśnia nie tylko zamiar utrwalenia linii podziału. Tłumaczy również nie-

szczerść innego ważnego postanowienia układu, a mianowicie:

2. Układ zawiera w art. 14 postanowienie przeprowadzenia wyborów powszechnych, które przyniosą zjednoczenie Wietnamu. Art. 7 deklaracji końcowej przewiduje, że wybory te odbędą się w lipcu 1956 roku, a konsultacje co do sposobu ich przeprowadzenia pomiędzy „kompetentnymi władzami przedstawicielskimi dwóch stref” zaczną się na rok przedtem.

Jeszcze w czasie trwania konferencji polityka USA dążyła do odroczenia daty wyborów. 7 lipca Dulles depeszuje do Bedell Smitha: „Ponieważ jest rzeczą niewątpliwą, że wybory mogą oznaczać w konsekwencji zjednoczenie Wietnamu pod Ho Szi Minem, jest bardzo ważne, aby odbyły się jak można najpóźniej po zawarciu układu”. Dwa lata to okres dość długi, pozwalający na różne manewry w celu uniknięcia wyborów. Ale to nie wystarcza ekspertom USA. „Jeżeli wyznaczone wybory powszechne odbędą się w 1956 roku i Wietminh do tego czasu nie straci swojej pozycji politycznej — wygra niemal na pewno”. Również Eisenhower w swoich pamiętnikach uważa, że Ho uzyskałby w wyborach 80% głosów. Toteż rząd USA sądził wówczas, że układ oznacza „poważną porażkę dla zachodniej dyplomacji i potencjalną klęskę dla interesów USA na Dalekim Wschodzie”. Także Narodowa Rada Bezpieczeństwa stwierdziła, że „Genewa była klęską i stanowi poważny krok naprzód dla komunistów”.

Ocena ta jednak szybko się zmienia. Dulles w styczniu 1956 roku nazwał układy genewskie „ważnym sukcesem wolnego świata”. Wiedział już bowiem wtedy, że wybory się nie odbędą, a więc układ pozbawił na dłuższy czas Wietminh kontroli nad Wietnamem Południowym. Dwuletni okres został wyko-

rzystany przez Stany Zjednoczone na szeroką akcję niedopuszczenia do przeprowadzenia wyborów. Gdyby układ nie wyznaczył tak dalekiego terminu, być może akcja ta by się nie udała.

3. Trzecim słabym punktem układów genewskich było nierozstrzygnięcie sprawy, kto będzie odpowiadał w przyszłości za wprowadzenie ich w życie. po stronie Południa. W Genewie odpowiedzialnym kontrahentem byli Francuzi. Ale Genewa była ich ostatnim aktem w sprawach azjatyckich i nie ulegało wątpliwości, że po wycofaniu korpusu ekspedycyjnego Francuzi tracą wszelką możliwość gwarantowania wykonania postanowień układu. Mówi się tam wprawdzie o odpowiedzialności „następców sygnatariuszy”, ale to następstwo pozostało nie określone i nie potwierdzone prawnie. Wyjście Francuzów zostało brutalnie przyspieszone przez Diema, działającego zresztą pod presją Waszyngtonu. Rząd sajsjonowski nie uznał się za „następców sygnatariuszy” i odmówił obowiązku wykonywania układów genewskich. Sytuacja taka była łatwa do przewidzenia i już w lipcu w Genewie spodziewano się jej. Z chwilą kiedy gorzej czy lepiej wykonane zostały czynności związane z rozejmem — układy genewskie zawisły w próżni. Sprzeciw delegacji USA uniemożliwił w ogóle podpisanie układu końcowego konferencji (sprawa mało znana i rzadko komentowana), co ułatwiło bardzo Sajgonowi odrzucenie układów i odmowę podporządkowania się ich treści.

4. Układy przewidywały utworzenie Międzynarodowej Komisji Nadzoru i Kontroli dla wykonywania postanowień układu i nadzorowania przyszłych wyborów. Niestety, skuteczność działania tej komisji została ograniczona przez wprowadzenie przepisu, wymagającego jednomyślności wszystkich trzech członków komisji w sprawach dotyczących stwier-

dzenia naruszeń układów oraz zgody strony zainteresowanej na dokonanie kontroli na jej terenie. Przepis ten działał bądź na korzyść jednej, bądź drugiej strony i wobec tego bywał skwapliwie wykorzystywany i zazdrośnie strzeżony przez zainteresowanych, ale w rezultacie utrudniał działanie komisji, gdyż umożliwiał stronom odmowę przeprowadzania badań komisji na ich terenie. W stosunkach ówczesnych nie było innych możliwości określenia sposobów podejmowania decyzji komisji, a przyjęcie zasady uchwał większościowych prowadziłyby prawdopodobnie do jeszcze większych trudności. Ważniejszy był jednak fakt, że odmowa Diema w uznawaniu układów pozostawiła komisję w próżni natychmiast po wycofaniu się Francuzów. W pierwszym okresie, kiedy działalność jej polegała głównie na nadzorze tych części układu, które odnosiły się do wprowadzenia w życie zawieszenia broni — komisja działała dobrze i skutecznie. Ale prawna i polityczna sytuacja, w której kompromisowe postanowienia układów pozostawiły komisję, poważnie ograniczyła jej pracę po mniej więcej dwóch latach. Krańcowym przykładem może być poświęcenie wielu jej posiedzeń na groteskową debatę na temat jednego karabinu maszynowego przywiezionego w prezencie dla DRW przez chiński zespół pieśni i tańca, podczas gdy komisja nie mogła wskutek odmowy Diema przeprowadzić badania na sajońskim lotnisku, gdzie lądowały olbrzymie transporty broni i amunicji nadchodzące z USA.

Komisja przetrwała — z niewielkimi zmianami w swym składzie — do 1975 roku, czyli aż do zakończenia wojny. Była przez cały ten czas świadkiem eskalacji wojny i łamania prawa, widowym dowodem nie-domówień i ograniczonej skuteczności układu genewskiego. Mimo niewielkich możliwości udało się



komisji w wielu wypadkach spełnić swoje zadania. Niemalą rolę odegrały w tym wysiłki delegacji polskiej.

Po powrocie z Genewy do Waszyngtonu szef delegacji USA, Bedell Smith, tłumaczył dziennikarzom, że „skoro analizujemy i dyskutujemy rezultaty Genewy, to chciałbym zwrócić uwagę, że dyplomacja rzadko uzyskuje na stole konferencyjnym to, czego nie mogła utrzymać na polu walki”.

Zdanie na pewno słuszne. Ale w tym wypadku istota sprawy wyglądała inaczej. To Wietnamczycy nie zdołali otrzymać przy stole konferencyjnym tego, co zdobyli na polach bitew.

Niektóre konferencje międzynarodowe, na których nie dochodzi do żadnych uzgodnień, przechodzą do historii jako nieudane. Rzadziej zdarzają się konferencje uwieńczone pełnym, długotrwałym sukcesem. Częściej obserwujemy sukcesy częściowe albo pozorne. Układ zostaje zawarty, wydaje się komunikat, ogłasza deklaracje, następują toasty i szeroki rozgłos prasowy, stwierdzający wielki krok naprzód na drodze do pokoju, odprężenia i współpracy międzynarodowej. Ale jakże często istota takiego porozumienia, opartego na kompromisie, jest chwiejna i nietrwała, maskuje rozbieżności i sprzeczności interesów, których niepodobna było uzgodnić.

Tak właśnie było w Genewie w 1954 roku. Usprawiedliwieniem tego kompromisu była ogólna sytuacja polityczna na świecie, którą cechowała rozpoczynająca się dopiero zmiana układu sił oraz zarysowująca się osłabienie nastrojów zimnowojennych. W tej atmosferze nawet takie porozumienie było pierwszą oznaką nadchodzącej odwilży w stosunkach między mocarstwami i dowodem możliwości znalezienia wspólnego — choć jeszcze zacinającego się — języka. Odprężenie znajdzie wkrótce możliwości roz-

woju na terenie Europy. Ale na peryferiach, w Azji, układy genewskie nie zwiastowały jeszcze wiosny. Stały się tylko chwilowym zawieszeniem broni, w trakcie którego nastąpiła wymiana jednego z partnerów konfliktu. Niestety ten rozejm stał się zarzewiem nowych nieszczęść narodu wietnamskiego. Słabości Genewy pociągnęły za sobą nieuchronnie dwa następne etapy konfliktu w Indochinach: wojnę domową i wojnę interwencyjną USA. Wtedy, w 1954 roku, Genewa ułatwiła uniknięcie amerykańskiej agresji. Ale jak zapalnik z opóźnionym zapłonem sprowokowała ją w 10 lat później.

Na tle ogólnego napięcia światowego pierwszej połowy lat pięćdziesiątych sam fakt konferencji, która doprowadziła do układu przerywającego długotrwały, krwawy konflikt — i to przy udziale pięciu wielkich mocarstw — nadał słusznie układom genewskim blasku wielkiego sukcesu dyplomatycznego. Legenda przetrwała długo, choć układ od początku był łamany i nie wykonywany. Strony naruszające umowę i wszyscy zainteresowani mówili wciąż o „powrocie do Genewy”. Czysty frazes. Nie było do czego wracać. Bo rachunki z przeszłością zostały dzięki tym układom mniej więcej wyrównane, wojna francusko-wietnamska zakończona i era kolonialna Indochin zamknięta.

Natomiast postanowienia dotyczące przyszłego uregulowania politycznego w Wietnamie były od początku skazane na niepowodzenie. Powrót do takiego układu był niemożliwy, byłby nowym błędem. Niestety jednak próba taka po latach została podjęta. W paryskich rozmowach amerykańsko-wietnamskich w 1972 i 1973 roku znowu spróbowano wrócić do Genewy. Z podobnym skutkiem jak przed 19 laty.

## V. Dyktatura Diema i początek wojny domowej

Zaprzestanie ognia w rezultacie układów genewskich przyniosło ludności Półwyspu Indochińskiego kilka lat względnego uspokojenia. Było jednak — niestety — oczywiste, że sytuacja jest nietrwała, a sztuczny rozejm oparty na postanowieniach konferencji genewskiej musi spowodować nowe zaognienie. Przewidywania te zaczęły się spełniać już w ciągu następných miesięcy po uroczystym niepodpisaniu układów. Rząd USA, zmuszony do porzucenia planów wojskowej interwencji dla utrzymania całego Wietnamu, postanowił jednak uratować przed upadkiem przynajmniej południową część wietnamskiej kostki domina. Wiara w teorię ogłoszoną przez prezydenta Eisenhowera 7 kwietnia 1954 roku była wtedy niewzruszona i obowiązująca. „Macie przed sobą ustawiony rząd kostek domina — mówił prezydent. — Przewróćcie pierwszą, a przekonam was, co bardzo szybko stanie się z ostatnią: też się przewróci!” Generał na pewno miałby rację, gdyby to były wywody na temat gier towarzyskich, ale polityka międzynarodowa do nich nie należy. W zastosowaniu do Azji jego teoria była błędna, opierała się na ignorowaniu głębokich różnic politycznych i społecznych istniejących między krajami tego kontynentu. Zwycięstwo komunizmu w Birmie czy

Australii nie zależało od tego, co się działo w Wietnamie. Mogło być tylko wynikiem sytuacji w Birmie czy Australii. Przewrót w 1949 roku największej na świecie kostki — chińskiej — nie pociągnęło za sobą żadnej reakcji. Wojna w Indochinach nie była związana z Długim Marszem, a likwidacja panowania kolonialnego Francji w Wietnamie miała własną mechanikę upadku i zupełnie inne przyczyny, wynikające przede wszystkim z wiekowej walki o niepodległość. Niesłuszny pogląd polityków — nie tylko amerykańskich — utrzymujących, że Dien Bien Phu było zwycięstwem światowego komunizmu, trwał dalej już jako błąd chroniczny. To przekonanie kazało przez lata najwybitniejszym mężom stanu i generałom na zachodzie uważać narodowe powstanie chłopów wietnamskich za infiltrację komunizmu i agresję z Północy. Błędne rozpoznanie prowadzi do fałszywych wniosków i szkodliwych aktów politycznych.

Swoją koncepcję przekształcenia Południowego Wietnamu w bastion antykomunistyczny Dulles zaczął realizować zarówno na szerszym terenie azjatyckim, jak i wewnątrz Wietnamu. Akcją na skalę kontynentalną było zwołanie w dwa miesiące po Genewie konferencji ośmiu państw w Manili. Wzięły w niej udział prócz USA jeszcze Wielka Brytania, Francja, Australia, Nowa Zelandia, Pakistan, Tajlandia i Filipiny. Utworzono tam Pakt Południowo-Wschodniej Azji, czyli tzw. SEATO.

Wewnątrz Wietnamu przeprowadzono zasadniczą zmianę personalną, osadzając na stanowisku premiera (a następnie prezydenta) Ngo Dinh Diema.

Obydwa te pociągnięcia były politycznymi błędami. O ile jednak SEATO — mimo olbrzymiego szumu propagandowego i groźnych początkowo zamiarów — stało się organizacją raczej operetkową i jej

działalność sprowadziła się do periodycznych manewrów floty (aż wreszcie — po wycofaniu się Francji i Pakistanu — SEATO po prostu się rozpadło), o tyle nominacja Diema stała się wydarzeniem doniosłym, które zaciążyło na całym dalszym przebiegu wydarzeń w tym kraju.

Utworzenie SEATO nie obeszło się zresztą bez protestów ze strony rządu brytyjskiego, który miał w tym czasie trzeźwe i realistyczne spojrzenie na sprawy azjatyckie. Dowodem tego było szybkie uznanie Chin Ludowych. Eden próbował przekonać Dullesa jeszcze w kwietniu 1954 roku, pisząc w swym memorandum, że „nie sposób zatrzymać komunizmu w Azji jedynie środkami militarnymi. Problem ten jest bardziej polityczny niż wojskowy, a rozwiązanie militarne, jeżeli ma być skuteczne, musi uzyskać możliwie najszersze poparcie azjatyckie”.

Takiego poparcia jednak nie można było w żaden sposób uzyskać. Birma, Cejlon i Indonezja odmówiły udziału w konferencji w Manili. Na 8 jej członków tylko trzy były państwami azjatyckimi. Dulles jednak, opanowany gorączką umacniania równowagi azjatyckich kostek domina, doprowadził do utworzenia kolejnej organizacji dla obrony przed „agresją komunistyczną”. Mało tego. Specjalny protokół dołączony do paktu SEATO przewidywał, że Wietnam Południowy, Laos i Kambodża są obszarami chronionymi przez siły paktu SEATO. W ten sposób Amerykanie pierwsi rozpoczęli nie kończący się łańcuch naruszeń układów genewskich. Przecież artykuł 19 układu o zaprzestaniu działań wojennych przewidywał wyraźnie, że „Wietnam nie będzie częścią żadnego sojuszu wojskowego ani nie będzie użyty dla podjęcia działań zbrojnych czy też służyć polityce agresywnej”. Artykuł 5 deklaracji końcowej uroczście potwierdzał tę zasadę. A deklarację tę za-

akceptowały Stany Zjednoczone, Francja i Anglia — członkowie SEATO.

Pakt SEATO nie został jednak nigdy zastosowany w praktycznym działaniu. Można by więc nie traktować utworzenia go jako poważnego politycznego błędu, gdyby nie dwie konsekwencje paktu: po pierwsze, prowadził do polaryzacji i zaostrzenia stosunków pomiędzy państwami całego obszaru Azji; a po drugie, rozszerzył i umocnił zobowiązania i zaangażowanie USA w sprawy azjatyckie, przyczynił się więc do utrwalenia mitu „światowego policjanta”, który tak silnie zaciążył nad polityką amerykańską następnego okresu.

Ten mit popychał Dullesa i sztab amerykański do obejmowania spadku po Francji w Indochinach. Pierwszym szczeblem interwencji w sprawy wietnamskie był nieco operetkowy — choć ponury — incydent z pułkownikiem Edwardem Lansdale, funkcjonariuszem CIA, który 1 czerwca 1954 roku na czele grupy komandosów pojawił się „na delegacji” w Wietnamie.

Bezcenne „Akty Pentagonu” zawierają fascynujące raporty z działalności tej grupy w latach 1954—1955. Raporty układają się w scenariusz znacznie bardziej dreszczowy niż przygody agenta 007 Jamesa Bonda. Są tam opisy aktów sabotażu wobec zapasów paliwa w miejscowościach opanowanych przez DRW, nie wyłączając wrzucenia kostek cukru do zbiorników samochodowych, drukowania ulotek szerzących panikę, zorganizowanego nadawania plotek, zamachów na osobistości uważane za szkodliwe, szkolenia wietnamskich grup sabotażowych (Lansdale stwierdza jednak z melancholią, że większość z nich po przeszkoleniu przechodziła na stronę nieprzyjaciela...), niszczenia zakładów przemysłowych w Hanoi, a nawet organizowania kursów szpiegowskich dla kocha-

nek ważniejszych osobistości i angażowania astrologów celem głoszenia przepowiedni służących celom wojny psychologicznej. Płk Lansdale był także opiekunem i doradcą Diema i przez dłuższy czas uważano go w Waszyngtonie za bezcennego eksperta od spraw wietnamskich. Oprócz „Aktów Pentagonu” unieśmiertelniła go głośna powieść Grahama Greene’a „Spokojny Amerykanin”, której był tytułowym bohaterem.

Operacja Lansdale’a mimo niewielkiego zasięgu od razu narzuciła styl i kierunek obecności amerykańskiej w Wietnamie. Awanturnictwo, sabotaż, intryga, korupcja, pogarda dla tubylców i absolutne nieprzebieranie w środkach stało się odtąd tradycją dla rosnących wciąż kadr amerykańskich doradców, ekspertów i instruktorów. Układy genewskie pozwalały na ich obecność w liczbie 372. W końcu 1956 roku Sajgon liczył już dwa i pół tysiąca doradców.

Ale zajmijmy się decyzją dużo poważniejszą i bardziej ponurą w konsekwencjach. John Foster Dulles zdawał sobie sprawę z tego, że — aby utrzymać bastion wietnamski — musi tam stworzyć polityczną alternatywę dla rządu DRW, a więc znaleźć osobistość charyzmatyczną, skutecznie konkurującą z Ho Szi Minem. Cesarz Bao Dai, który od dłuższego już czasu bawił na Lazurowym Wybrzeżu i właśnie kupił sobie nowy jacht, nie mógł być takim przywódcą dla Południa. Rozważano w Waszyngtonie różne alternatywy w postaci kandydatów przedstawianych przez Francuzów. Odrzucano je jednak właśnie w obawie, że będą zbyt profrancuskie. Dulles był już wtedy zdecydowany i zgodził się z szefami sztabów, że należy Francuzów całkowicie z Indochin wyeliminować i zająć ich miejsce.

Wybór Departamentu Stanu zatrzymał się w lecie 1954 roku — właśnie w okresie konferencji genew-

skiej — na osobie Ngo Dinh Diema. Dulles otrzymał rekomendacje z kilku stron. Od swego brata, Alle-  
na — szefa CIA, któremu z kolei Diema polecił puł-  
kownik Lansdale. Drugie, również kumoterskie po-  
ręczenie pochodziło od syna sekretarza stanu —  
Avery'ego, który był księdzem i jezuitą. Trzecie  
wreszcie od kardynała Spellmana. Diem bowiem —  
mimo swego mandaryńskiego pochodzenia — był  
żarliwym katolikiem. Przedstawiciel arystokratycznej  
rodziny z Hue, piastował liczne urzędy pod panowa-  
niem francuskim, a w 1933 roku był nawet ministrem  
spraw wewnętrznych na dworze cesarza Kochinchiny.  
Kiedy Bao Dai podporządkował się rewolucyjnemu  
rządowi DRW, Diem wycofał się z polityki i wyje-  
chał do Stanów Zjednoczonych. Przez dwa lata mie-  
szkał w klasztorach w okolicach Nowego Jorku, wy-  
głaszając na tematy wietnamskie odczyty o zdecydo-  
wanie antykomunistycznym zabarwieniu. Tutaj na-  
wiązał też bliskie kontakty z kardynałem Spellmanem.

W maju 1954 roku Diem przeniósł się do klasztoru  
benedyktynów w Belgii, po czym włączył się do  
działalności emigracyjnych grup wietnamskich we  
Francji. Fanatyzm, antykomunizm i antyfrancuska  
postawa Diema odpowiadały bardzo zapotrzebowaniu  
Dullesa. Sądził on też, że pochodzenie i koneksje te-  
go mandaryna ułatwią mu pozyskanie sobie sympat-  
tii i popularności w Sajgonie i w kraju. Wierzył  
w całkowite posłuszeństwo Diema. Pomylił się w obu  
wypadkach.

Pod silnym naciskiem Dullesa i przy pomocy pre-  
miera Laniela Bao Dai zgodził się mianować Diema  
premierem. Diem wyjeżdża do Sajgonu niemal w  
przeddzień zmiany rządu w Paryżu. W Sajgonie cze-  
ka już na niego pułkownik Lansdale, który kieruje  
pierwszymi krokami nowego premiera i ułatwia mu  
przełamanie oporów miejscowych polityków i gene-



rałów. Nim upłynie rok, Diem zdetronizuje Bao Daia, ogłosi się prezydentem Południowego Wietnamu, doprowadzi do całkowitej likwidacji pozostałości francuskiej obecności w Wietnamie oraz odda organizację i wyszkolenie armii w ręce amerykańskie. Potrafi też poważnie umocnić swoją pozycję w Sajgonie. Rozpędził gwardię cesarską i otoczył się silną strażą pretoriańską, złożoną z katolików, a następnie zlikwidował podstępem albo siłą prywatne armie dwóch potężnych sekt — Cao Dai i Hao Hoa, częściowo subsydiowanych przez Francuzów. Wreszcie dokonał zamachu na potężną mafię generała Binh Xuyena, kontrolującego w Sajgonie policję, subsydiowanego z kolei przez sieć domów gry i domów publicznych. W 1956 roku Diem jest już całkowitym panem sytuacji w stolicy. Po początkowym okresie niepewności Waszyngton jest zachwycony swoim beniaminkiem.

W październiku 1954 roku Eisenhower kieruje pismo do Diema. Zawiera ono zobowiązanie pomocy i finansowania rządu sajgońskiego „dla zwalczania jego politycznych wrogów”, ale jest jeszcze ostrożne i uzależnia pomoc tę od skuteczności funkcjonowania tego rządu. Już jednak w maju 1955 roku Departament Stanu oficjalnie deklaruje swoje całkowite poparcie dla „legalnego rządu Ngo Dinh Diema”. W czerwcu 1956 roku Walter Robertson, zastępca sekretarza stanu, oświadcza, że „ten kraj (Wietnam) znalazł w osobie Diema naprawdę wartościowego przywódcę... Azja dała nam w tej postaci nową, wielką osobistość... Stany Zjednoczone są dumne, że stanęły po stronie wysiłku narodu wietnamskiego pod prezydentem Diemem, aby ustanowić pokój, wolność i dobrobyt”. Ówczesny wiceprezydent Richard Nixon stwierdza, że przyjaciele Wietnamu na świecie podziwiają „sukcesy, które towarzyszyły w dwóch

pierwszych latach administracji Diema". Jeszcze dalej idzie w swoim zachwycie mayor Nowego Jorku, Robert Wagner, który woła, że „prezydent Diem jest człowiekiem, którego historia być może uzna za jedną z największych postaci XX wieku!” Lyndon Johnson jeszcze jako wiceprezydent nazwie Diema „Winstonem Churchillem Południowo-Wschodniej Azji”. Najdalej jednak posunął się podsekretarz stanu Bedell Smith, który oświadczył australijskiemu ministrowi spraw zagranicznych R. Caseyowi, że „Diem może stać się nowoczesną, polityczną Joanną d'Arc”.

Ten euforyczny stosunek do Diema oparty był na ocenie trzech jego osiągnięć: pierwsze — to umocnienie rządu poprzez zniszczenie wewnętrznej opozycji; drugie — to całkowite usunięcie Francji z Wietnamu. Diem zerwał z Francją umowę o stosunkach gospodarczych i kulturalnych, wystąpił ze strefy franka, a wreszcie w 1955 roku zażądał całkowitego wycofania resztek francuskich wojsk i zastąpił francuskich instruktorów Amerykanami. Trzecim osiągnięciem było zdecydowane odrzucenie przez Diema układów genewskich, co oznaczało utrwalenie podziału kraju i oddanie Południa pod opiekę amerykańską. Już w 1957 roku Diem oświadczył, że „granica Stanów Zjednoczonych przechodzi 17 równoleżnik”. Zostało to przyjęte w Waszyngtonie z satysfakcją. Nie zastanawiano się wtedy nad tym, jak kosztowne będą w następnych piętnastu latach konsekwencje takiego wytyczenia amerykańskich granic.

Ngo Dinh Diem nie był jednak pozbawiony cech, które pasują polityków na dyktatorów. Miał absolutną pewność siebie i ślepe zaufanie do swojego politycznego instynktu, cechowała go całkowita bezwzględność postępowania, pogarda dla intelektualistów, podejrzliwość wobec wszystkich, z wyjątkiem własnej rodziny, fanatyzm i podstępność działania.

Diem rzeczywiście opanował Sajgon. Umiał stworzyć atmosferę absolutnego panowania nad sytuacją i demonstrował führerowski autorytet. Jego gwardia pretoriańska nie tylko pilnowała pałacu, ale strzegła wszystkich newralgicznych punktów aparatu państwowego. Składała się przede wszystkim z katolików.

W chwili zawarcia układów genewskich ta wyznaniowa mniejszość Wietnamu, stanowiąca około 6% ludności, zamieszkiwała w zwartej grupie Północny Wietnam. Układy genewskie dawały każdemu obywatelowi 300 dni na wybór strefy zamieszkania. Diem postanowił sprowadzić katolików na Południe. Zadanie to wykonała wspomniana już grupa operacyjna pułkownika Lansdale'a. Wykorzystując prymitywną bigoterię ludności katolickiej agencji Lansdale'a umiejętnie rozpuścili wieść o tym, że „Matka Boska uciekła na Południe!”. Akcja ta wywołała efekt zdawałoby się nieprawdopodobny. Około 800 000 ludzi opuściło swoje wioski i ruszyło na Południe, do doliny Mekongu. Diem zaopiekował się nimi rzeczywiście troskliwie. Dostali domy, żywność, odzież i pożyczki. Spośród tych ludzi rekrutował swoją gwardię przyboczną, kształcił ich na oficerów i podoficerów.

W początkowym okresie rządów Diema zgłaszali się do niego z ofertą współpracy liczni politycy prawicowi i liberalni, którzy bądź przebywali na emigracji, bądź zajmowali stanowiska w cesarskiej administracji, a obawiali się wpływów komunistycznych. Diem początkowo korzystał z ich pomocy, ale współpraca ta nie trwała długo. Chorobliwa podejrzliwość tego człowieka i strach przed jakimikolwiek wpływami z Północy kazała mu likwidować większość ministrów, generałów i wyższych urzędników administracji. Kwalifikacje osobiste nic nie znaczyły. No-

minacje zależały tylko od bezwzględnej uległości, ślepego posłuszeństwa i braku jakiegokolwiek własnej opinii, a nade wszystko krytyki.

Po dwóch latach wszystkie wyższe stanowiska opalone były przez ludzi, których obdarzał całkowitym zaufaniem. A więc przez członków rodziny.

Jego młodszy brat, Ngo Dinh Nu, był właściwie szarą eminencją reżimu, potęgą za tronem Diema. Nie mniejszą władzę miała bratowa, mądra, zręczna i przebiegła pani Nu.

Drugi brat, Ngo Dinh Con, był delegatem prezydenckim w starej stolicy Wietnamu Hue i wielkorządcą w północnej części kraju.

Trzeci brat, Pierre-Martin Ngo Dinh Thuc, miał nie tylko tytuł radcy rządu. Był arcybiskupem w Hue, rektorem tamtejszego uniwersytetu, jak również uniwersytetu w Dalat.

Czwarty brat, Ngo Dinh Luyen, był ambasadorem w Londynie i kilku innych stolicach Europy.

Ostatni, piąty brat Diema, Ngo Dinh Khoi, nie dożył dni chwały swojej rodziny. W 1945 roku został zabity przez chłopów w prowincji, której był wielkorządcą z ramienia cesarza.

A teraz dalsza rodzina. Ojciec pani Nu, Tron Van Cong, był ambasadorem w Waszyngtonie. Jego brat — ministrem i delegatem w Genewie. Mąż jedynej siostry Diema, Nguyen Huu Chon, piastował urząd sekretarza stanu. Jego syn był ministrem oświaty. Wreszcie trzech kuzyni Diema kierowali główną dyrekcją ceł, biurem dewizowym i urzędem planowania i odbudowy.

Ten system rządzenia po początkowych sukcesach już w 1957—1958 roku wywołuje wrogość i alienację coraz szerszych warstw miejskiego społeczeństwa kraju. Obsesja antykomunistyczna Diema każe mu mnożyć aresztowania wśród ludzi, którzy odwa-

żyli się na słowa najmniejszej choćby krytyki. Następuje likwidacja niezależności prasy, wydaje się wyroki śmierci za rozpuszczanie politycznych plotek, uniwersytety i szkoły są zamykane za najdrobniejsze przejawy młodzieżowego temperamentu. Pani Nu nie tylko wydaje walkę domom gry i prostytutce, ale nawet zakazuje tańca, narzuca ostre ograniczenia tak rozpowszechnionego w Azji drobnego handlu, restauracji i kawiarni. Tworzy organizacje kobiece i młodzieżowe, żywo przypominające wzory hitlerowskie. Tylko że społeczeństwo wietnamskie nie poddaje się hysterii nazistowskiego typu i rygorom niemieckiej dyscypliny. Organizacje te działają „na niby”. Tak samo się dzieje z „odnową moralną” i akcją uzdrawiania handlu. System protekcyjny prowadzi do ogromnego wzrostu korupcji i łapownictwa. Niespodziewane rezultaty pociąga za sobą rosnąca pomoc gospodarcza USA. W latach 1954—1959, niezależnie od pomocy wojskowej, wyniosła ona 1,2 miliarda dolarów, przy czym przeważająca jej część nadchodziła w postaci towarów konsumpcyjnych. Demoralizacja w akcji tej pomocy następowała na dwóch jej końcach. W Stanach Zjednoczonych różne firmy przy pomocy łapówek uzyskiwały kontrakty na dostawy artykułów często mało Wietnamowi potrzebnych i lichego gatunku. W Sajgonie znaczna część dostaw szła prosto na czarny rynek. Uliczne kramiki Sajgonu zostały zalane amerykańskimi papierosami, żyletkami, kawą w proszku, zapalniczkami i tranzystorami. Wystarczyło zapuścić się nieco głębiej w miejskie zaułki, a można było łatwo kupić amerykańską broń i amunicję. A zapotrzebowanie na te artykuły było coraz większe.

Wzmagający się system terroru budził sprzeciw i bunt wśród patriotycznej części miejskiej ludności Wietnamu. Inteligencja liberalna oraz szerokie war-

stwy członków Kościoła Buddyjskiego zajęły zdecydowanie wrogie stanowisko wobec Diema. Diema popierały sfery obszarnicze, czarnorynkowe i stosunkowo nieliczna grupa katolicka. Rząd stosował coraz ostrzejsze represje, wypełniały się więzienia, a jednocześnie pojawiały się akty sabotażu. Już w 1957 roku nastąpił pierwszy z serii licznych zamachów na Diema.

Tak wyglądała sytuacja polityczna w miastach. Na wsi błędy Diema były jeszcze bardziej zasadnicze, a z uwagi na ogromne znaczenie mas chłopskich w Wietnamie konsekwencje ich były znacznie poważniejsze. Prowadziły wprost do wojny domowej.

Po zawarciu układów genewskich oddziały regularne Wietminhu wycofały się na północ. Dość szybko i sprawnie przebiegła dobrowolna migracja ludności w dwóch kierunkach. Duża część więźniów politycznych została pod nadzorem Komisji Międzynarodowej zwolniona. Wielu chłopów, których jedynym dążeniem był spokój, praca i normalny tryb życia wioskowego — odetchnęło z ulgą i zapomniało o lęku, jakim napawały ich nagłe ataki wypadających z dżungli partyzantów, naloty z powietrza, zapomniało o konieczności ciągłego opowiadania się po jednej czy po drugiej stronie. Byli szczęśliwi, że odeszli obcy — Francuzi. W większości prowincji Południa chłopci w wyniku rewolucji zyskali pod względem materialnym. Był to rezultat wprowadzonych przez Wietminh reform społecznych. Część chłopstwa bardziej uświadomiona oczekiwała z nadzieją dnia wyborów i połączenia się dwóch części Wietnamu.

W ciągu kilku lat Diem potrafił z przerażającą konsekwencją i pewnością siebie zburzyć ten spokój i zakłócić równowagę stosunków na wsi wietnamskiej. Zaczęło się od sprawy zjednoczenia. Już na-

zajutrz po zawarciu układów, 21 lipca, Diem oświadczył w Sajgonie, że „nie podpisaliśmy układów genewskich. Nie wiążą one nas w żaden sposób, zostały zawarte wbrew woli narodu wietnamskiego”. W sierpniu 1955 roku odrzucił propozycje nawiązania konsultacji z Północą, a następnie — zamiast powszechnych wyborów, przewidzianych przez układy — zorganizował kadłubowe i fałszywe wybory na Południu. Oświadczył też, że nie uważa się za „sukcesora” Francuzów. Tak więc z chwilą wycofania się ich układy zawisły w próżni. Stanowisko Diema miało pełne poparcie nie tylko republikańskiej administracji USA, ale i demokratów. Senator John Kennedy w czerwcu 1956 roku deklaruje: „USA nigdy nie zgodzą się na przedwczesne wybory powszechne, takie jakie były przewidziane w Genewie”.

W całym tym okresie rząd DRW wykonywał zobowiązania wynikające z układów. Międzynarodowa Komisja w 1955 roku stwierdza w swym raporcie: „Postanowienia... wojskowej i półwojskowej natury zostały w zasadzie spełnione”. Jeszcze w 1955 roku kierownictwo DRW sądziło, że do wyborów i zjednoczenia dojdzie, że pod naciskiem opinii światowej Sajgon zgodzi się na konsultacje, że Diem się nie utrzyma, że Francuzi spełnią swe zobowiązania.

Były to — jak się okazało — złudzenia, ale można powiedzieć na usprawiedliwienie polityki Hanoi, że nie pociągnęły one za sobą ważniejszych skutków politycznych. Kraj był wyczerpany i zdeorganizowany wojną wyzwolenczą i migracjami ludności. Cała energia narodu musiała się koncentrować na odbudowie i umocnieniu młodego państwa. „Naszą polityką jest skonsolidować Północ i nie zapominać o Południu” — oświadcza Ho Szi Min.

Rząd DRW w tym czasie zwraca się wielokrotnie

do Sajgonu z propozycjami nawiązania rokowań. Początkowo z dobrą wiarą upomina się o wykonanie politycznych postanowień Genewy, o przedyskutowanie sposobu przeprowadzenia wyborów. Kiedy w 1956 roku DRW godzi się wreszcie z perspektywą długotrwałego podziału Wietnamu, próbuje przynajmniej częściowo zmniejszyć nieprzenikalność granicy ustalonej na 17 równoleżniku. Podział Wietnamu jest przecież nie tylko absurdem politycznym i etnicznym, ale i gospodarczym. Południe, delta Mekongu, to wspaniała niecka ryżowa. Północ — to surowce, węgiel i żelazo, to początek przemysłu wietnamskiego. Więc Ho proponuje w tym czasie czterokrotnie nawiązanie rozmów o stosunkach handlowych między Północą i Południem. Zwraca się do Diema z projektem wzajemnego zmniejszenia liczebności wojsk, o zorganizowanie komunikacji przez tymczasową granicę. Przyjmuje więc istnienie stanu faktycznego i gotów jest się z nim pogodzić tymczasowo, wierząc niewątpliwie, że rozwój sytuacji i tak nieuchronnie doprowadzi do zbliżenia, a następnie połączenia dwóch części Wietnamu.

Na żadną z tych ofert Diem nie udzielił nawet odpowiedzi, a pośrednio w przemówieniach odrzucił wszelką możliwość negocjacji z komunistami.

Rząd DRW aż do 1960 roku nie interweniował jednak na większą skalę w sprawy Południa. Za to Diem już w 1958 roku stworzył w Sajgonie „Komitet Wyzwolenia Północnego Wietnamu” i rzucił hasło „marszu na Północ”. Wszelkie zarzuty o infiltracji wojsk DRW na Południe w tym okresie są nieuzasadnione. Poza jednostkami pochodzącymi z Południa, które demobilizowane z oddziałów Wietminhu powracały do swoich wsi — nie było takiej infiltracji. Stwierdziły to zresztą wielokrotnie raporty MKN i K w tym okresie. Obarczanie odpowiedzialnością DRW za ro-



snące napięcie i organizujące się ruchy partyzanckie na Południu w tych latach — było absolutnie fałszywe. Oskarżenia wynikały z faktu, że zarówno w Sajgonie, jak i w Waszyngtonie zupełnie nie zdawano sobie sprawy z sytuacji, nie dostrzegano rzeczywistości i szukano łatwego usprawiedliwienia ucieczki od prawdy. Szło to w parze z fałszywą polityką Diema, częściowo akceptowaną w tym okresie przez misję USA w Sajgonie.

Powróćmy jeszcze na chwilę do obciążeń, z jakimi Diem powrócił do Sajgonu z emigracji. Był spadkobiercą rodzinnych tradycji mandarynów — w kraju chłopskim. Był fanatycznym katolikiem — w buddyjskim społeczeństwie. Zazartym antykomunistą — w kraju, w którym partia rewolucyjna zmobilizowała naród do zwycięstwa. Był zwolennikiem tradycyjnej feudalnej struktury, która właśnie zaczęła się rozkładać w ogniu wojny wyzwoleniczej. Wreszcie Diem przeżył ostatnie lata w USA i w Europie i był oderwany od przemian, jakie dokonały się w jego kraju w ostatniej fazie wojny.

Diem zaczął zbierać owoce zwycięstwa, do którego się nie przyczynił, a prawdziwych jego źródeł nie rozumiał. Nie widział mechanizmu sił, pozwalających tej małej, zacofanej kolonii zwyciężyć potężną metropolię. Nie potrafił ocenić nieodwracalnych zmian, zachodzących we wsi wietnamskiej. Rozpoczął rządy oparte nie na konkretnej rzeczywistości, ale na wyobrażeniach, które roił sobie w ciągu lat spędzonych w amerykańskich klasztorach. W swym prezydenckim pałacu w Sajgonie żył dalej w kategoriach emigracji. We własnym kraju sprawował rządy kolonialne.

Jego nienawiść do Wietminhu kazała mu przede wszystkim odwoływać wszystkie reformy i zarządzenia, jakie wnieśli do wsi partyzanci. Szedł ślada-

mi dawnej francuskiej polityki. Unieważniał konfiskaty ziemi i zwracał ją obszarnikom, przywracał skreślone długi lichwiarskie, dziesięciny i podatki. Odbierał ziemię także osobom, które brały udział w walkach wyzwoleniczych, posądzając je o komunizm. A potem zaczął wprowadzać własne reformy administracyjne, całkowicie sprzeczne z wielowiekową tradycją wietnamską. Zlikwidował więc rady wioskowe i lokalnych szefów wiosek, od wieków wybieranych na zasadach starszeństwa rodowego. Wszyscy byli w jego oczach podejrzani o udział w wojnie wyzwoleniczej. Zarządzenia te godziły w zakorzeniony system hierarchii rodzinnej, stanowiący podstawę struktury społecznej Wietnamu. Kierowanie wioskami powierzył Diem szefom mianowanym przez gubernatorów prowincji. Były to osoby z reguły wśród chłopów niepopularne, obciążone kolaboracją, lichwiarze i klienci prowincjonalnych mandarynów i feudalów. Potem dla celów propagandowych ogłosił uchwalone przez Parlament, pięknie brzmiące projekty reformy rolnej, zmian systemu podatkowego, ustawy o pomocy kredytowej dla rolnictwa i finansowania systemu irygacji. Żadna z tych reform jednak nie została wprowadzona w życie — poza pokazowymi wioskami w okolicach Sajgonu i osadami dla rodzin gwardzistów Diema. Dokoła tych ustaw powstały gigantyczne afery korupcyjne, w których brali udział ministrowie, gubernatorowie i generałowie. W ich rękach znalazła się większość kredytów przeznaczonych dla wsi.

Postępowanie Diema już w 1956 roku zaczęło budzić ostre niezadowolenie mas chłopskich. Dyktator odpowiadał policyjnymi represjami. Chłopi przypomnieli sobie sytuację sprzed Genewy. Policja i wojsko wysyłane do niespokojnych wsi zastawały pustkę. Mieszkańcy chronili się w dżungli i ukrywali

w polach ryżowych. Ale wracali po odejściu policji i mścili się krwawo na mianowanych szefach i ich pomocnikach. W 1958 roku bunty zaczęły przyjmować zorganizowany charakter, w centralnej części Wietnamu Południowego odrodziły się grupy partyzanckie wspomagane przez ludność miejscową, chronione, żywione i informowane, jak za dawnych, francuskich czasów. Dołączali się do nich dezercy z armii Diema, przynosząc ze sobą broń i amunicję. Diem w odpowiedzi wysyłał ekspedycje karne, które niszczyły całe wioski w zbuntowanych okolicach. Potem zaczął wysiedlać ludność z niepewnych terenów i umieszczać ją w „wioskach umocnionych”, będących w gruncie rzeczy obozami koncentracyjnymi. W ten sposób powiększał liczbę uciekinierów do leśnych oddziałów partyzanckich. Coraz szybciej obracało się błędne koło buntu i represji. Ślepo i uparcie Diem zamieniał Wietnam w państwo policyjne. Ale i to państwo stawało się coraz bardziej fikcją. Tylko do 1958 roku można mówić o Południu jako funkcjonującej jednostce administracyjnej, rządzonej centralnie. Potem kraj był już pocięty dziesiątkami płynnych granic między obszarami, na których panowała jeszcze władza Diema, a ogromnymi terenami, gdzie rządziły coraz bardziej zorganizowane grupy powstańcze. W późniejszych latach określano ten stan nazwą „skóry lamparta”. W 1959 roku odbywały się już regularne bitwy na dużą skalę. Naród sprowokowany przez fałszywe reformy i terror rządowy chciał walczyć. Od powstańców płynęły do Hanoi prośby o pomoc i polityczne poparcie. Dopiero we wrześniu 1960 roku rząd DRW, który dotychczas unikał wszelkich aktów sprzecznych z umową genewską, zdecydował się ogłosić apel do ludności Południa, wzywając ją do powstania i wyzwolenia ojczyzny. A w grudniu delegaci grup

partyzanckich na Południu utworzyli Front Wyzwolenia Narodowego pod hasłem „Niepodległość, Demokracja, Pokój i Neutralność”. FWN stał się spadkobiercą tradycji Wietminhu. Rewolucja otrzymała więc centralny rząd, dowództwo i organizację. Rozpoczęła się regularna wojna domowa.

W ten sposób pierwsze pięć lat po konferencji genewskiej przyniosło przekreślenie części zawartych tam układów. Fałszywa polityka Diema zniweczyła możliwość sukcesu programu narzuconego mu przez amerykańskich sojuszników. Amerykanie zabłąkani w wymaginowanym świecie gry w domino zamiast skonsolidować kraj, do którego przywiązywali tak wielką wagę, przyczynili się do rozbitcia go. Zamiast odbudowy i umocnienia — mieli ludowe powstanie. Zamiast bastionu, stworzonego do walki z zagrożeniem z Północy — mieli przed sobą pole bitwy. Co raz wyraźniej zarysowywała się nieuchronność procesu, który miał ich wciągnąć do bezpośredniej interwencji wojskowej.

## VI. Stany Zjednoczone a upadek Diema

Pierwsza faza wojny domowej w Wietnamie to okres powoli i spontanicznie narastającego powstania ludowego i wzmagającej się partyzantki przeciwko reżimowi Diema. Oddziały powstańcze są początkowo rozproszone i niezorganizowane, a centralne władze kierownicze dopiero się tworzą. Już zaczyna napływać z Północy pomoc dla partyzantki, zarówno w sprzęcie, jak i wyszkolonych kadrach oficerskich, nie można jednak jeszcze mówić o tym, że ta pomoc w większym stopniu wpływała na przebieg walk. W każdym razie FWN otrzymuje wielokrotnie mniejszą pomoc z Północy niż wojska Diema od Stanów Zjednoczonych. Partyzanci operują jeszcze głównie uzbrojeniem pozostałym po Francuzach oraz amerykańskim zdobyczym, kupionym lub otrzymanym od żołnierzy sajgońskich. Uzupełniano je ponadto własną, chałupniczą produkcją. Sztab Giapa udzielał ogólnych wskazówek, dotyczących taktyki walk powstańczych, ale nie kierował jeszcze akcją w sposób zorganizowany. Rewolucja rozwijała się żywiołowo i zawdzięczała swoje sukcesy również błędom popełnianym przez przeciwnika.

Nie znaczy to, aby FWN też nie popełniał błędów. Ale polegały one przeważnie na nieumiejętnym i niewłaściwym przeprowadzaniu akcji bojowych, z bra-

ku wyszkolenia i doświadczenia kadr kierowniczych czy braku koordynacji pomiędzy poszczególnymi jednostkami. Pod względem politycznym Front działał bezbłędnie — i to właśnie decydowało o jego rosnącej sile.

Diem natomiast popełniał zarówno pomyłki polityczne, jak i wojskowe. Jeszcze w 1955 roku Diem usunął z wojska instruktorów francuskich i powierzył organizację oraz szkolenie swojej armii Amerykanom. Działał wtedy pod wpływem swoich uprzedzeń antyfrancuskich, podziwu dla technicznej doskonałości ekwipunku amerykańskiego, ale ulegał także naciskom z Waszyngtonu.

Było to bardzo kosztowne posunięcie. Francuscy oficerowie przeszli już w tym czasie przez bolesną, ale pouczającą szkołę klęski w wojnie z partyzantami. Zrozumieli — choć za późno — jej specyficzny charakter i rządzące nią prawa. Potrafiliby prawdopodobnie nadać prawidłowszy kierunek szkoleniu jednostek południowych i doradzić właściwszy dobór broni oraz taktyki walk w dżungli.

Amerykańscy instruktorzy byli pod tym względem zaprzeczeniem racjonalnego szkolenia i doradzania. Ich pogląd na wojnę podobny był do tego, z jakim powracali do Wietnamu Francuzi w 1945 roku. Ich doświadczenia zdobyte na polach Normandii czy w Ardenach były warte funta kłaków w dżunglach i ryżowiskach Wietnamu. Za to byli jeszcze bardziej zarozumiali i pewni swej wyższości niż Francuzi, a także wierzyli ślepo w wartość swego wspaniałego ciężkiego sprzętu i lotnictwa. Usiłowali wpoić armii wietnamskiej swoje zwyczaje i zasady, zgodnie z którymi żołnierz może walczyć dopiero wtedy, kiedy jest odpowiednio wyekwipowany, uzbrojony, zaopatrzony w radio, namioty, łaziki, objuczony kompletem „sortów mundurowych” na każdą pogodę, roz-

budowana intendentura dowiezie mu wszędzie żywność, coca-cole i kilka gatunków lodów, a artyleria i lotnictwo zapewnią w porę olbrzymie wsparcie ogniowe.

Armia była bezsilna i bezradna wobec oddziałów partyzanckich Frontu i przegrywała bitwę po bitwie. Dla ilustracji przytoczmy przebieg jednej z walk, która odbyła się w pierwszym okresie pod miejscowością Ap Bac. Kilkusetosobowa grupa partyzantów została tam otoczona przez wielokrotnie przeważające liczebnie oddziały sajgońskie. Do akcji weszły po raz pierwszy na większą skalę helikoptery, które wysadziły na tyłach partyzantów piechotę i wspierały ją ogniem. Dowodzili instruktorzy amerykańscy, pilotujący również część helikopterów. Zupełny brak koordynacji działań i złe rozpoznanie terenu spowodowały zaraz na początku bitwy duże straty w oddziałach nacierających. Powstańcy zestrzelili 3 helikoptery i poważnie uszkodzili jedenaście. W tej sytuacji zapadający zmierzch przerwał bitwę. W ciągu nocy oddziały rządowe przegrupowały się do zorganizowanego ataku. Kiedy o świcie rozpoczęły ogień, okazało się, że skierowany jest w pustkę albo do własnych oddziałów. W ciągu nocy partyzanci bezszelestnie, sobie tylko znanymi drogami, rozplynęli się w dżungli, wymknęli się z okrążenia i nawet wynieśli ze sobą zabitych i rannych. Rządowe straty były bardzo duże, zginęło też trzech oficerów amerykańskich.

Był to typowy przykład walki, przykład, jaki powtarzał się wiele razy. Bardzo często zmasowane ataki wojsk rządowych, wspierane ciężkim sprzętem i lotnictwem, uderzały w próżnię. Partyzanci bowiem w wielu wypadkach byli uprzedzani o zamierzonych operacjach przez swoich zwolenników, od których

roilo się nie tylko w regularnych oddziałach liniowych, ale i w sztabach wojsk rządowych.

Szeroko rozgałęziona sieć wywiadowców i sabotażystów działających w wojsku Diema na rzecz Frontu była tylko jedną z konsekwencji polityki rządu sajgońskiego. Zaostrzenie policyjne systemu represji w stosunku do mieszkańców wsi i miast Wietnamu, które nastąpiło w latach 1959—1963, rozwinęło nastroje antyrządowe oraz wzmogło poparcie udzielane powstańcom przez chłopów.

Nową przyczyną tego rosnącego oporu ludności była wielka akcja, zorganizowana wspólnie przez Diema i jego amerykańskich doradców, a mianowicie organizacja „wiosek strategicznych”.

Wśród dwóch tysięcy doradców amerykańskich, przebywających na terenie Wietnamu w 1961 roku, znajdował się oficer brytyjski Robert Thomson, który miał bogate doświadczenia walki z partyzantką w Malajach. Opierając się na cytowanej już tezie Mao, że ludność wiejska jest tym dla powstańców, czym woda dla ryb, Thomson wysunął projekt zmierzający do odcięcia ryb od wody. W tym celu miano zbudować w odpowiednich punktach zupełnie nowe wsie, otoczone zasiekami i rowami, tam miano przesiedlić ludność z rozsianych w dżungli i łatwo dostępnych dla partyzantów „wiosek tradycyjnych”. W ten sposób zniszczona zostałaby również sieć komunikacyjna, informacyjna i zaopatrzeniowa dla partyzantów, a znacznie ułatwiona obrona i opieka nad przesiedloną ludnością.

Projekt ten wywołał w Waszyngtonie zachwyt. Trafił na podatny grunt, wzmocniony całkowicie fałszywym przekonaniem, że nieszczęsna ludność Wietnamu, nękana terrorem powstańców, marzy o skutecznej opiece wojskowej i gotowa jest poświęcić wszystko, żeby tylko znaleźć się za drutami kolcza-



stymi, broniącymi dostępu nasłanym z Północy komunistom.

Koncepcję tę podchwycił też szybko Diem, a zwłaszcza jego brat Nu. W zorganizowaniu wiosek widział on bowiem nie tylko bezpieczeństwo wojskowe, ale łatwiejsze opanowanie ludności wiejskiej, narzucenie jej nowego systemu administracji, ostateczne przełamanie tradycji wioskowych i stworzenie dogodnych warunków do indoktrynacji politycznej.

Zatem w 1962 roku — przy pomocy grupy amerykańskich doradców z profesorem Stanleyem i specjalistą Wolfem Ladejińskim na czele — opracowano plan stworzenia 17 tysięcy wiosek strategicznych, z których 11 316 miało powstać w ciągu dwóch lat i objąć połowę wiejskiej ludności Wietnamu Południowego. W celu energicznego zrealizowania projektu stworzono „oddziały specjalne”. W końcu 1962 roku było już 3225 takich wiosek, a w następnym roku liczba ich zbliżała się do 6000. Za drutami znalazła się przeszło jedna trzecia ludności wiejskiej.

Oczywiście sam proces przymusowego przesiedlania chłopów, połączony z paleniem starych chałup, porzucaniem uprawnych ryżowisk i stratami inwentarza — nie mówiąc już o emocjonalnej reakcji konserwatywnych wieśniaków — wywołał olbrzymią falę oburzenia i oporu, a to z kolei wzmogło terror i gwałt policyjny. W konsekwencji ruch powstańczy zasilony został nie tylko dziesiątkami tysięcy uciekinierów, ale i milionami nowych sojuszników Frontu, zarówno wśród już przesiedlonych, jak też wśród mieszkańców miejscowości nie objętych jeszcze akcją.

Tam gdzie nowe wioski zostały rzeczywiście opanowane przez administrację Diema — było ich około 20% — następowały błyskawiczne, nocne uderzenia partyzantów. Wioski szły z dymem, a kolabo-

ranci ciężko płacili za zdradę. W wielu miejscowościach FWN szybko bierze w swoje ręce administrację wiosek i tworzy z nich tzw. „wioski walczące”. Bardzo często wreszcie obydwie władze żyją obok siebie w swoistej symbiozie. W dzień, pod ochroną oddziałów specjalnych, urzędują wójtowie mianowani przez Sajgon. Gdy zapada zmrok, żołnierze zamykają się w strażnicach, a wioską rządzi władze Frontu.

W wioskach walczących ziemia, odebrana chłopom przez Diema, wraca do nich z powrotem. Rośnie sieć ustabilizowanej administracji Frontu. W 1963 roku na 41 prowincji Południowego Wietnamu w 38 funkcjonują już zorganizowane komitety FWN. Akcja tworzenia wiosek strategicznych przyczyniła się po prostu do szybszego rozwoju partyzanckiego państwa, funkcjonującego wewnątrz policyjnego Wietnamu Diema.

Narastał wrogi stosunek ludności do rządu sajgońskiego, z każdym miesiącem powstawały nowe konflikty, aż wreszcie wybuchł poważny zatarg, podłoże którego tylko z pozoru miało charakter religijny.

W 1962 i 1963 roku w miastach Wietnamu Południowego zaczęły się mnożyć antyrządowe demonstracje i protesty organizowane przez duchownych buddyjskich. Diem błędnie uważał, że atak skierowany jest przez religijnych fanatyków wyłącznie i osobiście przeciwko niemu i jego katolickiemu otoczeniu. Zarządził więc masowe aresztowania bonzów, palenie świątyń i zakaz uroczystości i procesji buddyjskich. Wywołało to oczywiście wzrost ruchu protestacyjnego, który przybrał dramatyczny charakter w postaci coraz częstszych wypadków publicznego samopalenia się mnichów. Akcja ta bagatelizowana była przez rząd („Niech się smażą” — powiedziała pogardliwie pani Nu), przeraziła natomiast Wa-

szyngeon, który wprawdzie też nie rozumiał prawdziwego podłoża protestu i uważał, iż czynnikiem prowokującym zaognienie jest fanatyzm katolicki Diema, ale dostrzegał w całej sprawie inny, drażliwy element. W tym czasie prezydentem USA był już John Kennedy. Ponieważ prezydent był katolikiem, politycy USA obawiali się, że protestanckie społeczeństwo Ameryki może ostro zareagować na konflikt w Sajgonie widząc w nim elementy religijnej solidarności Kennedy'ego i Diema. Rozpoczęto więc silny nacisk na Diema, aby zmusić go do porozumienia z ruchem buddyjskim.

Zarówno w Waszyngtonie, jak i w Sajgonie nie zdawano sobie sprawy z właściwych przyczyn tego ruchu. Buddyzm nie jest religią fanatyczną, nie posiada zwartej hierarchicznej organizacji i nie odgrywał dotychczas w Wietnamie poważniejszej roli politycznej, mimo że wyznawała go większość społeczeństwa wietnamskiego. Ale teraz wskutek terroru Diema sytuacja się zmieniła. Pagody stały się schroniskiem dla prześladowanych przez policję, nabożeństwa przyciągały rosnące tłumy niezadowolonych i narzekających. Religia przestała być mistyczną ucieczką od rzeczywistości i nabierała twardych brzmień protestu przeciw polityce sprzecznej z narodowymi interesami i buntu przeciw dyktaturze depreczującej narodowe tradycje.

Bonzone buddyjscy zostali przez masy wyznawców ściągnięci z wyżyn łagodnej zadumy i kontemplowania wieczności na ziemię pełną nieszczęścia, zbrodni i więzień. Nie umieli organizować ruchu podziemnego ani przewodzić rewolucji. Nie włączyli się do powstania. Zgodnie ze swoją filozofią mogli tylko dawać wyraz nastrojom społecznym poprzez bierny opór, bicie w dzwony i dzwonki i długie pochody. A wreszcie w rozpaczy i najwyższej formie poświę-

cenia siadali na miejskich placach, oblewali się benzyną i z uśmiechem, śpiewając, spalali się żywcem.

Diem w swoim egocentrycznym zaślepieniu nie chciał widzieć w proteście buddyjskim sygnału ostrzegawczego przed nastrojami społeczeństwa. Upatrywał w nim dowód spisku komunistycznego i groźbę nowego zamachu na siebie i swoją rodzinę. Postanowił więc siłą zdusić Kościół Buddyjski.

Warto wspomnieć o jeszcze jednym incydentalnym błędzie, który stał się katalizatorem wypadków prowadzących do zaostrzenia sytuacji. Jeden z braci dyktatora, arcybiskup miasta Hue — starej stolicy Wietnamu — Martin Ngo Dinh Thuc, marzył o kapeluszu kardynalskim. Nie było to wcale marzenie niemożliwe, zważywszy na silne poparcie, jakie miał w Watykanie dzięki kardynałowi Spellmanowi. Na wielkie uroczystości katolickie związane z jubileuszem arcybiskupa przybył do Hue 8 maja 1963 roku specjalny nuncjusz papieski. Monsignore chciał zademonstrować dostojnemu gościowi, jak szerokie i głębokie jest poparcie dla wiary katolickiej w jego diecezji. Zapomniał tylko o jednym: na ten sam dzień 8 maja, który był jednocześnie ósmym dniem czwartego miesiąca księżycowego Roku Kota, przypadała 2587 rocznica urodzin Buddy, był to więc dla ogromnej większości mieszkańców odpowiednik chrześcijańskiego Bożego Narodzenia. Toteż całe miasto pokryło się w tym dniu buddyjskimi chorągwiami i rozśpiewane, wesołe tłumy wyległy na ulice. Wściekły arcybiskup kazał policji zdzierać chorągwie i rozpędzić „pogańskie” tłumy. Wtedy uczestnicy pochodów przestali się śmiać i przybrali groźną postawę. Oddziały specjalne Diema otworzyły ogień, po czym wdarły się do pagód i aresztowały setki bonzów i wiernych. Było dziewięciu zabitych i 67 rannych.

Nuncjusz odjechał, a brat Diema nie został kar-

dynałem. (W 1976 roku został nawet ekskomunikowany przez Watykan). Za to miliony spokojnych i łagodnych buddystów w całym kraju zbliżyło się jeszcze bardziej do Frontu i jego armii. Pod naciskiem zaniepokojonych Amerykanów Diem zawiera wprawdzie porozumienie z przywódcami buddyjskimi, ale go nie dotrzymuje. 21 sierpnia Nu organizuje w Sajgonie krwawą masakrę duchownych buddyjskich. 1400 bonzów idzie do więzienia. Nawet minister spraw zagranicznych Diema, Vu Van Mau, który w swoich kontaktach z Międzynarodową Komisją wydawał się zawsze echem dyktatora — nie wytrzymuje; podaje się do dymisji, goli głowę, wkłada żółtą szatę i idzie do buddyjskiego klasztoru. Kilkunastu generałów zawiązuje spisek, żeby uwolnić się od fanatyka nie rozumiejącego procesów zachodzących we własnym społeczeństwie.

Rozprawa z buddystami wywołała też ogromny wstrząs w Waszyngtonie. Rozpoczęły się gorączkowe narady, najbliższe otoczenie prezydenta dzieli się na dwie frakcje: tych, którzy chcą „pływać albo tonąć razem z Diemem”, i tych, którzy uważają, iż trzeba się pozbyć niewygodnego sojusznika. Bezpośrednim skutkiem napięcia, powstającego wówczas między Waszyngtonem a Sajgonem, była zmiana polityki Diema. W swoim ślepych zarozumiałstwie uważa się on już za prawdziwego pana sytuacji w Wietnamie. Zaczyna więc prowadzić akcję antyamerykańską. Inspiruje ataki w prasie, usuwa amerykańskich dziennikarzy, zrywa współpracę z ambasadą, pozwala swemu bratu Nu na ostre wypowiedzi antyamerykańskie, które zapowiadają m.in. żądanie zmniejszenia liczby amerykańskich doradców.

Skutek jest nieunikniony i szybki. 24 sierpnia zostaje wysłana z Waszyngtonu do ambasady w Saj-

gonie historyczna depesza, zawierająca instrukcję co do usunięcia Diema przez poparcie spisku wietnamskich generałów.

W tym miejscu należy poruszyć sprawę, która nie jest jeszcze całkowicie wyświetlona, ponieważ nie wszystkie dokumenty zostały ogłoszone. „Akta Pentagonu” i niektóre pamiętniki zawierają niejasne informacje, według których Diem, rozjuszony na Amerykanów, rozpoczął tajne pertraktacje z DRW, proponując Ho Szi Minowi porozumienie. Dwaj czołowi generałowie południowowietnamscy zawiadomili o tym ambasadę amerykańską w Sajgonie, a Lodge donosi Kennedy’emu z innych źródeł, że „Nu porozumiewa się tajnie z Hanoi poprzez ambasadorów Francji i Polski, których rządy popierają neutralistyczne rozwiązanie stosunków między Południem a Północą”. Píše też o tym Rusk w depeszy do Lodge’a 29 sierpnia, wyrażając obawę, że Diem może zwrócić się do Północnego Wietnamu o pomoc dla „wyrzucenia Amerykanów”. Na konferencji w Departamencie Stanu 31 sierpnia zebrani wyżsi urzędnicy oglądają jakąś przechwyconą depeszę, z której wynika, że Nu omawiał takie możliwości z Francuzami. Wielu autorów piszących o tym okresie konfliktu wietnamskiego traktuje te kontakty jako zupełnie pewne, jak np. Jacques Suant w swej książce „Vietnam 1945—72”, gdzie nawet twierdzi, że Hanoi dało do zrozumienia, iż uważa Diema za „patriotę”.

Nie ulega kwestii, że Diem w tym czasie zaczął upatrywać większe niebezpieczeństwo w amerykańskiej interwencji niż w ewentualnym porozumieniu z Hanoi. Czy jednak rozmowy takie zostały istotnie nawiązane, czy też była to tylko prowokacja spiskujących generałów sajgońskich, mająca na celu uzyskanie poparcia amerykańskiego — trudno na razie

ustalić. Z całą pewnością wiemy tylko, że Polska w takich próbach nie pośredniczyła.

Niezależnie jednak od tego, czy informacje te są prawdziwe, były one dla kierownictwa amerykańskiego dużym szokiem i stały się mocnym argumentem przemawiającym za likwidacją dyktatury Diema. „Akta Pentagonu” przedstawiają nam obraz nieustannych, gorączkowych narad w Białym Domu i Departamencie Stanu, w czasie których analizuje się sytuację i poszukuje sposobów zahamowania procesu upadku wietnamskiej kostki domina. Dokumenty te wskazują niestety znowu na całkowity brak realizmu w ocenie sytuacji wietnamskiej i fałszywy obraz panujących tam stosunków.

W dalszym ciągu kierownicy amerykańskiej polityki zagranicznej i wojska upatrują istotną przyczynę partyzantki w infiltracji z Północy oraz w radzieckiej i chińskiej polityce „narzucenia komunizmu” Azji Południowo-Wschodniej. W listopadzie 1963 roku Rusk oświadcza, że „Południowy Wietnam stał się ofiarą zewnętrznej agresji przez infiltrację, dostawy broni i subwencję... Uważamy, że ostatnio wiejska ludność coraz wyraźniej sprzyja wysiłkom, zmierzającym do zniszczenia agresji Wietkongu”.

Wśród tych dokumentów niewiele można znaleźć głosów rozsądku. Należy do nich m.in. opinia wiceprezydenta Lyndona Johnsona. Pisze on, że największe niebezpieczeństwo w Południowo-Wschodniej Azji wynika nie z zagrożenia ze strony doktryny komunizmu, ale raczej z głodu, ignorancji, biedy i chorób. „Jakakolwiek wybierzemy strategię, musimy kierować nasz atak na tych właśnie wrogów i w tym celu wykorzystać nasze możliwości naukowe i techniczne”. Ambasador USA w Indiach, John Galbraith, zawiadamia swojego prezydenta, że „polityczna istota sprawy (w Wietnamie) polega na tym, iż Diem

podejmuje znacznie większe wysiłki dla obrony swojej osoby przed zamachem niż kraju przed Wietkongiem". Nutę rozsądku wprowadza też ambasador Chester Bowles, który w swoim memorandum dla prezydenta wypowiada się za neutralizacją Wietnamu i stworzeniem pasa krajów neutralnych w tej części Azji. Ale są to wyjątki. Przeważają w tym czasie wśród doradców Kennedy'ego poglądy nie uwzględniające narodowego i społecznego źródła wietnamskiego powstania. Trzymając się tezy „infiltracji” z Północy ludzie ci chcą „chronić ludność przed obcą interwencją” i wierzą, że pragnie ona takiej opieki i oczekuje jej od USA. Większość doradców upatruje też w obronie reżimu sajgońskiego bezpośredni interes Stanów Zjednoczonych. Wiąże ją z bezpieczeństwem Ameryki. Inni głoszą teorię globalnego mesjanizmu USA i ich rolę jako światowego policjanta. Celuje w tym szef Komisji Planowania Departamentu Stanu Walt Rostow, który po śmierci Johna Kennedy'ego zaczyna wywierać potężny wpływ na Johnsona jako doradca Białego Domu. Rostow już od 1961 roku głosił potrzebę bezpośredniej wojskowej interwencji USA w Wietnamie. W swojej książce wydanej w 1972 roku („The Diffusion of Power”) twierdzi nadal, że Diem naprawdę był wyrazicielem interesów i poglądów ludności kraju. Nawet po latach Rostow nie widzi, jaka przepaść wyrastała pomiędzy narodem a grupką kierowniczą policyjnej dyktatury, pchaną przez amerykańskich doradców w niewłaściwym kierunku.

Jedną z głównych przyczyn tych koncepcji było przekonanie, że — aby zbawić Wietnam — trzeba przeszczepić tam zasady amerykańskiej demokracji. Takie przykładanie miary idei i standardów Ameryki do innych społeczeństw jest bardzo często przyczyną błędów polityki USA. W Wietnamie prowadziło ono



prostą drogą do katastrofy. Ambasador Lodge w październiku 1963 roku pisze w depeszy do McGeorge'a Bundy'ego: „USA usiłują wprowadzić ten średnio-wieczny kraj w XX wiek. Dokonaliśmy już poważnego postępu w dziedzinie wojskowej i gospodarczej. Aby zwyciężyć, musimy ich również przenieść w wiek XX politycznie”.

Ale ten „średniowieczny naród”, który właśnie odniósł wspaniałe zwycięstwo nad jednym z najbardziej rozwiniętych państw świata — Francją, przeprowadza reformy polityczne i społeczne na własną modłę i nie chce obcych wzorów postępu, zwłaszcza kiedy narzuca mu się je siłą. Broni się coraz skuteczniej i paraliżuje metody wprowadzane przez rosnące zastępy amerykańskich doradców.

Doradcy chcą jednak za wszelką cenę uzasadnić swoje istnienie i wykazać się sukcesem. W sztabie amerykańskim i w ambasadzie sajgońskiej opracowuje się setki ankiet, wykazów, raportów i tablic statystycznych, które posyłane do Białego Domu i przekazywane prasie stwarzają różowy, choć całkowicie fałszywy obraz rzeczywistości. Stosunek liczby zabitych partyzantów do poległych sajgończyków jest ich zdaniem wykładnikiem zwycięstwa. Oblicza się stosunek zdobytej i utraconej broni, stosunek liczby dezertersów w obydwu kierunkach, stosunek powierzchni kontrolowanych terenów, wzrost lub spadek liczby incydentów. Pokazuje się na konferencjach i odprawach przepiękne wykresy i mapki — zawsze ilustrujące wciąż rosnące sukcesy i zapowiadające rychłą i nieuniknioną klęskę Frontu. To nic, że cyfry, na których opierają się statystyki, są fikcją. Oficerowie, podając liczby zabitych na poboju, doliczają kobiety, dzieci i starców zamordowanych przez karne ekspedycje i ofiary nalotów. Często dla zaokrąglenia dodaje się padłe zwierzęta domowe

i ptactwo. Nic dziwnego, że trzeba nieustannie rewidować wstecz informacje o sile oddziałów partyzanckich. W 1963 roku okazało się bowiem, że liczba ich żołnierzy wzrosła z 16 do 30 tysięcy, mimo że statystyki w tym roku podały 21 tysięcy zabitych i pięć i pół tysiąca jeńców Wietkongu. Waszyngton nie wie też, że większość „zwycięskich” operacji przeciwko nieprzyjacielskim koncentracjom i umocnieniom uderza w próżnię. I to nie tylko dzięki umiejętności partyzantów zdobywania ze sztabu Diema informacji o zamierzonych atakach. Duża część operacji wojsk Diemowskich świadomie kierowana jest w puste i bezpieczne okolice, aby nie ponieść porażki, nie tracić ludzi, a zdobyć pozorne sukcesy uwiecznione w sprawozdawczych wykresach.

Opisy zdyscyplinowanych i spokojnych wiosek strategicznych i raporty wizytujących Sajgon senatorów i kongresmanów budzą zadowolenie i otuchę w Waszyngtonie. Mało kto orientuje się, że opisy dotyczą wiosek pokazowych, „potiomkinowskich”, i że rzeczywistość jest zupełnie inna. W latach 1961—1963 mnożą się optymistyczne przewidywania. „Ostrze agresji zostało stępione” — oświadcza w styczniu 1963 roku prezydent Kennedy. „Sytuacja w Wietnamie odwróciła się na naszą korzyść” — mówi w kilka miesięcy później Arthur Sylvester, wiceminister obrony. „Oświadczam z całą stanowczością, że osiągniemy zwycięstwo w 1964 roku” — mówi w październiku generał Paul Harkins, naczelny dowódca USA w Wietnamie. W miesiąc później dodaje, że jest to sprawa kilku miesięcy. „Wojna skończy się przed Bożym Narodzeniem... USA mogą rozpocząć, kiedy tylko zechcą, wycofywanie swoich doradców wojskowych”. Minister obrony Robert McNamara jest ostrożniejszy: „Wygrywamy wojnę i głów-

na część wojskowego wysiłku USA powinna być spełniona do końca 1965 roku".

Ale pod powierzchnią tego urzędowego optymizmu w drugiej połowie 1963 roku zaczynają wyrastać wątpliwości. Pomijają one jednak istotę sprawy, podłoże i rzeczywistą siłę powstania w Wietnamie. Rozumowania przechodzą obok tych spraw. Dotyczą głównie wątpliwości, czy Diem i jego brat są najlepszymi przywódcami dla Południa Wietnamu? Czy popieranie tych ludzi zapewni USA panowanie w Wietnamie? Czy oni nie zdradzą i nie pójdą tak daleko w swym nacjonalizmie i patriotyzmie, żeby porozumiewać się z Północą? Czy wreszcie postępowanie Diema wobec buddystów nie oburzy opinii publicznej w USA i nie obróci jej przeciwko prezydentowi?

Ostatnie pytanie warte jest specjalnego podkreślenia. Przez cały okres konfliktu będzie istniał ścisły związek pomiędzy przebiegiem wojny w Wietnamie a nastrojami politycznymi w Stanach Zjednoczonych. W różnych okresach konfliktu różni prezydenci inaczej reagowali na wynikające z tego wewnętrzne napięcia. Kennedy był niezmiernie czuły na sygnały opinii publicznej. Być może wynikało to i z faktu, że wygrał wybory bardzo znikomą większością głosów. Ważną okolicznością był też zbieg dwóch różnych konfliktów. Przecież właśnie w kwietniu 1961 roku Kennedy poniósł bolesną porażkę w postaci niepowodzenia desantu na Kubie w Zatoce Świń.

Obawa przed potępieniem przez opinię publiczną polityki popierania katolickiego pogromcy buddystów przemawiała za likwidacją rodziny Diema. Johnson w obliczu znacznie silniejszego oburzenia społecznego i krwawych antywojennych demonstracji okaże się dużo twardszy. Ale jak zobaczymy, te skrajnie odmienne stanowiska, występujące w różnych okre-

sach czasu, doprowadziły jednak mimo wszystko do podobnych i równie szkodliwych posunięć.

Decyzja likwidacji dyktatury Diema została podjęta w Waszyngtonie po długich i bardzo kontrowersyjnych dyskusjach. Protokoły i raporty z tych narad przekazane historii w „Aktach Pentagonu” wskazują jednak, że główna argumentacja wszystkich niemal stron dotyczyła prawie wyłącznie sprawy sposobu prowadzenia wojny, a nie jej celowości i słuszności. Jedyne Paul Kattenburg, kierownik międzyministerialnej komisji dla spraw Wietnamu, odważył się w tym czasie zaproponować wycofanie się USA z Wietnamu. Opierał się na logicznej analizie sytuacji i wskazywał, że amerykański wysiłek wojenny nie da rezultatu, niezależnie od tego, czy Diem będzie stać na czele rządu, czy też nie. A Robert Kennedy oświadczył na jednej z konferencji w Białym Domu, że gdyby się doszło do wniosku, iż wojny nie da się wygrać, to należy się wycofać. „Jeżeli zaś Diem jest przeszkodą na drodze do zwycięstwa — to należy go usunąć”.

Ponieważ uproszczony i niesłuszny pogląd na istotę sytuacji wietnamskiej nie pozwalał większości członków politycznego i wojskowego kierownictwa wątpić o możliwości wygrania tej wojny — szala decyzji przechyliła się w kierunku usunięcia Diema.

Przez pewien czas chciano dać Diemowi „rozsądną możliwość usunięcia swego brata Nu”, którego uważano w Waszyngtonie za głównego autora akcji przeciwko buddystom. „Jeżeli pozostanie (Diem) niewzruszony, jesteśmy gotowi zaakceptować oczywiste wnioski i przestaniemy go popierać. Możecie poinformować odpowiednich dowódców wojskowych, że damy im większe bezpośrednio poparcie w przejściowym okresie rozbicia rządu centralnego” — depekuje Departament Stanu do ambasadora Lodge'a. Wy-

sunięta została propozycja wysłania Nu za granicę na stanowisko ambasadora. Następuje też próba finansowego nacisku na Diema w postaci zawieszenia pomocy gospodarczej dla Wietnamu.

Kiedy te wszystkie pomysły zawodzą, porzuca się półśrodki. Pozostaje jeszcze obawa przed fiaskiem zamachu. Kennedy obiecuje Lodge'owi „wszystko, co w naszej mocy, aby dopomóc wam do pomyślnego zakończenia operacji... Musimy wygrać tę sprawę. Ale lepiej zmienić zamiary, niż ponieść porażkę”.

Od 24 sierpnia 1963 roku, czyli od dnia, w którym wysłano do ambasadora Lodge'a depezę, upoważniającą go do poparcia spisku generałów mającego na celu obalenie Diema, do 1 listopada, kiedy to zamach został dokonany, jeszcze tylko grupka amerykańskich generałów w Sajgonie z generałem Paulem Harkinsem na czele obstawała przy swoim zdaniu, że jedynie Diem zdolny jest zapewnić właściwe kierownictwo akcji wojskowej i utrzymać porządek w kraju. W Waszyngtonie tego zdania był też gen. Taylor i dwaj ludzie, nie mający wówczas decydującego wpływu na bieg wydarzeń, ale którzy staną się przywódcami Stanów Zjednoczonych. Lyndon Johnson uważał, że tylko żelazna ręka Diema, którego podziwiał i cenił, zdolna jest do utrzymania kraju. Richard Nixon zaś twierdził, że „z chwilą, kiedy USA poparły zamach stanu, który doprowadził do zamordowania Diema — wyzwoliły gwałtowny ciąg wydarzeń nie tylko w Wietnamie, ale w całej Południowo-Wschodniej Azji”.

Ambasador Lodge, uzbrojony w instrukcję Białego Domu, działa szybko i bezwzględnie. W jego imieniu pułkownik Lucien Conein z CIA omawia szczegóły zamachu z grupą generałów, na czele których stoi Duang Van Min, zwany „wielkim Minem”. Conein jest w stałym kontakcie z zamachowcami i przebywa

w ich głównej kwaterze w czasie zamachu. Zapewnia ich o pełnym amerykańskim błogosławieństwie i ofiaruje schronienie dla rodzin spiskowców, jeżeli zamach się nie uda.

Nie będziemy tu relacjonować pasjonujących szczegółów przebiegu tego zamachu, który ostatecznie dojrzał w październiku 1963 roku i zakończył się zastrzeleniem Diema i jego brata Nu. Pani Nu uratowała się tylko dzięki temu, że przebywała w tym czasie za granicą i tam już pozostała. Zginęło również wiele osób z otoczenia dyktatora, a wkrótce zabito także jego drugiego brata.

Jest rzeczą charakterystyczną, że jeszcze przez długi czas kierownictwo amerykańskie zaprzeczało stanowczo udziałowi w organizacji zamachu, udając całkowite zaskoczenie. Celowali w tym zwłaszcza najbliżsi współpracownicy prezydenta, współautorzy instrukcji dla Lodge'a. Artur Schlesinger twierdził, że „ani ambasada USA, ani CIA nie byli zamieszani w organizowanie lub w wykonanie zamachu”, a Theodore Sorensen pisał, że zamach „nie otrzymał ze strony USA żadnej pomocy”. Ambasador Lodge twierdził nawet początkowo, że „USA nie wiedziały nic o przygotowaniach do zamachu”.

Dopiero książka „To move a Nation” Rogera Hilsmana, jednego z współautorów depechy z 24 sierpnia 1963 roku, uchyliła tajemnicę waszyngtońskiego udziału w spisku. Nixon oświadczył publicznie, że „weszliśmy do Wietnamu przez obalenie Diema i ponosimy odpowiedzialność za zamordowanie go”. Wreszcie „Akta Pentagonu” dokładnie, dzień po dniu, obnażyły anatomię tego spisku i rolę, jaką odegrały w nim Stany Zjednoczone. W 1975 roku dowiedziano się o roli CIA w wykonaniu zamachu.

Wróćmy jednak jeszcze na chwilę do jesieni 1963 roku. Cofnijmy ten film o kilka klatek, aby od-

powiedzieć na pytanie, czy koncepcja usunięcia Diema opierała się na założeniach słusznych z punktu widzenia interesów USA. 17 września 1963 roku ambasador Lodge otrzymuje z Białego Domu instrukcję. Zawarte są w niej warunki, które rząd Diema powinien spełnić, aby Stany Zjednoczone utrzymały swoje poparcie dla jego rządu. Ma on:

1. „Oczyścić atmosferę” poprzez sprawiedliwe traktowanie nawet własnych przeciwników.
2. Zaprzestać prześladowania studentów i buddystów.
3. Zapewnić wolność prasie.
4. Skierować policję i oddziały specjalne przeciw Wietkongowi, a nie przeciw buddystom.
5. Dokonać zmian w rządzie i wpuścić tam „świeżą krew”.
6. Przeprowadzić prawdziwie wolne wybory.
7. Zwołać Parlament.
8. Rozszerzyć bazę partii rządzącej.
9. Odwołać dyktatorskie dekrety.
10. Utworzyć Ministerstwo Wyznań.
11. Otworzyć pagody.
12. Wprowadzić wydawanie paszportów.
13. Dopuszczyć międzynarodową komisję badawczą buddystów.
14. Usunąć Nu.

Lodge wiedział od razu, że Diem nie przyjmie tych warunków. Ale rejestr żądań Waszyngtonu jest niezmiernie charakterystyczny nie tylko ze względu na swoją całkowitą niezyciowość i naiwność. Wskazuje na to, iż prezydent i jego doradcy nie uważali za konieczne przeprowadzenie żadnych prawdziwych, głębokich reform społecznych w Wietnamie Południowym, reform, które mogłyby jeszcze zmienić sytuację na wsi wietnamskiej. Nie domagali się od Diema zmian, które mogłyby pozbawić partyzantów poparcia i współdziałania mas chłopskich i — mówiąc językiem rewolucyjnym — „odebrać rybom wodę”. Waszyngton rozumował wciąż w kategoriach przewrotu pałacowego, gry politycznej wewnątrz ciasnego establishmentu sajgońskiego i porachunków międzywyznaniowych. Dla Amerykanów nie istnieje re-

wolucja. Jest tylko klika rządząca, którą trzeba wzmocnić lub zmienić. Nie ma interesu kraju — jest potrzeba zbudowania zapory przeciw „infiltracji komunistycznej” dla utrzymania amerykańskich interesów w Azji.

Ten rozpaczliwy brak zrozumienia istoty tragedii wietnamskiej coraz silniej obciążał politykę amerykańską i pociągał za sobą coraz błędniejsze decyzje. Usunięcie Diema w tym momencie miało dla polityki amerykańskiej skutki katastrofalne. Rację mieli ci spośród amerykańskich generałów (a było ich już w tym czasie w Sajgonie 221), którzy uważali, że wobec rozrostu ruchu rewolucyjnego i wojny domowej tylko twarda, zdecydowana i bezwzględna ręka Diema może przez jakiś czas rządzić jako tako tym krajem. „Jako tako” — bo rządzenie terrorem, policją i oddziałami specjalnymi nie mogło rozwiązać problemu wietnamskiego na dłuższą metę. Ale mogło dać czas do wypróbowania innego politycznego rozwiązania konfliktu.

Z chwilą, kiedy Amerykanie zniszczyli Diema — podcięli gałąź, na której sami siedzieli w Indochinach. Rozpoczął się błyskawiczny rozkład aparatu reżimu sajgońskiego i jego armii. W ciągu następnych 13 miesięcy władzę w Sajgonie sprawowało 11 różnych rządów wojskowych i cywilnych. Zamachy, pucze i kryzysy polityczne zniszczyły strukturę administracji w kraju. Dezercje z armii wzmogły się do fantastycznych rozmiarów. Roztopiały się i znikwały umocnione ośrodki, a dziesiątki składów amunicji i sprzętu dostawały się w ręce partyzantów.

Wraz z upadkiem administracji Diema nastąpiło zdemaskowanie fałszerstw, rozwianie się złudzeń i kłamstw statystycznych. Amerykanie przekonali się, że większość wiosek strategicznych istniała tylko na papierze, że wojska sajgońskie kontrolują zaledwie



jedną czwartą terenów figurujących w sprawozdaniach jako „bezpieczne”, że wygrane bitwy istniały przeważnie tylko w wyobraźni wietnamskich generałów, że liczby zabitych wrogów i zdobytej broni wyszane były z palca. I to tylko było dla nich korzystne. Wprawdzie w trzy dni po zamachu Lodge depeszuje z otuchą do Departamentu Stanu, iż „zmiana warty skróci wojnę przeciw Wietkongowi ze względu na poprawę ducha w Wietnamie”. Ale wiara ta trwała bardzo krótko. Już po 6 tygodniach minister McNamara, dokonawszy inspekcji na miejscu, informuje: „Jeżeli obecne tendencje nie zmienią się w najbliższych 2—3 miesiącach, to w najlepszym razie doprowadzą do neutralizacji Wietnamu, a najprawdopodobniej do państwa kontrolowanego przez komunistów”.

Tendencje się nie zmieniły. Ale zdemaskowanie urojeń, którymi żyli politycy amerykańscy, nie skłoniło ich do rewizji poglądów na sytuację w Azji. Nadal obowiązywała koncepcja teorii domina, wiara, że Moskwa i Pekin rządzą w Hanoi i posyłają na południe wojska, które terroryzując chłopów, zmuszają ich do walki o swój kraj. Trzeba więc tego chłopca obronić przed przymusem, trzeba go nauczyć, na czym polega jego prawdziwy interes narodowy i racja stanu tego kraju. Umacniał się pogląd, że Stany Zjednoczone mają obowiązek zatrzymania rozwoju ruchu rewolucyjnego na linii 17 równoleżnika, że jest to także w interesie ich własnego bezpieczeństwa.

Skoro nie było to możliwe przy pomocy Diema, a nadzieje, iż kolejne rządy generalskie opanują sytuację, szybko się rozwiały — pozostawała tylko jedna logiczna droga: bezpośrednia interwencja wojskowa USA.

John Kennedy nie czytał już przytoczonej powy-

żej opinii swego ministra obrony. Kiedy w trzy tygodnie po śmierci Diema prezydent USA leciał do Dallas, wierzył jeszcze, że Wietnam Południowy pod nowymi rządami potrafi się sam obronić. Przecież jeszcze 3 września Kennedy trzeźwo twierdził, że „to oni sami (Wietnamczycy) mogą tę wojnę wygrać albo przegrać”. W politycznej literaturze amerykańskiej znajdujemy wiele spekulacji na temat, czy Kennedy — gdyby nie został zamordowany — zaangażowałby się w bezpośrednią interwencję wietnamską.

Pytanie to nie jest oczywiście istotne ani dla milionów ludzi, którzy ginęli w Wietnamie w ciągu następnych ośmiu lat, ani dla tych, którzy przeżyli i wciąż ponoszą konsekwencje popełnionych błędów i zbrodni. Ale rozważając argumenty tych hipotetycznych wątpliwości chciałbym przechylić się na stronę tych, którzy sądzą, że Kennedy postąpiłby podobnie jak Johnson.

Za taką koncepcją przemawiają trzy główne argumenty. Po pierwsze, Kennedy, choć nie dowierzał wielu informatorom i znacznie surowiej niż jego następca oceniał ich raporty i wnioski — w zasadzie podzielał uproszczony pogląd, według którego w Wietnamie nie było powstania narodowego, a tylko agresja z Północy. Wierzył też w teorię domina i w konieczność utrzymania bastionu wietnamskiego dla bezpieczeństwa USA. Niezależnie od tego uważał Wietnam za bardzo dobry poligon doświadczalny do walki z partyzantką. To Kennedy posłał do Wietnamu 15 tysięcy amerykańskich specjalistów wojskowych.

Po drugie, Kennedy otoczony był doradcami, którzy w pierwszym okresie rządów Johnsona pozostali w Białym Domu. Nie było więc ani zmiany warty, ani atmosfery przy nowym prezydencie. Kennedy sły-

szałby zatem te same opinie i rady, ulegałby tym samym naciskom co Johnson.

Po trzecie, polityka wietnamska USA w listopadzie 1963 roku doprowadzona już była do sytuacji, z której odwrót był niesłychanie trudny. Osiem lat trwała uparta i kosztowna operacja stworzenia w Wietnamie antykomunistycznego państwa opartego na osobie Diema. Sam Kennedy postanowił w 1961 roku poprzeć całym swym prestiżem i środkami materialnymi osobę dyktatora.

W 1963 roku okazało się, że polityka ta opierała się na fałszywych informacjach i przesłankach, na urojonych ocenach. Decyzja zniszczenia Diema powzięta przez Kennedy'ego była jednocześnie wyrokiem na tę ośmioletnią działalność USA i potępieniem jego własnej polityki prowadzonej od chwili objęcia władzy. Gdyby w listopadzie Kennedy nie zginął, zobaczyłby już po paru miesiącach, że usunięcie Diema stworzyło w Wietnamie pustkę polityczną, której nie mogły wypełnić postacie marionetkowych generałów. Zrozumiałby, że do pierwotnego błędu popierania Diema dodał błąd usunięcia go.

Przyznanie się do takich rezultatów po trzech latach rządów byłoby morderczym samooskarżeniem, na które prezydent tuż przed wyborami na drugą kadencję nie mógł sobie pozwolić. Trudno uwierzyć, że Kennedy, który już przeżył porażkę Zatoki Świń i kompromis w sprawie kryzysu kubańskiego, potrafiłby zdobyć się w 1964 roku na akceptację klęski i wycofanie się z Wietnamu. Postąpiłby tak jak Johnson: brnąłby dalej w gąszcz błędnych posunięć, które miały pozory słuszności i dawały chwilowe nadzieje na sukces. A w gruncie rzeczy odsuwały tylko w przyszłość czas rozrachunków i prowadziły do jeszcze tragiczniejszych i bardziej kosztownych pomyłek.

Rok 1964 stał się rokiem przełomowym w historii Wietnamu. Skutki usunięcia Diema zniszczyły do reszty polityczną i wojskową organizację państwa południowowietnamskiego. Nastąpił rozkład władz na prowincji, likwidacja większości „wiossek strategicznych”, klęska akcji pacyfikacji i wszystkich programów rekonstrukcji wsi. Wzrosły dezercje z wojska, a w Sajgonie ostre walki między politykami i generałami wprowadziły całkowity chaos w polityczne życie kraju.

Jednocześnie nastąpił gigantyczny wzrost korupcji, łapownictwa, spekulacji, czarnorynkowego handlu dostawami amerykańskimi i ucieczka kapitałów za granicę. Przyszły wiceprezydent Nguyen Cao Ky tak charakteryzował ówczesne stosunki: „Każdy premier czy minister mówił: — Jestem tu na dwa miesiące. A więc forsa, forsa i jeszcze raz forsa. A kiedy to już będzie konieczne — wyjadę za granicę!”

Mimo ciągłej zmienności rządów istnieje nadal wojskowa dyktatura, panuje terror, mnożą się represje, aresztowania i egzekucje. Lecz „diemizm bez Diema” nie ma ani siły, ani konsekwencji, nie potrafi zastraszyć społeczeństwa i utrzymać go w ryzach policyjnego systemu. Mnożą się strajki, protesty i demonstracje. Robotnicy, studenci, buddyści, katolicy

wychodzą na ulicę i żądają reform, praw, swobody, konstytucji, udziału w rządach. A na sztandarach i transparentach coraz częściej zaczynają się pojawiać natarczywe hasła, wzywające do pokoju, porozumienia z Północą i do neutralizacji Wietnamu. Tłumy skandują: „Amerykanie — do domu!”

Pewne grupy polityków w Waszyngtonie zaczynają rozumieć, że żyli w rzeczywistości wyimaginowanej, że znaleźli się — zgodnie ze znanym powiedzeniem angielskim — „in a fools paradise”, czyli „w rajku głupców”. Jest to na pewno niewłaściwe i niebezpieczne miejsce pobytu dla polityków wielkiego mocarstwa. Większość dygnitarzy w Waszyngtonie zachowuje jednak niepoprawny optymizm. Kiedy na miejsce „wielkiego Mina” dochodzi do władzy gen. Khan, minister obrony McNamara w marcu 1964 roku pisze: „Jest to właściwy człowiek, który zwycięży komunistów”. Ale 24 sierpnia nie ma już Khana, za to mnożą się nowe zamachy stanu. Następuje wygnanie z „raju głupców”. Raport senatora Mike'a Mansfielda przyznaje, że już na początku roku 1965 upadek rządu sajgońskiego wydawał się nieunikniony. William Bundy stwierdza, że „sytuacja w Wietnamie się pogarsza i bez naszej akcji klęska jest nieunikniona, jeżeli nie w ciągu tygodni lub miesięcy, to mniej więcej w ciągu roku”. Dużo później, bo dopiero w 1972 roku Walter Rostow napisze, iż „politycznie i wojskowo południowi Wietnamczycy zostali niemal rzućeni na kolana... co było faktem oczywistym zarówno dla społeczeństwa południowowietnamskiego, jak i dla kierownictwa...”

Tak więc na przestrzeni 1964 roku wraz z rozkładem państwa sajgońskiego nastąpiło zniszczenie podstawowego założenia taktyki amerykańskiej w Wietnamie. Założenie to opierało się na przekonaniu, że

ogromna większość społeczeństwa tego kraju jest przeciwna idei połączenia Wietnamu i odnosi się wrogo do powstańców Wietkongu. Że — jeżeli pomoc amerykańska nie daje właściwych rezultatów — jest to wina złych przywódców, którzy nie potrafią zogniskować narodowego oporu. Przywrócenie swobód religijnych, wybory i obietnice reform oraz nowe kierownictwo powinny zmienić sytuację i wzmocnić zdrowy instynkt samoobrony mieszkańców miast i wsi. Wtedy pomoc amerykańska ułatwi szybkie zwycięstwo i uzdrowienie stosunków w Wietnamie.

Rozwój wydarzeń rozbił i tę iluzję. Ale nie usunął z oczu polityków USA ich azjatyckiej katarakty. Nadal nie rozumieją istoty konfliktu, nie wyciągają właściwych wniosków z wydarzeń, nie chcą pójść w kierunku, który daje jedyne wyjście z sytuacji. Wskazują to zarówno nastroje społeczeństwa na Południu, jak i propozycje z Północy. Już nie tylko studenci sajgońscy, ale i generałowie zaczynają żądać rokowań. W lipcu Hanoi proponuje ponowne zwołanie konferencji genewskiej dla pokojowego uregulowania problemu wietnamskiego. W sierpniu sekretarz generalny ONZ U Thant przekazał amerykańskiemu przedstawicielowi Adlai Stevensonowi list Ho Szi Mina z propozycjami rokowań. Prezydent de Gaulle wzywa do konferencji w celu neutralizacji obszaru Indochin. W Sajgonie buddyści i sekta Cao Dai organizują potężne manifestacje na rzecz pokoju i neutralności. W marcu 1965 roku siedemnaście państw niezaangażowanych ogłasza apel o zakończenie konfliktu poprzez negocjacje. A 8 kwietnia 1965 roku DRW publikuje swoje warunki zakończenia konfliktu, które przez cały dalszy okres negocjacji będą stanowić ich podstawę. Treść tych warunków sprowadzała się do czterech zasadniczych żądań:

1. Wycofanie obcych wojsk z Wietnamu Południo-

wego i zaprzestanie wrogich aktów wobec Północy, likwidacja baz wojskowych.

2. Do czasu zjednoczenia Wietnamu środkami pokojowymi obie jego części nie będą brały udziału w sojuszach wojskowych i nie zezwolą na zakładanie baz ani wprowadzanie obcych wojsk.

3. Problemy Wietnamu Południowego zostaną załatwione przez jego ludność zgodnie z programem FWN.

4. Zjednoczenie Wietnamu metodami pokojowymi będzie sprawą samych Wietnamczyków, bez obcej interwencji.

Jednocześnie DRW proponowała zwołanie konferencji międzynarodowej na wzór genewskiej konferencji z 1954 roku.

Cała ta akcja, wywodząca się z różnych stron i środowisk, nawołująca do pokoju, neutralności i rokowań, wywoływała gwałtowny sprzeciw kierownictwa Stanów Zjednoczonych. Neutralność została stanowczo potępiona w Waszyngtonie już w 1956 roku, kiedy John Foster Dulles oświadczył, że „jest to koncepcja przeżyta, w większości wypadków niemoralna i krótkowzroczna”. A więc „trzeba zabić ideę neutralności — depezuje w maju 1964 roku prezydent Johnson do ambasadora Lodge'a. — Uderzyć w neutralizm, gdziekolwiek ukaże swój ohydny łeb! Najważniejsze — to zahamować wszelkimi środkami gadanie o neutralizmie”.

W sierpniu 1964 roku William Bundy pisze w swym memorandum dla prezydenta: „Musimy sprzeciwić się nadal wszelkiej konferencji wietnamskiej i bardzo ostrożnie traktować taką możliwość w stosunku do Laosu”. „Żadnego rozwiązania politycznego!” — wysłała instrukcję dla ambasadora Taylora (który zastąpił Lodge'a) sekretarz stanu Rusk 1 stycznia 1965 roku.

Jeszcze w 1963 roku taka postawa opierała się na błędnej wprawdzie, ale mocnej wierze w siłę Diema i armii południowowietnamskiej. Ale teraz, kiedy rozwiały się złudzenia, a nawet nowy ambasador pisze o „sytuacji bezrządu” w Sajgonie, kiedy władza i cała odpowiedzialność w Sajgonie przeszły już w ręce ambasady amerykańskiej i jej 23 000 „doradców wojskowych”, taka polityka może prowadzić tylko do następnego kroku — do zbrojnej, otwartej interwencji USA w Wietnamie. Do bezpośredniego konfliktu Stanów Zjednoczonych z narodem wietnamskim. Do wojny, w której — aby zwyciężyć — trzeba zniszczyć cały naród.

Od jesieni 1963 roku nieuchronność trendu niosącego USA ku wojennej katastrofie była właściwie oczywista. Ale proces dojrzewania tragicznej decyzji, osvajania się z nią i uzasadniania jej ideologicznymi, politycznymi i strategicznymi racjami był długotrwały, postępował chwiejnie i powoli.

Podstawą tej decyzji była zdecydowana determinacja zwycięstwa. Różnymi argumentami operowali sztabowcy Białego Domu i Pentagonu, aby uzasadnić konieczność odniesienia tego zwycięstwa. Na początku panowała wszechwładnie teoria domina, a kostka południowowietnamska nabierała zasadniczej, wyolbrzymionej wartości. Jednakże raport CIA, która w porównaniu do innych agencji wywiadu amerykańskiego przez prawie cały czas konfliktu wietnamskiego wykazywała stosunkowo więcej trzeźwości i poczucia realizmu — zdyskwalifikował teorię domina. CIA 9 VI 1964 roku pisze odpowiadając na zapytanie Johnsona: „Z wyjątkiem może Kambodży żadne chyba państwo tego obszaru nie podda się szybko komunizmowi w rezultacie upadku Południowego Wietnamu i Laosu. Co więcej, dalszy rozwój komunizmu w tym rejonie wcale nie jest nieunikniony,



a nawet — jeżeli nastąpi, to będzie on postępować powoli, a tymczasem cała sytuacja może się zmienić...”

Wojskowi USA nie chcą jednak przyjąć tego poglądu. McNamara idzie tak daleko w swojej hazardowej grze w domino, że jako konsekwencję upadku Południowego Wietnamu widzi nie tylko utratę Birmy i Malezji, ale zagrożenie dla Indii, Japonii, Filipin — ba! — nawet Australii i Nowej Zelandii.

Powoli staje się jednak coraz bardziej jasne, że teoria domina spełnia tylko rolę wygodnego i przekonującego sloganu, zasłaniającego względy bardziej istotne. Memorandum a szefów sztabów z 22 stycznia 1964 r. nieco inaczej ujmuje stawkę tej gry: „Porażka naszego programu w Południowym Wietnamie miałaby poważny wpływ na ocenę wytrwałości i decyzji USA oraz na zaufanie do nas w Indii, Indonezji, Malezji, Japonii, Tajwanie, Korei... Równie niekorzystne skutki dla naszej pozycji wystąpiłyby w Afryce i Południowej Ameryce”. Jeszcze wyraźniej formułuje sprawę sekretarz obrony McNamara w marcu 1964 roku: „Na całym świecie... konflikt południowowietnamski uważany jest za sprawdzian możliwości USA w udzielaniu pomocy narodowej dla przeciwstawienia się komunistycznej wojnie wyzwolénckiej”.

A więc gra w domino rozszerza się na cały świat. I nie chodzi w niej już o Wietnam Południowy. Kostka, która może upaść — to prestiż Stanów Zjednoczonych. Analiza dokumentów z tego okresu wykazuje, że zagadnienie interesów i przyszłości narodu wietnamskiego zeszło w rozumowaniach polityków amerykańskich na daleki plan. Memoranda i raporty prześlizgują się pobieżnie nad sprawami reform społecznych, swobód religijnych i praw demokratycznych, które górowały jeszcze — przynajmniej oficjal-

nie — w dokumentach do 1963 roku. Teraz na plan pierwszy wysuwa się lęk przed utratą twarzy przez wielkie mocarstwo. Do tego nie można dopuścić. „W ciągu jednej nocy Stany Zjednoczone przestałyby być potęgą na największym oceanie świata. Nasze statki i samoloty mogłyby opasywać kulę ziemską jedynie za zezwoleniem komunistów” — pisze w sierpniu 1964 roku w „Readers Digest” wiceprezydent Richard Nixon. Dążenie do zwycięstwa za wszelką cenę przekreśla więc rozwiązanie polityczne. A skoro rząd Wietnamu Południowego jest całkowicie niezdolny do walki, nie rozporządza żadną siłą i nawet nie potrafi wykorzystać amerykańskiej broni — pozostaje tylko otwarte użycie siły przez Stany Zjednoczone.

Memorandum Departamentu Obrony wyraźnie formułuje w tym czasie cele USA w Wietnamie: „W 70% jest to uniknięcie poniżającej porażki USA i ich reputacji obrońcy. 20% — obrona obszaru Południowego Wietnamu przed Chińczykami. 10% — umożliwienie mieszkańcom Wietnamu lepszego, swobodniejszego życia. Poza tym musimy wyjść z tego kryzysu bez skazy, wynikającej z powodu użycia niedopuszczalnych metod”.

Tak więc na przestrzeni 1964 roku nastąpiło przedstawienie polityki amerykańskiej w Wietnamie na tory wojskowej interwencji. Analizując dokumenty zawarte w „Aktach Pentagonu” tego okresu obserwujemy stopniowe przygotowywanie planów interwencji. Już nie tylko szefowie sztabów i sekretarz obrony przedstawiają program bombardowania, minowania i desantów w Wietnamie. Zajmują się tym już i doradcy polityczni — W. Bundy, W. Rostow, McGeorge Bundy, sekretarz stanu Rusk, ambasadorowie Lodge i Taylor. Proponują prezydentowi skomplikowane projekty aktywności wojskowej, które —

poczynając od wzmacniania prowadzonej już akcji dywersyjnej pod kryptonimem 34A, wypadów patroli marynarki i zwiadów lotniczych — przechodzą następnie do udziału w operacjach armii południowowietnamskiej, a dalej przewidują naloty bombowe na cele w Północnym Wietnamie, a wreszcie operacje lądowe.

Bombardowania proponowane są w różnych wariantach. Mniej radykalne mają na celu jedynie wykazanie stanowczości rządu USA, zastraszenie przeciwnika i skłonienie go do kapitulacji. Są jednak i projekty dalej idące, w których planuje się niszczenie przemysłu, mostów, składów i węzłów komunikacyjnych przeciwnika. Wszystkie plany zakładają już nie tylko akcję przeciwko partyzantom Wietkongu i ich drogom zaopatrzenia z Północy, ale również uderzenie na DRW.

Zdecydowane odrzucenie jakichkolwiek możliwości politycznego rozwiązywania sprawy Wietnamu powoduje całkowitą militaryzację rozumowania zarówno w Białym Domu, jak i Departamencie Stanu. Wysocy urzędnicy cywilni przystępują tam do prawdziwych gier wojennych, w których rozważane są wszelkie formy możliwego ataku i obrony przeciwnika. 23 maja 1964 roku W. Bundy wspólnie z podsekretarzem obrony McNaughtonem i Williamem Sullivanem opracowali scenariusz trzydziestodniowej akcji rozpoczynającej się od nalotów odwetowych, a kończącej się regularnym bombardowaniem Północy na wielką skalę. Przygotowane zostały dokładne listy celów, rodzaje samolotów i typy bomb. Plan ten nie został wówczas wprowadzony w życie. Odłożono go na 9 miesięcy.

Gorączkowa działalność sztabowa wprowadza do polityki wietnamskiej rządu USA czynnik wojskowego zbiurokratyzowania problemu. Sprawa inter-

wencji poczyna się toczyć kanałami planowania wykonawczego, jako niewątpliwa i zaakceptowana. Niepewny jest jeszcze tylko dzień rozpoczęcia. Takie funkcjonowanie maszyny wojennej ma z kolei ogromny wpływ na rozumowanie aparatu urzędniczego. Stwarza atmosferę jeżeli nie faktów dokonanych — to w każdym razie dokonanych decyzji. Nieaktualne stają się już wahania co do samej zasady interwencji. Pozostają tylko do rozstrzygnięcia sprawy drugorzędne, jak data i zakres akcji. Atmosfera ta ułatwia w dużym stopniu proces brnięcia, dryfowania USA w kierunku wojny, stwarza fascynację siłą. Przecież porównanie stosunku sił USA i DRW na papierze doprowadziło do wyciągnięcia miażdżących wniosków. Komputery naładowane danymi uzbrojenia, tonażu, siły ognia i zaplecza przemysłowego USA — przewidywały klęskę Wietnamu Północnego razem z FWN w ciągu godzin. Komputery trudno jest programować na imponderabilia, wolę walki, patriotyzm, poświęcenie czy też tajemnicze umiejętności walki w dżungli. Skutkiem więc tych teoretycznych gier wojennych był mechaniczny i fałszywy obraz stosunku sił, wywołujący pewność siebie i pogardę dla przeciwnika i popychający w stronę błędnych rozwiązań. Rodziła się prosta pewność, że skoro tylko USA wprowadzi w ruch swoją przewagę — przeciwnik natychmiast ulegnie i skapituluje. Pokusa szybkiego zwycięstwa stawała się coraz bardziej nieodparta.

W tym samym duchu działał także inny mit, który powstał wśród polityków amerykańskich. Panoowało tam przekonanie, że rząd DRW, który w ciągu 10 lat rozwoju swego państwa położył podwaliny pod budowę narodowego, młodego przemysłu, nie może dopuścić do zniszczenia go. Skoro tylko Hanoi przekona się, że Amerykanie są naprawdę zdecydowani na bezwzględne bombardowanie miast i ośrodków

przemysłowych — skapitułuje, aby uniknąć zniszczeń. Najbliższy doradca Johnsona, Walt Rostow, rozbudował taką teorię w memorandum z 13 lutego 1964 roku. Jego zdaniem, „Ho Szi Min już nie jest partyzantem. Musi bronić kompleksu przemysłowego swego kraju”. Większość polityków uwierzyła w tę teorię. Na próżno CIA, szef Departamentu Studiów Departamentu Stanu i George Ball oponują. Udowadniają nawet w trakcie gry wojennej, że DRW potrafi skutecznie się bronić mimo zniszczeń, że jest to nadal kraj tak słabo rozwinięty, iż zniszczenie prymitywnego przemysłu nie wpłynie decydująco na wolę i możliwość walki, a dekoncentracja produkcji zbrojeniowej w wioskach jest tak silna, że trzeba by zniszczyć cały kraj, aby podważyć możliwości jego oporu. Grupa jastrzębi nie przyjmuje tych argumentów. Na przestrzeni 1964 roku słabnie w Białym Domu wpływ doradców rozumujących ostrożnie i realistycznie.

Tak oto — zanim jeszcze padły pierwsze amerykańskie bomby na DRW — armia amerykańska znalazła się właściwie w walce. Zatarły się powoli granice oddzielające grę wojenną od wojny. Planowanie ewentualnych operacji stało się realniejsze od rzeczywistości, zmuszało do przekraczania granicy gry, popychało do sprawdzenia w terenie pomysłów sztabowych. Zespół doradców prezydenta podniecał się wzajemnie do poszukiwania lepszych, skuteczniejszych, pomysłowszych scenariuszy ataków. Powstała atmosfera, w której wybuch był konieczny i nieunikniony. Mnożyły się apele, pogotowia, alarmy, przerzucano jednostki na teatrze azjatyckim, płynęły transporty z zaopatrzeniem i amunicją. Każde zarządzenie dawało początek ciągowi faktów, których odwołanie było coraz trudniejsze. Każdy rozkaz uruchamiał w olbrzymim aparacie wojennym wielkiego

mocarstwa mechanizmy, które potem rządziły się już własnymi prawami. Nie było powrotu. Można się tylko dziwić, że proces ten trwał tak długo, że wybuch nie nastąpił wcześniej. Czynnikiem powstrzymującym jeszcze mechanizm zapłonu było ówczesne stanowisko prezydenta Johnsona.

## VIII. Pierwsze naloty amerykańskie

Opisy rosnącego angażowania się Stanów Zjednoczonych w wojnę wietnamską posługują się często określeniem zapożyczonym ze słownika marynarskiego: „drifting”, dryfować, być znoszonym przez fale niezależnie od woli żeglarza. Jest to określenie obrazowe, ale w tym wypadku niewłaściwe. Obraz polityki amerykańskiej w Wietnamie daleki był od bezradności żeglarza znoszonego przez prądy morskie wbrew jego woli. Dokumenty i pamiętniki z tego okresu wykluczają taką fatalistyczną interpretację wydarzeń, która mogłaby usprawiedliwiać polityków i strategów. Materiały te dowodzą, że przez cały rok 1964 trwało świadome, mozolne i drobiazgowo planowanie operacji wojskowych w Wietnamie. Zarówno w Waszyngtonie, jak i w Sajgonie przygotowywane były szczegółowe programy działania w różnych wariantach i na różną skalę, tak żeby w chwili powzięcia decyzji wystarczył już tylko sygnał dla rozpoczęcia operacji. Plany obejmowały całą pełną gamę działań wojennych, zaczynając od wywiadu, sabotażu, ataków psychologicznych i nękających, poprzez dokładne programy bombardowań z opracowaną siatką celów, obejmującą obiekty wojskowe, przemysłowe, mosty, węzły komunikacyjne, porty, lotniska i zgrupowania miejskie. Na końcu planowa-

no działania lądowe, które miały rozpocząć się od desantów w Południowym Wietnamie, miały tam utworzyć przyczółki i bazy i stopniowo rozwinąć się w operacje przeciw wojskom przeciwnika.

W „Aktach Pentagonu” znajdujemy kilkanaście tego rodzaju planów operacyjnych z lat 1963—1965, choć z pewnością nie wszystkie projekty zostały objęte tą dokumentacją. Część z nich opracowana została przez Pentagon, pozostałe powstały w dowództwie sił Pacyfiku lub w sztabie wojskowym ambasady USA w Sajgonie. Znajdujemy też w tych materiałach plany przygotowane przez instytucje cywilne — a więc bądź Narodową Radę Bezpieczeństwa, bądź zespół doradców Białego Domu. Pomiedzy planami wojskowymi i cywilnymi jest wiele istotnych różnic, ale są też ciekawe zbieżności.

Najbardziej charakterystyczną wspólną cechą — a dziś wiemy już, że wspólnym błędem — było zdecydowane i jednogłośnie odrzucanie możliwości politycznego rozwiązania kwestii wietnamskiej, a poleganie wyłącznie na sile militarnej. Zarówno wojskowi, jak i cywile — z nielicznymi tylko wyjątkami — nie chcą słyszeć o negocjacjach z powstańcami Południa, z rządem DRW, kategorycznie sprzeciwiają się neutralizacji Indochin i ostro krytykują sugestie i rady wycofania się z Wietnamu, nawet jeśli pochodzą od osób tak kompetentnych, jak generał de Gaulle. Podobne militarne podejście charakteryzuje stosunek rządu amerykańskiego do południowowietnamskiej problematyki społecznej i gospodarczej. Amerykanie nie zastanawiają się nad przyczynami buntu buddystów czy udziału chłopów w powstaniu, nie szukają możliwości stworzenia politycznie stabilnej i opartej na bazie prawdziwych reform społecznych republiki. Interesuje ich tylko armia, policja, bezpieczeństwo dróg i baz, walka z powstańcami i od-



separowanie ich od ludności kraju metodami politycznymi, „pacyfikacją” i budową wiosek strategicznych. Przecież w tej fazie można było rozwiązać ten konflikt inaczej. Front Wyzwolenia Narodowego nie rozporządzał jeszcze lojalną większością ludności. Gdyby Amerykanie poparli utworzenie liberalnego, patriotycznego i opartego na szerokiej bazie społecznej rządu w Sajgonie, który przy pomocy tylko części kwot przeznaczonych na zbrojenie przeprowadziłby na Południu reformy społeczne — mogli byli częściowo przynajmniej osiągnąć pożądane cele.

W 1964 roku politycy USA opierali swoją politykę na koncepcji globalizmu. Sfera wpływów USA powinna sięgać tak daleko, jak na to pozwala ich potęga, i może być ograniczona jedynie przez potęgę innego mocarstwa. A więc trzeba stawiać słupy graniczne wpływów amerykańskich jak najdalej, we wszystkich punktach globu ziemskiego, gdzie tylko inna siła na to pozwoli, a zatrzymywać się dopiero tam, gdzie inne mocarstwo już postawiło swoje. Wietnam był znakomitym miejscem dla demonstracji siły i gotowości jej użycia. Bo przecież zaraz za miedzą zanosilo się na szybki wzrost nowego, wielkiego mocarstwa — Chin Ludowych. Jeszcze był czas, aby postawić na szlaku jego możliwej ekspansji zbrojną amerykańską zaporę.

Największy strach budziła możliwość ekspansji ideologicznej. Z raportów i memorandumów „Aktów Pentagonu” przebija histeria antykomunistyczna biurokracji, która widzi możliwość przeciwstawienia się innej ideologii jedynie w sile wojskowej. Zdumiewająca była ignorancja ekspertów dalekowschodnich, którzy nie dostrzegali narodowych i patriotycznych, antykolonialnych i społecznych, etnicznych i gospodarczych pobudek partyzantki wietnamskiej. Istniał dla nich tylko diabelski plan Kremla skomunizowa-

nia Azji Południowo-Wschodniej. Eksperci ci nie umieli zaproponować żadnej ideologicznej alternatywy, nie potrafili przeciwstawić tej groźbie żadnego politycznego wariantu. Prócz użycia siły. Skoro nie można bezpośrednio uderzyć w Kreml — należy zniszczyć ekspozyturę jego agresji w Wietnamie. W tym celu trzeba odnieść zwycięstwo nad Frontem i DRW. Ażeby zwyciężyć, trzeba rozpocząć wojnę. Taka była fałszywa droga pozornie logicznego ustawienia celów i środków przez polityków Waszyngtonu. Ale ludzie, dla których cel uświęca środki, przede wszystkim powinni wiedzieć, że nigdy nie uświęca on błędów.

Intensywność amerykańskiego angażowania się w Indochinach miała swe źródło w innym jeszcze zjawisku. W polityce zagranicznej USA lat sześćdziesiątych nastąpiło wyraźne przesunięcie geograficzne. Europa przestała być głównym celem i przedmiotem aktywności amerykańskiej. Dojrzewająca równowaga sił Wschodu i Zachodu zaczęła tam stwarzać niekorzystne dla USA zmiany. Osłabienie sojuszu atlantyckiego było wprost proporcjonalne do rosnącej siły i samodzielności głównych europejskich partnerów NATO. Zaczęli oni prowadzić swoją własną politykę wschodnią, trzeźwiej i realistyczniej obliczając polityczne i gospodarcze korzyści, wynikające z poprawy stosunków z krajami socjalistycznymi. Powstały również trudności dla ekspansji kapitału amerykańskiego w Europie zachodniej, a Wspólny Rynek — wbrew amerykańskim oczekiwaniom — bynajmniej tej ekspansji nie ułatwiał. Dodatkowym elementem było stanowisko de Gaulle'a, blokujące wzmocnienie amerykańskich wpływów w Europie.

Ekspansjonizm USA szukał więc innego świata do zdobycia, opanowania i wykorzystania dla swych globalnych koncepcji. Tym terenem stała się Azja, gdzie

od czasu II wojny światowej pozostały silne przy-  
czółki amerykańskich wpływów, zagrożone teraz  
przez chińską rewolucję. Ta azjatycka orientacja,  
modna podówczas wśród wyższych urzędników De-  
partamentu Stanu i Białego Domu, była na pewno  
jedną z poważnych przyczyn zaangażowania się USA  
w Indochinach. Jednakże ekspansja ta otrzymała od  
razu wyzwanie ze strony wietnamskich partyzantów  
i wywołała w Waszyngtonie gwałtowną reakcję. Sta-  
ny Zjednoczone doszły do wniosku, że nie mogą do-  
puścić do „utrąty twarzy” na tym kontynencie.

Strach przed możliwymi konsekwencjami bezczyn-  
ności w Wietnamie przewija się przez wszystkie do-  
kumenty tego okresu. McNamara uważa za obowią-  
zek USA „udowodnić na przykładzie Wietnamu, że  
«wolny świat» może dać sobie radę z komunistycz-  
nymi wojnami wyzwolenческими”. Prezydent John-  
son oświadczając, że „nie będę prezydentem, przy  
którym Azja Południowo-Wschodnia pójdzie za przy-  
kładem Chin” — stwierdza, iż „bezczytność USA  
odbiłaby się na ich narodowym honorze, podmino-  
wała światowe zaufanie do amerykańskiej odwagi,  
przekonałaby każdy naród w Azji Południowo-  
-Wschodniej, że — aby istnieć — musi się ugiąć  
przed komunistycznymi żądaniami”. Memorandum  
szefów sztabów stwierdza, iż „porażka naszego pro-  
gramu w Południowo-Wschodniej Azji miałaby po-  
ważny wpływ na ocenę wytrwałości, determinacji  
i na zaufanie do USA w Indiach, Indonezji, Japonii,  
Tajwanie, Korei... Odpowiednio niekorzystne skutki  
dla naszej reputacji wystąpiłyby w Afryce i Połu-  
dniowej Ameryce”. Horyzont strachu więc coraz bar-  
dziej się rozszerza. Senator Robert Kennedy nieco  
później scharakteryzuje ironicznie tę koncepcję mó-  
wiąc, że „każą nam walczyć tam (w Wietnamie) po  
to, byśmy nie musieli się bić w Tajlandii, po to,

abyśmy nie musieli się bronić na naszym zachodnim wybrzeżu, żeby (komuniści) nie mogli przejść przez Góry Skaliste!"

Historia następnych dziesięciu lat bezlitośnie zde-maskowała błąd całego tego rozumowania, opartego o kompleks prestiżu. Potężne Stany Zjednoczone przegrały wojnę z nierozwiniętym, biednym, trzydziestomilionowym narodem Wietnamu i musiały się wycofać z Indochin, stosując przy tym nie przekonywające nikogo pozory ratowania twarzy. Ale załóżmy przez chwilę, iż stało się inaczej, że olbrzymim, dalszym wysiłkiem swej niszczącej potęgi i za cenę jeszcze kilku milionów trupów USA wygrałyby wojnę i rzuciły na kolana naród Wietnamu. Czy podniosłoby to prestiż i zaufanie do Stanów Zjednoczonych w Azji i w świecie? Czy byłoby to zwycięstwem idei „dopomożenia Wietnamczykom do lepszego i swobodnego życia”?

A więc sama koncepcja interwencji USA w Wietnamie była niesłuszna, nie odpowiadała interesom USA, była przejawem fałszywego mesjanizmu politycznego w wydaniu wojskowym, nosiła w sobie cechy irracjonalnej krucjaty. Fałszem był argument obrony wolności i demokracji poprzez popieranie totalitarnego, skorumpowanego, policyjnego rządu sajsgońskiego. Cynizmem obrona szczęścia ludności — poprzez zniszczenie jej.

Realizacja programu amerykańskiego pociągała za sobą łańcuch nowych błędnych posunięć. Stany Zjednoczone nie mogły bez uzasadnienia i pretekstu zaatakować DWR ani wprowadzić swoich wojsk do Wietnamu. Nie zaakceptowałyby tego zdrowa amerykańska opinia publiczna, reperkusje światowe takiego aktu byłyby fatalne, a państwa azjatyckie uważałyby go za nową kolonialną awanturę. Toteż przez dłuższy czas prowadzą Stany Zjednoczone woj-

nę potajemną — tzw. covert operations pod kryptonimem „plan 34A”, rozpoczęty 1 lutego 1964 roku. Miał on przynieść „maksimum nacisku przy minimum wysiłku”. W programie były loty szpiegowskie i bombardowania przy pomocy nie oznakowanych samolotów, ostrzeliwanie z morza instalacji przybrzeżnych, porywanie ludzi, sabotaż przemysłowy, wysadzanie w powietrze urządzeń komunikacyjnych i mostów, zrzucanie grup spadochroniarzy. Rozpoczęto też demonstracyjne patrolowanie wybrzeży przez flotę wojenną USA. Cała ta akcja miała swoją zaplanowaną eskalację, której zadaniem było zastraszenie przeciwnika i zmuszenie go do wydania rozkazu wstrzymania operacji partyzanckich na Południu.

Podstawą tego planu było przyjęcie założenia, że walka partyzancka na Południu nie była rewolucyjnym powstaniem, a jedynie zamaskowaną agresją z Północy. Trzeba więc tam uderzyć — w samo serce agresji. Rząd sajgoński w jednym ze swoich kolejnych wcieleń w lipcu 1964 roku ogłosił wprawdzie hasło „marszu na Północ”, ale Amerykanie w tym czasie już dobrze wiedzieli, że jest to tylko buńczuczna pogróżka, bo armia południowowietnamska nie jest zdolna do takiej operacji. Toteż koncepcje szefów sztabów i cywilnych ekspertów koncentrują się dokoła nowego planu: zniszczenia DRW z powietrza.

Założenia sztabowe nie przewidywały początkowo długotrwałego bombardowania Północy. Zakładały szybki, zwycięski efekt po krótkiej, jednorazowej akcji. Była to koncepcja powietrznego blitzkriegu. Opierała się na rozumowaniu głównego politycznego doradcy i złego ducha Johnsona — Walta Rostowa, którego ktoś nazwał w Waszyngtonie „Rasputinem Białego Domu”. Przekonywał on prezydenta, że groźba zniszczenia przemysłu radykalnie zastraszy przy-

wódców DRW i zmusi ich do likwidacji partyzantki. Trzeba im tylko dowieść, że Amerykanie są naprawdę do tego zdolni, trzeba to udowodnić w działaniu.

Ale trudno było użyć otwarcie i bez „casus belli” lotnictwa przeciw państwu, z którym się nie było w stanie wojny. Potrzebne było do tego co najmniej upoważnienie Kongresu, z którym Johnson bardzo się liczył. W 8 lat później Nixon będzie bombardować Laos i Kambodżę i podejmie wiele innych działań wojskowych nie informując nawet o tym Kongresu. Ale też kiedy sprawa wyjdzie na jaw, stanie się ona jedną z przyczyn wielkiego kryzysu politycznego, zakończonego usunięciem prezydenta z urzędu. Johnson był o wiele mądrzejszy i znacznie lepiej znał sprężyny działania Kongresu. Wiedział, że trudno go zgwałcić, ale łatwo uwieść. Toteż w kasie pancерnej Białego Domu już od wiosny 1964 roku leżał gotowy projekt uchwały Kongresu, upoważniającej prezydenta do podjęcia działań w Wietnamie, niezbędnych dla „obrony” Stanów Zjednoczonych. W projekcie pozostawiono tylko wykropkowane miejsce na pretekst do uchwalenia wniosku i na datę.

Dowództwo amerykańskie na Pacyfiku czekało tylko na okazję, aby tego pretekstu dostarczyć. Stał się nim incydent z niszczycielem „Maddox”. 2 i 4 sierpnia 1964 roku, kiedy „Maddox” wszedł na wody terytorialne DRW, patrolowe łodzie sajsgońskie właśnie dokonywały w pobliżu aktów sabotażu w ramach planu 34A. Obrona wybrzeża DRW miała wszelkie prawa sądzić, że „Maddox” bierze w nich udział.

2 sierpnia łódź patrolowa DRW zaatakowała „Maddoxa”, zresztą bez rezultatu. W nocy 4 sierpnia atak miał się jakoby powtórzyć, ale późniejsze informacje wskazują na to, że był on jedynie wytworem wyobraźni dowódcy statku, skwapliwie zaakceptowa-

nym przez szefów sztabów, czekających od dawna na taką okazję. Uruchomiono wielki aparat propagandowy, wywołujący w Stanach falę oburzenia i podrażnionej dumy wielkiego mocarstwa. Ułatwiło to znakomicie prezydentowi przeprowadzenie przez Kongres dawno przygotowanej rezolucji. Senat przyjął ją większością 88 głosów przeciwko dwóm, Kongres — jednomyślnie. Był to blankiet upoważnienia do podjęcia akcji odwetowej przez Johnsona.

Dopiero po 6 latach wyszły na jaw wszystkie okoliczności sprawy i podstęp, jakim oszukano opinię publiczną i Kongres. Kongres formalnie sprostował pomyłkę. 24 czerwca 1970 roku rezolucja została unieważniona. Ale było to o wiele lat za późno. Bomby, które spadły na DRW 5 sierpnia 1964 roku, nie dały się unieważnić ani odwołać. Rozpoczął się lawinowy proces, który pociągnął za sobą tragiczne wydarzenia zarówno dla Wietnamu, jak i dla Stanów Zjednoczonych.

Odwetowe, masowe naloty bombowe powtarzano wielokrotnie w drugiej połowie tego roku pod nazwą akcji „Pierce Arrow” („Przeszywająca Strzała”). Bombardowano urządzenia portowe, linie komunikacyjne, lotniska, magazyny i zakłady przemysłowe, ale bezskutecznie. Rząd w Hanoi nie przestraszył się tej demonstracji siły, prowadzonej wbrew prawu i wszelkim zasadom współżycia międzynarodowego. Partyzantka na Południu rozwijała się nadal, mnożyły się ataki oddziałów FWN przeciwko lotniskom i obozom wojskowym amerykańskich doradców. Nastąpiły bolesne, błyskawiczne wypady na amerykańskie bazy w Bien Hoa, Quinhon i Pleiku, w których zginęły dziesiątki amerykańskich żołnierzy. Na Gwiazdkę wybuchła bomba w amerykańskim hotelu w Sajgonie, zabijając 8 oficerów i raniąc 58.

Opinia amerykańska z niepokojem przyjmuje in-

formacje o tych pierwszych stratach. Był to okres, w którym rząd amerykański miał największe poparcie społeczeństwa dla swojej akcji wietnamskiej. Zmiana nastrojów nastąpi dość szybko. Ale na razie prasa, telewizja i sfery polityczne żądają twardej ręki.

O to właśnie chodziło dowództwu amerykańskiemu i jastrzębiom w Białym Domu. Przekonali się już, że „Pierce Arrow” nie przynosi przełomu w konflikcie. Początkowo rozszerzają zakres incydentów, które powinny sprowokować naloty odwetowe. McNamara wylicza jako prowokacje wietnamskie, na które trzeba odpowiedzieć nalotami, „strzelanie z moździerzy, minowanie portów, naloty migów oraz każdy barbarzyński akt terroru, który poruszy opinię USA i świata”. Szefowie sztabów piszą, że „nasze środki odwetowe muszą być silniejsze niż prowokacje (wroga) i nie powinny się ograniczać do podobnych celów”. A admirał Grant Sharp, dowódca sił na Pacyfiku, pisze, że „nasza akcja stworzyła sytuację, która może doprowadzić do osiągnięcia naszych celów... Jest rzeczą bardzo ważną, żebyśmy nie stracili rozmachu”. We wrześniu wojskowe jak i cywilne kierownictwo wspólnie postanawia rozpocząć już nie odwetowe — a więc uzależnione od akcji zaczepnych przeciwnika — ale systematyczne, zmasowane, narastające bombardowania pod nazwą akcji „Rolling Thunder” („Dudniący Grzmot”).

Uzasadnieniem tej akcji jest nowa teoria, zgodnie z którą można wygrać wojnę wyłącznie przy pomocy masowego użycia sił lotniczych. Szefowie sztabów posuwali się tak daleko w swym strategicznym optymizmie, że wierzyli w możliwość zniszczenia głównych zasobów i sił DRW w ciągu trzech dni! Potem będzie się już tylko dobijać przeciwnika tak długo, zanim nie poprosi o pokój.



W innym dokumencie operacyjnym z wiosny 1964 roku szefowie sztabów utrzymują, że wystarczy 12 dni bombardowań, aby zniszczyć wszystkie cele w Północnym Wietnamie, zapewniające pomoc i zasilające infiltrację na Południe. Chodziło przede wszystkim o mosty, magazyny, zbiorniki paliwa. Dopiero otrzeźwiające wyniki akcji „Pierce Arrow” zmusiły sztabowców do rewizji tych przepowiedni. W listopadzie uważają już, że wojna lotnicza potrwa od dwóch do sześciu miesięcy, w którym to czasie Hanoi będzie musiało się poddać.

Zastanawiając się nad rozumowaniem amerykańskich sztabowców należy sobie zdać sprawę, że mieli oni zupełnie fałszywe pojęcie o przemyśle DRW. Spuścizna kolonialna, którą odziedziczyła młoda republika, była w dziedzinie gospodarczej niezmiernie uboga. Składała się przeważnie z drobnych zakładów, rozrzuconych w terenie, a kierownictwo wietnamskie, licząc się z akcją nieprzyjaciela — do czego zresztą walnie przyczyniła się akcja 34A — budowało w latach pięćdziesiątych również tylko niewielkie zakłady, rozrzucone w terenie i zamaskowane. Podobnie rzecz się miała ze składami i urządzeniami wojskowymi. Ponadto w latach sześćdziesiątych przeprowadzono akcję dalszej dekoncentracji zakładów produkcyjnych. Poszczególne działy fabryczek przenoszono często do prostych, wiejskich chałup, maskowano je w dżungli, wykorzystywano do tego celu jaskinie i tereny górskie. Na wielką skalę rozwinęła się sztuka mistrzowskiego kamuflażu, która dawała szpiegowskim lotom zupełnie fałszywe zdjęcia terenu. Budowano pozorowane mosty, atrapy koszar i składów. Nigdy jeszcze w historii wojen sztuka zwodzenia przeciwnika nie stała na tak wysokim poziomie, nigdy też jeszcze przeciwnik nie polegał na najzupełniej fałszywej ocenie zadanych strat i znisz-

czeń z tak wspaniałą pewnością siebie ani nie wyciągał z niej tak błędnych wniosków wojskowych i politycznych.

Nie znaczy to, aby bombardowania amerykańskie — w pierwszej fazie jeszcze stosunkowo niezbyt intensywne — nie przynosiły DRW strat i nie pociągały za sobą licznych ofiar ludzkich. Ale skala ich była zupełnie inna, niż przypuszczał sztab USA, a skutki polityczne diametralnie różne od zamierzonych.

Bomby akcji „Pierce Arrow”, rujnując liczne budynki, z których przeważnie już usunięto maszyny i robotników, utwierdziły tylko kierownictwo wietnamskie w ocenie słuszności ich akcji rozdrabniania i deglomeracji gospodarki. Wywołały nawet pewne lekceważenie możliwości Amerykanów. Lekceważenie to małało w następnych latach, kiedy lotnictwo USA zaczęło wykorzystywać wszystkie swoje mordercze możliwości. Jeżeli zaś chodzi o ludność Wietnamu, bombardowanie ogromnie podniosło zwartość i psychiczną mobilizację społeczeństwa, wzbudzając jednocześnie rosnącą odtąd stale nienawiść do Amerykanów. Przyczyniały się do tego naiwne i prostackie ulotki, rozrzucane masowo przy okazji nalotów, które usiłowały przekonać bombardowaną ludność, iż Stany Zjednoczone pragną tylko dobra Wietnamczyków i niosą im wolność i demokrację. Szczyt brutalności i głupoty osiągnięto chyba 10 września 1965 roku, kiedy z okazji „Dnia Dziecka” bombardowcy amerykańskie — niezależnie od bomb — zrzuciły na DRW 9000 paczek z zabawkami dla dzieci wietnamskich. Trudno byłoby uwierzyć w ten tępy wyczyn propagandowy, gdyby nie był on z dumą opisany w oficjalnym raporcie dowódcy floty Pacyfiku na str. 21.

Ujawnione obecnie plany amerykańskiego sztabu

przedstawiają inne jeszcze cele polityczne bombardowania Wietnamu Północnego. Chodziło o podniesienie morale zarówno kierownictwa sajgońskiego, jak i ludności na Południu. Amerykanie po pierwszym okresie nadziei, związanych z usunięciem Diema, zdawali już sobie dobrze sprawę z chwiejności i słabości zmieniających się i skłóconych generalskich rządów sajgońskich. Uważano, że najlepszą formą moralnego ich podbudowania będzie pokazanie amerykańskiej determinacji i siły w postaci bombowych nalotów na DRW. Rozumowanie to zawiodło. Pierwsze naloty rozpoczęły się 5 sierpnia 1964 roku. To prawda, że zostały one przyjęte przez sajgońskich generałów z radością — ale polityczny skutek był chyba dość wątpliwy. Między 16 sierpnia a 3 września zmieniły się bowiem w Sajgonie trzy rządy, 16 września dokonano wojskowego zamachu stanu, w październiku doszedł do władzy rząd cywilny, 25 listopada wybuchły rozruchy i wprowadzono stan oblężenia, a 20 grudnia — żeby sprawę doprowadzić do końca roku — nastąpił znowu przewrót i zmiana rządu. W tych warunkach trudno chyba mówić o sukcesach akcji „wzmocnienia rządu w Sajgonie poprzez akcję bombardowania Północy...”

Jeszcze większe wątpliwości musi budzić celowość koncepcji podnoszenia morale ludności cywilnej Południa za pomocą bombardowań Północy. Koncepcja zakładała, że ludność Południa — popierając rząd sajgoński — jest jedynie terroryzowana przez nasłanych z Północy partyzantów i żywi wrogie uczucia wobec DRW. Amerykanie nie rozumieli, że wojna i związane z nią migracje przemieszały ludność kraju. Wielu mieszkańców Południa z troską myślało o losie swoich rodzin pod amerykańskimi bombami na Północy. Rosła nienawiść do białych barbarzyńców rujnujących część ich kraju.

Nie inaczej było wśród żołnierzy armii południowowietnamskiej, która liczyła w tym czasie już 600 000 żołnierzy. Umundurowani i świetnie wyekwipowani przez USA żołnierze mieli tylko jedną, nader istotną słabą stronę: nie nadawali się do walki. Dopiero w 1966 roku McNamara napisze z goryczą: „Jest to zniechęcająca prawda, że ani w 1961 i 1963, ani w 1965 roku nie znaleźliśmy formuły, która by ich natchnęła, podnieciła i nauczyła skutecznej walki... Próbowano kolorowych uniformów i odznak, opłacano naukowców, żeby studiowali środki oddziaływania na nich — na próżno...”. Chłopscy synowie w kolorowych uniformach nie tylko nie mieli powodu, aby strzelać do swoich braci w dżungli, ale byli gotowi do oddania im swojej broni, swoich informacji, a często po prostu przechodzili na ich stronę. Znajdowali tam przecież pociągającą ideę społeczną, hasła patriotyczne, apel narodowej jedności Ho Szi Mina. Po stronie Sajgonu widzieli jedynie czynniki odpychające — korupcję, uległość wobec białych najeźdźców i rozkład moralny rządu. Marszałek Foch powiedział kiedyś, że rząd może istnieć bez armii — ale armia bez rządu nigdy. Toteż armia sajgońska była kosztowną fikcją. Dlatego Amerykanie, jeżeli nie chcieli wyjść z Wietnamu, musieli tam wejść i walczyć samotnie.

W 1964 roku świadomość o powyższej prawdzie jeszcze nie ugruntowała się w Białym Domu, ale już kierowała planami szefów sztabów. W jesieni zorientowano się, że ani tajna wojna według planu 34A, ani akcja „Pierce Arrow” nie rzucą na kolana rządu w Hanoi, nie umocnią rządu w Sajgonie i nie zahamują partyzantki na Południu. A jeżeli nie można posłać Wietnamczyków przeciw Wietnamczykom, bo ludzie ci nie pozwalają się użyć, trzeba sprowadzić maszyny. W sztabach zapadła decyzja spróbowania

innego wariantu strategicznego, tzw. akcji „Full Squeeze” — pełnego nacisku lotniczego, czyli niszczących bombardowań na wielką skalę. Skoro na Południu nie można przeprowadzić rozstrzygających operacji, postanowiono uderzyć z całą siłą na Północ.

Rozpoczęcie takiej akcji wymagało jednak zarówno zgody Białego Domu, jak i przekonania Kongresu i przygotowania opinii publicznej w Stanach. Wprawdzie USA nie uznały oficjalnie DRW, ale podjęcie już nie odwetu, lecz regularnych działań wojennych przeciw temu państwu bez wypowiedzenia wojny było przedsięwzięciem delikatnym, chociażby ze względu na ryzyko reakcji ZSRR i ChRL. Aby usprawiedliwić taką akcję w oczach własnej opinii publicznej, trzeba było użyć argumentów bardziej przekonujących niż incydenty na Południu, które mogły co najwyżej wystarczyć jako preteksty do nalotów odwetowych.

W tym celu rozwinięty został mit o agresji z Północy. Prasa amerykańska w II połowie 1964 roku i w roku następnym przepełniona jest informacjami o infiltracji oddziałów północnowietnamskich na Południe, a wszystkie wypowiedzi przywódców USA kładą nacisk na ujawnienie agresorów z DRW, którzy terroryzują ludność Południa i zmuszają ją do współdziałania z partyzantką. Oficjalny raport naczelnego dowódcy frontu Pacyfiku o działaniach wietnamskich stwierdza na wstępie, że „wojnę wietnamską charakteryzuje istnienie armii najeźdźców, którzy zaprzeczają swemu istnieniu”.

Sprawa wojsk północnych na Południu stanie się aktualna od 1966 roku. Wcześniej przechodzili na pewno przez strefę demarkacyjną instruktorzy i specjaliści od uzbrojenia i partyzantki — ale nie było to zjawisko masowe. Nie można było mówić o żadnych oddziałach regularnych ani o ciężkim sprzęcie.

Nawet wspomniany już raport admirała Sharpa stwierdza, że „do połowy 1964 roku większość przybyszów byli to południowi Wietnamczycy, którzy zostali przegrupowani na Północ po zawieszeniu broni w 1954 roku”. Również „Biała Księga” wydana w 1965 roku („Aggression from the North”) nie potrafi udowodnić istnienia na Południu jednostek przybyłych z Północy. Przytacza jedynie zeznania czterech dezertersów, jakoby stamtąd przysłanych. Kierownik Departamentu Studiów Departamentu Stanu, Thomas Hughes, stwierdza w 1964 roku, że „ogromna większość sił Wietkongu to południowi Wietnamczycy, a większość ich broni nie pochodzi z krajów komunistycznych i jest zdobyta, kupiona lub wyprodukowana na miejscu”. Według urzędowych statystyk sajsgońskich, w latach 1962—1964 wojska południowowietnamskie straciły na rzecz nieprzyjaciela 27 000 sztuk broni.

Raporty CIA, która w ciągu tej wojny była na ogół lepiej poinformowana niż wywiad wojskowy i wyciągała ze swych wiadomości dużo inteligentniejsze wnioski — też nie stwierdzały w tym czasie istnienia infiltracji. CIA pisze tylko, że w latach 1963—1964 wróciło na Południe od 19 do 34 tysięcy południowców. Nie wspomina jednak o żadnych jednostkach bojowych. CIA zasygnalizuje je dopiero w drugiej połowie 1965 roku — po wielkich bombardowaniach DRW. CIA uparcie ostrzegała, że „źródła siły komunistów w Południowym Wietnamie są miejscowe i płyną z pobudek nacjonalistycznych, podobnie jak w okresie walki z Francją”.

Istnienie infiltracji było jednak potrzebne politykom ze względu na sytuację wewnętrzną USA. W styczniu 1965 roku sekretarz stanu Rusk ogłasza więc przerzucenie 325 dywizji północnowietnamskiej na Południe. Ta tajemnicza dywizja-widmo jest póź-

niej przedmiotem gwałtownych poszukiwań wywiadu amerykańskiego. Nie wspomina o niej „Biała Księga”. McNamara po kilku miesiącach mówi już tylko o batalionie 325 dywizji, potem w raportach Pentagonu zamienia się ona w pułk, po pewnym czasie słuch o niej ginie. Przestała być widać potrzebna.

Spółeczeństwo amerykańskie dało się oszukać akcji propagandowej, która — operując mitem infiltracji — uzasadniała naloty na DRW, mające jakoby na celu rozbicie źródeł agresji na spokojny i przyjazny Wietnam Południowy oraz przecinanie dróg infiltracji i zniszczenie jej składów zaopatrzenia.

Skutek — jak we wszystkich niemal poczynaniach amerykańskich w Wietnamie — był wprost przeciwny od zamierzonego. DRW nie była oczywiście w stanie obronić się przed rosnącymi uderzeniami zmasowanych sił lotniczych USA. Jej kierownictwo wojskowe dochodzi więc do bardzo podobnego wniosku, co generałowie amerykańscy: skoro nie możemy wygrać tej wojny po naszej stronie 17 równoleżnika — trzeba uderzyć na drugą stronę. I właśnie wtedy zaczyna się intensyfikacja wojny na Południu. Teraz nie jest to już wojna domowa, ale wojna narodowa przeciw obcemu napastnikowi. Przeciw Stanom Zjednoczonym.

Na przełomie 1964 i 1965 roku stało się jasne — nawet dla laików, jakimi byli rzeczoznawcy Białego Domu — że koncepcja wygrania wojny za pomocą samych tylko nalotów i bomb jest całkowicie błędna. Powinno to zresztą było być jasne już od II wojny światowej. Hitler nie wygrał wojny z Anglią nalotami na Londyn, a alianci nie bombardowaniem osiągnęli zwycięstwo nad Niemcami w 1945 roku.

W miarę jak mnożą się bombardowania Północy, następuje równoległy rozwój partyzantki na Południu, która coraz silniej zagraża miastom, a nawet stolicy

kraju. Coraz wyraźniej widać bezwartościowość armii sajgońskiej, bezsilę i bezradność południowego rządu. 22 grudnia w wystąpieniu generała Khana zabrzmiała pogróżka, żywo przypominająca postawę Diema w ostatnich miesiącach jego życia: „Armia sajgońska poświęca się dla niepodległości kraju... a nie dla polityki jakiegoś obcego mocarstwa”. W tydzień później ambasador Taylor i generał William Westmorland — nowy naczelny dowódca sił USA w Wietnamie — wysyłają do Waszyngtonu depeszę stwierdzającą, że trzeba walczyć niezależnie od stanowiska rządu sajgońskiego. Powiało znowu strachem przed rokowaniami i przed zwycięstwem idei neutralizmu w Wietnamie.

Dowództwo amerykańskie, które od dawna już „warunkowo” przygotowywało plany wprowadzenia do akcji wojsk lądowych, wzmogło nacisk na prezydenta w celu uzyskania jego zgody. Ambasador Taylor miał wprowadzić wątpliwości. Obawiał się, że skoro armia amerykańska raz zostanie zaangażowana w walkę — nie będzie liczebnej granicy wojsk. „Może trzeba będzie aż 100 000 naszych żołnierzy!” Dalej argumentował, że biali nie potrafią walczyć w warunkach wojny w dżungli, i przytaczał przykład Francuzów. Zastanawiał się, jak amerykański żołnierz będzie mógł odróżnić partyzanta od chłopca. Pisał, że „umiejętność Wietkongu w ciągłej odbudowie swoich jednostek i uzupełnianiu strat jest jedną z tajemnic tej wojny... Mają oni zdumiewającą siłę utrzymania swego morale”.

Rozsądne wątpliwości Taylora nie przemawiały jednak do sztabowców amerykańskich. Chcieli wygrać wojnę, marzyli o wypróbowaniu na frontowym poligonie nowych broni, chcieli awansów i orderów, byli przekonani o łatwym zwycięstwie, bali się nawet myśleć o odwrocie.



Mieli przecież dowody w postaci „gier wojen-nych”. Wprawdzie pierwsza ich faza w 1964 roku nie przebiegała zbyt zachęcająco. Po stronie „czerwonych”, a więc Wietnamczyków, dowodził generał Earle Wheeler przy pomocy eksperta Departamentu Stanu Marshalla Greena. Umieeli wczuć się w sytuację i rozumowanie Giapa. Toteż gra zakończyła się porażką „niebieskich”, a więc własnych oddziałów. Ale był na to sposób. Zmieniono dowódców i wtedy „czerwoni” ponieśli oczekiwaną klęskę.

Ażeby wygrać wojnę nie na stołach sztabowych, ale w dżunglach Wietnamu — trzeba było ją zacząć. Dowódcy amerykańscy nie czekając na polecenie prezydenta opracowali już wszystkie plany, rozpoznali cele, przygotowali lotniska, skoncentrowali oddziały i wyznaczyli okręty. Sprowokowali incydenty uzasadniające odwet, rozwinęli propagandę podniecającą społeczeństwo. Odrzucili wszelkie skrupuły, odsunęli na bok wątpliwości, logikę i wymowę rzeczywistości. Pozostało już tylko czekać na rozkaz naczelnego dowódcy, którym zgodnie z konstytucją był prezydent — od dnia zamordowania Kennedy'ego — Lyndon Johnson. Zajmijmy się teraz jego wątpliwościami, decyzjami i błędami w tym okresie.

## IX. Prezydent Johnson rozpoczyna wojnę

22 listopada 1963 roku Lyndon Johnson w tragicznych okolicznościach objął stanowisko prezydenta Stanów Zjednoczonych. Jednym z pierwszych dokumentów, jakie zastał na swoim biurku w słynnym „owalnym pokoju” Białego Domu, był raport o sytuacji w Wietnamie, dzieło ministra obrony McNamary i generała Maxwella Taylora, sporządzony po ich podróży inspekcyjnej do Indochin. Stwierdzono, że sprawy rozwijają się pomyślnie, że już przed świętami Bożego Narodzenia 1000 wojskowych doradców amerykańskich będzie mogło powrócić do domu, a zaangażowanie USA w Wietnamie nie będzie potrzebne tam dłużej niż do końca 1965 roku.

Johnson uspokoił się, a jako że był zajęty ogromną ilością problemów wewnętrznych, odłożył sprawę wietnamską do dalszych szufladek swej politycznej pamięci.

Spokój ten jednak nie trwał długo. Już po miesiącu, 21 grudnia, leżał przed prezydentem nowy, alarmujący raport McNamary, odzwierciedlający nagle otrzeźwienie, które nastąpiło po zamordowaniu Diema i zdemaskowaniu „potiomkinowskich” raportów nadsyłanych z Sajgonu. „Sytuacja jest bardzo niepokojąca... Wietkong w okresie po zamachu ogromnie się umocnił, a moim zdaniem sytuacja w kraju

pogarsza się już od lipca znacznie bardziej, niż sądziliśmy w oparciu o zakłamane informacje wietnamskie..."

Johnson jednak bronił się jeszcze przed bezpośrednim zajęciem się tym konfliktem. Odziedziczył po Kennedym to zobowiązanie wobec dalekiego kraju, o którym wiedział niewiele. Nie interesowały go wtedy zbyt wiele zagadnienia polityki zagranicznej. Miał przed sobą w końcu 1964 roku wybory, w których chciał uzyskać mandat na cztery lata władzy prezydenckiej, a konstytucja USA pozwalała mu potem jeszcze raz ubiegać się o następne cztery lata. Wiedział dobrze, że o wyborze zadecydują sprawy polityki wewnętrznej — a na tym znał się dobrze i od razu po objęciu rządów zabrał się do nich energicznie. Od początku odnosił sukcesy. Był człowiekiem ogromnie ambitnym, obdarzonym charyzmą i siłą oddziaływania na ludzi, znał doskonale sprężynę amerykańskiej maszyny politycznej i zamierzał zająć w historii Stanów Zjednoczonych wybitne miejsce, i to przede wszystkim dzięki osiągnięciom w dziedzinie polityki społecznej i gospodarczej.

W 1964 roku nie przechodziło mu jeszcze przez myśl, że okres jego rządów w historii Ameryki i świata zwiąże się nierozzerwalnie ze sprawą wietnamską, że błędy popełnione w tej sprawie przyćmią niewątpliwe osiągnięcia w polityce społecznej i po czterech latach zmuszą go do rezygnacji z ubiegania się o następną kadencję prezydencką.

Johnson pozostawiał na razie sprawę wietnamską doradcom, których niemal wyłącznie odziedziczył po swoim poprzedniku i w których kompetencje wierzył. Byli to istotnie ludzie o wysokich kwalifikacjach intelektualnych, ale obdarzeni jedną wspólną wadą: byli dziećmi okresu zimnej wojny, wyznawali koncepcję globalnej roli amerykańskiej polityki, byli za-

fascynowani syndromem siły i środków wojskowych, w jakich widzieli jedyną metodę osiągania celów politycznych. Sprawy wietnamskie były omawiane i zdecydowano o nich w Białym Domu, Narodowej Radzie Bezpieczeństwa i Departamencie Stanu przy pomocy zespołu „twardych” polityków, takich jak Dean Rusk, Walt Rostow, McGeorge Bundy, Robert McNamara, gen. Maxwell Taylor. Oni to eliminowali stopniowo zwolenników politycznego rozwiązania konfliktu, takich jak Averell Harriman, Roger Hilsman, William Sullivan, Will Truehart, którzy sprzeciwiali się dalszemu angażowaniu się Stanów w Indochinach i realistycznie oceniali charakter wojny domowej w Wietnamie. Pozostał jeszcze jedyny realista — doradca prezydenta George Ball, ale traktowano go jako „adwokata diabła”, ułatwiającego przyjmowanie za słuszne argumentów członków zespołu jastrzębi.

Ball przez cały rok 1964 ostrzegał prezydenta przed interwencją w Wietnamie. Wskazywał na wewnętrzny, narodoworewolucyjny charakter powstania wietnamskiego, na to, że rząd sajgoński nie jest ośrodkiem zdolnym zogniskować wolę walki społeczeństwa. Uważał, że nie należy go popierać wbrew woli narodu. Ball zbijał pogląd, iż bombardowanie Północy podniesie morale na Południu, wskazywał, że Stany nie mają możliwości kontrolowania tej wojny, że spowoduje ona pomoc Związku Radzieckiego i Chin, a rozpoczęta eskalacja nie da się zatrzymać. Trzeba szukać rozwiązania politycznego sprawy. W październiku 1964 roku Ball sformułował swoje poglądy obrazowo, ale jakże proroczo: „Jeżeli wsiądziemy na grzbiet tygrysa, nie możemy mieć żadnej pewności, że uda się nam z niego zejść”.

Johnson początkowo słuchał uważnie argumentów Balla nie tylko dlatego, że miał szacunek dla jego intelektu i słabość do jego osoby. Argumenty Balla

znajdowały również uzasadnienie w raportach CIA. CIA podkreślała prawdziwą siłę wietnamskiego ruchu partyzanckiego, podawała w wątpliwość istnienie większej infiltracji z Północy i podważała samą istotę teorii domina. Raport CIA z czerwca 1964 roku stwierdzał, że utrata Południowego Wietnamu wprawdzie naruszy prestiż USA w Azji, ale bazy na Okinawie, Guamie, w Japonii i na Filipinach wystarczą dla obrony bezpieczeństwa Stanów. Raport ten został jednak ostro skrytykowany przez doradców Johnsona, a następne sprawozdanie, wskazujące na rosnącą siłę Wietkongu, została po prostu „po drodze” sfałszowane przez wojskowy wydział ambasady w Sajgonie. Otoczenie prezydenta bagatelizowało również ostrzeżenia szefa CIA, Johna McCone, głoszące, że „znajdziemy się w dżungli wojny, której wojsko nasze mimo największego wysiłku nie jest w stanie wygrać i z której będzie bardzo trudno się wycofać”.

Do Johnsona silniej przemawiały argumenty grupy jastrzębi. Prezydent był człowiekiem akcji, siły, ataku i przełamywania oporów. Jak ognia lękał się napiętnowania przez opinię jako prezydenta, który skapitulował i wycofał się przed małym, upartym, nierozwiniętym narodem azjatyckim. „Nie będę pierwszym prezydentem USA, który przegra wojnę” — oto pod jakim hasłem walczył o poczesne miejsce w historii swego kraju.

Jednak przez cały 1964 rok Johnson nie ulegał naciskowi rzeczoznawców i ideologów i hamował swoich doradców, którzy rozumowali już wyłącznie kategoriami militarnymi. Johnson, polityk z krwi i kości, w tym czasie nie był jeszcze zarażony bakcylem dowodzenia. Wahał się przed rozpoczęciem działań wojennych z wielu względów. Obawiał się ostrej reakcji ZSRR i Chin Ludowych. Uważał dalej, że opinia USA nie jest przygotowana dostatecznie do akcji na taką

skale. Nie chciał otwartego zaangażowania USA bez upoważnienia Kongresu. Nie brakło mu wprawdzie precedensów w niedawnej historii swego kraju. Teodor Roosevelt posłał wojsko USA do Panamy, Truman na Koreę, Eisenhower do Libanu, a Kennedy — także bez zgody Kongresu — zarządził blokadę Kuby. Ale Johnson, który całe swoje polityczne życie spędził w Kongresie, liczył się niezmiernie z jego opinią. Toteż dopiero po incydencie z „Maddoxem” i uzyskaniu tzw. rezolucji tonkińskiej, umiejętnie na jego polecenie przygotowanej, uznał, że ma rozwiązane ręce.

Na razie wykorzystuje tę rezolucję tylko do akcji odwetowej. Bo najważniejszym hamulcem przed pełnym, wojskowym zaangażowaniem w Wietnamie były nadchodzące w listopadzie 1964 roku wybory prezydenckie. Johnson odziedziczył urząd na niecały rok przed tymi wyborami. Gdyby nie kule mordercy, Kennedy zostałby niewątpliwie wybrany w 1964 roku na następne cztery lata i Johnson nie mógłby mieć żadnych nadziei na Białą Dom. Teraz, kiedy godność ta spadła na niego niespodziewanie z woli losu, chciał za wszelką cenę uzyskać ją także z woli ludu. Z ogromnym rozmachem i pomyślnymi rezultatami zabrał się do realizacji programu społecznego, którego nie zdążył czy nie potrafił zrealizować Kennedy. Jego znakomity jeszcze wtedy instynkt polityczny kazał mu prowadzić akcję przedwyborczą w dziedzinie polityki zagranicznej pod hasłem pokoju.

Zwłaszcza że jego przeciwnik, kandydat partii republikańskiej, senator Barry Goldwater, reprezentujący skrajnie prawicowe skrzydło swej partii, żądał i obiecywał politykę silnej ręki w Wietnamie wobec „komunistycznej agresji”, domagał się użycia siły militarnej i pod wpływem generała Curtisa LeMaya, szefa sztabu lotnictwa, nawet napomynał o użyciu

broni jądrowej. Goldwater oskarżał publicznie Johnsona o brak stanowczości i o uleganie szantażowi komunistów z Hanoi, Pekinu i Moskwy.

Johnson wyczuwał niechęć społeczeństwa amerykańskiego do pełnego zaangażowania się w awanturę wojenną w dalekim Wietnamie. Demonstrował swą politykę silnej ręki przez naloty odwetowe, co na ogół spotykało się z aprobatą opinii, ale w swej akcji wyborczej postawił na kartę utrzymania pokoju. Natychmiast po pierwszych nalotach odwetowych z sierpnia prezydent, przemawiając na wiecu w Nowym Jorku, zdecydowanie przeciwstawił się zamiarom wojennym. „Niektórzy chcieliby rozszerzenia konfliktu. Namawiają nas, aby posłać amerykańskich chłopców do roboty, którą powinni wykonać chłopcy azjatyccy. Żądają od nas podjęcia pochopnej akcji, która mogłaby zagrozić życiu milionów i ogarnąć większość Azji... Taka akcja nie przyniosłaby jednak rozstrzygnięcia problemu wietnamskiego”.

W kilka tygodni później Johnson mówił w Teksasie: „Radzą mi, żebym załadował bomby na samoloty i rzucił je na pewne obszary, co oznaczałoby rozszerzenie i rozwinięcie wojny oraz zmusiłoby nas do wysłania wielu amerykańskich żołnierzy na tę wojnę... Ale właśnie dlatego nie zdecydowałem się na rozszerzenie tej wojny”.

28 września Johnson oświadcza w Manchester: „Nie pójdziemy na Północ, aby ją bombardować w obecnej fazie tej gry. Ale nie odejdziemy też na Południe, aby się wycofać i zostawić komunistom kraj na pożarcie... Myślę, że utrata 190 zabitych w okresie naszego tam pobytu jest rzeczą złą. Ale byłoby gorzej, gdybyśmy stracili 190 000 w pierwszym miesiącu eskalacji tej wojny”.

Jeszcze 21 października, a więc na 12 dni przed wyborami, Johnson przyrzeka: „Nie pošlemy amery-

kańskich chłopców 9 czy 10 tysięcy mil od domu, aby robili to, co azjatyccy chłopcy powinni robić sami".

Takie były uspokajające, pokojowe obietnice Johnsona w jego kampanii wyborczej 1964 roku. Osiągnęły one zamierzony cel i 3 listopada prezydent zmiażdżył Goldwatera, zwyciężając w wyborach większością 61,1<sup>0</sup>/<sub>0</sub> — a więc najwyższą w historii wyborów amerykańskich. Johnson uważał, że społeczeństwo dało mu w ten sposób wolną rękę w Wietnamie. A przecież wygrał głównie dzięki swym sukcesom w dziedzinie reform społecznych i wypowiedziom antywojennym.

Spółeczeństwo amerykańskie głosując na Johnsona jednak nie zdawało sobie sprawy z kilku faktów, skrzętnie ukrywanych aż do chwili opublikowania w „Aktach Pentagonu”, które zawierają sprawozdania z obrad Narodowej Rady Bezpieczeństwa i teksty depeesz wymienianych między Waszyngtonem i Sajgonem.

A więc w listopadzie 1964 roku było jeszcze tajemnicą, że na polecenie Johnsona już w lutym 1964 roku przygotowano rezolucję Kongresu, upoważniającą prezydenta do podjęcia akcji wojskowej w Wietnamie, i czekano tylko na taki incydent, który by podniecił i rozhuścił opinię publiczną, aby złożyć rezolucję w Kongresie. Kiedy zbyt długo brakowało pretekstu — sprowokowano go 4 sierpnia w Zatoce Tonkińskiej i przedstawiono Kongresowi fałszywe informacje. Świat i Kongres dowiedział się o tym dopiero w sześć lat później...

W okresie przedwyborczym nie wyszła też poza Biały Dom informacja, że już 17 marca prezydent dał zgodę na „pilne opracowanie planu niszczących ataków powietrznych przeciwko wojskowym i ewentualnie przemysłowym celom” w Północnym Wietnamie, które „można by rozpocząć w przeciągu 30 dni”.



Któż mógłby przypuszczać, że w tydzień po przytoczonym powyżej przemówieniu w Teksasie, kiedy to Johnson kpił z tych, którzy każą mu „załadować bombowce i posłać je na Północ” — na konferencji strategicznej w Białym Domu prezydent dał zgodę na niszczące ataki bombowe przeciwko DRW, odkładając jedynie ich rozpoczęcie „ze względów taktycznych” — a więc wyborczych — na początek roku 1965.

Któż mógł przewidzieć, że w 5 miesięcy po obietnicy: „Nie pošemy amerykańskich chłopców 9 czy 10 tysięcy mil od domu...” chłopcy ci wylądują na plażach pod Da Nang...

Teraz dopiero można w pełni zrozumieć niepokojące zdanie z przemówienia z 28 września, że „nie pójdziemy na Północ, aby ją bombardować w obecnej fazie tej gry”. Tą grą, jak się okazało, nie był konflikt wietnamski, a prezydenckie wybory w Stanach Zjednoczonych. Kiedy 1 listopada 1964 roku partyzanci atakują lotnisko amerykańskie w Bien Hoa niedaleko Sajgonu, ginie 5 Amerykanów, 76 jest rannych, a 13 bombowców B57 ulega zniszczeniu — Johnson zakazuje nalotów odwetowych mimo żądań Pentagonu. Przecież za dwa dni są wybory.

Po zwycięstwie wyborczym wydarzenia potoczyły się już szybko. Odpadła główna przyczyna wahań prezydenta. Następuje nawet „zawrót głowy od sukcesów” i prezydent — pewny olbrzymiego poparcia społeczeństwa — zaczyna lekceważyć wątpliwości i obawy co do ewentualnych skutków eskalacji konfliktu.

Jedną z tych wątpliwości był lęk przed interwencją Chin i niepewność co do reakcji Związku Radzieckiego. Pamiętajmy, że właśnie w październiku 1964 roku nastąpiła pierwsza atomowa eksplozja w ChRL. W tym samym miesiącu w Moskwie nastą-

piła zmiana w kierownictwie — odszedł N. S. Chruszczow i Stany Zjednoczone nie były pewne, jakie będą skutki tej zmiany w polityce zagranicznej Związku Radzieckiego. Johnson studiuje pilnie raporty CIA, które przewidują, iż Chiny nie przystąpią do tej wojny, chyba że Amerykanie wkroczą do północnych rejonów DRW albo gdyby powstało niebezpieczeństwo upadku rządu w Hanoi. CIA przewiduje też dużą pomoc radziecką dla DRW, ale nie bezpośrednią akcją militarną.

Johnson obawia się jeszcze jednej możliwości: otwarty atak na DRW może przynieść międzynarodowe naciski na przedwczesne rozpoczęcie negocjacji „i to zanim jeszcze DRW zostanie dostatecznie boleśnie dotknięta”. Aby zmniejszyć to ryzyko, zwraca się do głównego zwolennika politycznego rozwiązania konfliktu — generała de Gaulle’a — i próbuje mu tłumaczyć postępowanie USA. Johnson wysłała do Paryża najłagodniejszego ze swoich doradców, George’a Balla. Otrzymuje on od generała krótką i zdecydowaną odpowiedź: Stany Zjednoczone nie mogą wygrać tej wojny, gdyż cała ludność Wietnamu wystąpi przeciwko nim. Siła nie pomoże. Trzeba przystąpić do negocjacji. Plany Johnsona są skazane na niepowodzenie. Francja wyciągnęła wnioski ze swoich doświadczeń i planów amerykańskich nie poprze.

Johnson nie słucha już przestroóg. Pod naciskiem doradców i Pentagonu zapomina o innej, słusznej wąpliwości. Dotychczas uważał, że głównym czynnikiem w tej wojnie musi być rząd sajgoński. Jego siła, determinacja i popularność w kraju warunkują skuteczność pomocy amerykańskiej, zarówno ekonomicznej, jak i wojskowej. Teraz, w końcu 1964 roku, nikt już nie wątpi, że rząd ten jest fikcją, grupą umundurowanych marionetek z kontami w szwajcar-

skich bankach. Senator Mike Mansfield po podróży do Wietnamu pisze w swym raporcie: „Całkowity upadek władzy rządu sajgońskiego w początkach 1965 roku wydaje się nieunikniony”. Ambasada w Sajgonie i Pentagon tłumaczą prezydentowi, że tylko zdecydowana i szybka akcja USA może uratować sytuację, podbudować i uzdrowić reżim w Sajgonie. Johnson ulega. „Zdecydowałem — pisze potem w swoich pamiętnikach — że sytuacja polityczna na Południu wkrótce się zawali, jeżeli ludzie nie zobaczą tam, iż Północ płaci cenę za agresję na swoim terytorium”.

Ani społeczeństwo amerykańskie, ani Kongres nie wiedziały, że w dniach od 1 do 3 grudnia — a więc prawie natychmiast po wyborach — zapadły w Białym Domu nieodwołalne i brzemiennie w tragiczne skutki decyzje. Narodowa Rada Bezpieczeństwa przedstawiła prezydentowi trzy możliwości postępowania:

A. Propozycja przewidywała kontynuację dotychczasowych metod, a więc tajną wojnę akcji 34A i naloty odwetowe.

B. Uderzenie całej siły powietrznej USA dla rzućenia przeciwnika na kolana. Żadnych negocjacji, dopóki wróg nie będzie całkowicie zniszczony.

C. Powolna eskalacja bombardowań niszczących oraz możliwość użycia sił lądowych w północnej części Wietnamu Południowego.

Prezydent wybiera dwufazową kombinację opcji A i C, obawiając się, że wariant B jest zbyt gwałtowny i grozi chińską interwencją. W materiałach narad nie widać żadnych śladów, aby rozważano jakiegokolwiek wątpliwości natury moralnej, humanitarnej czy prawnej. Była to tylko sprawa wyboru najlepszej metody użycia niszczącej siły dla uzyskania pełnego i szybkiego zwycięstwa.

Tak więc kości zostały rzucone. Były to kości wciśnięte w ręce prezydenta przez cały zespół doradców. Ambasada w Sajgonie, przerażona rozpada- niem się sztucznej struktury politycznej, zawstydzona bezsilnością i bezskutecznością olbrzymiej pomocy amerykańskiej, lękająca się zwycięstwa idei neutra- lizmu, coraz bardziej oderwana od rzeczywistości wietnamskiej — szukała gwałtownie ratunku w uży- ciu siły. Pentagon opanowany pychą swej materia- łowej potęgi, ślepy na wszystkie inne czynniki tej wojny, pogardzający partyzanckimi bandami z ka- rabinami na sznurkach, wściekły na bezskuteczność bombardowań odwetowych — marzył o sprawdzeniu swych gier wojennych i nowych broni na prawdzi- wym poligonie, żądał zgody na pełne użycie potęgi amerykańskiej dla szybkiego zwycięstwa nad Wiet- namczykami i jako przestrożę dla innych. Wreszcie zespół doradców i ekspertów Białego Domu był za- fascynowany misyjnym powołaniem globalnego po- licjanta i koniecznością demonstracji siły. Do tego dołączała się irytacja olbrzymia, któremu karzełek nastąpił na odcisk. Działała wreszcie uparta wola pokazania całemu światu swej determinacji.

W styczniu 1965 roku, kiedy wszystko już było zdecydowane i sztaby tylko wykonywały rozkazy przesunięć, dostaw i szczegółów operacyjnych, McGeorge Bundy, jeden z głównych zwolenników eskalacji, pisze w memorandum do prezydenta: „Nie wiadomo, czy polityka ciągłego odwetu zapewni od- wrócenie się sytuacji w Wietnamie. Może się nie udać i nie ma sposobu na bezbłędne obliczenie na- szych szans. Wahają się one od 25<sup>0</sup>/<sub>0</sub> do 75<sup>0</sup>/<sub>0</sub>. Mo- żemy tylko powiedzieć, że gdyby nawet się nie uda- ło — polityka ta jest właściwa. Przynajmniej obali ona argument, że nie zrobiliśmy wszystkiego, co

w naszej mocy. A taki zarzut byłby ważki w wielu krajach — nie wyłączając naszego własnego”.

Należy wątpić, czy prezydent był zachwycony tą argumentacją. On nie miał wtedy wątpliwości, że potęga Stanów Zjednoczonych szybko rzuci na kolana mały Wietnam. Jeżeli przez wiele miesięcy wahał się przed powzięciem ostatecznej decyzji — to nie w obawie przegranej. Nie miał też zapewne skrupułów natury moralnej i etycznej. Bał się jedynie reakcji Chin, a hamowała go możliwość niechętnej reakcji wyborców. Nie było zasadniczych rozbieżności pomiędzy prezydentem a wielkimi grupami nacisku zwolenników interwencji zbrojnej. Istniały tylko rozbieżności taktyczne. Tak prezydent, jak i jego doradcy powodowali się tymi samymi fałszywymi przesłankami, opierali swe projekty na tych samych błędnych informacjach, jednakowo się mylili w przewidywaniach. A powziąwszy raz fatalną decyzję zsuwali się coraz szybciej po stromej równi pochyłej eskalacji.

8 lutego 1965 roku, po śmiałym ataku partyzantów na baraki amerykańskich doradców wojskowych w Pleiku, w którym zginęło ośmiu żołnierzy, a 76 odniosło rany, rozpoczyna się nowa fala nalotów odwetowych. Jeszcze w ramach opcji A. Ale w trzy dni później, po nowym ataku partyzantów wietnamskich na baraki w Quinhon, uruchomiona zostaje opcja C. Rusza wielka lawina nalotów niszczących pod kryptonimem „Rolling Thunder” — „Dudniący Grzmot”.

Szefowie sztabów nie są jednak w stanie zabezpieczyć amerykańskich baz lotniczych w Wietnamie przed atakami partyzantów, gdyż wojska sajsjońskie nie nadają się nawet do służby wartowniczej. Przekonują więc prezydenta, że muszą użyć również amerykańskich sił lądowych obiecując, że wystarczy po-

słać tam jedną brygadę, którą będzie można wycofać przed końcem 1965 roku. Johnson daje zgodę na użycie piechoty morskiej. Na razie tylko dla „operacji defensywnych”. 8 marca trzy i pół tysiąca marines ląduje w Da Nang. Nazajutrz prezydent pozwala na użycie napalmu w nalotach na DRW, a 1 kwietnia poleca wykorzystanie armii w operacjach ofensywnych w Południowym Wietnamie. Rubikon został ostatecznie przekroczony — rozpoczęła się nigdy nie wypowiedziana wojna amerykańsko-wietnamska.

7 kwietnia prezydent Johnson, uzasadniając swoją decyzję, oświadczył przez telewizję i radio całemu światu: „Nie damy się zwyciężyć, nie ogarnie nas zmęczenie. Nie wycofamy się ani otwarcie, ani pod pozorem nic nie znaczącego układu!”

Krwawa i tragiczna historia najbliższych ośmiu lat nie potwierdziła ani jednego słowa tego patetycznego frazesu.

## X. Pierwsze rozczarowania i niepowodzenia

W pierwszych miesiącach 1965 roku zapadła decyzja zbrojnej interwencji amerykańskiej w Wietnamie i rozpoczął się tragiczny ciąg eskalacji wojny, która była chyba największym błędem w historii polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych. Przekraczanie Rubikonu odbywało się jednak stopniowo, a każdemu z etapów tej przeprawy towarzyszyły nowe błędne decyzje i fałszywe wnioski wyciągane z nieudanych akcji.

Zaczął się od nikłych rezultatów akcji niszczącego bombardowania pod nazwą „Dudniący Grzmot”. Ambasador Taylor tak określił jej cele: 1. Zapewnienie ludności Południowego Wietnamu, że agresja nie pozostanie bezkarna. 2. Utrudnienie infiltracji ludzi i sprzętu z Północy. 3. Wpłynięcie na zmianę woli walki kierownictwa w Hanoi.

Najbardziej liczone na punkt ostatni i pod wpływem optymistycznych teorii Rostowa większość doradców zapewniała prezydenta, że skoro tylko Hanoi przekona się o determinacji i potędze USA, nastąpi natychmiastowe złożenie broni. Martwiono się nawet, że kapitulacja może nastąpić przedwcześnie i trzeba będzie przerwać dzieło niszczenia Północy. Z dokumentów wynika, że istniała wytyczna, według której w razie zbyt szybkiej oferty negocjacji z DRW

należy postawić tak twarde warunki, aby można było zerwać rozmowy i dalej prowadzić bombardowania.

Tymczasem mijały tygodnie akcji „Dudniący Grzmot”, mnożyły się przekonywające raporty o zniszczonych celach wojskowych i przemysłowych oraz fotografie uszkodzonych mostów, lotnisk i ruin domów i chałup. Brakowało jednak nie tylko oznak przerażenia i osłabienia woli oporu nieprzyjaciela, ale przeciwnie, z DRW dochodziły wiadomości o zdyscyplinowaniu ludności, coraz lepiej funkcjonującej obronie przeciwlotniczej i coraz wyraźniejszej determinacji wytrwania, zarówno wśród kierownictwa, jak i ludności. Bombardowania obudziły i utrwaliły w społeczeństwie uczucia patriotyzmu i solidarności, nastąpił wzrost nienawiści do Amerykanów. 8 kwietnia rząd DRW opublikował cztery punkty zawierające warunki rozwiązania konfliktu. Był to program twardy i nie widać było w nim skutków lęku przed kontynuacją „Dudniącego Grzmotu”.

Nie było też na Północy żadnych śladów paniki z powodu niszczenia obiektów młodego przemysłu, paniki, jaką autorytatywnie zapowiadali eksperci z Rostowem na czele. Raporty obserwatorów lotniczych twierdziły, że przemysł ten został już niemal całkowicie zniszczony. Było to tylko częściowo prawdziwe. Przemysł wietnamski zszedł zarówno w przemości, jak i dosłownie pod ziemię. Rozproszył się, ukrył i pracował coraz wydajniej. A jednocześnie znacznie wzrosły dostawy materiałowe z krajów socjalistycznych i największe wysiłki lotnictwa amerykańskiego nie zdołały poprzecinać dróg tych dostaw.

„Dudniący Grzmot” okazał się również niewypałem jako akcja „podniety i umocnienia moralnego dla kierownictwa i ludności Południowego Wietna-



mu". W dniu rozpoczęcia tej operacji upadł właśnie kolejny rząd w Sajgonie, a w następnym miesiącu dokonały się dwa następne przewroty. W gmachu ambasady USA wybuchła bomba. Mnożą się w całym kraju ataki partyzanckie, a wojska południowe wykazują absolutną niezdolność do walki, dezertują, przechodzą na stronę przeciwnika, a w najlepszym razie po prostu unikają walki. Okazuje się, że eskalacja bombardowań ani nie umacnia rządu sajgońskiego, ani nie mobilizuje jego wojsk. Zaczyna kręcić się błędne koło: rozkład Sajgonu pobudza Amerykanów do zwiększonego wysiłku wojennego, a to demobilizuje z kolei generałów sajgońskich. Premier Ky otwarcie wezwał w lipcu wojska USA do przejęcia walki z partyzantami w pierwszej linii, pozostawiając oddziałom południowym nadzór nad akcją pacyfikacji na tyłach.

Trzeci zamierzony cel bombardowania — utrudnienie infiltracji kadr i sprzętu na Południe — przynosi nieoczekiwany skutek. Przepływ ludzi i uzbrojenia poczyną szybko rosnać. Tak jak Amerykanie — nie mogąc dać sobie rady z nieprzyjacielem na Południu — uderzyli na Północ, tak kierownictwo DRW, przyjmując wyzwanie i decydując się na podjęcie walki, powzięło logiczną decyzję: nie mieli sił i możliwości walczyć z masowymi nalotami bombowców amerykańskich nad swoim terytorium, trzeba było więc uderzyć w nieprzyjaciela tam, gdzie był słabszy. A więc na Południu. Amerykańskie nadzieje na przecięcie dróg infiltracji za pomocą bomb były naiwne i nieżyciowe. Uznawał to generał Ridgway, przypominając doświadczenia wojny koreańskiej, która udowodniła, że samo lotnictwo nie jest w stanie przeciąć linii zaopatrzenia. Dyrektor CIA, McCone, stwierdza w kwietniu: „Naloty nie spowodowały dotychczas zmiany w polityce północnych

Wietnamczyków w kierowaniu partyzantką Wietkongu, wysyłaniu kadr i materiału. Jeżeli można mówić o jakiejś zmianie, to naloty raczej umocniły ich stanowisko".

W tym właśnie czasie następuje rozbudowa ukrytych w dżungli, zamaskowanych i stale ulepszanych traktów komunikacyjnych, z których najważniejszą i najsłynniejszą była tzw. Droga Ho Szi Mina, prowadząca przez wschodni Laos na południe Wietnamu.

Skuteczność pomocy dla partyzantów nie mogła być oczywiście natychmiastowa. Przerzuty broni i sprzętu trwają długo. Głównym środkiem lokomocji i transportu były wtedy jeszcze rowery. Ale organizacja ruchu, jego sprawność i ciągłość wprawiały w zdumienie kwatermistrzów amerykańskich, nie umiejących, przy całej swojej wspaniałej technologii i bogactwie środków, uporać się z bezdrożami tego kraju.

Nie wiemy, ile prawdy było w informacjach wywiadu amerykańskiego, które donosiły, że w lipcu 1965 roku na Południu znajdowały się dwa pułki północnowietnamskie. W grudniu tegoż roku, a więc po 9 miesiącach bombardowań, które miały uniemożliwić infiltrację, wywiad amerykański szacuje, że pułków miało już być 6 do 8.

Tak oto zawodzą wszystkie trzy cele akcji „Dudniący Grzmot”. Dwa pierwsze przynoszą zawód polityczny. Trzeci — infiltracja — staje się coraz groźniejszy dla sytuacji wojskowej na Południu. Toteż już po miesiącu bombardowań następuje w rozumowaniach strategów i speców od propagandy przesunięcie akcentu. Dotychczas stwierdzali, że chodzi im głównie o „złamanie woli komunistów na Północy”. Teraz na pierwszy plan wysuwają utrudnienie pomocy Północy dla Południa.

„Infiltracja” staje się głównym sloganem i tematem dyskusji i planowania Pentagonu i Białego Domu. Zwłaszcza że tak świetnie pasuje do generalnej koncepcji „agresji z Północy” i „spisku komunistycznego”, że tak uspokaja i tak dobrze tłumaczy, iż partyzantka nie jest prawdziwym, narodowym ruchem oporu, tak ułatwia akcję „ratowania ludności Wietnamu” przed nasłanymi terrorystami. „Naszym zdaniem, w Wietnamie istnieje włączenie się do obrony i troska o wolność dzielnego narodu, który stał się przedmiotem ataku kierowanego i kontrolowanego spoza granic jego kraju” — oto jedno z licznych oświadczeń prezydenta Johnsona na ten temat. „Lud Wietnamu Południowego zdecydował bronić się przed zagrożeniem. Na jego prośbę Stany Zjednoczone stanęły wspólnie z Wietnamczykami do walki obronnej” — mówi „Biała Księga” Departamentu Stanu z 1965 roku. Zapoznanie politycznego i samorządnego charakteru ruchu powstańczego, dążącego do obalenia reżimu, który został mu narzucony przez Francuzów, a następnie broniony i utrzymywany przez Amerykanów — jest zdumiewające. Infiltracja w tym czasie ma jeszcze skromne rozmiary. Przyznają to nawet oficjalne dokumenty amerykańskie. Podają one, że w grudniu 1965 roku było na południu 14 tysięcy północnych Wietnamczyków. Trudno jest uważać to stwierdzenie za zarzut. „Każdy Wietnamczyk jest tam w swoim własnym kraju” — stwierdził Le Duc Tho, szef delegacji wietnamskiej w Paryżu. Nie wiemy też, jak wywiad amerykański rozróżniał obywateli dwóch części tego kraju. Ale cóż to była w ogóle za liczba, skoro według innych urzędowych danych w latach 1961—1965 zabito na Południu 89 000 nieprzyjaciół? Siłę partyzantów w tym okresie „Biała Księga” ocenia na 53 000 regularnych żołnierzy oraz od 60 do 80 tysięcy lokalnych

powstańców. Wojska sajgońskie w 1965 roku miały 600 000 żołnierzy, a Amerykanów było 23 000. W końcu roku 1964 gen. Taylor wzdycha: „Nie możemy znaleźć rozsądnego wytłumaczenia stałego wzrostu sił Wietkongu, nawet jeżeli nasze informacje o ich liczebności tylko w przybliżeniu są prawdziwe. Ich jednostki odradzają się jak feniks z popiołów i mają zadziwiającą zdolność utrzymywania morale... Skoro przegrywamy naszą grę w Wietnamie, to najwyższy czas zmienić taktykę”.

Taktyka została zmieniona, „Dudniący Grzmot” przyniósł narodowi Północnego Wietnamu ciężkie straty, ale karta się nie odwróciła. Wtedy odkryto tajemnicę odradzania się feniksa: żywi się infiltracją. Trzeba więc nasilić bombardowanie jej szlaków. Ale po krótkim czasie wywiad stwierdza bezowocność tej akcji. Memorandum podsekretarza obrony Johna McNaughtona tak określa sytuację: „Jest ona zła i pogarsza się. Wietkong ma inicjatywę. Defetyzm szerzy się wśród ludności wiejskiej, częściowo w miastach, a nawet wśród żołnierzy... Czy sytuacja może zostać odwrócona bez a) przedsięwzięcia krańcowych środków wobec DRW, b) bez użycia dużej liczby amerykańskich (i innych) wojsk lądowych wewnątrz Wietnamu Południowego? Odpowiedź brzmi: być może, ale jest to mało prawdopodobne”.

Skoro nie udaje się przeciąć dróg infiltracji przy pomocy bombardowania, trzeba brnąć konsekwentnie w kierunku utrzymywania mitu o agresji z Północy i starać się zniszczyć na Południu tego przeciwnika, który tam przeniknął. Dowództwo amerykańskie ani przez chwilę nie zastanawia się nad innym kierunkiem działania poza eskalacją. Już w kwietniu na konferencji sztabowej w Honolulu, gdzie uchwalono, że zwycięstwo będzie wymagać dwóch lat, zdecydowano się podnieść liczbę wojsk amery-

kańskich w Wietnamie do 82 000. W maju prezydent zawiesza na sześć dni bombardowanie Północy licząc, że może jednak usłyszy z Hanoi sygnał oznaczający kapitulację. Ale reakcja taka nie następuje, za to gwałtownie wzrasta się na Południu w maju i czerwcu aktywność FWN. Armia sajgońska ponosi dotkliwe straty, rosną również straty amerykańskie, a w konsekwencji wzmacniają się prośby generała Westmorlanda o posiłki. W czerwcu żąda on 200 000 żołnierzy. Johnson daje mu 125 000. W listopadzie siły amerykańskie w Wietnamie wynoszą już 165 700 ludzi, a w końcu 1965 roku 184 314. W tym czasie jednak Westmorland domaga się już powiększenia korpusu ekspedycyjnego do 443 000 ludzi. 13 grudnia McNamara zakomunikował mu, że prezydent zgodził się na 367 000 w przyszłym roku i 395 000 w 1967.

Tak oto przedstawiały się etapy przeprawy prezydenta Johnsona wraz z setkami tysięcy żołnierzy przez wietnamski Rubikon. 55 000 żołnierzy miało powrócić do kraju w trumnach, a 300 000 na noszach czy o kulach...

Niezależnie od niesłusznych politycznych decyzji, dowództwo amerykańskie popełniało kosztowne pomyłki wojskowe w wykonywaniu operacji. Już w latach 1955—1960 instruktorzy amerykańscy, szkolący i częściowo dowodzący w jednostkach południowowietnamskich, stosowali metody i środki wojny konwencjonalnej zaczerpnięte z doświadczeń II wojny światowej. Podobnie wyglądało wyposażenie materiałowe tych jednostek. A kiedy pierwszy desant wysadził bataliony piechoty morskiej na plażach Da Nang, to wylądowano wraz z nimi czołgi, ciężką artylerię i broń, która nadawała się wspaniale do pokazowej defilady, ale już w odległości kilku kilometrów od nadmorskiej równiny, w warunkach walki z partyzantami, okazała się balastem. Czołgi, arma-

ty i ciężarówki grzęzły na wietnamskich bezdrożach, a ciężka broń maszynowa nie nadawała się do transportu i użycia w dżungli i na ryżowiskach. Toteż aż do chwili masowego wprowadzenia do akcji helikopterów — co miało nastąpić dopiero w następnych latach — wojska amerykańskie znajdowały się w znacznie gorszej sytuacji niż lotne, ruchome grupy partyzanckie, umiejące ponadto świetnie wykorzystywać właściwości znanego im terenu.

W okresie prezydentury Johna Kennedy'ego jego otoczenie interesowało się żywo zasadami taktyki partyzanckiej, która właśnie zasłynęła wskutek sukcesów Fidela Castro na Kubie i Chińskiej Armii Ludowej w trakcie Długiego Marszu. W Białym Domu czytano prace Che Guevary i Mao Tse-tunga. Wielkim specjalistą od tych spraw był zastępca sekretarza stanu Roger Hilsman, który w czasie ostatniej wojny dowodził grupą komandosów w Birmie. Ale zainteresowanie metodami wojny partyzanckiej wśród cywilów nie dotarło do amerykańskich sztabów i szkół wojskowych. Były one nadal przywiązane do tradycyjnej taktyki, ślepo wierzyły w siłę ognia i ciężkiego sprzętu. Teraz w Wietnamie żołnierze amerykańscy drogo płacili za ten konserwatyzm swoich dowódców i ponosili ciężkie straty w każdym zetknięciu się z nieprzyjacielem. Partyzanci działali zawsze przez zaskoczenie, zjawiali się niepostrzeżenie i znikali bez śladu. Cofali się przed nacierającym nieprzyjacielem, nękali go, gdy się zatrzymywał, atakowali — gdy był wyczerpany, ścigali — gdy się wycofywał. Umieli bezbłędnie wykorzystać teren i klimat, a poza tym byli coraz ściślej powiązani z ludnością.

W dowództwie amerykańskim rozgorzał w tym czasie spór o zasadnicze założenia strategiczne. Ambasador w Sajgonie, Maxwell Taylor, który — niez-

leżnie od swojej pozycji osobistego i zaufanego przyjaciela prezydenta — cieszył się dużym prestiżem jako doskonały generał, bronił koncepcji obsadzenia przez armię amerykańską umocnionych i zorganizowanych terenów na wybrzeżu, skąd oddziały USA mogłyby wspierać i stanowić zaplecze wojsk sajgońskich, a poza tym dokonywać zbrojnych wypadów w granicach około 50 km od swoich zasadniczych baz. Był to statyczny wprawdzie, ale jedyny chyba realny projekt taktyki w istniejących warunkach. Dawał Amerykanom przewagę w postaci krótszych linii komunikacyjnych, w wyborze czasu i miejsca uderzenia, umożliwiał rozpoznanie sytuacji oraz właściwe wykorzystanie siły ognia i sprzętu. Pozycje amerykańskie byłyby bardzo trudne do zaatakowania przez oddziały Frontu, a konsekwentne przeprowadzenie tego planu „enklaw” zmusiłoby być może przeciwnika do rozpoczęcia negocjacji.

Ale ambitny i niecierpliwy generał Westmorland, popierany przez Pentagon, nie chciał się zgodzić na ten plan. Taktyka taka oznaczała bowiem rezygnację z użycia i demonstracji siły. Wysunął zatem koncepcję „Search and Destroy” („znajdź i niszc”), której celem miało być odszukanie przeciwnika w terenie, zmuszenie go do walki, a następnie rozbicie go przy pomocy dużej koncentracji siły ogniowej. Żywo przychodzą na myśl błędy generałów francuskich z okresu Dien Bien Phu. Wychowankowie akademii z West Point poszli w ślady swoich francuskich kolegów szkolonych w akademii Saint-Cyr sprzed 10 czy 15 lat. Oddziały amerykańskie nie potrafiły odnaleźć przeciwnika w jego terenie, rozpląwał się w dżungli, by zjawiać się nocą na tyłach Amerykanów, którzy ze zdziwieniem stwierdzali ponadto, iż największe trudności sprawiają im wioski o ludności właśnie „uwolnionej” od Wietkongu. Nie-

wdzięcznicy strzelali im w plecy, zastawiali na nich sidła i zasadzki, zwalali drzewa na czołgi, wysadzali tamy. Amerykanie brodząc po pacy przez wody pól ryżowych, objuczeni ciężkim sprzętem, stawali się łatwym celem dla wyborowych strzelców. Ci, którzy ratowali skórę, tracili resztki iluzji, że kogoś uwalniają, i zaczęli widzieć — nie bez podstaw — w każdym Wietnamczyku wroga. Strzelali więc do wszystkiego, co się ruszało, do kobiet, starców i dzieci, do wszystkich małych, smagłych, zwinnych postaci, które z pogardą i nienawiścią określali mianem „gook” — czyli dzikusów. Rozpoczęły się masowe egzekucje i masakry ludności wietnamskiej, z których nieliczne tylko wyszły na światło dzienne, tak jak słynna zbrodnia w My Lai.

Innym ciężkim błędem wojskowym o katastrofalnych skutkach politycznych dla USA była rozpoczęta w tymże czasie wielka akcja lotnicza w Wietnamie Południowym. Mało się o niej mówiło i pisało, prasa podawała raczej liczne komunikaty i reportaże opisujące bombardowania DRW. Ale rozpoczęta w lecie 1965 roku wojna lotnicza Stanów Zjednoczonych przeciwko ludności Wietnamu Południowego była znacznie bardziej intensywna, niszcząca i brzemienna w skutki.

Niepowodzenia korpusu ekspedycyjnego i jego ciężkie straty wywołały głośnie żądania dowódców wojsk lądowych o wsparcie lotnicze. Już w marcu 1965 roku generał Westmorland otrzymał zgodę prezydenta na użycie bombowców na Południu, w kwietniu dano tym nalotom priorytet w stosunku do Północy, a w maju wytyczono „obszary dowolnego bombardowania”, na które można było zrzucać bomby bez zgody wyższego dowódcy. Na temat bombardowania Południa nie było ani wielkich dyskusji, ani wątpliwości w kierownictwie i opinii amerykańskiej,



nie było negatywnej reakcji innych państw, tak jak w wypadku nalotów na DRW. Nie zastanawiano się, jak ta akcja wpłynie na morale rządu w Sajgonie i ludności tego kraju. Od czerwca 1965 roku stosowano naloty dywanowe przy użyciu wielkich bombowców B52 zrzucających ładunki z dużych wysokości — a więc odpowiednio niecelnie — przy użyciu ciężkich bomb i napalmu. Naloty kierowane były nie tylko na obszary, w których podejrzewano obecność i koncentracje partyzantów, ale po prostu na okolice, gdzie strzelano do wojsk amerykańskich.

Dowództwo USA w połowie 1965 roku stosowało systematycznie taktykę bezlitosnego niszczenia podstaw egzystencji ludności na Południu uniemożliwiając nawet na opanowanym przez siebie terytorium zastąpienie kontroli wojskowej poparciem politycznym ze strony chłopów. Postępowanie to spowodowało gwałtowny napływ ludności z bombardowanych obszarów do szeregów partyzantki. Nie po raz pierwszy i nie po raz ostatni dowództwo amerykańskie prowadziło samobójczą akcję, skierowaną przeciwko swoim własnym interesom. Był to jeszcze jeden przykład, wskazujący, że posiadanie materialnej potęgi bez politycznej busoli łatwo zabija wyobraźnię i wypacza celowość postępowania.

W połowie roku następuje na skutek poniesionych porażek pewne niewielkie otrzeźwienie w kierownictwie amerykańskim. Nie mówi się już o miesiącach potrzebnych do zwycięstwa. Generał Westmorland podaje wtedy prezydentowi następujący terminarz:

1. Powstrzymanie sukcesów nieprzyjaciela nastąpi do końca 1965 roku.

2. Rozpoczęcie działań ofensywnych na głównych terenach Południowego Wietnamu dla zniszczenia przeciwnika — w I połowie 1966 roku.

3. Rok do półtora roku później nastąpi całkowite

usunięcie wroga z Południowego Wietnamu, a więc do końca 1967 roku. Wszystko oczywiście pod warunkiem otrzymania z kraju odpowiednich posiłków i dostaw zbrojeniowych.

Z dostawami nie ma kłopotów. Prezydent poprzez swoje lobby na Kapitolu przy pomocy sfer zainteresowanych w produkcji broni łatwo uzyskuje w 1965 roku dodatkowo kredyty — początkowo 700 milionów, a w II połowie roku 1,7 miliarda dolarów. W tym czasie daje się zaobserwować rozwój aktywności części przemysłu amerykańskiego, zainteresowanego w zamówieniach dla korpusu ekspedycyjnego w Wietnamie. Przemysł widzi w tej wyprawie znakomitą okazję do narzucenia armii nowych typów uzbrojenia i wypróbowania wynalazków w różnych dziedzinach zaopatrzenia, od komunikacji i łączności aż do umundurowania i żywności. W miarę rozwoju amerykańskiego zaangażowania nacisk sfer biznesu będzie się wzmacniał i stanie się poważnym czynnikiem w rosnącej eskalacji. Trudniej jest prezydentowi spełnić żądania posiłków. Johnson zaczyna przeżywać pierwsze trudności ze społeczeństwem amerykańskim. Zwiększenie kontyngentów wymaga powiększenia poboru do wojska. W lipcu McNamara ostrzega prezydenta, że „straty nasze mogą osiągnąć 500 zabitych miesięcznie”, ale twierdzi również, że „opinia USA poprze naszą akcję, gdyż jest to rozsądny i śmiały program wojskowo-polityczny, prowadzący do sukcesu w Wietnamie”.

McNamara nie myli się co do strat. Już w listopadzie osiągną one liczbę 469 zabitych, 1470 rannych i 33 zaginionych. Do końca roku straty USA docho-  
dzą do 1369 zabitych. Przewidywania co do poparcia społeczeństwa jednakże nie sprawdzają się. Kierownicy polityki amerykańskiej nie tylko popełniają

błędy w ocenie postawy krajów azjatyckich. Okazuje się, że nie umieją przewidzieć nastrojów i reakcji swego własnego narodu. Na uniwersytetach amerykańskich, na których studiuje 5 milionów młodzieży, zaczyna narastać protest. Rozpoczynają się strajki okupacyjne sal wykładowych i budynków administracyjnych, wiece i pochody protestacyjne, palenie kart poborowych, a nawet zbrojne starcia z policją na ulicach miast. Nastroje młodzieży udzielają się starszemu społeczeństwu; w prasie, radiu i TV rozwija się coraz ostrzejsza krytyka wietnamskiej polityki rządu.

Społeczeństwo zaczyna tracić zaufanie do swego prezydenta. Od chwili zgody na akcję 34A, czyli potajemną wojnę, Johnson nie informował narodu o rozwijającej się eskalacji działań w Wietnamie. Tylko po incydencie w Zatoce Tonkińskiej wykorzystał reakcję rozdrażnionej opinii na to, co uważano za „niesprowokowany atak”, i publicznie uzasadnił naloty odwetowe. Ale zarówno akcja „Dudniący Grzmot”, jak i rozwój walk lądowych na Południu nadal pozostawały tajemnicą i jeżeli przenikały do wiadomości publicznej, to jedynie ogólnikowo i fragmentarycznie. Johnson chciał, aby eskalacja nie docierała do wiadomości ogółu i nie budziła sprzeciwu ani protestów. Wciąż wierzył, że zwycięstwo „jest tuż za rogiem ulicy”, a ono usprawiedliwi go ze wszystkiego. Zwycięzców się nie sądzi. Trzeba też przypomnieć, że w kwietniu 1965 roku Stany Zjednoczone dokonały, również bez upoważnienia Kongresu, wojskowej interwencji w Republice Dominikańskiej, wysyłając tam 22 000 żołnierzy dla uratowania rządu junty wojskowej przed powstaniem ludowym — oczywiście również pod pretekstem obrony kraju przed komunizmem. Ta interwencja wzbudziła silną krytykę w świecie, a zwłaszcza w Ame-

ryce Łacińskiej, ale też i w samych Stanach Zjednoczonych.

Rośnie więc kryzys w stosunkach między opinią społeczną a rządem, rozszerza się „credibility gap”, czyli luka zaufania, luka pomiędzy słowami i propagandą prezydenta a rzeczywistością, którą społeczeństwo przecież dostrzega. Brak wiary w polityczną rzetelność prezydenta przyniesie smutne skutki zarówno dla Johnsona, jak i dla jego następcy.

Bezpośrednie obawy Johnsona dotyczyły powodzenia jego programu „wielkiego społeczeństwa”, programu ambitnego i rzeczywiście przełomowego w stosunkach amerykańskich jako zespół środków walki z biedą, programu rozpowszechnienia oświaty dla wszystkich dzieci, pomocy lekarskiej dla starców, ochrony środowiska, przebudowy miast i budownictwa mieszkaniowego, a także wprowadzenia płac minimalnych, rent i ochrony konsumenta. Program zawierał też kontrowersyjną sprawę praw obywatelskich, czyli urzeczywistnienie równouprawnienia Murzynów. Ten wielki program obejmował 73 projekty ustaw, których uchwalenie pociągało za sobą wydatki rządu 60 miliardów dolarów. Projekty budziły zatem gwałtowny sprzeciw reakcyjnych kół gospodarczych i Johnson z wielką energią i znakomitą dyplomacją parlamentarną pilotował je stopniowo przez dwie izby Kongresu, zwalczając umiejętnie opozycję zarówno wśród republikanów, jak i we własnej partii demokratycznej. Przeprowadzenie ustawy o prawach obywatelskich — które nie udało się Kennedy'emu — było olbrzymim sukcesem Johnsona, a cały zespół programu „wielkiego społeczeństwa” niewątpliwie spowodował jego decydujące zwycięstwo w wyborach 1964 roku. Johnson spodziewał się, że program ten zapewni mu miejsce w rządzie wielkich prezydentów Stanów Zjednoczonych. Ale jedno-

wcześnie instynkt polityczny słusznie ostrzegał go, iż wojna wietnamska może te nadzieje zniszczyć. A na razie na pewno przeszkodzi mu w przeprowadzaniu poszczególnych części programu i w zdobywaniu kredytów, które potrzebne będą na inne cele — na prowadzenie wojny. Dlatego też wołał ukrywać przed narodem eskalację wojny w Wietnamie.

Żona Johnsona, Lady Bird, w swych pamiętnikach opisuje scenę, jaka miała miejsce w tym czasie. Johnson wołał: „Nie mogę się stamtąd wycofać! Nie mogę tej wojny skończyć z siłami, jakimi rozporządzam! Co, u diabła, mam robić?”

Mimo tych obaw i wahań Johnson dalej brnie w błędne koło eskalacji. Wciąż zasięga opinii doradców i generałów i otrzymuje od nich zapewnienia sukcesu. Szef sztabu, generał Earle Wheeler, poparty opinią grupy ekspertów Pentagonu, raportuje w lipcu naczelnemu dowódcy dość niejasno: „Według rozsądnych ocen nie ma powodów do wniosku, że nie możemy zwyciężyć, jeżeli nasza wola znajdzie swój wyraz w strategii i operacjach taktycznych”. Sekretarz stanu Rusk zaprzecza poglądom o rewolucyjnym charakterze tej wojny. „Nie ma żadnego dowodu na to, że Wietkong posiada istotne poparcie ludności w Południowym Wietnamie”. Sekretarz obrony McNamara zapewnia: „Ogólna ocena wskazuje, że jeżeli skoordynujemy właściwie polityczne i wojskowe posunięcia i wykonamy je zdecydowanie i z determinacją — to mamy dobre widoki na osiągnięcie zamierzonego wyniku w Wietnamie w niezbyt dalekim czasie”.

Na każdym kroku otrzymuje Johnson zapewnienia, że jeszcze jeden mały dalszy wysiłek da zwycięstwo. Te przewidywania były jednak niesłuszne, bo opierały się na ocenie sił — a nie na woli walki, nie brały pod uwagę specyfiki wojny rewolucyjnej

i właściwości terenu i klimatu, upiększały ponurą rzeczywistość sytuacji w Sajgonie, dostrzegały jedynie to, co chcieli widzieć informatorzy i informowany. Trudno określić, ile było w tym szczerej i naiwnej wiary we własne racje i własną siłę, a ile tępego brnięcia w eskalację błędów i oszukiwania się dla obrony raz zajętego stanowiska. Z chwilą podjęcia decyzji interwencji zaangażowany został przecież prestiż wielkiego mocarstwa. Nie było odwrotu. Eskalacja wydawała się zawsze lepszym wyjściem niż wycofanie się. Każdy szczebel eskalacji uważany był za ostatni, a w istocie prowadził do następnego.

Studiując dokumenty z 1965 roku można znaleźć trzeźwe głosy w ocenach Departamentu Studiów Departamentu Stanu, w niektórych raportach CIA, a przede wszystkim w odważnych i mądrych wypowiedziach i upartych proroczych ostrzeżeniach George'a Balla. 1 lipca 1965 roku pisał on do prezydenta: „Południowi Wietnamczycy przegrywają wojnę z Wietkongiem. Nikt panu nie udowodni, że możemy pobić Wietkong albo zmusić go do przystąpienia do konferencyjnego stołu na naszych warunkach. Niezależnie od tego, ile setek tysięcy białych, obcych wojsk my użyjemy. Nikt nie udowodnił, że białe siły lądowe, niezależnie do ich liczebności, mogą zwyciężyć w wojnie partyzanckiej — która jest jednocześnie wojną domową pomiędzy Azjata-  
mi — w dżungli, wśród ludności odmawiającej współpracy z białymi oddziałami (a i wojskami południowowietnamskimi) i dającej ogromną przewagę wywiadowi drugiej strony... Jeżeli użyjemy poważnej ilości wojska do walki, stanie się ona wojną między USA a większą częścią ludności Południowego Wietnamu... Wojska USA zaczną ponosić ciężkie straty w wojnie, do której są źle wyekwipowane,

którą będą musiały prowadzić wśród nieprzychylniej, jeżeli nie wprost wrogiej ludności. Kiedy będziemy ponosić ciężkie straty, rozpocznie się proces, od którego absolutnie nie ma odwrotu. Nasze zaangażowanie stanie się tak wielkie, że nie będziemy mogli — bez upokorzenia narodowego — zatrzymać się, zanim nie osiągniemy zamierzonego celu. Z tych dwóch możliwości upokorzenie jest bardziej prawdopodobne niż osiągnięcie naszych celów, nawet po zapłaceniu straszliwej ceny. Nadszedł czas rozpoczęcia poważnych dyplomatycznych prób znalezienia rozwiązania opartego na zasadzie samookreślenia”.

Przytoczyłem tak szeroko fragment memorandum Balla do prezydenta, bo wydaje się, że nie można było lepiej określić sytuacji, w której znalazły się Stany Zjednoczone w 1965 roku, i słuszniej przewidzieć dalszego ciągu wydarzeń.

Lyndon Johnson nie dał się niestety przekonać argumentom Balla. Jak wiemy, w ciągu drugiej połowy tego roku doprowadził liczebność wojsk amerykańskich w Wietnamie do 184 000 i wydał formalną decyzję wysłania tam dalszych 185 000 w następnym roku. Liczba nalotów w ramach „Dudniącego Grzmotu” doszła w grudniu do 1500 miesięcznie. Rozpoczęła się wielka wojna amerykańsko-wietnamska. A z rad i zaleceń Balla pozostała w pamięci prezydenta — choć w formie zdeformowanej i fałszywej — tylko rada rozpoczęcia dyplomatycznych inicjatyw dla politycznego zakończenia konfliktu.

Jednakże sposób, w jaki prezydent przystąpił do realizacji tej myśli, doprowadził do nowych politycznych błędów.

## XI. Daremne poszukiwania pokoju

Negowanie rzeczywistości jest zawsze kosztowne i niebezpieczne. Stany Zjednoczone, nie uznając oczywistego faktu istnienia ludowego powstania w Południowym Wietnamie i traktując toczącą się tam wojnę jako wynik zewnętrznej agresji z DRW, odcięły sobie możliwość podejmowania rozmów i kontaktów z kierownictwem Frontu Wyzwolenia Narodowego Wietnamu Południowego i znalezienia politycznego rozwiązania konfliktu.

W stosunkach z DRW nawiązane lub proponowane kontakty nie wskazywały na chęć rozpoczęcia przez USA pokojowych negocjacji. Kiedy po zamordowaniu Diema sekretarz generalny ONZ U Thant w listopadzie 1963 roku sugerował w Waszyngtonie rozpatrzenie możliwości utworzenia rządu koalicyjnego w Wietnamie — propozycja ta została odrzucona przez Departament Stanu bez dyskusji. W lecie następnego roku U Thant wystąpił z inicjatywą zwołania w Genewie konferencji w sprawie Wietnamu — również bez rezultatu. W tym czasie de Gaulle zaproponował spotkanie wielkich mocarstw celem omówienia zakończenia walk w Wietnamie i gwarancji neutralności Indochin. Prezydent Johnson odpowiedział ostro, że „nie wierzy w konferencje zwołane celem zatwierdzenia terroru. Nasza polityka pozostaje bez zmiany”.



W 1964 i 1965 roku miały miejsce pewne kontakty z Hanoi, zainicjowane przez Stany Zjednoczone, ale nie były to bynajmniej próby rozpoczęcia rokowań. Trzykrotnie na przestrzeni od czerwca 1964 do marca 1965 roku Departament Stanu przekazał drogą dyplomatyczną kierownictwu DRW ultymatywne żądania i pogróżki. Po wizycie Ruska w Ottawie rząd kanadyjski posyła 18 czerwca 1964 roku swojego przedstawiciela w Międzynarodowej Komisji Nadzoru i Kontroli, J. Blaira Seaborna, do Hanoi celem poinformowania premiera DRW, że „jakkolwiek zamia-ry Stanów Zjednoczonych w Wietnamie są pokojowe, to jednak cierpliwość ich nie jest nieograniczona, a koszty eskalacji poniesie przede wszystkim DRW”. Ostrzeżenie to zostało przekazane już po przyjęciu przez Biały Dom zasadniczych decyzji eskalacji, zawartych w scenariuszu z 23 maja 1964 roku, którego wykonanie zostało jednak odroczone ze względu na nadchodzące wybory w USA.

Drugi raz Seaborn został wysłany do Hanoi 10 sierpnia, wkrótce po incydencie w Zatoce Tonkińskiej. Pogróżki, które przekazał tym razem, były ostrzejsze i bardziej konkretne. Cierpliwość USA wyczerpuje się. Jeżeli DRW będzie prowadzić nadal swoją aktywność w Południowym Wietnamie, to poniesie wszelkie konsekwencje. „Akty Pentagonu” podają, że zarówno w pierwszej, jak i w drugiej rozmowie Pham Van Dong nie dał się zastraszyć, okazał spokój i pewność zwycięstwa DRW. Trzeci raz Seaborn znalazł się w Hanoi w marcu 1965 roku, a więc już po powzięciu definitywnych decyzji przeprowadzenia akcji niszczących bombardowań pod nazwą „Dudniący Grzmot”. Seaborn przekazał groźbę „poważnych zniszczeń... wojskowych i przemysłowych inwestycji, jeżeli DRW nie wstrzyma działalności partyzantki i nie zgodzi się na odrębne, nieko-

munistyczne państwo w Południowym Wietnamie". Tym razem premier już nawet nie przyjął Seaborna, który po powrocie z Hanoi relacjonował swoim mocodawcom, że panuje tam „nastrój pewności”. Po tej akcji ambasador Taylor proponuje natychmiastowe rozpoczęcie wzmożonych bombardowań na północ od 19 równoleżnika, „aby rozwiać wszelkie iluzje w Hanoi”.

Tak naprawdę wyglądały tajne inicjatywy „negocjacji”, którymi później wielokrotnie chwalili się Johnson i Rusk, mówiąc o swoich wysiłkach pokojowych stale odrzucanych przez nieprzyjaciela.

Ale jest też prawdą, że w tym okresie podejmowane były z wielu stron tajne inicjatywy dla zahamowania konfliktu, zanim przerodzi się on w otwartą wojnę, i próby pokojowego, politycznego rozwiązania go. Nie wszystkie zostały ujawnione, a fragment „Aktów Pentagonu”, który dotyczy tych prób, nie został dotychczas opublikowany. Znane były w tajemniczym przeważnie pod kryptonimami, których część pochodziła od nazw kwiatów (Marigold, Mayflower, Sunflower), inne nosiły nazwy amerykańskich miast i stanów (Pensylwania, Aspen, Ohio) lub były dowolnymi skojarzeniami (Kelly, Packers).

Już 27 maja 1964 roku rząd Polski wystąpił do Związku Radzieckiego i Wielkiej Brytanii — jako współprzewodniczących konferencji genewskiej — o zwołanie uczestników tej konferencji dla omówienia sprawy Laosu, co mogłoby niewątpliwie mieć duży wpływ na konflikt wietnamski. Inicjatywie tej sprzeciwiły się Stany Zjednoczone, gdyż konferencja w sprawie Laosu utrudniłaby im bombardowanie w tym czasie drogi Ho, prowadzącej przez wschodnie tereny Laosu. Rozmowy dotyczące tej nie zrealizowanej polskiej inicjatywy, jak również toczące się w lecie w Paryżu rokowania pomiędzy różnymi poli-

tycznymi grupami laotańskimi spowodowały jednak — jak wiemy teraz z „Aktów Pentagonu” — odroczenie o kilka miesięcy wprowadzenia w życie decyzji o eskalacji wojny w Wietnamie.

Jesienią 1964 roku U Thant przekazał ambasadorowi USA przy ONZ Adlai Stevensonowi propozycję zorganizowania spotkania w Rangunie przedstawicieli DRW i USA. Nie uzyskał żadnej odpowiedzi, a z kilku źródeł wynika, iż Rusk, otrzymawszy tę informację od Stevensona, nie przekazał jej nawet prezydentowi. U Thant ponowił tę propozycję w grudniu, a więc już po amerykańskich wyborach, i otrzymał 5 lutego od Stevensona odpowiedź odmowną. 24 lutego rozgoryczony U Thant oświadcza, że „gdyby wielki naród amerykański poznał prawdziwe fakty i podłoże wypadków w Południowym Wietnamie, zgodziłby się ze mną, że dalszy przelew krwi jest bezcelowy. Jak wiadomo, w czasie wojen i konfliktów pierwszą ofiarą jest zawsze prawda”. W odpowiedzi sekretarz stanu zapewnia, iż „nie zna żadnej sytuacji gdziekolwiek w świecie, o której naród amerykański byłby lepiej, bardziej szczegółowo i bieżąco informowany... niż w sprawie Wietnamu”.

23 lutego 1965 roku papież Paweł VI wystąpił do kilku rządów z propozycją wspólnego doprowadzenia do rokowań. Stany Zjednoczone pominęły sprawę milczeniem. Również w lutym współprzewodniczący konferencji genewskiej — ZSRR i Wielka Brytania — zaproponowały reaktywowanie konferencji. Stany Zjednoczone propozycję odrzuciły. W lutym i następnie w maju rząd francuski zaproponował pomoc w nawiązaniu negocjacji z DRW. Odpowiedź była nie tylko odmowna, ale obraźliwa w stosunku do „nieproszonego adwokata”.

15 marca 1965 roku obradujący w Belgradzie szefowie 17 państw niezaangażowanych z inicjatywy

marszałka Tito wystosowali apel wzywający do pokoju w Wietnamie. Odpowiedź Stanów Zjednoczonych z 8 kwietnia powtarza wszystkie argumenty o agresji DRW, ale po raz pierwszy oficjalnie zgłasza gotowość do podjęcia negocjacji — jednakże wyłącznie na swoich warunkach. Apel ten został zresztą odrzucony również przez DRW.

W tym czasie ambasador Taylor depekuje z Sajgonu do Waszyngtonu z niepokojem: „Obecna gorączkowa aktywność dyplomatyczna ze strony Francuzów i Anglików utrudnia Stanom Zjednoczonym rozwinięcie możliwości coraz silniejszego przykręcania śruby w stosunku do DRW”.

Wraz z odpowiedzią na apel 17 państw niezaangażowanych prezydent Johnson wygłasza 7 kwietnia pierwsze przemówienie zawierające nie tylko gotowość nawiązania rozmów pokojowych z DRW, ale i pociągającą ofertę przeznaczenia miliarda dolarów na regulację rzeki Mekong. Obok tej zachęty jest jednak pogróżka, że USA użyją całej swej siły, aby zabezpieczyć Wietnam Południowy przed agresją.

Ten nowy akcent chęci nawiązania rozmów znajdzie się odtąd we wszystkich wystąpieniach Johnsona. Był on skutkiem rosnącej krytyki zarówno ze strony opinii amerykańskiej, jak i nacisków innych rządów, zarzucających USA podjęcie eskalacji wojskowej w Wietnamie bez próby politycznego rozwiązania konfliktu. Ciekawym dowodem stanowiska rządu Wielkiej Brytanii w tej sprawie było pismo premiera Harolda Wilsona do prezydenta z 3 czerwca 1965 roku na temat bombardowania DRW: „Jeżeli akcja ta zostanie podjęta, to będziemy musieli się od niej odciąć. Będę przy tym musiał złożyć oświadczenie, że zostałem przez Pana z góry poinformowany i że przekazałem Panu moje stanowisko”.

Interesujące, że Wilson w liście tym wspomina

o danym mu przez przedstawicieli prezydenta zapewnieniu, że „zamiarem waszym jest uzyskanie wynegocjowanego porozumienia i że nie dążycie do całkowitego zwycięstwa na polu walki...”. Zapewnienie takie, udzielone w chwili, kiedy USA rozpoczynały generalny atak lotniczy na DRW i szybko powiększały liczebność swoich oddziałów lądowych na Południu, wskazuje na fakt, iż prezydent wprowadzał w błąd nie tylko swoich przeciwników, ale i sojuszników.

Równie nieszczerym gestem była zarządzona 13 maja 1965 roku sześciodniowa pauza w bombardowaniu DRW, połączona z sondażem możliwości całkowitego ich przerwania. Akcję tę nazwano „Mayflower”, czyli kwiecie majowe. Zaczęła się ona od przekazania w Moskwie przez amerykańskiego chargé d'affaires ambasadzie DRW noty, zawiadamiającej o czasowym zawieszeniu bombardowań i oczekiwaniu wzajemności w postaci „poważnej redukcji działań wojennych”. Nota jednak ostrzega, że taka redukcja jest jedynym sposobem skłonienia USA do całkowitego zaprzestania bombardowania Północy. Nie ma tam więc nawet wzmianki o możliwości negocjacji, jest to po prostu ultimatum. „Akta Pentagonu” stwierdzają, że „Johnson uważał przerwę w bombardowaniach za sposób torowania drogi do wzmożenia wojny powietrznej wobec braku zadowalającej reakcji Hanoi”. Doradcy Białego Domu wiedzieli, iż bombardowanie zostanie wznowione, gdyż zdawali sobie sprawę z tego, że „warunki, które zostały postawione... były tak twarde, iż rząd w Hanoi nie mógł ich zaakceptować”.

Jeszcze kilkakrotnie w ciągu tego smutnego lata, kiedy mnożyły się akty eskalacji amerykańskiej w Wietnamie, prezydent Johnson wygłaszał przemówienia, silnie podkreślające determinację USA „ob-

rony Południowego Wietnamu przed agresją z Północy", a jednocześnie zapewniające o gotowości do negocjacji. Za każdym jednak razem, pomimo frazesu o braku wstępnych warunków, prezydent wykluczał z góry rozmowy z Frontem Wyzwolenia Narodowego oraz żądał zaprzestania ataków partyzanckich na Południu. 4 maja 1965 roku Johnson oświadczył, że „głęboko żałuje konieczności bombardowania Wietnamu Północnego. Ale rozpoczęliśmy je dopiero wtedy, kiedy cierpliwość przemieniła się z cnoty w błąd”. 28 lipca Johnson mówi o piętnastu próbach podjęcia negocjacji za pośrednictwem czterdziestu różnych państw, próbach, które nie zostały nawet skwitowane odpowiedzią. Nie znamy wszystkich piętnastu prób, jakich prezydent się doliczył. Ale te, o których wiemy, polegały bądź na pogrózkach, chociażby jak przytoczone powyżej misje kanadyjskiego dyplomaty, bądź na inicjatywach trzecich państw czy osobistości. Te ostatnie napotykały zawsze na niechętną lub wręcz negatywną reakcję rządu USA. Tak było z wielokrotnymi inicjatywami U Thanta.

Jeszcze jedno zjawisko towarzyszyło zawsze pokojowym deklaracjom prezydenta. Zbiegały się one zwykle z wznowieniem bombardowań lub eskalacją amerykańskiej interwencji. Deklaracje z 7 i 8 kwietnia 1965 roku nastąpiły tuż po decyzji użycia wojsk lądowych USA do działań zaczepnych w Wietnamie i powiększenia ich liczebności. Sama decyzja zapadła 1 kwietnia. Akcja „Mayflower” nastąpiła zaraz po konferencji w Honolulu, na której postanowiono podnieść liczebność wojsk USA do 82 000 i zażądać dodatkowych oddziałów od Australii i Korei. Przemówienie z 28 lipca zbiegło się z wzmocnieniem amerykańskiego korpusu ekspedycyjnego do 125 000 i rozpoczęciem akcji „znajdź i zniszcz”. Za każdym razem rosła też liczba wyłotów spod znaku „Dudnią-

cego Grzmotu". 18 czerwca po raz pierwszy użyto przeciwko DRW wielkich bombowców B52. A już 25 czerwca w San Francisco Johnson znowu deklarował pokojowe intencje USA.

Przez cały rok 1965 i przez trzy następne lata Stany Zjednoczone liczyły jedynie na wojskowe rozwiązanie konfliktu — to znaczy na zwycięstwo. Nie widziały innych możliwości rozmawiania z przeciwnikiem niż na warunkach kapitulacji, a wszelkie deklaracje o gotowości do negocjacji bez warunków wstępnych miały jedynie charakter propagandowy.

Stanowisko drugiej strony, tzn. DRW i FWN, było w tym okresie również twarde i zdecydowane. DRW i partyzanci wierzyli w swoją słuszność i siłę, byli absolutnie pewni zwycięstwa. Wyciągając wnioski z niedawnej wojny z Francją nie dowierzali gestom przeciwnika i nie spodziewali się niczego po negocjacjach w tym stadium konfliktu. Stawiali też wyraźnie warunek wstępny: żadnych rozmów pod bombami. Czuli się silni i nie chcieli stwarzać pozorów własnej słabości przez zbyt pochopną zgodę na przystąpienie do rozmów. 8 kwietnia 1965 roku ogłosili dokument, stanowiący podstawę rozwiązania sprawy wietnamskiej, znany potocznie pod nazwą „czterech punktów Pham Van Donga”.

Punkt pierwszy żądał uznania podstawowych praw narodu wietnamskiego — pokój, niepodległość, integralność i jedność. USA muszą wycofać wojsko i sprzęt, zlikwidować bazy, zaprzestać interwencji w obu częściach Wietnamu.

Punkt drugi — to ściśle przestrzeganie układów genewskich, unieważnienie wszelkich sojuszów wojskowych obydwu części kraju i zakaz utrzymywania obcych baz.

Punkt trzeci stwierdzał, że wszystkie wewnętrzne sprawy Wietnamu Południowego muszą być rozwią-

zane przez jego mieszkańców zgodnie z programem FWN i bez obcej ingerencji.

Punkt czwarty — to stwierdzenie, że pokojowe zjednoczenie Wietnamu zostanie dokonane przez ludność obu jego części bez interwencji z zewnątrz.

Plan DRW — przyjęty z drobnymi zmianami przez FWN we wrześniu w tzw. „pięciu punktach” — stał się przedmiotem gwałtownych ataków ze strony rządu USA. Rusk uznał go za „dowód intencji pochłonięcia Południowego Wietnamu przez Hanoi i narzucenia krajowi kontroli komunistycznej”. Stwierdził też, że plan jest całkowicie sprzeczny z układami genewskimi. Zarówno Johnson, jak i inni politycy amerykańscy wielokrotnie określali ten plan nie tylko jako niemożliwy do zaakceptowania, ale nawet jako nie nadający się do przyjęcia za podstawę do dyskusji.

A jednak — jak zobaczymy później — układ „o zaprzestaniu działań i przywróceniu pokoju”, zawarty w Paryżu w 1973 roku, oparty jest na „czterech punktach Pham Van Donga” i odbiega od niego tylko w jednym zdaniu punktu trzeciego. Czy trzeba było siedmiu lat okrutnej i niszczącej dla obu stron wojny, aby wrócić do propozycji z 8 kwietnia 1965 roku?

Uparte przekonanie polityków USA, że całkowite zwycięstwo pozwoli podyktować kapitulacyjne warunki Hanoi, jeszcze wielokrotnie uniemożliwi przerwanie walk i rozpoczęcie poszukiwań pokojowego rozwiązania konfliktu. Spośród znanych nam inicjatyw pokojowych przypomnijmy jeszcze kilka.

W końcu 1965 roku sztab amerykański, zaniepokojony brakiem sukcesów, mimo coraz intensywniejszych bombardowań i wysłania do Wietnamu już prawie dwustu tysięcy żołnierzy — przygotował nowy projekt dalszej eskalacji, który miał podnieść



przeszło dwukrotnie liczebność wojsk USA w Wietnamie. W tym samym czasie znany włoski działacz społeczny, burmistrz Florencji Giorgio La Pira, znalazł się w Hanoi, gdzie rozmawiał z Ho Szi Minem i Pham Van Dongiem. Treść tych rozmów przekazał ministrowi spraw zagranicznych Włoch Amintore Fanfaniemu, który był wówczas przewodniczącym Zgromadzenia Ogólnego ONZ.

20 listopada Fanfani wystosował pismo do Johnsona, przekazując mu informację od La Piry, że kierownictwo DRW pragnie pokoju i proponuje zaprzestanie działań wojennych oraz wspólną deklarację przyjmującą za podstawę rozwiązania konfliktu układu genewskie z 1954 roku. Fanfani wskazywał przy tym, że treść tych układów pokrywa się w zasadzie z „czterema punktami Pham Van Donga”, a rząd w Hanoi nie domaga się od USA wycofania wojsk jako wstępnego warunku rokowań. Ho Szi Min oświadczył w rozmowie z La Pirą, że „dla przywrócenia pokoju gotów jestem pojechać gdziekolwiek i spotkać się z kimkolwiek”.

Stany Zjednoczone po dwóch tygodniach oświadczyły, że stanowisko przywódców Hanoi nie okazuje gotowości do negocjacji bez warunków wstępnych. Odrzuciły także pogląd, iż 4 punkty pokrywają się z układami genewskimi. Następnie mimo wyrażonej prośby Fanfaniego o utrzymanie tajemnicy, informacja o wymianie listów została podana do prasy. A 15 grudnia dwanaście ton bomb amerykańskich padło po raz pierwszy na rejon Hajfongu, uszkadzając jedną z największych elektrowni DRW.

Jak się przekonamy później, taktyka nalotów na specjalnie czułe ośrodki DRW właśnie w chwili prób negocjacyjnych stała się zwyczajem i metodą dowództwa amerykańskiego. Przez dłuższy czas nie było jeszcze wiadomo, czy była to polityka Białego

Domu, czy też Pentagonu, który w ten sposób skutecznie przeciwdziałał wszelkim próbom negocjacji. W świetle ogłoszonych dokumentów nie ulega już dziś wątpliwości, że do 1968 roku prezydent i jego otoczenie nie wyobrażali sobie innej formy zakończenia konfliktu, jak tylko militarne zwycięstwo i kapitulację przeciwnika. Wszelkie gesty negocjacyjne miały na celu uspokojenie amerykańskiej opinii publicznej, która coraz głośniej demonstrowała przeciw wojnie. Ponadto chodziło o wybadanie woli oporu przeciwnika.

Takie było też podłoże wielkiej „ofensywy pokojowej”, którą nagle zorganizował prezydent Johnson w końcu grudnia 1965 roku. Przedłużył bezterminowo rozpoczętą 24 grudnia świąteczną pauzę w bombardowaniach. Nastąpiło to wbrew opinii zarówno dowództwa wojskowego, jak i sekretarza stanu, którzy obawiali się nie tylko tego, iż przerwa zmniejszy nacisk na Hanoi, ale że „Hanoi może zaofiarować rozpoczęcie negocjacji w zamian za całkowite zaprzestanie bombardowań bez tych merytorycznych ustępstw, których żąda Waszyngton”. Memorandum Departamentu Stanu z grudnia 1965 roku formułuje poglądy Ruska, który jest przeciwnikiem przerwy w bombardowaniach. Rusk twierdził, że przerwa da „Hanoi znakomitą okazję do przedłużenia pauzy w nalotach i do demoralizowania południowych Wietnamczyków przez stałe pokazywanie nam (i światu) perspektywy negocjacji na ich warunkach”.

Według opinii sekretarza stanu — jak wynikało ponadto z tego memorandum — przerwa w bombardowaniach wskazana byłaby dopiero po masowych nalotach na okręgi Hanoi i Hajfongu.

Mimo tych oporów Johnson po naradach z McNamara, który argumentował, że przerwa będzie korzystnym okresem spokoju przed przejściem do na-

stępnej fazy eskalacji nalotów, zarządził bezterminową pauzę. Być może Johnson zawahał się na chwilę przed perspektywą nowej fazy wojny, kiedy na rancho w Teksasie McNamara przedstawił mu projekt trzydziestomiliardowych wydatków na wojnę wietnamską w następnym roku budżetowym. Nie bez wpływu na decyzję prezydenta był również wynik ankiety Instytutu Gallupa, który wskazał, że 73% Amerykanów pragnie przerwy w bombardowaniach. A może podziaływały raporty o wielkiej bitwie w dolinie Ja Drang, w której zginęło 200 żołnierzy i oficerów wyborowej 1 dywizji „kawalerii” USA.

27 grudnia prezydent podjął nagle decyzję przedłużenia pauzy, a następnego dnia rozpoczął wielką operację pokojową. Wiceprezydent Hubert Humphrey, ambasador przy ONZ Arthur Goldberg, McGeorge Bundy i ambasador Averell Harriman zostali w ciągu kilku godzin zmobilizowani i rozesłani do kilkudziesięciu państw świata specjalnymi samolotami z misją przekazania oferty pokojowych rokowań. W Rangunie ambasador USA Henry Byrode otrzymał instrukcję przeprowadzenia dyskretnej rozmowy z generalnym konsulem DRW Vu Huu Bin. O tym spotkaniu, które odbyło się nad kuflem piwa, świat dowiedział się znacznie później. Na razie świat był poruszony gorączkową aktywnością oficjalnych emisariuszy, szczegółowo relacjonowaną w środkach masowego przekazu. Jak to określił podsekretarz obrony McNaughton, „była to najbardziej dyskretna ofensywa, na jaką może się zdobyć człowiek z Teksasu”.

Jednym z głównych kierunków tej ofensywy stała się Warszawa. Uprzedzony tylko zawiadomieniem lotniska o parę godzin naprzód wylądował na Okęciu prezydencki samolot nr 1 z Harrimanem na pokładzie. W ciągu wielogodzinnych konferencji, trwających dwa dni, Harriman przedstawił w MSZ pro-

pozycję nawiązania rokowań pomiędzy USA i DRW. Propozycja ta zawierała pewne nowe, interesujące elementy. Tak więc rząd USA po raz pierwszy godził się na możliwość udziału w rozmowach przedstawicieli FWN, zgadzał się na dyskusję nad „czterema punktami Pham Van Donga” i pięcioma punktami FWN, równoległe z nowo sformułowaną w 14 punktach propozycją amerykańską.

Szczegóły rozmów i negocjacji, które wynikły z tych propozycji, oczekują jeszcze na ujawnienie.

Oferta Johnsona — która dotarła do DRW w różnych formach, również za pośrednictwem innych rządów, jak np. Algierii, Ghany, Egiptu oraz Birmy — nie była zdaniem kierownictwa DRW szczerą. Było ono głęboko przekonane, że USA przystępują zdecydowanie do dalszej eskalacji i podjęły tę szeroko rozreklamowaną ofensywę pokojową jedynie ze względów taktycznych, dla oszukania opinii świata i własnego kraju.

Jak się wkrótce okazało, historia przyznała rację kierownictwu DRW. Wiemy teraz na podstawie ujawnionych dokumentów, że trzydziestosiedmiodniowa przerwa w bombardowaniach była rzeczywiście tylko manewrem. Już 13 grudnia 1965 roku, a więc na dwa tygodnie przed podróżą Harrimana do Warszawy, prezydent dał rozkaz wysłania do Wietnamu dalszych 180 000 żołnierzy. Rozkaz ten został utrzymany w tajemnicy na czas „ofensywy pokojowej”. „Akta Pentagonu” odkrywają nam również drogi rozumowania prezydenta, który „uważał pauzę (w bombardowaniach) za sposób oczyszczenia drogi dla zwiększenia tempa wojny powietrznej w braku zadowalającej odpowiedzi z Hanoi”. A McNamara i McNaughton w swych memorandach proponowali kilkakrotnie dłuższą pauzę jako „sprężynę utrzymującą napięcie po to, aby je potem powiększyć. Przez cały czas dys-

kusji uważano za pewne, że bombardowania zostaną wznowione". Kierownicy akcji wietnamskiej „wierzili, że bombardowania zostaną wznowione... ponieważ wiedzieli, że warunki, które ustalili dla trwałego zawieszenia broni, są twardsze niż te, jakie Hanoi może przyjąć”.

Warunki te zostały sformułowane w tajnym memorandum z 3 grudnia. DRW ma „wstrzymać infiltrację i kierowanie działaniami zbrojnymi na Południu, ma intensywnie wycofać stamtąd swoje oddziały, Wietkong ma wstrzymać ataki, terror i sabotaż oraz zaprzestać konfrontacji z władzami sajgońskimi na obszarze Południowego Wietnamu”.

Tak wyglądała w rzeczywistości koncepcja ukrywająca się za 14 punktami. Podsekretarz obrony McNaughton sam ją scharakteryzował jako „kapitulację komunistycznych oddziałów, które bynajmniej nie zostały pokonane”.

W innym memorandum tego okresu McNaughton tak scharakteryzował taktykę negocjacji: „Jeżeli zmierzamy do zwycięstwa, to będziemy mieli dość sił dla uzyskania kompromisu. Ale jeżeli będziemy dążyć do kompromisu, to starczy nam sił tylko na przegraną. Bo jeżeli pokażemy, że zmniejszyliśmy nasze cele ze zwycięstwa do kompromisu, to a) rozłoży się rząd sajgoński, b) DRW poczuje «smak krwi»”.

Noworoczna „ofensywa pokojowa” prezydenta Johnsona nie była wyrazem prawdziwego, rzetelnego planu dla osiągnięcia porozumienia politycznego. A poza tym sposób, w jaki została przeprowadzona, musiał również rozwiać iluzje co do szczerości jego intencji.

Jeden z najbliższych ówczesnie współpracowników prezydenta w Białym Domu, Chester Cooper, tak scharakteryzował styczniową akcję pokojową: „Tam gdzie potrzebne były precyzyjne instrumenty — my

użyliśmy młotek. Tam gdzie potrzebne było tajne i ostrożne przygotowanie — my postępowaliśmy jak na defiladzie w święto narodowe... Zamiast uwypuklenia skutków naszego 14-punktowego programu — my zagłuszyliśmy go hałasem i efekciarstwem podróży wysoko postawionych osób. W sumie prezydent działał jak dyrektor cyrku o trzech arenach, a nie jak kierownik starannie obmyślanej akcji dyplomatycznej”.

Sprawa formy i metod negocjacji z pozoru tylko ma drugorzędny charakter. Jest równie ważna, jak ich treść. Bo negocjacje to jedna z form walki.

Kierownictwo DRW miało więc rację w styczniu 1966 roku i nie popełniło błędu uznając propozycje amerykańskie za nieszczerze i fałszywe. Nie zatrzaśnięto jednak drzwi do negocjacji. Poglądy Hanoi przekazane zostały do Waszyngtonu drogą dyplomatyczną. Poza tym 28 stycznia 1966 roku Ho Szj Min w oświadczeniu przekazanym kilku rządom stwierdził, że „jeżeli rząd USA rzeczywiście dąży do pokojowego uregulowania konfliktu, to powinien uznać stanowisko rządu DRW wyrażone w «czterech punktach» i udowodnić to konkretnymi czynami. Powinien definitywnie i bezwarunkowo przerwać bombardowania i inne działania wojenne przeciwko DRW”.

Dowództwo amerykańskie, które od początku sprzeciwiało się nawet kilkudniowej przerwie w nalotach i wielokrotnie w ciągu stycznia żądało wznowienia ich — wzmogło nacisk na prezydenta. 31 stycznia bombowce amerykańskie znów podjęły akcję „Dudniącego Grzmotu”. Ta nowa ofensywa lotnicza przypieczętowała zakończenie fałszywej ofensywy pokojowej.

Znamy jeszcze przebieg dwóch ważniejszych inicjatyw pokojowych w 1966 roku. Potwierdzają one pogląd, że polityka amerykańska tego okresu dą-

żyła zdecydowanie i bezwzględnie do pełnego zwycięstwa — które widziała zawsze „tuż za zakrętem”.

Jedną z tych prób była misja kanadyjskiego dyplomaty Chestera Ronninga, który urodził się i wychował w Chinach, znał znakomicie język chiński, Azję i Azjatów. Przebywał w Hanoi z polecenia premiera Kanady Lestera Pearsona dwukrotnie, w marcu i w czerwcu 1966 roku. Odbił tam wiele interesujących rozmów, sondując możliwości nawiązania negocjacji pokojowych. Rząd kanadyjski, informując Waszyngton o kontaktach Ronninga, nalegał, aby do czasu dokładniejszej oceny możliwości, wynikających z misji Ronninga, nie było eskalacji i bombardowań. 28 czerwca bombowce B52 po raz pierwszy w historii tej wojny zaatakowały obszar Hanoi. W ten sposób i ta próba porozumienia została zbombardowana.

Nie można się dziwić smutnej refleksji McNamary, który 14 października pisze do prezydenta: „Musimy podjąć kroki, aby zwiększyć wiarogodność naszych gestów pokojowych w oczach przeciwnika... Mamy dowody, że oświadczenia komunistów, zarzucające nam złą wiarę, nie są tylko propagandą, ale odpowiadają ich głębokiemu przekonaniu... Wierzą głęboko, że kierownictwo amerykańskie naprawdę nie chce zaprzestania walk...”

Inna inicjatywa, która nastąpiła przy udziale Polski, również nie zwiększyła wiarygodności amerykańskich propozycji. Ukrywała się ona pod kryptonimem „Marigold”, czyli „Nagietek”.

Zanim nastąpi szczegółowe ujawnienie przebiegu negocjacji, które pod symbolem tego kwiatka odbyły się w listopadzie i grudniu 1966 roku, można tylko stwierdzić, że umożliwiły one nawiązanie bezpośrednich rokowań pokojowych. Opierały się o koncepcję działania w dwóch fazach: fazy A — zaprzestania bombardowań DRW, i fazy B — która nastą-

piłyby po pewnym uzgodnionym czasie i obejmowałyby wszystkie posunięcia, podejmowane w zamian za podobne kroki drugiej strony celem rozwiązania wojkowego i politycznego sprawy wietnamskiej. Byłby to uzgodniony z góry, współzależny zespół środków, tzw. „package deal”. Opierał się o zasady sformułowane przez USA, tym razem w dziesięciu punktach.

Niestety, w chwili kiedy uzgodniono już nawet termin spotkania przedstawicieli DRW i USA w Warszawie, 2 grudnia nastąpił zmasowany nalot bombowców amerykańskich na Hanoi. Powtórzono go w dwa dni później. Pomimo protestów, ostrzeżeń i perswazji dalsze naloty nastąpiły 13 i 14 grudnia. Rozmowy zostały zerwane.

Omawiając w 1966 i 1967 roku przyczyny bombardowania Hanoi w czasie toczących się, niezmiernie delikatnych rokowań, wysuwano najrozmaitsze przypuszczenia. Najbardziej prawdopodobna wydała się interpretacja obciążająca dowództwo w Sajgonie, które — powiadomione o rozmowach — „zbombardowało” możliwości nawiązania negocjacji. Dziś wiemy już, że sprawa wyglądała dużo prościej. Pierwsze naloty 2 i 4 grudnia istotnie planowane były od dawna i zatwierdzone przez Johnsona jeszcze 15 listopada. Odkładano je z powodu złej pogody. Pierwszy nalot nie został odwołany przypuszczalnie przez niedopatrzenie. Ale w następnych dniach odbywały się w Białym Domu poważne narady co do dalszych nalotów w okresie akcji „Marigold”. Szefowie sztabów, generał Westmorland, sekretarz stanu Rusk, William Bundy, a nade wszystko Walt Rostow, perswadowali Johnsonowi, że właśnie teraz należy wywrzeć silny nacisk na Hanoi i „przykręcić śrubę”. McNamara, Harriman i ambasador Lewellen Thompson ostro sprzeciwiali się takiej taktyce, przewi-



dując słusznie, że musi ona rozbić możliwości porozumienia. Johnson przyjął twardą linię postępowania i 6 grudnia 1966 roku nakazał dalsze przeprowadzanie nalotów na Hanoi. Naoczny świadek tych dyskusji w Białym Domu, Chester Cooper, pisze w swoich pamiętnikach: „Nie można było przekonać prezydenta ani podważyć jego pewności, iż właściwą receptą na Hanoi jest zwiększanie nacisku”.

Dopiero kiedy nastąpiła silna reakcja DRW, a w całym świecie podniosły się ostre protesty, zwłaszcza gdy bomby trafiły w dzielnicę ambasad w stolicy DRW — 15 grudnia 1966 roku naloty zostały zawieszono, a następnie 24 wydano zakaz bombardowania Hanoi. Ale, jak wiemy, było już za późno. Amerykanie znowu popełnili niewybaczalny błąd, oparty raz jeszcze na fałszywej ocenie przeciwnika i sytuacji. Zakaz bombardowania Hanoi przetrwał zresztą tylko do kwietnia 1967 roku, kiedy postanowiono znowu „przykręcić śrubę”. Z podobnym skutkiem.

Jednym z argumentów, którym zwolennicy kontynuowania nalotów bronili swego stanowiska, była precyzja amerykańskich nalotów, kierowanych wyłącznie na cele wojskowe. Wiemy z wielu źródeł, jak nieprawdziwe były te argumenty. „Akta Pentagonu” informują, że CIA w swojej analizie sytuacji z tego okresu — styczeń 1967 — stwierdza, że „straty ludzkie w Wietnamie Północnym wzrosły z 13 000 w 1965 roku do 24 000 w 1966 roku, w tym 80% ludności cywilnej”. Liczba nalotów w tym okresie czasu zwiększyła się z 55 000 do 148 000, tonaż zrzuconych bomb z 33 000 do 128 000, a koszty operacyjne z 460 milionów dolarów do 1,2 miliarda. Liczba straconych samolotów według statystyk amerykańskich wzrosła w ciągu tych dwóch lat z 171 do 318. „Głównym rezultatem nalotów na okolice Hanoi w dniach 2, 4, 13 i 14 grudnia — wszystkie wewnątrz ustalonego

pierwotnie 30-milowego sanktuarium dokoła stolicy — było utracenie tego, co wyglądało na inicjatywę pokojową ze strony Hanoi" — konkluduje swoje studium CIA. „Akta Pentagonu” dodają, że „naloty te stały się potężnym bodźcem w procesie utraty opinii światowej”.

Na konferencji prasowej 2 lutego 1967 roku prezydent Johnson zapewnił dziennikarzy: „Nic nie wiem o żadnym poważnym wysiłku negocjacyjnym... Druga strona nie wykazała poważnego zainteresowania krokami w kierunku pokoju...” Tak została zamordowana i pogrzebana akcja „Nagietek”...

W styczniu i lutym 1967 roku było jeszcze kilka okazji do nawiązania rzeczowych negocjacji pomiędzy USA i DRW. Radca amerykańskiej ambasady w Moskwie, John Gutrie, spotkał się nawet po cichu z ambasadorem DRW, ale i ta próba rozbiła się o upór Stanów Zjednoczonych, które nie chciały się zgodzić na zaprzestanie bombardowań DRW uważając, iż oznaczałoby to przyznanie się do bezcelowości tej akcji i bezradności wielkiego mocarstwa wobec małego państwa. Johnson zawsze uzależniał zaprzestanie bombardowań od ustępstw drugiej strony. Ho Szi Min uważał niezmiennie, że bombardowanie — jako bezprawny akt agresji w stosunku do innego państwa bez wypowiedzenia wojny — musi być bezwarunkowo przerwane.

W lutym 1967 roku zarysowała się najbardziej chyba konkretna możliwość przełamania tej trudności i rozpoczęcia deeskalacji wojny. Możliwość ta powstała w czasie pobytu premiera ZSRR Aleksieja Kosygina w Londynie. Wizyta, rozpoczęta 6 lutego, zbiegła się w czasie z czterodniowym rozejmem w Wietnamie z okazji księżycowego Nowego Roku, czyli święta Tet. Biały Dom wysłał do Londynu jako

specjalnego wysłannika Chester Coopera, który przekazał premierowi Wilsonowi propozycję nawiązania wspólnie z Kosyginem rokowań w sprawie Wietnamu. Propozycja w zasadzie pokrywała się z treścią warunków akcji „Marigold”, a głównym atutem tych warunków była formuła „Faza A — Faza B”. Faza A przewidywała zaprzestanie bombardowań, a po pewnym czasie (jeden do trzech tygodni, zależnie od uzgodnienia stron) miały nastąpić w ramach Fazy B dalsze, zaplanowane szczegółowo fazy wzajemnej deeskalacji działań.

Kilka dni żmudnych rokowań między dwoma premierami, którzy byli jednocześnie współprzewodniczącymi konferencji genewskiej, połączone były oczywiście z błyskawiczną wymianą depesz, zarówno na trasie Londyn-Waszyngton, jak i Londyn—Moskwa—Hanoi. Po czterech dniach, kiedy wydawało się już, że wszystko zostało ustalone, i Kosygin opuszczał Londyn udając się do Szkocji — nadeszła z Waszyngtonu depesza przewracająca cały porządek rzeczy, ustalony na podstawie propozycji Johnsona. Faza A, czyli zaprzestanie bombardowań, miała nastąpić dopiero po stwierdzeniu, że DRW rzeczywiście przerwała udzielanie pomocy Frontowi Wyzwolenia Narodowego. W ten sposób cała misternie zbudowana konstrukcja dyplomatyczna została zburzona. A następnego dnia, kiedy Wilson próbował jeszcze przez „gorącą linię” przekonać prezydenta do jego pierwotnej propozycji, nadeszła inna wiadomość, której należało zresztą oczekiwać: bombardowania DRW zostały wznowione.

Harold Wilson w swoich pamiętnikach otwarcie oskarża prezydenta Johnsona o „świadome rozbitcie rokowań przez zmianę ich warunków w ostatniej chwili”. Tak skończyła się więc ta obiecująca akcja pokojowa, która mogła skrócić wojnę wietnamską

o pięć lat. W negocjacyjnym zielniku amerykańskim nosi ona kryptonim „Sunflower” — „Słonecznik”.

Zatem święto Tet 1967 nie przybliżyło możliwości pokoju. Dopiero następny wietnamski Nowy Rok — Tet 1968, demonstrując tragicznie i krwawo zarówno siłę i wolę walki Wietnamczyków, jak i bezsilność Stanów Zjednoczonych — stanie się początkiem otrzeźwienia kierownictwa USA. Ale do tego czasu wszelkie, jakże liczne próby doprowadzenia do negocjacji będą bezowocne i zakończą się tak samo jak poprzednie: eskalacją bombardowań. Obok nowych prób papieża, sekretarza generalnego ONZ, rządów Rumunii, Szwecji i Norwegii, jak również bezowocnych dyskusji amerykańsko-chińskich na periodycznych spotkaniach w Warszawie — pojawi się jeszcze inicjatywa amerykańskiego profesora uniwersytetu Harvard, doktora Henry Kissingera. W czasie konferencji Pugwash w Sopotcie nawiązał on kontakt z dwoma naukowcami francuskimi, Raymondem Aubrac i Herbstem Marcovitchem, którzy mieli dobre kontakty w Hanoi. Z inicjatywy Kissingera, uzgodnionej w Waszyngtonie, obaj Francuzi w końcu lipca 1967 roku przybyli do Hanoi z nową wersją formuły „Faza A — Faza B”. Ale zanim mogły rozwinąć się dalsze negocjacje, odezwał się znowu chór tragedii greckiej. W sierpniu nastąpiło pięć wielkich, niszczących bombardowań Hanoi. Kierownictwo DRW raz jeszcze otrzymało potwierdzenie swej tezy, że pokój ze Stanami Zjednoczonymi może być zawarty dopiero po zwycięstwie. Nie mieli wątpliwości, że zbliżają się do niego z każdym rokiem. Natomiast zrozumienie niemożności osiągnięcia zwycięstwa nad narodem wietnamskim docierało do świadomości kierownictwa wojskowego i politycznego USA bardzo wolno. Wiosną 1967 roku

podnieśli oni o jeszcze jeden stopień poziom eskalacji, powiększając liczbę nalotów, bombardując z okrętów porty DRW i posyłając dalsze posiłki armii lądowej do Wietnamu. W dalszym ciągu nie rozumieli istoty sprawy.

Na podstawie ujawnionych dziś materiałów widzimy już wyraźnie, że wszystkie tzw. inicjatywy pokojowe, podejmowane przez Biały Dom aż do 1968 roku, były nieszczerze. Niektóre z nich miały wyłącznie cele propagandowe i wprowadzenie w błąd własnej opinii publicznej, inne stanowiły broń w wojnie psychologicznej, inne wreszcie były narzędziem sondażu dla zbadania wymarzonego „skruszenia” woli walki przeciwnika. Z tego samego punktu widzenia traktowano inicjatywy innych rządów i ludzi dobrej woli, którzy pragnęli przyczynić się do przerwania tej beznadziejnej walki. W każdym wypadku chodziło Amerykanom o podyktowanie DRW swoich warunków. USA twardo przyjmowały za punkt wyjścia tezę o „agresji z Północy” i odrzucały rolę FWN, uważały, że można bombardowaniami zmusić przeciwnika do kapitulacji. Istotą podejścia USA do wszystkich negocjacji było w gruncie rzeczy żądanie, aby DRW zrezygnowała z Południa. Ale na to DRW nigdy nie mogła się zgodzić.

Aż do wiosennej ofensywy Tet 1968 roku, ilekroć powstawała możliwość politycznego rozstrzygnięcia konfliktu — prezydent dawał posłuch wojennej partii w swoim otoczeniu i z Pentagonu. Grupa jastrzębi, używając za każdym razem niezmiennie fałszywych czy sfalszowanych argumentów i obietnic „światła, widocznego na końcu tunelu”, przekonywała naczelnego wodza, że trzeba tylko zademonstrować więcej siły i mocy zniszczenia, a cele amerykańskie w Wietnamie Południowym zostaną osiągnięte.

Tymczasem sytuacja Stanów Zjednoczonych na wszystkich frontach tej wojny stawała się coraz trudniejsza. Amerykanie nie wiedzieli, że odciągając rozpoczęcie prawdziwych rokowań, przekładają je na okres, kiedy będą rokowali nie z pozycji siły, a słabości.

## XII. Iluzje pacyfikacji

Liczne inicjatywy pokojowego zakończenia konfliktu wietnamskiego z lat 1966 i 1967 okazały się bezskuteczne i zakończyły się niepowodzeniem. Nie można jednak winić za to dyplomatów czy działaczy społecznych, którzy w różnych częściach świata podejmowali te bezpłodne wysiłki. Istotną przyczyną załamania się wszystkich prób rokowań pokojowych było stanowisko rządu USA, zgodnie z którym wojnę można było zakończyć tylko przez całkowite zwycięstwo i podyktowaną przeciwnikowi bezwarunkową kapitulację. Stawiano świadomie warunki niemożliwe do przyjęcia, a kiedy zarysowywały się możliwości nawiązania dialogu — po prostu rozpoczynano brutalne bombardowania. Ostrożność i nieufność rządu DRW w stosunku do licznych pokojowych ofert były wykorzystywane dla obciążenia go odpowiedzialnością za niepowodzenie akcji.

Postawa rządu Stanów Zjednoczonych w tym czasie opierała się na rosnącym przekonaniu, że nieprzyjaciel — zarówno na Południu, jak i w DRW — goni resztkami sił, a ludność Wietnamu Południowego coraz wyraźniej odwraca się od terroryzujących ją wojsk Wietkongu.

Lata 1966 i 1967 były dla Amerykanów latami pewności siebie, optymizmu i wiary we własne siły —

ostatnie już w historii tej wojny. „Światło na końcu tunelu” wydawało się coraz jaśniejsze. Dowódcy wojskowi wynaleźli mnóstwo sprawdzianów na udowodnienie swoich zwycięstw. Ładowali do komputerów liczby zabitych, zdobytej broni, uciekinierów, dezertersów, zniszczonych chałup, hektary spalonej dżungli, tonaż zrzuconych bomb i wyciągali z maszyn cyfrowych — jak z magicznego cylindra — niezliczone wskaźniki udowadniające, iż nieprzyjaciel jest już pokonany. Ekspertsi pieczołowicie opracowywali dokumenty i notatki znajdujące na polach bitew, świadczące o upadku morale przeciwnika, który gonął już resztkami sił. Dowódcy brygad i batalionów spisywali zeznania torturowanych jeńców i zastraszonych uchodźców i przesyłali je do sztabów. Wszystkie te dane, starannie opracowane, poklasyfikowane, upiękkszzone wykresami, przychodziły do Pentagonu i biur Białego Domu, gdzie z kolei doradcy prezydenta wybierali najoptimistyczniejsze sprawozdania i zanosili do swego szefa. Z miesiąca na miesiąc — w tych euforycznych latach — mnożyły się oświadczenia Johnsona, Ruska, Rostowa, Westmorlanda o przechylającej się szali tej wojny, o beznadziejnej sytuacji przeciwnika, o pewności zwycięstwa.

Kierownicy rządu i armii USA żyli w tym czasie w świecie iluzji. Nie wiedzieli — i nie chcieli wiedzieć — że sierżanci amerykańscy liczą nie tylko zabitych nieprzyjaciół, ale i znalezione w ryżowiskach zwłoki kobiet, starców, dzieci i zwierząt domowych, że fotografie zniszczonych makiet z dykty zaliczają jako zdjęcia rozbitych mostów, że dezerterszy z armii powstańczej mają określone zadania polityczne i wojskowe, że w sztabach powstańczych funkcjonują specjalne jednostki zajmujące się fabrykacją „dokumentów” rozrzucanych następnie na polach bitew, że w



„spacyfikowanych” wioskach działają obok siebie w swoistej harmonii dwie administracje — fałszywa, na pokaz, czyli sajgońska, i prawdziwa — z ramienia FWN.

W tej sytuacji kierownictwo amerykańskie wzmacnia swe wysiłki, aby wreszcie dobić przeciwnika. Jest to okres szybkiej eskalacji liczebności sił amerykańskich w Wietnamie. W końcu roku 1966 wojska USA wynoszą tam już 385 000, w rok potem 486 000 żołnierzy. Ale mimo triumfalnych meldunków szefowie sztabów żądają dalszych 206 000. To wymagałoby już powołania pod broń w USA rezerwistów. Wtedy prezydent zaczyna się wahać, zdaje sobie bowiem sprawę z politycznych konsekwencji takiej częściowej mobilizacji. Widzi, że w kraju narastają nastroje antywojenne. W listopadzie 1967 roku ankieta Gallupa wskazuje, że 57<sup>0</sup>/<sub>0</sub> społeczeństwa jest przeciwne wietnamskiej polityce prezydenta i tylko 28<sup>0</sup>/<sub>0</sub> ją popiera.

Ale wahania te wynikają wyłącznie z przesłanek wewnętrznon politycznych. Ani przez chwilę Johnson nie wątpi o możliwości zwycięstwa. Jest to sprawa jeszcze tylko jednego wysiłku, jeszcze większego zniszczenia, jeszcze silniejszego przykręcenia śruby. Do wiosny 1968 roku ani Biały Dom, ani Pentagon i Departament Stanu nie mają najmniejszej wątpliwości co do możliwości zwycięstwa. Bo wciąż nie zdają sobie sprawy z istoty tej wojny i rzeczywistego układu sił w Indochinach.

Zastanawiając się nad przyczynami błędów, popełnionych przez generałów amerykańskich dowodzących w tej wojnie, trzeba dojść do wniosku, że nie tylko zabrakło im zrozumienia specyficznych warunków kampanii indochińskiej, ale że wykazali brak elementarnego przygotowania fachowego: nie przestudiowali dobrze biblii wszystkich wojskowych,

a mianowicie „Traktatu o wojnie” Karla von Clausewitza. Kapitalne to dzieło, mimo że wydane zostało w 1832 roku i omawia wojnę konwencjonalną, zawiera zasady, które były aktualne również w Wietnamie. Clausewitz stwierdza, że głównym i najważniejszym zadaniem męża stanu i dowódcy jest zrozumienie istoty wojny, w której dowodzi. Nie wolno mu uważać rodzaju tej wojny za inny, niż jest w istocie, ani próbować przetwarzać go na inny rodzaj wojny, którym być nie może ze względu na swoją naturę i warunki. Jest to podstawowa zasada strategiczna. Clausewitz każe dalej dokładnie rozróżnić cele polityczne wojny od środków militarnych, które muszą być określone przez te cele. Wymienia on trzy główne elementy każdej wojny: siły zbrojne, polityka wewnętrzna i reakcje międzynarodowe. Stwierdza też, że w wojnach o charakterze rewolucyjnym dynamika elementów politycznych jest szczególnie silna.

Amerykańscy dowódcy postępowali wbrew tym wszystkim zasadom. Stworzyli sobie fałszywy obraz wojny konwencjonalnej wśród życzliwej ludności i pomocnych sojuszników, w cywilizowanym terenie, w 2 połowie XX wieku. Jedyne trudności, które widzieli — to długie linie komunikacyjne i ciężki klimat. Ale do tego przyzwyczaili się w wojnie z Japonią. Kiedy zaczęły się piętrzyć trudności i chłopci wietnamscy nie chcieli postępować zgodnie z założeniami sztabów — spróbowano ich zmusić do przyjaźni i pomocy, do przyjęcia opieki i sympatii dla wybawcy. Kiedy dżungla zagroziła drogę amerykańskim czołgom i helikopterom — spróbowano ją wykarczować, zbombardować, ogołocić z liści przy pomocy środków chemicznych. Kiedy oddziały partyzanckie wymykały się kolumnom amerykańskim i uderzały w nieprzewidzianym miejscu i czasie —

znaleziono wroga na Północy i próbowano bombardowaniem wyczerpać go fizycznie i psychicznie.

Ta próba nagięcia wojny wietnamskiej do błędnych założeń nie dała zamierzonego rezultatu. Miała się toczyć dalej w nieodpowiednim dla Amerykanów czasie, niewłaściwym miejscu, w nieprzewidziany sposób i z nieoczekiwanym skutkiem.

Dowódcy amerykańscy, wbrew zasadom Clausewitza, naruszyli związek przyczynowy pomiędzy politycznymi celami a militarnymi środkami. Te ostatnie zapanowały nad strategicznym rozumowaniem, stały się celem samym w sobie. Sztabowcy USA widzieli w Wietnamie tylko wrogą agresję — nie dostrzegali rewolucji politycznej, ekonomicznej i socjalnej, nie rozumieli istoty narodowego powstania, będącego dalszym ciągiem ruchu antykolonialnego.

A wreszcie — wbrew ostrzeżeniom Clausewitza — kierownicy tej wojny nie przewidzieli ani wewnętrznych reakcji politycznych w USA przeciwko takiej wojnie, ani jej międzynarodowych komplikacji. I brnęli dalej. Po każdej operacji, która nie przynosiła rozstrzygnięcia, żądali więcej wojska, samolotów i bomb. Ich komputery nie wskazywały, że nieprzyjaciel jest zdolny przeciwstawić nowym posiłkom coraz liczniejsze zastępy nieuchwytnej leśnej armii i gotów jest znosić dalsze cierpienia. Ich obliczenia nie uwzględniały podstawowych założeń wojny partyzanckiej, że na jednego partyzanta potrzeba od pięciu do ośmiu regularnych żołnierzy. Zapomnieli też, że w wojnie rewolucyjnej czynnikiem kluczowym jest nie armia, ale cała ludność. Dopóki nie jest ona albo pozyskana, albo całkowicie zniszczona — takiej wojny nie można wygrać. Przewaga sytuacji partyzantów w wojnie rewolucyjnej polega na tym, że wystarczy im nie przegrać wojny na polu walki, żeby ją wygrać politycznie.

Istnieje jednak teoretycznie jeszcze jedna droga do zgniecenia powstania. Można ludność rozbroić politycznie, można ją wyrwać z rąk powstańców, zdobywając jej serca i umysły, przekonując ją, pozyskując dla swoich racji i zapewniając jej polityczne i materialne korzyści, których insurekcja nie jest im w stanie ofiarować.

W pierwszych latach wojny wietnamskiej Amerykanie nie próbowali prowadzenia takich operacji na większą skalę. Po prostu dlatego, że byli przekonani o istnieniu wielkiej, milczącej, ale przyjaznej większości w wietnamskim społeczeństwie, które oczekuje od amerykańskiej demokracji ratunku przed komunistycznym zamachem na swoją własną demokrację i z wdzięcznością przyjmie pomoc i obronę przed terrorystami. Minimalne kontakty pomiędzy armią okupacyjną a miejscową ludnością sprzyjały utrzymywaniu tych złudzeń. Przepaść ta wynikała nie tylko z nieznamomości trudnego języka, ale i z absolutnego niezrozumienia psychiki wietnamskiego chłopca. Jego tradycyjny uśmiech traktowano jako objaw zaufania, jego ucieczkę z obszarów walki i bombardowań uważano za ucieczkę od komunistów, jego skargę na rekwizycje żywności przez powstańców przyjmowano za deklarację polityczną, jego uległość wobec urzędników sajgońskich za objaw zaufania, a głos wrzucony pod przymusem do urny za wyznanie wiary.

Kontakt pomiędzy oficerami amerykańskimi a ludnością miejscową utrzymywany był poprzez grupę sajgońskich kolaborantów, którzy we własnym interesie fałszowali obraz sytuacji i nastrojów. Dopiero po upadku Diema i kompromitacji wielkiego programu „wiosnek strategicznych” zaczęła do świadomości władz amerykańskich docierać prawda o istotnej sytuacji na wietnamskiej wsi. W ten sposób powstawały projekty akcji przyciągających w celu zdoby-

cia zaufania politycznego ludności kraju, akcji opartych na modelu, który mógłby konkurować z programami społecznymi nieprzyjaciela. Urodziły się w ten sposób koncepcje nowych form pacyfikacji, pomyślanej jako zespół środków dla politycznej reedukacji ludności, połączonej z reformami społecznymi i gospodarczymi.

Z właściwym Amerykanom dążeniem do biurokratyzacji, akcyjności i sloganowości powstawały schematy działań pod atrakcyjnymi hasłami. Odtąd co rok reformowano plany, rzucano nowe hasła. Były więc: Land Development Centers, Agrovilles, operacja „Wschód Słońca”, akcja „Zwycięstwo”, potem akcja pacyfikacyjna Hop-Tac, czyli „współpraca”, następnie budowano „wioski nowego życia”, które przekształciły się w program „Revolutionary Development”, oparty o utworzenie w kraju około 770 zespołów po 59 ludzi, którzy przy pomocy 50 batalionów wojska tworzyli w wioskach władze lokalne, posłuszne Sajgonowi, zwalczali w nich elementy powstańcze, a jednocześnie zajmować się mieli ekonomicznymi i socjalnymi problemami mieszkańców.

Słabe wyniki tych operacji spowodowały utworzenie w maju 1967 roku nowej organizacji pod nazwą „New Model Pacification Program” i wysłanie do Sajgonu jednego z głównych doradców prezydenta, generała Roberta Komera, z tytułem ambasadora i szefa CORDS, czyli Civil Operations and Revolutionary Development Support. Powierzono tej organizacji również akcję „Otwarte Ramiona”, poświęconą przeciąganiu na stronę rządową członków Wietkongu, jak też i operację „Feniks”, zajmującą się likwidacją kadr Wietkongu, które zakradły się do szeregów akcji pacyfikacyjnej. W ramach tej akcji prowadzonej przy pomocy CIA zamordowano ponad 20 000 chłopów wietnamskich.

Cały ten wielki system kończył się olbrzymim, skomputeryzowanym aparatem sprawozdawczości pod nazwą HES, czyli Hamlet Evaluation System, który w każdej chwili mógł dać odpowiedź na wszelkie pytania, dotyczące postępów akcji i bezpieczeństwa w każdym punkcie kraju. Komer udoskonalił ten system, ale dla oceny jego funkcjonowania wystarczy powiedzieć, że po dwóch latach pracy, w styczniu 1968 roku, HES wykazał wzrost liczby „bezpiecznych wsi” z 600 do 5340. Właśnie wtedy wybuchła ofensywa „Tet”, której główne akcje rozpoczęły się w oparciu o te „bezpieczne” wioski.

Dodać trzeba, że HES nie był bynajmniej jedynym systemem ocen akcji pacyfikacyjnej. Obok istniały równoległe aparaty akcji informatyki, jak np. Pacification Data Bank, Rural Information System, Self Help Monitor System, Terrorist Incident Report System i inne.

Nie będziemy tutaj wchodzić w szczegóły tej olbrzymiej akcji pacyfikacyjnej, która przynosiła Amerykanom porażkę po porażce i w rezultacie zdecydowała być może o niepowodzeniu całej interwencji Stanów Zjednoczonych. Zastanówmy się jedynie nad błędami popełnionymi przez kierownictwo USA w tej akcji. Dlaczego mimo olbrzymich sum, ogromnego bogactwa środków i personelu amerykańskiego przy pomocy setek tysięcy żołnierzy i urzędników sajgońskich walka o dusze, serca i współdziałanie chłopów wietnamskich została wygrana przez FWN, który operował niezmiernie ograniczonymi środkami materialnymi i działał w znacznie trudniejszych warunkach.

Trzeba chyba zacząć od omówienia różnicy celów, które przyświecały dwóm walczącym stronom w tym współzawodnictwie. Front po prostu budował na wsi wietnamskiej administracyjny i socjalny ustrój przy-

szłego państwa. Zdobywał dla swego programu ludność, przeprowadzając z nią wspólnie podstawowe reformy struktury rolnej i finansowej, utrwalając jednocześnie narodową i patriotyczną świadomość. Praca ta na większej części obszaru kraju odbywała się w podziemiu i często w nocy. Chłop wiedział przy tym, że własność przydzielonej ziemi czy uwolnienie od długów i podatków będą zapewnione, jeżeli Front zwycięży. A więc gotów był na poświęcenia, na znoszenie prześladowań władz sajgońskich i na czynny lub bierny opór wobec wszystkich prób zdobywania go przez drugą stronę w tej walce. W ten sposób wojna niepodległościowa wiązała się z walką rewolucyjną, a partyzantka powstańcza przemieniała się w wielki ruch narodowy.

„Współzależność walki zbrojnej i politycznej jest podstawowym prawem rewolucji w Południowym Wietnamie” — mówił Le Duan, pierwszy sekretarz KC Partii Pracujących Wietnamu.

Podejście amerykańskie było całkowicie odmienne. Celem pacyfikacji było odebranie partyzantce bazy ludnościowej, neutralizacja aparatu powstańczego i mobilizacja ludności dla utrzymania rządu sajgońskiego. Była to więc akcja kontrrewolucyjna, a w takiej akcji najłatwiej jest operować metodami policyjnymi i terrorem. Nie znaczy to, aby Front nie używał siły i przymusu. Stosował je jednak wobec kolaborantów, lichwiarzy oraz zdecydowanych wrogów politycznych, jak np. obszarników opierających się rozdziałowi ziemi. Stosowano represje wobec tych szefów wiosek albo urzędników mianowanych przez rząd sajgoński, którzy działali przeciwko powstaniu i nie tolerowali po cichu drugiej, narodowej, „nocnej” administracji, ustanowionej przez Front. Amerykanie i Sajgon natomiast stosowali ter-

ror jako narzędzie prewencyjne i zasadniczą formę narzucenia posłuszeństwa i neutralności każdej próby oporu. Stosowano go ślepo i bezmyślnie, niszczone miasteczka, palono wsie, zabijano ludność zgodnie z zasadami odpowiedzialności zbiorowej za każdy akt sabotażu czy nieposłuszeństwa. W ten sposób nie zdobywa się sympatii i poparcia ludności. Wpędza się ją tylko w podziemie.

Dla kierowników pacyfikacji wszystkie reformy gospodarcze i społeczne były nie celem akcji, a tylko przynętą, cukierkiem osładzającym stosowane metody. Stąd wynikała też niekonsekwencja i połowiczność działań, a często zupełna ich absurdalność. Jednym z celów pacyfikacji była pomoc dla uchodźców, których liczba w 1966 roku sięgała 2 milionów, a w rok później trzech. Według oficjalnych poglądów i wypowiedzi była to ludność, która uciekała ze swoich wsi przed terrorem Wietkongu i oddawała się pod opiekę władz sajgońskich i amerykańskich. W istocie rzeczy chłopci uciekali w popłochu z terenów, na których wojska sajgońskie i amerykańskie przeprowadziły swoje operacje i ekspedycje karne, i z obszarów bombardowanych przez lotnictwo amerykańskie i artylerię. Chronili się nie u przyjaciół — ale po prostu tam, gdzie nie było ognia i dywanowych nalotów. Miasta Południa były bezpieczne — bo Front ani DRW nie dysponowały lotnictwem, nie bombardowały.

W kwietniu 1967 roku generał Komer wydał zarządzenie usuwania siłą ludności z niebezpiecznych terenów i przenoszenia jej do ośrodków kontrolowanych przez USA, aby w ten sposób pozbawić Front bazy rekrutacyjnej. W ten sposób stworzono nową wielką falę uchodźców. Najpierw więc wygoniono setki tysięcy ludzi z ich wsi, a następnie w ramach akcji pacyfikacyjnej dostarczono im ryż i namioty,



żądając w zamian wdzięczności i politycznej lojalności.

Kadry amerykańskich wojskowych i cywilów, zajmujące się „Rewolucyjnym Rozwojem”, cechowała dziwna mieszanina zarozumiałstwa, pewności swoich racji, pogardy dla małych, żółtawych ludzi — a jednocześnie naiwnego idealizmu i wiary w swą misję przeszczepienia temu „zacofanemu narodowi” postępowych zasad amerykańskiej demokracji. Podłożem błędu była tendencja do widzenia i urządzania innym życia według własnego idealnego modelu. Amerykanie ignorowali 1000-letnią historię, tradycję i kulturę tego kraju, nie rozumieli potężnej roli rodziny i wsi, religii i autorytetów. Próbowali narzucić Wietnamczykom koncepcję wyborów i parlamentarnej większości nie rozumiejąc, że głęboko zakorzeniona tradycja konfucjańskiej filozofii nie uznaje pluralizmu, a za ideał uważa jedność stanowisk, że dla Wietnamczyków wzorcem postępowania nie jest sprawa wyboru pomiędzy różnymi poglądami — a jedność prawdy; że nie rozumieją zasady racji większości, bo autorytet — cesarza, ojca czy starszych wioski — tworzy wzorzec postępowania i spełniania obowiązków. Nie pragmatyczne argumenty, nie dyskusja, konfrontacja poglądów, decyzja większości czy kompromis, ale dążenie do zajęcia, „właściwej postawy”, która może być tylko jedna, oto idealna i głęboko zakorzeniona w umyśle każdego Wietnamczyka — niezależnie od jego stanowiska społecznego — linia postępowania.

Amerykańscy eksperci nie mogli zrozumieć, że wrzucenie do urn wyborczych kartki czy fotografii kandydata nie jest dla Wietnamczyka aktem politycznym, a tylko spełnieniem niezrozumiałego kaprysu głupiego białego człowieka, który nie wie, co to jest „właściwa postawa”, ale ma karabin maszy-

nowy albo obiecuje ryż i papierosy. Amerykanie nie wiedzieli, że wybierani na ich rozkaz szefowie wiosek nie mają ani władzy, ani autorytetu, a z ukrycia rządzą nadal dawni przywódcy. Nie zdawali sobie sprawy z tego, że tworzą dwie konkurencyjne lokalne administracje, z których jedna — wroga im — ma pełną więź z ludnością i stanowi strukturę podziemnego państwa. Ta zaś, którą narzucili wbrew lokalnym tradycjom i obyczajom, jest tylko fikcją. W raportach ekspertów i urzędników amerykańskich pełno jest skarg i pogardliwych ocen nieudolności, braku dyscypliny, obojętności i korupcji Wietnamczyków, pełniących urzędowe funkcje w lokalnej administracji. Na tej podstawie wyrobili sobie ujemną opinię o całym narodzie. Ale nikomu nie przyszło do głowy, żeby zastanowić się nad tym, dlaczego tak sprawnie, ofiarnie i uczciwie funkcjonowały władze lokalne, i to nie tylko w DRW, ale na wszystkich terenach opanowanych przez FWN. Przecież to byli tacy sami — a nieraz po prostu ci sami ludzie!

Następną słabością rozumowania i działania amerykańskich władz pacyfikacyjnych była wiara w możliwość i skuteczność przeprowadzenia reformy rolnej w ramach programu „Rewolucyjnego Rozwoju”. W Południowym Wietnamie w znacznie większym stopniu niż na Północy utrzymała się struktura feudalna. Niewielka grupa obszarników i plantatorów kontrolowała ogromne obszary ziemi, dzierżawionej i uprawianej przez chłopów. Znaczna większość właścicieli ziemskich opowiedziała się oczywiście za reżimem sajgońskim, zajmując często kierownicze stanowiska w rządzie i w armii. Nic więc dziwnego, że sabotowali oni i utrudniali wszystkimi możliwymi sposobami wprowadzenie w życie ustaw o reformie rolnej, które pod amerykańskim naciskiem uchwalął posłusznie sajgoński parlament. Amerykanie nie mo-

gli więc przeciwstawić rzeczywistym reformom, przeprowadzonym przez FWN na opanowanych przez siebie obszarach — fikcyjnych albo sabotowanych programów rozdziału ziemi. Podobnie było ze sprawą odciążenia ludności od lichwiarskich długów i załgłości podatkowych. Jeszcze gorzej przedstawiało się wykonanie programów użycia funduszy przeznaczonych na budowę dróg, meliorację i postęp techniczny w rolnictwie. Ogromne kwoty płynące na te cele z Waszyngtonu tonęły w kieszeniach polityków i urzędników sajgońskich, a fałszywe sprawozdania zasilaly komputery HES, stwarzając zakłamaną, optymistyczny obraz nie istniejących osiągnięć gospodarczych, który z kolei podsycal polityczne nadzieje na sukcesy pacyfikacji.

Korupcja i nadużycia, związane z ogromnym budżetem akcji pacyfikacyjnej, rozszerzyły się zagrażająco, zataczając coraz większe koła. Łańcuch oszustw rozpoczął się już w Stanach, gdzie na zamówieniach programu żerowali biznesmeni, dostarczając towary najgorszego gatunku, często nieprzydatne dla celów akcji. Olbrzymi szaber następował przy wyładunku w portach wietnamskich, gdzie za pośrednictwem zorganizowanych gangów duża część towarów szła wprost na czarny rynek. Ostatni etap nadużyć znajdował się w terenie, przy rozdziale resztek pomocy amerykańskiej. Korupcja nie ograniczała się do ministrów, generałów i urzędników. Miasta Południowego Wietnamu w okresie wojny napęczniały milionami uchodźców szukających tam względnego bezpieczeństwa. Przymusowa i przedwczesna urbanizacja tego rolniczego kraju spowodowała już po zakończeniu wojny olbrzymie trudności gospodarcze i potrzebę wywołania powrotnej fali ludności w kierunku wsi i rolnictwa. Duża część przybyszów — zwłaszcza młodzieży — zasilila szeregi lum-

penproletariatu. Kradzieże, napady, prostytutka, narkotyki i handel czarnorynkowy stały się plagą wietnamskich miast, a rosnący wciąż amerykański korpus ekspedycyjny i rzesze pracowników akcji pacyfikacyjnej dostarczały zarówno klientów, jak i towarów dla tego niepolitycznego podziemia. Toteż ta wojna i interwencja amerykańska pozostawiła po sobie nie tylko ruiny, cmentarze, krater, nędzę i kalectwo. Zdeprawowała też dużą część ludności tego pięknego kraju.

Jak wytłumaczyć, że te wszystkie błędy w rozumowaniu, postępowaniu i ocenie sytuacji nie stały się przedmiotem dyskusji i analiz sfer kierowniczych Stanów Zjednoczonych, że nie spowodowały korekt i zmiany polityki? Przecież co kilka tygodni zjawiały się w Sajgonie delegacje senatorów i kongresmenów, przyjeżdżali na inspekcje wysocy urzędnicy Białego Domu, Departamentu Stanu i Pentagonu, a na miejscu znajdowało się stale kilkuset dziennikarzy, bacznie i trzeźwo obserwujących przebieg wydarzeń. Wreszcie wśród amerykańskich ekspertów nie brak było inteligentnych i uczciwych naukowców i działaczy społecznych.

Delegacje i inspekcje były po prostu oszukiwane i poddawane „praniu mózgow”. Wożono je do pokazowych wiosek, podstawiano poinstruowanych rozmówców, podsuwano wytresowanych tłumaczy. Jechali do najbezpieczniejszych miejscowości otoczeni wojskiem, pod osłoną wozów pancernych i helikopterów. Oddziały Frontu, zgodnie z taktyką partyzancką, unikały atakowania tak obstawionych konwojów. Dygnitarze odjeżdżali pod wrażeniem ładu i porządku, podniesieni na duchu widocznymi owocami amerykańskiej pomocy, zaspokojeni perspektywą bliskiego zwycięstwa. Popierali potem w Waszyngtonie budżety wojenne i kredyty na pacyfikację.

Trudniej było z dziennikarzami i sprawozdawcami telewizji. W omawianym okresie zaczęli oni coraz głośniej i bezwzględniej demaskować amerykańskie niepowodzenia, zarówno na polach bitew, jak i na froncie pacyfikacji i stosunków politycznych w Sajgonie. Amerykańskie środki masowego przekazu już w tym czasie zajęły zdecydowane krytyczne stanowisko wobec wojny wietnamskiej, co oczywiście wpływało na rozwój protestu społeczeństwa amerykańskiego przeciwko dalszej eskalacji. Biały Dom i sfery wojskowe z coraz większym zdenerwowaniem znosiły oskarżycielski ton prasy i TV. Prezydent Johnson na coraz rzadszych konferencjach prasowych ostro piętnował prasę, oskarżając ją o defetyzm, brak patriotyzmu i niemal o zdradę narodową. Krytyka społeczna nie tylko nie wpływała więc na racjonalizację polityki rządu, ale przeciwnie, zdawała się podniecać do jeszcze bardziej upartego, tępego staczania się po równi pochyłej.

Wśród amerykańskiego kierownictwa, zarówno w stolicy kraju, jak i w Wietnamie, panowała zmowa fałszywego optymizmu. U jednych polityków była ona oparta na naiwnej wierze w słuszność swej polityki, u innych na strachu przed skutkami zdemaskowania słabości wielkiego mocarstwa, u innych jeszcze na lęku przed perspektywą rozliczenia się z popełnionych błędów. Obowiązywało więc kurczone trzymanie się formalnych dowodów skuteczności działania. Raporty z terenu tłumaczono na pnące się w górę wykresy, układano tabele przemysłnych wskaźników, a następnie wydawano tysięczne zarządzenia, wychodząc z założenia, że okólniki i rozkazy załatwią trudności i zlikwidują problemy. Zmilitaryzowanie politycznego myślenia nie pozwalało na szczerą krytykę ze strony trzeźwiejszych ekspertów. Wszelkie wątpliwości były uważane za szkodnictwo

i defetyzm. Dowódcy i dygnitarze słuchali tylko tego, co potwierdzało ich punkt widzenia. Toteż nie mówiono im niczego innego. Wytworzyła się atmosfera, w której sukces stał się koniecznością.

Stany Zjednoczone nie były nigdy mocarstwem kolonialnym, co dawało im powód do dumy i szlachetnych frazesów, ale jednocześnie utrudniało zajęcie racjonalnej postawy wobec ludności Azji Południowo-Wschodniej i zrozumienie lokalnej, egzotycznej dla Amerykanina, narodowej tradycji, psychologii i warunków socjologicznych.

Jedynym w historii Ameryki Północnej doświadczeniem quasi-kolonialnym na większą skalę była walka z Indianami. Dowódcy i politycy amerykańscy mniej lub więcej podświadomie chcieli potraktować Wietnamczyków, Laotańczyków i Kambodżan, tak jak ich dziadkowie Komanczów czy Siuksów. A więc albo ich wymordować, albo zamknąć w rezerwach. Od 1966 roku, kiedy dowództwo amerykańskie przejęło całkowicie akcję pacyfikacji, podobieństwo to jeszcze się zaostrzyło. Było wszak nie do pomyślenia, żeby Indianie z plemienia Navaho wyszli nagle z rezerwatów i zwycięsko pomaszerowali na Waszyngton. Na tej samej zasadzie nie mogło pomieścić się w głowach sztabowców, że pacyfikacja nie przyniesie sukcesu. „Kosztownie, rozrzutnie, ale jednak niewątpliwie... wygrywamy w Wietnamie... Przytłaczamy nieprzyjaciela naszym ciężarem gatunkowym i potęgą...” Tak pisał w jednym ze swych raportów do prezydenta ambasador Komer, w tym czasie szef pacyfikacji.

I wtedy właśnie nadszedł nowy rok — wietnamski nowy rok Małpy — a nasz luty 1968 roku. Mozolnie wzniesiona konstrukcja mitów, złudzeń, fałszów i iluzji zawałiła się pod naporem wietnamskiej ofensywy „Tet”. Jej pozycje wyjściowe znajdowały się

właśnie w setkach „bezpiecznych”, „strategicznych”, „spacyfikowanych” przez organizację ambasadora Komera wsi. Ten front wojny wietnamskiej załamał się w ciągu kilku dni.

Jak zobaczymy, nie otrzeźwiło to jednak Amerykanów, nie skłoniło do wyciągnięcia właściwych wniosków i do zrozumienia istoty rewolucyjnej wojny wietnamskiej. Amerykanie nie zostali jeszcze w 1968 r. wygnani z „raju głupców”. Mimo to po ofensywie „Tet” sytuacja zmieniła się zasadniczo.

### XIII. Złudzenia na wszystkich frontach

Wojna amerykańsko-wietnamska toczyła się w latach 1966—1967 z narastającą intensywnością na pięciu frontach jednocześnie. Głównym teatrem działań wojennych był Wietnam Południowy. Frontem pomocniczym stał się Wietnam Północny, gdzie nieustannie nasilały się bombardowania akcji „Dudniący Grzmot” i rosły straty wśród ludności cywilnej DRW. Trzecim teatrem walki stała się pacyfikacja w Południowym Wietnamie, początkowo prowadzona przez władze sajgońskie, a następnie przejęta przez dowództwo amerykańskie. Czwarty front — dyplomatyczny — omówiliśmy w jednym z poprzednich rozdziałów. Wreszcie otworzył się w tym czasie i zyskiwał na znaczeniu front walki rządu USA z dużą częścią własnego społeczeństwa, sprzeciwiającą się interwencji w Wietnamie. Na tym froncie też wkrótce padną pierwsze śmiertelne ofiary.

Mimo zaangażowania w Wietnamie wielkich sił ludzkich i sprzętu, Stany Zjednoczone nie zbliżyły się do swego celu. Nie potrafiły pokonać przeciwnika i zmusić go do kapitulacji. W Południowym Wietnamie walczyło już prawie pół miliona amerykańskich żołnierzy, wyposażonych w artylerię, czołgi, helikoptery i nowoczesną broń, a tysiące samolotów stacjonujących zarówno w Indochinach, jak w



Tajlandii, na wyspie Guam i na lotniskowcach VII Floty znajdowało się w dyspozycji sztabu. Mimo to perspektywy zwycięstwa były w końcu 1967 roku równie odległe jak przed dwoma laty. Nie zwiększyła się liczba kilometrów dróg, którymi można było bezpiecznie przejechać bez obawy ataku partyzanckiego, ani liczba wsi, w których zdołano wyeliminować wpływy FWN, ani liczba prawdziwych zwolenników rządu sajgońskiego. Rosły za to straty wojsk amerykańskich.

Siły zbrojne FWN stały się w tym czasie zorganizowaną i nowoczesnie uzbrojoną armią, wspomaganą lokalnie przez grupy ochotnicze chłopów, łączących codzienną pracę na ryżowiskach z walką i służbą pomocniczą, wywiadowczą, transportową i sabotażową. Armia ta miała swoje umocnione bazy, ukryte w dżungli, powiązane siecią tunelów, zaopatrzone w środki łączności. Jej polityczna nadbudowa umacniała funkcjonowanie powstańczej administracji i zapewniała ścisły związek wojska z walczącym społeczeństwem.

Strategia i taktyka tej armii odpowiadała założeniom wojny rewolucyjnej, a więc stosowała się do bazy ludnościowej, warunków terenu, klimatu i taktyki nieprzyjaciela.

Cechami zasadniczymi tej armii były lekkość i ruchliwość, swoboda manewru i cierpliwość. Utrzymywała ona zawsze inicjatywę, ale uderzała tylko wówczas, kiedy miała przewagę. Nie przyjmowano walki z siłami przeważającymi, unikano walk decydujących. Po większych stratach wycofywano się natychmiast, dokonywano wyboru pomiędzy walką a rozproszeniem się w dżungli. Podstawą działania był świetny wywiad, przekazywanie nieprzyjacielowi fałszywych informacji, zasadzki, zaskoczenie, wybór dogodnego miejsca i czasu walki przy zapewnieniu

bezpiecznego odwrotu. Podstawową zasadą było „uderzyć i wycofać się”. Dyscyplina tej armii polegała nie na drylu zewnętrznym, ale na ogromnej obowiązkowości i poświęceniu. Można do ducha tej armii zastosować słowa wielkiego angielskiego znawcy walk nieregularnych T. E. Lawrence’a z Arabii, który pisał, że „wartość wojsk rewolucyjnych tkwi w głębi — a nie na powierzchni. Jest w nich coś nieuchwytnego i niedotykalnego, nie mają czoła ani tyłów, ulatniają się jak gaz”.

„Wojska rewolucyjne — mówił Le Duan — inicjują uderzenia w wybranym przez siebie czasie i miejscu, krzyżują plany przeciwnika i zmuszają go do biernego, niezorganizowanego oporu. Nasze uderzenia używają wszystkich form i metod ataku dla niszczenia przeciwnika, wykorzystują maksymalnie warunki przyrodnicze i klimatyczne... opierają się na ruchliwości, energii i twórczej myśli dowódców i żołnierzy armii wyzwolenia i dzielnych rodaków z Wietnamu Południowego... Strategia wojny narodowej to długotrwała walka, to wciąż rosnące uderzenia na wroga, w których małymi środkami będziemy osiągać duże sukcesy...”

Istniało już w tym czasie naczelne dowództwo wojsk FWN, ale poszczególne grupy, bataliony i pułki miały dużą samodzielność i inicjatywę działania. W 1966 roku dowództwo Frontu doszło do wniosku, że powstały już odpowiednie okoliczności do przejścia w II fazę wojny partyzanckiej i zaatakowania nieprzyjaciela przy pomocy większych jednostek. Wkrótce przekonano się jednak, że mimo wszystkich swoich wad wojska amerykańskie operowały tak ogromną siłą ognia, że w starciach typu konwencjonalnego górowały nad oddziałami Frontu i zadawały im ciężkie straty.

Dosyć szybko sztab Frontu zrozumiał swój błąd

i powrócił do dawnej taktyki tworzenia niezależnych, mniejszych ośrodków walki — połączonych jednak wspólną koncepcją taktyczną. W II połowie 1967 roku ta taktyka miała za zadanie doprowadzić nieprzyjaciela do takiego rozstawienia wojsk, które by mogło zapewnić najkorzystniejszy układ sił przy generalnym uderzeniu, zaplanowanym na rok następny. Amerykanie dali się wymanewrować i ułatwili przeciwnikowi wielką ofensywę „Tet” 1968 roku.

Sztabowcy amerykańscy hołdowali wciąż zasadom wojny konwencjonalnej w jej najlepszym zresztą wydaniu, wypróbowanym w czasie II wojny światowej i wzmocnionym najnowocześniejszym wyposażeniem. Wojna ruchowa, oparta o współdziałanie piechoty, czołgów, artylerii i lotnictwa, przy użyciu najnowszych środków łączności, wydawała im się — mimo terenowych trudności Wietnamu — oczywistą drogą do zwycięstwa. Nie mogli sobie po prostu wyobrazić, żeby nie można było w ten sposób szybko opanować tego niewielkiego przecież kraju, o powierzchni odpowiadającej obszarowi stanu Oklahoma — dwiętnastego pod względem wielkości stanu USA! Stanowi to mniej niż połowę powierzchni Polski.

Założeniem strategicznym ruchowych działań amerykańskich była zasada „znaleźć i zniszczyć” oddziały przeciwnika, rozpoznane uprzednio przez lotnictwo i wywiad. Ale wywiad opierał się z reguły na nieprawdziwych informacjach lub fałszywych dokumentach, a lotnictwo było bezradne wobec nieprzeniknionej gęstwiny dżungli. Nieprzyjaciel w obliczu przeważających sił uchylał się od walki, był szybszy, nieskrępowany obciążeniem sprzętu, nie potrzebował dróg. Był poza tym stale informowany o ruchach i zamiarach Amerykanów. Otrzymywał wiadomości od oficerów i żołnierzy armii sajsjońskiej, służby pracującej w koszarach i biurach, pracowników środków

komunikacji, od chłopów, pastuchów i dzieci, które wypatrywały z drzew obcych żołnierzy. Partyzanci odchodzili w las, kryli się w labiryntach podziemnych korytarzy, zapadali w sobie tylko znane bagna albo wsiąkali w wioski, chowali broń i mieszaali się z ludnością miejscową. Byli nie do rozpoznania dla amerykańskich żołnierzy, którzy nie odróżniali od cieni dialektów czy grup etnicznych.

Dowódcy amerykańscy powoli zaczęli orientować się, że przy tego typu wojnie, jeżeli mają zapanować nad całym krajem, muszą w każdym punkcie i w każdym momencie mieć przewagę nad nieprzyjacielem. Zaczęły więc narastać żądania o posiłki. Początkowe nadzieje, że wystarczy około 100 000 żołnierzy, aby rozbić „partyzanckie bandy”, ustąpiły obawom, że nawet milion nie wystarczy.

Istniała oczywiście możliwość zmiany założeń strategicznych i przyjęcia zasady, wyrażającej się w sloganie „oczyścić i utrzymać”... Oznaczało to opanowanie pewnej liczby kluczowych pozycji w kraju, głównych miast, portów i węzłów komunikacyjnych, umocnienie ich i w ten sposób panowanie nad infrastrukturą gospodarczą i polityczną Wietnamu. Tak ostrożna, bierna koncepcja rozważana już była i odrzucona przez Francuzów w 1953 roku. Nie odpowiadała ona też dowództwu USA. Pozostawiała bowiem nieprzyjacielowi swobodę umacniania swego panowania w głębi kraju i utrwalania tam swej administracji i reform społecznych. W rezultacie istniałyby w Wietnamie Południowym dwa państwa, Amerykanie zostaliby zmuszeni do utrzymywania swoich garnizonów w nieskończoność, a FWN miałby swobodę koncentracji i uderzania w oddziały okupacyjne w dowolnych, wybranych przez siebie punktach.

Trzecia teoretycznie możliwa taktyka zwalczania partyzantki polegałaby na przyjęciu również metody

walki partyzanckiej, zwalczaniu nieprzyjaciela jego własnymi sposobami przy użyciu lekkich, samodzielnych jednostek, swobodnie poruszających się i uderzających niespodziewanie na obozy i ośrodki rekrutacji wroga. Taki sposób prowadzenia wojny w Wietnamie doradzał Johnsonowi wspomniany już Anglik, sir Robert Thomson, który powoływał się przy tym na sukcesy angielskich komandosów w czasie wojny w Malajach i Birmie.

Dla Amerykanów w Wietnamie droga ta była niemożliwa. Zasadniczą bowiem bazą taktyki partyzanckiej jest środowisko przyjaznej i współpracującej ludności. Na Malajach i w Birmie walczono z Japończykami i większość ludności miejscowej, mając do wyboru dwóch najeźdźców, sprzyjała raczej Anglikom. W Wietnamie było inaczej. Armia sajsjońska nie mogła być użyta jako pośrednik i łącznik z ludnością, która traktowała jej żołnierzy jak wrogów. W tych warunkach strategia typu partyzanckiego musiałaby ponieść fiasko.

W sztabach USA, które obserwowały bezskuteczność operacji konwencjonalnych i świadome były niemożliwości przejścia na inną taktykę prowadzenia wojny, rosła frustracja i poczucie bezsilności. Ale jedynym wnioskiem było przechodzenie na coraz wyższy szczebel eskalacji wojny. Bo skoro przy obecnym stanie zaangażowania sił nie sposób osiągnąć sukcesów, a o cofaniu się nawet mówić nie wolno — trzeba zatem zwiększać siły, posyłać nowe wojsko i sprzęt. Trzeba stworzyć taką przewagę liczebności i siły ognia, aby nieprzyjaciela zdusić i okupować cały kraj.

Rozumowanie to prowadziło do jeszcze jednego wniosku: skoro nie można pokonać nieuchwytnego nieprzyjaciela, to trzeba zniszczyć środowisko ludzkie i naturalne, w którym przebywa i walczy. A więc

taktyka „spalonej ziemi”, trzebienie dżungli, niszczenie zbiorów, palenie wiosek, wyznaczanie „obszarów dowolnego bombardowania”, masakrowanie ludności podejrzanej o sprzyjanie powstańcom. W ciągu trzech lat, od 1965 do 1967 roku, zniszczono w tym kraju ogniem, napalmem, bombami i środkami chemicznymi 300 000 hektarów ziemi. Zrzucano 1 700 000 ton bomb, to znaczy o 350 000 ton więcej, niż spadło na Niemcy w ciągu całej II wojny światowej. Wiosną 1967 roku McNaughton pisał: „Wygląda na to, że przyjmujemy za najlepszy sposób pokonania Wietkongu zniszczenie wszystkich wiejskich budynków, pozabawienie całej dżungli liści i pokrycie asfaltem całego kraju”. Podsekretarz obrony pisał to z goryczą i rosnącym już poczuciem bezskuteczności tej taktyki. Jego poglądy nie wpłynęły na strategię dowództwa. W kilka miesięcy po tym raporcie McNaughton zginął w katastrofie lotniczej.

Brutalne postępowanie wojsk amerykańskich i całkowite niemal odsunięcie armii sajgońskiej do akcji pomocniczej, pacyfikacyjnej i wartowniczej przyczyniły się do jakościowej zmiany charakteru konfliktu wietnamskiego. Stał się on wojną białych ludzi przeciwko Azjatam, upodobił się do wojen kolonialnych. Wpłynęło to oczywiście bardzo silnie na dalsze wzmacnianie nastrojów patriotycznych w kraju, zwiększyło autorytet Frontu, a także — przypominając niedawne zwycięstwo nad Francuzami — wiarę w możliwość pokonania jeszcze jednego najeźdźcy.

Azjatyckie odruchy solidarności zaczęły się pojawiać poza Półwyspem Indochińskim. Amerykanie odpowiedzieli na nie poważnym wysiłkiem w postaci akcji „więcej sztandarów”, próbując nakłonić inne państwa Europy i Dalekiego Wschodu do solidarnego wysiłku w Wietnamie. Wyniki były jednak mi-

zerne. Żaden z europejskich sojuszników nie odpowiedział pozytywnie. Jedynie Korea Południowa, znajdująca się pod amerykańską okupacją, dostarczyła poważniejszą liczbę żołnierzy (47 800). Nie była to pomoc bezinteresowna. W 1969 roku 20<sup>3</sup>/<sub>0</sub> wpływów dewizowych Korei Południowej stanowiło amerykańską zapłatę za ten kontyngent. Filipiny przysłały 2020 żołnierzy, za co w latach 1967—69 otrzymały 39 milionów dolarów. Koszt jednego żołnierza wyniósł więc około 20 000 dolarów. Tajlandia również wysłała 2205 żołnierzy za 50 milionów dolarów rocznie. Były to więc typowe armie najemne. Spośród sojuszników dalekowschodniego paktu ANZUS Australia przysłała 6812 żołnierzy, a Nowa Zelandia 516.

Na drugim wielkim froncie wojny wietnamskiej, a mianowicie w obszarze powietrznym DRW, podstawą strategii USA była akcja zniszczenia i wyczerpania przeciwnika za pomocą masowych bombardowań. Ale i tutaj kierownictwo amerykańskie opierało się na iluzjach i błędnej ocenie skutków operacji.

Od lutego 1967 roku akcja „Dudniący Grzmot” stale rosła. W nalotach brało udział 1200 samolotów bombowych, a liczba wylotów dochodziła do 800 dziennie. W połowie roku przeprowadzono zmasowane naloty na elektrownie, składy paliwa i bazy, nawet w bezpośredniej bliskości chińskiej granicy. Dotychczas istniał zakaz zbliżania się samolotów do tej granicy w obawie przed reakcją ChRL. Ale po pewnym czasie Biały Dom doszedł do wniosku, że Chiny nie zdobędą się na reakcję. W 1967 roku na DRW spadło już 500 000 ton bomb, a 200 000 na drogę Ho wzdłuż zachodniej granicy Wietnamu. Było to więcej, niż wynosił tonaż bomb użytych przez USA na Pacyfiku w ciągu czterech lat wojny z Japonią.

Raport admirała Sharpa podaje, że w ciągu 1966 roku zniszczono w DRW 11 832, a uszkodzono 21 718 celów. W 1967 roku odpowiednie liczby wynoszą 12 312 i 22 700. Akcji tej towarzyszyły ostrzeliwania artyleryjskie obszarów DRW przyległych do strefy zdemilitaryzowanej, blokada morska wybrzeży do 20 równoleżnika i minowanie ujścia rzek.

Mimo olbrzymiego zasięgu całej tej akcji coraz wyraźniej było widać, że nie odnosi ona tych skutków, których spodziewali się zarówno wojskowi z Pentagonu, jak i cywile z Białego Domu.

Przepowiednie, że zniszczenie młodego przemysłu DRW załame wolę walki kierownictwa wietnamskiego, okazały się niesłuszne. Przeciwnie, wypowiedzi mężów stanu wskazywały na coraz wyraźniejszą wolę oporu. Potwierdzały to też raporty CIA (maj 1967), według których „naloty miały zdumiewająco nikły wpływ na strategię prowadzenia wojny w Hanoi i nie zachwiały ufności w długofalową perspektywę”. Zawiodły również nadzieje, że naloty na DRW zahamują pomoc dla Południa. Efekt był wprost przeciwny. Niszczenie dróg i transportów nie zmniejszyło również dostaw broni, amunicji i paliwa. Pracujący dla Departamentu Obrony instytut analiz wojskowych stwierdza w swoim opracowaniu z grudnia 1967 roku, że „bombardowanie Północnego Wietnamu nie miało żadnego odczuwalnego wpływu na możliwości Hanoi rozwinięcia i utrzymania na obecnym poziomie wojskowych operacji na Południu ani nie osłabiło w dostrzegalny sposób woli pomocy dla powstania”.

Pomoc, piętnowana przez Amerykanów jako „infiltracja”, miała swoje głębokie podłoże i nieodpartą rację. Sformułował ją w wywiadzie dla paryskiego „Le Monde” generał Giap w grudniu 1966 roku:

„Wietnam jest jeden. Skoro Amerykanie zdecydo-



wali się na zaatakowanie naszego kraju — cały naród ma obowiązek powstać przeciwko nim. Jest to święty obowiązek. Uważam, że nie jest to sprzeczne z układami genewskimi. Musimy walczyć przeciwko najeźdźcom. Całą naszą siłą wspieramy naszych rodaków z Południa”.

Dopiero po dziesięciu latach ta jedność znajdzie swój wyraz w zjednoczeniu Północy i Południa w warunkach pokojowych. Ale teraz, w 1966 i 1967 roku, cementuje się ona w ogniu walki prowadzonej wspólnie przez DRW i FWN. Bombardowania obydwu części kraju jeszcze bardziej wzmagają świadomość wspólnego losu walczącej i cierpiącej ludności.

Naloty nie zdołały również poważniej wpłynąć na zmniejszenie dostaw nadchodzących w coraz poważniejszej ilości z krajów socjalistycznych, a zwłaszcza ze Związku Radzieckiego.

W 1968 roku oficjalny komunikat o porozumieniu radziecko-wietnamskim wymienia dostawy „samolotów, broni przeciwlotniczej, artylerii i innych rodzajów uzbrojenia i zaopatrzenia, a dalej kompletne obiekty przemysłowe, środki transportu, paliwo, metale żelazne i kolorowe, żywność, nawozy sztuczne, lekarstwa i inne zaopatrzenie służące podniesieniu możliwości obronnych i gospodarczego rozwoju DRW”. Pomoc — zwłaszcza gospodarcza i sanitarna — napływa też z Polski i innych państw socjalistycznych.

Przez pewien czas granica DRW z Chinami dawała duże możliwości przewozu i wyładunku zarówno wojskowych jak i cywilnych transportów nadchodzących koleją. Niestety w 1966 roku nastąpiła zmiana, która na jakiś czas utrudniła tę pomoc w większym stopniu niż naloty amerykańskie. Jednym ze skutków „rewolucji kulturalnej” w Chinach stała się wroga

postawa kierownictwa tego kraju nie tylko wobec polityki wewnętrznej i zagranicznej państw socjalistycznych, ale obróciła się przeciwko poparciu dla walczącego Wietnamu. Transporty broni i żywności stały na granicy lub ginęły na terenie Chin. Armia Stanów Zjednoczonych zyskała w ten sposób dosyć nieoczekiwanego sojusznika.

Dość szybko udało się obejść tę przeszkodę. Transporty skierowano drogą morską do portów Wietnamu. Lotnictwo USA nie cofnęło się wprawdzie przed zaatakowaniem radzieckich i polskich statków, ale wspaniała organizacja maskowania, nocnych wylądunków i przewozów pozwalała całkowicie zaspokoić zapotrzebowanie DRW. McNamara oświadczył w sierpniu 1967 roku w Senacie amerykańskim, że Hanoi importuje dziennie nadal około 5800 ton, a z tego wystarczy przekazać na Południe tylko 100 ton. Obrona przeciwlotnicza funkcjonowała coraz lepiej i do 1968 roku Amerykanie stracili już w Wietnamie około 3000 różnego typu samolotów wartości 2,9 miliarda dolarów. Poza tym na każde 40 lotów ginął lub trafiał do niewoli jeden pilot.

Nie sprawdziły się również przewidywania sztabu USA, że potrzeby obrony przeciwlotniczej, odbudowa zniszczeń i zwiększone zapotrzebowanie na siłę roboczą w rozproszonym przemyśle stworzą trudności w utrzymaniu liczebności armii. Proste sprawdzenie roczników w DRW w wieku poborowym, które wynosiły w tym czasie około 200 000 ludzi, wskazywało, że w DRW nie brakowało rekrutów. Mimo strat wskutek bombardowań, które według amerykańskich raportów sięgały w 1967 roku 29 000 zabitych — w tym 80% ludności cywilnej — odbudowa zniszczeń, pozwalająca utrzymać funkcjonowanie życia kraju, była znakomicie zorganizowana. Stwierdzają to raporty wywiadu lotniczego USA, notujące np.

z podziwem fakt odbudowy w ciągu jednej nocy sporego mostu. Straty ludzkie są bolesne, ale nie zmniejszają skuteczności pracujących i walczących kadr. Jeden z polityków USA oświadczył z melancholią, że „właściwie walczymy beznadziejnie z przyrostem naturalnym Wietnamczyków”.

Zawiódł wreszcie terrorystyczny cel nalotów. Raporty CIA pesymistycznie stwierdzają „zdecydowany stoicyzm i duży zapas bezgranicznej wytrzymałości” w DRW. Polepsza się na Północy klimat moralny, następuje coraz większe zespolenie społeczeństwa i wzrost woli walki i zwycięstwa. Nie Wietnamczycy, ale społeczeństwo amerykańskie nie wytrzymuje psychicznie i moralnie eskalacji tej wojny, jej barbarzyńskiego charakteru oraz bezcelowej i beznadziejnej perspektywy. To Amerykanie, a nie Wietnamczycy zostali w końcu zmuszeni do rozpoczęcia negocjacji.

Istotę sprawy doskonale określiła analiza instytutu badawczego słynnego uniwersytetu Cornell: „Był to błąd wyobraźni. Waszyngtońscy kierownicy tej wojny zostali odizolowani od konsekwencji swych decyzji. Dowódcy wojskowi byli odcięci od skutków swych operacji... Wiele było przyczyn tego błędu amerykańskiej wyobraźni. Jeśli chodzi o działania lotnicze, to należy wymienić dwa szczególnie ważne powody fiaska: przede wszystkim ten, że Ameryka sama nigdy jeszcze nie zaznała bombardowania. Ponadto należy stwierdzić, że posiadanie nowoczesnych, potężnych środków technicznych ogromnie stępia wyobraźnię”.

W cywilnym kierownictwie Stanów byli jednak jeszcze ludzie z wyobraźnią. Na przestrzeni 1966 i 1967 roku niektórzy doradcy prezydenta trzeźwieją, zaczynają realistycznie oceniać sytuację, a zwłaszcza bezplodną i beznadziejną akcję nalotów na DRW

i ich niemoralny, antyhumanitarny charakter. Ale są w mniejszości. W Białym Domu dominuje atmosfera pewności siebie i optymizmu, narzucona przez rosnący wpływ Walta Rostowa na prezydenta. Dla ludzi wahających się i zadających kłopotliwe pytania nie ma miejsca w tym zespole. Odchodzą ostatni realisci: McGeorge Bundy i Chester Cooper, los usuwa trzeźwego McNaughtona, zaczyna się zmierzch potężnego sekretarza obrony. McNamara już w 1966 roku zaczął wyrażać wątpliwości co do rezultatów akcji „Dudniący Grzmot”, a następnie poddał krytyce samą zasadę prowadzenia wojny i jej cele, co spowodowało ostry konflikt pomiędzy nim a szefami sztabów. Komputerowy umysł McNamary wyciągał logiczne i konsekwentne wnioski z raportów o wydarzeniach, odrzucając propagandową otoczkę, statystyczne chwytły i wygodne interpretacje, którymi sztabowcy upiększali swoje sprawozdania. W październiku 1966 roku McNamara zaproponował prezydentowi ograniczenie nalotów, reformę akcji pacyfikacyjnej w kierunku, dalekosiężnych reform socjalnych i gospodarczych oraz przystąpienie do prawdziwych negocjacji, uwzględniających rolę FWN w powojennym życiu kraju i jego rządach. Dla sprawdzenia tego rozumowania McNamara zlecił w połowie 1967 roku bezstronnemu zespołowi fachowców opracowanie dokładnych zestawień niepublikowanych dokumentów tej wojny. Materiał ten stał się następnie bezcennym źródłem informacji, zwłaszcza jeśli chodzi o mechanikę podejmowania decyzji przez kierownictwo amerykańskie, mechanikę odsłaniającą źródła popełnionych błędów. Znaczną część tego materiału znamy dziś pod nazwą „Aktów Pentagonu”.

Wnioski i oceny McNamary zostały ostro zaatakowane przez szefów sztabów. McNamara nie uległ jednak historycznej atmosferze Pentagonu. W maju

1967 roku przedstawił Johnsonowi memorandum, w którym zaatakował nie tylko sposób prowadzenia wojny, ale jej polityczne cele. „Nasze zobowiązania polegają jedynie na umożliwieniu ludności Południowego Wietnamu określenia swej własnej przyszłości... Kończą się z chwilą, kiedy ten naród nie walczy sam o swoje prawa”. McNamara krytykuje dalej ostro korupcję, nieudolność reżimu sajgońskiego i radzi osłabienie zarówno wojny powietrznej, jak i lądowej. Píše m.in., że zwiększenie liczebności wojsk USA w Wietnamie o 100 000 przyniesie w efekcie wzrost liczby zabitych wrogów o 70 tygodniowo, co zapowiada osiągnięcie zwycięstwa w perspektywie dwudziestu lat. Zaleca wreszcie przystąpienie do kompromisowego rozwiązania konfliktu.

Burza, którą wywołało w Pentagonie memorandum McNamary, przeniosła się do Białego Domu. Rostow gwałtownie zaatakował argumenty i analizy sekretarza obrony, przedstawiając prezydentowi szereg obliczeń i raportów stwierdzających znaczne polepszenie sytuacji na wszystkich frontach walki. W jednym z raportów przeczytano, iż dezercje z wojska sajgońskiego wyniosły w ciągu ostatniego roku tylko 75 000, podczas gdy rok wcześniej uciekło 160 000 ludzi. Rostow zapewnia prezydenta wspólnie z ambasadorem Komerem, że już 75% ludności Wietnamu Południowego znajduje się pod kontrolą Waszyngtonu i Sajgonu. Cytował raporty o panice wśród bombardowanej ludności na Północy, zniszczonych elektrowniach i składach paliwa, cytował dane o zdobytej na nieprzyjacielu broni i o chybionych zamiarach ataków FWN. Wszystko to na podstawie zdobytych dokumentów.

Johnson wierzył wówczas tylko wiadomościom pomysłnym. Chciał się upewnić, że zwycięża, nie był zdolny do korektury swego rozumowania. W listo-

padzie 1967 roku McNamara dowiedział się pewnego dnia z radia, że nie jest już sekretarzem obrony, ale dyrektorem Banku Międzynarodowego. Tak się skończyła próba, jakiej dokonał sekretarz obrony, chcąc trzeźwo, uczciwie i racjonalnie spojrzeć na wojnę.

Usunięcie McNamary było jedynym zwycięstwem generałów amerykańskich na przełomie 1967 i 1968 roku. Przyniosło nową falę pewności siebie i optymizmu. „Zwyciężamy!” — wołał w Sajgonie 21 XI 1967 roku admirał Sharp. Generał William Westmorland na Nowy Rok stwierdził, że „dokładne wykorzystanie słabości nieprzyjaciela i użycie naszej przeważającej siły ognia pozwoli nam w 1968 roku wielokrotnie powiększyć nasze sukcesy z roku 1967. Nasze wojska potrafiły przewidzieć zamierzoną ofensywę nieprzyjaciela i zmontować druzgocące uderzenie”. Przewodniczący Komitetu Szefów Sztabów, gen. Wheeler, oświadcza, że „wygrywamy wojnę w Wietnamie”, choć — dodaje — „Hanoi wciąż jeszcze nie jest gotowe do poddania się”. 17 stycznia 1968 roku prezydent Johnson mówi: „Nieprzyjaciel ponosi klęski w każdej bitwie”.

Raz jeszcze najwyższe autorytety Stanów Zjednoczonych publicznie i uroczyście składały nieprawdziwe oświadczenia, usiłując oszukać społeczeństwo. Tym razem optymizm tych wypowiedzi został zdemaskowany już w przeciągu najbliższych miesięcy. 31 stycznia 1968 roku FWN rozpoczął swą wielką ofensywę „Tet”, czyli święta Nowego Roku Księżycowego.

Podczas gdy w Wietnamie na początku 1968 roku dojrzewały wydarzenia, które miały się stać przełomem w dziejach tej wojny, w Stanach Zjednoczonych powstawała ostra polaryzacja społeczeństwa. Zwłaszcza wśród młodzieży nastąpił gwałtowny wzrost nastrojów antywojennych i wzmagala się krytyka polityki rządu. Kwestionowano legalność udziału w tej wojnie, potępiano jej niemoralność, atakowano celowość, podważano oficjalne doniesienia o sukcesach. Na uniwersytetach wrzało, ogromne manifestujące tłumy wylegały na ulice miast. Znaczna część prasy włączyła się do krytyki polityki wojennej, a stacje TV codziennie przynosiły sensacyjne reportaże z Indochin, malujące w ponurych barwach obraz amerykańskich działań wojennych i cywilnych programów pacyfikacji. Część społeczeństwa i prasy nie podzielała jednak tego stanowiska wychodząc z założenia, że obowiązkiem jest poparcie każdej wojskowej akcji własnego rządu. Ten odłam opinii, nazwany później przez prezydenta Nixona „milczącą większością”, wyrażał na ogół stanowisko warstwy drobnomieszczańskiej, prowincjonalnej, konserwatywnej i należącej do starszego pokolenia. Wietnam podzielił Amerykę, wywołał niebezpieczne wewnętrz-

ne spięcia, podważył jej pewność siebie, wstrząsnął wiarą w doskonałość jej instytucji i nieomylność zasad.

Ostry wewnętrzny konflikt nie wywierał jednak do wiosny 1968 roku wpływu na politykę Białego Domu. Prezydent Johnson, który w pierwszych latach swego urzędowania zajmował się głównie sprawami wewnętrznymi, początkowo traktował sprawę wietnamską jako odziedziczony po Kennedym kłopot, który zostanie łatwo usunięty przez amerykańską armię. W miarę lawinowego przeistaczania się kłopotu w problem, a potem w narodowe nieszczęście — Johnson całkowicie poświęcił się wojnie i objął poważnie i bez reszty swe konstytucyjne stanowisko naczelnego dowódcy. Była to teraz jego wojna i o n jej nie mógł przegrać. Skoncentrował w swoim ręku wszystkie ważniejsze decyzje co do posunięć militarnych, włącznie z zatwierdzaniem celów poszczególnych nalotów bombowych. Taka niefachowa cenzura skomplikowanych operacji taktycznych miała swoje dobre strony, bo nieraz hamowała niebezpieczne zamiary generałów, którzy chcieli dokonywać operacji nad samą chińską granicą, niszczyć tamy wodne, myśleli o „marszu na północ”, a nawet przebąkiwali o użyciu broni jądrowej. Z drugiej strony amatorskie rozkazy prezydenta krępowały swobodę dowodzenia i nieraz rujnowały skomplikowane operacje taktyczne. Nie mogąc przekonać upartego prezydenta do niektórych swoich koncepcji, szefowie sztabów obrali okreśną drogę wpływania na jego decyzje: podsuwali mu odpowiednio zabarwione informacje, opracowywali warianty operacji, nakierowujące wyraźnie na wybór tego, który uważali za właściwy, ukrywali niepomysłne wyniki akcji, wyolbrzymiali sukcesy, koloryzowali rzeczywistość,



a często stawiali Biały Dom wobec faktów dokonanych.

Prezydent tym łatwiej poddawał się presji wojskowych, że otaczała go podobna grupa cywilna, która zainwestowała cały swój prestiż w politykę zwycięstwa za wszelką cenę.

Przykładem bałamuctwa i hipokryzji w przedstawianiu wydarzeń na terenie Wietnamu może być przyjęta przez Biały Dom wersja przebiegu wyborów na Południu w 1967 roku.

W tym czasie Biały Dom, zniecierpliwiony nieustannymi rządowymi przewrotami w Sajgonie, decyduje się na powrót do systemu dyktatorskiego. Wybór pada na osobę młodego generała, czterdziestoczteroletniego Nguyen Van Tieu. Pochodził on z drobnomieszczańskiej rodziny buddyjskiej, ale z racji małżeństwa nawrócił się na katolicyzm. W swej karierze oficerskiej niczym specjalnym nie wyróżnił się. Dopiero w stopniu pułkownika uzyskał rozgłos jako dowódca oddziału, który zaatakował i zdobył w 1963 roku pałac prezydenta Diema. Odbył też dwukrotnie staż wojskowy w USA. Z byłym dyktatorem łączyły go takie cechy, jak upór i antykomunizm. Brakowało mu jednak twardej ręki Diema i jego umiejętności oddziaływania na otoczenie. Umiał za to pilnować własnych interesów i kiedy w kwietniu 1975 roku uciekał na Tajwan, był człowiekiem bardzo bogatym.

Osadzając Tieu w pałacu prezydenckim Amerykanie postanowili dokonać tego aktu „w majestacie prawa”, przy pomocy powszechnych wyborów.

Akcja wyborcza na podstawie świeżo uchwalonej konstytucji odbywała się w atmosferze wojskowego nacisku i policyjnego terroru. Zamknięto wszystkie pisma, które nie popierały Tieu i kandydata na wiceprezydenta Nguyen Cao Ky. Poprzednio skreślono

z list wyborczych już nie tylko komunistów, ale i buddystów, pacyfistów, neutralistów i wszystkich tych, „których działalność jest korzystna dla komunistów”. Parlament pod naciskiem oficerów usunął nawet z list kandydaturę generała Mina, który był zbyt niebezpiecznym przeciwnikiem dla Tieu. Była to ta sama koncepcja wyborów, jaką zastosował w 1963 roku Diem, który zamknął chłopów za drutami w „wioskach strategicznych”, aby dać im możliwość „wolnej decyzji w powszechnych, demokratycznych wyborach”.

Pomimo terroru i zwykłego fałszowania wyników Tieu otrzymał jedynie 34,8% głosów, co wystarczyło jednak do wyprzedzenia innych. Niedorzeczność wyników oświetla też fakt, że połowa wybranych senatorów reprezentowała katolików — obejmujących przecież zaledwie 6,5% ludności kraju. 1/3 senatorów stanowili uciekinierzy z Północy, a najwięcej głosów na listy rządowe padło w okręgach opanowanych przez Front, gdzie niepodobna było nawet przeprowadzić głosowania.

Wybory te zostały uznane przez kierownictwo USA jako demokratyczne, uczciwe i stanowiące dowód, że „wolny wybór” ludności opowiada się za walką z agresją, przeciwko rokowaniom pokojowym i neutralizmowi. Nawet po wielu latach Johnson w swych pamiętnikach napisze, że „kampania (wyborcza) była ostra, ale czysta, a obserwatorzy amerykańscy jednomyślnie entuzjastyczni”. Należy sądzić, że Johnson rzeczywiście wierzył w swoje oceny, nie rozumiejąc oczywiście głębokich i skomplikowanych obyczajowych, religijnych i historycznych komplikacji stosunku Wietnamczyków do całkowicie obcego im aktu wrzucania kartki do urny wyborczej. Johnson traktował to głosowanie jak wybory w Teksasie.

Tak więc u progu 1968 roku nastroje dowództwa amerykańskiego były optymistyczne. Wybory umocniły siłę rządu sajgońskiego, pacyfikacja rozwijała się pomyślnie, DRW ugiwała się pod niszczącymi bombardowaniami, a na Południu nieprzyjaciół ponosił klęski i wycofywał się do dżungli. Generał Westmorland oświadczył, że „nigdy jeszcze w ciągu czteroletniego pobytu w Wietnamie nie był tak dobrej myśli... Doszliśmy do ważnego punktu, z którego dostrzegamy już koniec (tej wojny). W ciągu dwóch lat zaczniemy już wycofywać nasze wojska, które będą już tam niepotrzebne”. Kierownik akcji pacyfikacyjnej, ambasador Komer, oświadczył w styczniu, że „11,5 miliona Wietnamczyków na 17,5 miliona ludności żyje obecnie na obszarach całkowicie lub prawie zupełnie bezpiecznych”. Im większa była ta pewność siebie, tym mocniejsze wyrazy potępienia padały z ust prezydenta na buntujących się przeciw wojnie obywateli Stanów Zjednoczonych. Byli to „zdrajcy”, „komuniści”, „tchórze i sępy żerujące na trudnościach”, „przekłęci głupcy, anarchiści, którzy są zawsze ślepi na doświadczenia, a głusi na nadzieję”.

30 stycznia 1968 roku w dzień Księżycowego Nowego Roku wietnamskiego, czyli święta Tet, zawalił się ten cały świat złudzeń i fałszywych nadziei. Wojska Frontu rozpoczęły w całym kraju olbrzymią ofensywę. Uderzenia skierowały się na 36 spośród 44 stolic prowincji i na 4 spośród 5 największych miast kraju, w tym na Sajgon i Hue. Grupa komandosów opanowała gmach ambasady amerykańskiej w Sajgonie. Garnizony amerykańskie znalazły się pod ogniem artylerii i moździerzy, posterunki sajgońskie na terenie 1/3 kraju zostały w ciągu jednej nocy zmiecione, oddając pod kontrolę Frontu miliony mieszkańców „spacyfikowanych wsi”.

Ofensywa była znakomicie przygotowana i zamaskowana. Oddziały Frontu ruszyły w większości wypadków z tych rejonów kraju, które Amerykanie uważali za oczyszczone od nieprzyjaciela, z tych baz, które zarejestrowano w sprawozdaniach jako „zniszczone”. Uderzały bataliony figurujące w raportach jako zmiecione z powierzchni ziemi. Do Sajgonu i innych większych miast oddziały Frontu dostały się po cichu, niepostrzeżenie — nocą, pieszo lub na rowerach, z ukrytą bronią, a po dokonaniu koncentracji opanowały błyskawicznie ważniejsze punkty strategiczne.

W miesiącach poprzedzających ofensywę wojska Frontu doprowadziły przy pomocy mylących operacji do takiej dyslokacji wojsk amerykańskich, która najbardziej im ułatwiła rozpoczęcie operacji. Tak więc np. przez fałszywe dane dostarczone amerykańskiemu wywiadowi i pozorowane ruchy wojsk Frontu udało się ściągnąć do twierdzy The Sanh 7000 żołnierzy amerykańskich i spowodować tam ogromną koncentrację lotnictwa bombowego. Wojska Frontu natomiast, wykonawszy to zadanie, wycofały się po cichu z tego terenu, a użytych tam wojsk amerykańskich zabrakło w zagrożonych obszarach kraju w czasie ofensywy. Podobnie spowodowano koncentracje amerykańskie pod Pleiku, Duc To i nad granicą kambodżańską. Ułatwiło to ataki FWN w delcie Mekongu, w centrum kraju i pod Hue, jak też uderzenia Frontu na mniejsze oddziały amerykańskie, rozproszone po kraju w daremnych próbach „odnalezienia i zniszczenia” przeciwnika. Wpadły one w zasadzki.

W dalszym toku ofensywy Front wykorzystał wycofanie się wojsk amerykańskich do większych miast i zaatakował oddziałami partyzanckimi obszary wiejskie chronione przez „oddziały specjalne” Sajgonu.

Na 51 batalionów „pacyfikacyjnych” 20 całkowicie zlikwidowano.

Zaskoczenie dowództwa amerykańskiego było tak silne, że w pierwszych dniach ofensywy nie orientowało się ono nawet w jej rozmiarach. Generał Westmorland, który od pewnego czasu ostrzegał Johnsona przed przygotowywanym atakiem Frontu na Khe Sanh, 1 lutego zaraportował, że „jest to wysiłek dywersyjny dla odciążenia uwagi od północnej części kraju”. Mimo to następnego dnia Johnson oświadczył w TV, że „od pewnego czasu wiedzieliśmy, iż nieprzyjaciel planuje tę ofensywę... Jako akcja wojskowa stała się ona klęską. Nie sądzę też, żeby osiągnięto sukces moralny”. Ale po dalszych dwóch dniach woła: „Żeby mi nie było żadnego przeklętego Dien Bien Phu!”

8 lutego sytuację podsumował Robert Kennedy: „Półmilionowa armia żołnierzy amerykańskich oraz 700 000 sprzymierzonych Wietnamczyków, panując całkowicie w powietrzu i na morzu, przy pomocy olbrzymiego zaopatrzenia i najnowocześniejszej broni — nie jest w stanie zabezpieczyć nawet jednego miasta przed atakami nieprzyjaciela, którego liczba nie przekracza 250 000!”

Amerykanie zdołali w ciągu miesięcy wiosennych z olbrzymim wysiłkiem utrzymać lub odbić większe miasta. Obracali je po prostu w gruzy przy pomocy zmasowanych nalotów bombowych. Jak doniósł bezimienny amerykański major z miasta Ben Tri o ludności 35 000 mieszkańców: „Koniecznością stało się zniszczenie miasta, aby je uratować”. Taki los spotkał większą część historycznej stolicy Hue, tak stało się z Cholon — przedmieściem Sajgonu i wieloma innymi miastami, w których walki trwały przez wiele tygodni. Ale odbicie tych miast nie zakończyło ofensywy „Tet”. Pomimo wysokich strat w końcu

lutego Front zdobył się na drugą fazę ofensywy. Wiosną nastąpiła trzecia. Armia USA poniosła dotkliwie straty. Liczba zabitych i rannych w tej wojnie przekroczyła już liczbę strat w wojnie koreańskiej i w marcu 1968 roku osiągnęła 136 000. Armia sajgońska została właściwie rozbita, program pacyfikacji przekreślony. Niezależnie od chęci Johnsona ofensywa „Tet” odegrała w tej wojnie rolę podobną do Dien Bien Phu.

Straty Frontu były również bardzo bolesne. Przechodząc z partyzanckiej, ruchowej wojny do otwartej walki w miastach, oddziały Frontu naraziły się na kontrakcję olbrzymiej siły ognia lotnictwa, czołgów i nowoczesnej amerykańskiej broni. W pewnych wypadkach — jak to miało miejsce przy opanowaniu amerykańskiej ambasady w Sajgonie — ataki partyzanckie miały charakter samobójczy. W miastach opanowanych przez powstańców Amerykanie, nie mogąc pokonać nieprzyjaciela w walce wręcz, wzywali lotnictwo szturmowe i obracali po prostu w gruzy całe dzielnice. Ginęły tysiące mieszkańców, a wraz z nimi walczący żołnierze FWN. Przeważnie najbardziej wartościowe kadry oddziałów liniowych.

Ofensywa „Tet” była więc kosztowna. Oczywiście liczby strat wietnamskich podawane przez Amerykanów były przesadzone. Wystarczy przytoczyć incydent, który miał miejsce w Białym Domu, kiedy przedstawiciele Pentagonu informowali o przebiegu operacji grupę wybitnych osobistości politycznych, wśród których znajdował się ambasador USA przy ONZ Arthur Goldberg. Referujący oficer oświadczył, że liczbę zabitych żołnierzy nieprzyjaciela oblicza się na 45 tysięcy.

— A jaki jest stosunek liczby rannych do zabitych? — zapytał Goldberg.

— Szacujemy 3,5 do 1 — odparł oficer.

— A jaka była ogólna liczba atakujących wojsk Wietkongu?

— Od 160 do 175 tysięcy.

— To z kim jeszcze walczymy — spokojnie zapytał ambasador — skoro według waszego obliczenia zabitych i rannych nieprzyjaciół jest 202 500?

W pokoju zapanowała kłopotliwa cisza.

Przy końcu lutego i na początku marca początkowa pewność siebie kierownictwa USA ustąpiła miejsca niepewności i obawom. Mimo utrzymywania panowania w miastach stało się jasne, że duża część kraju znalazła się w ręku nieprzyjaciela, a cały wysiłek pacyfikacji został za jednym zamachem przekreślony. Do pozostałych jeszcze nietkniętych ośrodków miejskich napływała milionowa masa nowych uchodźców. Ale nigdy nie było pewności, czy chodzi o przestraszonych chłopów, którzy chronią się przed bombami (bo przecież Front nie ma lotnictwa), czy też o powstańców infiltrujących amerykańskie tyły. General Westmorland oświadczył wprawdzie 25 lutego, że „nieprzyjaciel poniósł wojskową porażkę... mimo pewnych czasowych psychologicznych sukcesów”, ale jednocześnie wysłał do Waszyngtonu depezę domagającą się ogromnych posiłków. Do dotychczasowego pułapu liczebności sił amerykańskich w wysokości 525 000 zażądał dodania dalszych 206 000. Fakt ten stał się przełomowy w dziejach tej wojny. 10 marca informacja o nim przeniknęła do prasy i została opublikowana przez „New York Times”. Wybuchła burza już nie tylko wśród młodzieży i antywojennych gołębi. Tym razem reakcja i protest ogarnęły znacznie szersze warstwy społeczeństwa.

W chwili, kiedy general Westmorland zażądał posiłków, w Wietnamie znajdowało się 40% wojsk

regularnych USA, 50% taktycznego lotnictwa i 30% sił morskich. Wszelkie dalsze wzmacnianie amerykańskich efektów w Południowo-Wschodniej Azji wymagałoby więc powołania pod broń co najmniej 400 000 rekrutów. Koszty wojny doszły do 30 miliardów dolarów rocznie. Częściowa mobilizacja powiększyłaby tę kwotę o dobre 10 miliardów.

Kiedy 27 lutego prezydent naśladując Churchilla oświadczył, że „poleje się pot, krew i łzy, słabi odpadną z szeregów, ale musimy i będziemy trwać w Wietnamie” — to reakcja społeczeństwa była zdecydowanie negatywna. Amerykanie mieli dość polityki eskalacji i utracili wiarę w możliwość zwycięstwa.

Nastroje te znalazły swój wyraz w rozpoczynającej się właśnie akcji przygotowawczej do wyborów prezydenckich. W ciągu lata liczne tzw. przedwybory miały wskazać konwencji partii demokratycznej najbardziej popularną osobistość na partyjnego kandydata do wyborów. Ogólnie spodziewano się łatwego zwycięstwa dotychczasowego prezydenta. 12 marca 1968 roku spotkał Johnsona cios. W stanie New Hampshire uzyskał tylko 49% głosów, a na mało wówczas znanego senatora George'a McGovern, który stanął do wyborów na platformie antywojennych haseł, padła prawie ta sama liczba głosów.

Jeszcze groźniejsze wydarzenie nastąpiło nazajutrz. Robert Kennedy, brat zamordowanego prezydenta, człowiek dużego kalibru i cieszący się wielką popularnością w kraju, postawił Johnsonowi ultimatum. Zażądał powołania specjalnej komisji dla rewizji polityki wobec Wietnamu, przy czym jej zaproponowany skład nie budził wątpliwości, iż komisja będzie przeciwna dalszej eskalacji. Kennedy zagroził,



że o ile wniosek jego zostanie odrzucony — stanie do wyborów pod hasłem zakończenia wojny.

Johnson był zbyt dumny, zarozumiały i uparty, aby ugiąć się pod tę groźbę. Odrzucił ultimatum i 16 marca Robert Kennedy zgłosił swoją kandydaturę. Została ona w całym kraju przyjęta z ogromnym entuzjazmem, zapowiadającym zwycięstwo nie tylko na konwencji partyjnej, ale i w listopadowych wyborach prezydenckich. Pamiętajmy, że w trakcie kampanii Robert Kennedy został 5 czerwca zamordowany po wiecu wyborczym w Los Angeles w nie wyjaśnionych do końca okolicznościach.

Tak oto konflikt wietnamski przeniósł się na teren Stanów Zjednoczonych. Ten nowy, wewnętrzny front okazał się decydujący dla dalszych losów wojny.

Krytyka i opozycja wobec polityki wietnamskiej rosły już nie tylko na kampusach uniwersyteckich, w prasie i w środkach masowego przekazu. Negatywne i pesymistyczne oceny sytuacji mnożyły się w gronie najbliższych współpracowników prezydenta. Wyraził te opinie dosadnie podsekretarz obrony Paul Warnke: „Nasza strategia wojskowa jest głupia aż do granic szaleństwa”. Najważniejsze było chyba to, że następca McNamary na stanowisku sekretarza obrony, Clark Clifford, bliski osobisty przyjaciel prezydenta, już po kilku tygodniach urzędowania w Pentagonie zorientował się w rzeczywistej sytuacji i zrozumiał niepodobieństwo wygrania wojny i niebezpieczeństwo dalszego brnięcia w eskalację.

Clifford przekazuje tę ocenę sytuacji kilku wybitnym osobistościom politycznym USA, m.in. byłemu sekretarzowi stanu za czasów Trumana, Deanowi Achesonowi, który miał rozgałęzione stosunki w najwyższych kołach amerykańskiego establi-

shmentu. 15 marca Acheson próbuje przekonać Johnsona o fałszywości informacji, które otrzymuje od szefów sztabów. Mówi otwarcie prezydentowi, że jego poglądy na wojnę nie mają nic wspólnego z rzeczywistością i że cały kraj o tym wie. Johnson jest wstrząśnięty, ale nadal nie przekonany. W dwa dni później wygłasza ostre przemówienie, w którym wzywa „do dalszego wysiłku, aby wygrać wojnę i wygrać pokój... Nie chcę, aby ktokolwiek myślał inaczej: zwyciężamy!”

Johnson szuka też kozła ofiarnego, który będzie musiał odpokutować za błędy wietnamskich operacji. 22 marca zwalnia ze stanowiska naczelnego dowódcy generała Westmorlanda. Ale to nie zadowala opozycji. Świadomość niebezpiecznych skutków dalszego brnięcia w tę wojnę dotarła do kół, które w ostatecznym rachunku decydują o polityce Stanów Zjednoczonych. Wysokość strat ludzkich i gniew społeczny, koszty wojny i konieczność częściowej mobilizacji, zachwianie się dolara, spadek na giełdzie, osłabienie pozycji politycznej i wojskowej USA na świecie wywołały reakcję kierowniczych postaci amerykańskiego establishmentu.

Ekspedycja wietnamska mimo swoich rosnących rozmiarów nie stała się elementem nakręcania wielkiej koniunktury wojennej dla ciężkiego przemysłu USA. Charakter działań wietnamskich nie wymagał użycia tam tych rodzajów broni, które angażują najcięższy przemysł, potrzebują olbrzymich kapitałów i przynoszą największą stopę zysków. Ta wojna nie wymagała ani broni jądrowej, ani rakiet strategicznych, bombowców dalekiego zasięgu, lotniskowców, łodzi podwodnych i ciężkich czołgów. W prowadzeniu jej były więc zainteresowane raczej zakłady przemysłowe średniej wielkości i tylko część wielkiego kapitału finansowego. Wywierały one presję na

administrację, Kongres i Pentagon popychając skutecznie do dalszej eskalacji i eksperymentów zbrojowych. Kiedy jednak ogólna sytuacja Stanów Zjednoczonych — zarówno polityczna, jak i gospodarcza — zaczęła boleśnie odczuwać skutki tej wojny, doszły do głosu sfery reprezentujące największe interesy Ameryki. 25 i 26 marca zbiera się w Białym Domu tajemnicza i nieoficjalna grupa „starszych mędrców”. Było ich czternastu. Generałowie — jak Maxwell Taylor, Matthew Ridgeway i Omar Bradley, emerytowani dyplomaci i politycy — jak Robert Murphy, Henry Cabot Lodge, Dean Acheson, Arthur Dean, George Ball, McGeorge Bundy. Większość z nich zasiadała w radach nadzorczych największych korporacji amerykańskich. Był też Abe Fortas, sędzia Sądu Najwyższego, ambasador Arthur Goldberg z ONZ, a wreszcie prezesi wielkich banków: Douglas Dillon i John McCloy. W ciągu dwóch dni zespół ten przesłuchiwał wojskowe i cywilne kierownictwo tej wojny, aby następnie — w intymnej rozmowie z prezydentem, bez udziału najbliższych nawet jego ministrów — przedstawić mu konkluzję: trzeba skończyć wojnę. Nie można bowiem osiągnąć celów bez użycia takich środków, na które społeczeństwa amerykańskiego nie stać. „Panie prezydencie, musi pan obniżyć swój lot” — oświadczył bohater II wojny światowej, generał Omar Bradley. Tylko Taylor, Murphy i Fortas próbowali usprawiedliwiać politykę Johnsona. Ale byli w mniejszości. Dopiero teraz prezydent zrozumiał, że przepaść nieufności i braku wiary dzieli go nie tylko od większości społeczeństwa, ale że rozwarła się także pomiędzy nim a elitą amerykańskiego establishmentu.

W pięć dni później Johnson stanął przed kamerami TV i oświadczył narodowi, iż proponuje Hanoi rozpoczęcie bezwarunkowych negocjacji i wydał już

rozkaz zaprzestania bombardowań DRW „z wyjątkiem obszarów bezpośrednio przylegających do strefy zdemilitaryzowanej” — w praktyce do 20 równoleżnika. Nie było już w tym przemówieniu mowy o zwycięstwie. Natomiast na samym końcu, podczas gdy wielkie łzy spływały po prezydenckich policzkach, dodał, że nie będzie kandydował i nie przyjmie nominacji na następną kadencję. Jednemu ze swych przyjaciół powiedział wtedy: „Jedyną różnicą pomiędzy zamordowaniem Kennedy'ego a moim losem jest to, że ja żyję. A to jest większą torturą”.

Tak skapitulował Lyndon Johnson w wojnie z narodem wietnamskim. Była to osobiwa, nie znana w historii wojen klęska. Nie było tym razem żadnego Dien Bien Phu, lotnictwo amerykańskie panowało nadal niepodzielnie nad obszarem powietrznym Indochin, a marynarka nad wodami półwyspu. Wszystkie miasta powróciły pod panowanie półmilionowej armii Stanów Zjednoczonych, która mimo poniesionych strat górowała nadal liczebnością, sprzętem i uzbrojeniem nad leśną armią patriotów wietnamskich. W Sajgonie panował dalej posłuszny rząd z milionem zmobilizowanych żołnierzy i policjantów i ogromnym aparatem administracyjnym. Ale w tej wojnie Amerykanie mogliby zwyciężyć tylko poprzez całkowite zniszczenie fizyczne całego walczącego narodu wietnamskiego. Nie zawahaliby się przed tym hitlerowcy — gdyby stanęli wobec takiej sytuacji. Ale naród amerykański takiego rozwiązania wojny wietnamskiej nie mógł przyjąć. Mimo poszczególnych wypowiedzi niektórych generałów amerykańskich, ani prezydent, ani jego otoczenie nie zamierzali użyć broni jądrowej.

Pamiętajmy, że decyzja prezydenta Johnsona z 31 marca 1968 roku nie kończyła wojny. Potrwa ona jeszcze cztery i pół roku. Data ta jednak stała się

punktem zwrotnym. Nastąpiło zdemaskowanie większości fałszywych złudzeń i uznanie dotychczasowych zasadniczych błędów. Ustanowiony został nowy cel polityki amerykańskiej w Indochinach, którym było już nie całkowite złamanie DRW i jej kapitulacja, ale kompromisowe rozwiązanie konfliktu przez podział kraju, oparty na modelu koreańskim. 17 równoleżnik stał się granicą dążeń amerykańskich. Pod nazwą „pokoju z honorem” Stany zmierzały do utrzymania panowania rządu sajgońskiego na Południu kraju i do wycofania zarówno wojsk DRW, jak i amerykańskich, przy zachowaniu jednak poparcia dla rządów Tieu.

Plan ten był również nierealny. Trzeba będzie czterech lat walk, negocjacji i rozczarowań, aby zdemaskować z kolei niesłuszność tej polityki. Propozycje Johnsona oznaczały dla DRW rezygnację z zasadniczych celów walki rewolucyjnej na Południu i pozostawienie tego obszaru bez pomocy patriotów w walce z reżimem sajgońskim, wspomaganym gospodarczo i wojskowo przez USA. Walki, ofiary i sukcesy poszłyby na marne, a wielki cel zjednoczenia wolnego Wietnamu przesunąłby się na czas nieokreślony.

Rząd DRW jednak zdecydował, że sytuacja dojrzała do tego, aby zdyskontować sukcesy wojskowe na gruncie dyplomatycznym i wykorzystać wzrost nastrojów antywojennych w świecie i w Stanach Zjednoczonych dla lepszego przedstawienia swoich celów i zdemaskowania zamiarów amerykańskich.

Toteż po trzech dniach ogłoszono w Hanoi odpowiedź akceptującą rozpoczęcie rokowań. Było to dla Johnsona i jego otoczenia dużą niespodzianką. Kapitulacja z 31 marca nie była jeszcze ani całkowicie szczerą, ani ostateczną. Johnson, Rostow i oburzeni nowym stanowiskiem prezydenta generałowie mieli

nadzieję, iż DRW odrzuci propozycje i wytworzy się sytuacja, w której dalsza wojna stanie się konieczna i będzie musiała być zaakceptowana zarówno przez większość społeczeństwa, jak i jego górną warstwę, reprezentowaną przez „czternastu mędrców”. Naza-jutrz po kapitulacyjnym przemówieniu Johnsona Departament Stanu wysłał do swoich ambasad instrukcję z komentarzem, w którym pisano, iż „Hanoi na pewno odrzuci propozycje i przywróci nam w ten sposób wolną rękę do działania”.

Przewidywania te zawiodły. Ale zarówno Rostow w Białym Domu, jak Rusk w Departamencie Stanu upierają się dalej przy polityce wojennej i popierają rozpaczliwe wysiłki generałów w Pentagonie i w Sajgonie. Generałowie natomiast uważają, że prezydent każe im się wycofywać w momencie, kiedy właśnie zaczynają zwyciężać. „Nigdy nie byliśmy w lepszej sytuacji” — oświadcza w kwietniu zdymisjonowany generał Westmorland. Sądził, iż teraz nadszedł najlepszy moment, aby uderzyć z całą siłą w nieprzyjaciela, który się ujawnił i wyszedł z dżungli. Szefowie sztabów snują nowe plany powiększenia bombardowań DRW, niszczenia zapasów żywności i zapór wodnych. Przekonują kongresmenów i dziennikarzy, że „Tet” był wojskową katastrofą dla FWN i że wystarczy niewielkie posiłki, aby uzyskać zwycięstwo. Znowu nie widzą, że Front już szybko powrócił do taktyki rozproszenia i wprawdzie nadal atakuje, ale już małymi oddziałami. Nie zdają sobie sprawy z tego, że gdyby nawet USA stać było na przysłanie tych 206 000 żołnierzy, to dla Frontu wystarczy tylko przerzucenie 50 tysięcy z Północy, aby utrzymać istniejący stosunek sił — bo taka jest specyfika wojny partyzanckiej i tego wyścigu Amerykanie wygrać nie mogą. Nie rozumieli wreszcie, że „Tet” zniszczył całą strukturę wła-

dzy, na której opierał się rząd sajgoński, a drakońska polityka niszczenia miast przez Amerykanów przy zwalczaniu ofensywy przysporzyła im miliony nowych wrogów, stanowiących rezerwuar ludzki dla oddziałów Frontu.

Toteż w czasie, gdy społeczeństwo amerykańskie odczuwa wyraźną ulgę w obliczu perspektywy wynegocjowania pokoju — dowództwo amerykańskie na własną rękę raz jeszcze usiłuje wywalczyć pokój na polach bitew. Ograniczone do 20 równoleżnika bombardowanie DRW koncentruje na tym niewielkim obszarze całą potęgę lotniczą z Tajlandii i lotników VII Floty. Następuje wzmożenie zaczepnych akcji USA w Południowym Wietnamie i ogromna intensyfikacja ataków lotniczych. Rosną również straty amerykańskie. W ciągu 1968 roku zginęło 14 000 amerykańskich żołnierzy, było 100 000 rannych. W Stanach Zjednoczonych rośnie fala protestów w obliczu tej nowej eskalacji, sprzecznej z oficjalnymi zapowiedziami prezydenta. Prasa i TV coraz bezwzględniej piętnują politykę wojenną, nie oszczędzając przy tym Johnsona. Ta wojna stała się bowiem jego wojną. Nigdy dotychczas w historii tego kraju nie było tak ostrego konfliktu pomiędzy kierownictwem a prasą. Prasa zdobyła się na bezlitosną sekcję całego przebiegu wojny wietnamskiej, obnażając jej absurdy i beznadziejność, piętnując niemożliwość i barbarzyńskie, ludobójcze postępowanie armii amerykańskiej. Prasa wyszydzała naiwne, triumfalne wypowiedzi przywódców. „Znaleźliśmy się w sytuacji much, które opanowały lep. Jesteśmy w potrzasku koncepcji zwycięstwa” — pisał znakomity publicysta „New York Timesa” James Reston. Codzienne transmisje telewizyjne z pola walki pokazywały społeczeństwu okrucieństwo wojny i uprzytomniały mu, że żołnierz walczy w Indochinach bez

żadnych celów i pobudek patriotycznych, że nie rozumie, dlaczego ma zabijać jednych małych, żółtych ludzi, a bronić innych, których nie jest nawet w stanie rozpoznać.

Rozbicie społeczeństwa pogłębia się z dnia na dzień, zwłaszcza że kraj znajduje się w obliczu wyborów prezydenckich. Republikanie wystawili kandydaturę Richarda Nixona, który ostro krytykując wojenną politykę daje do zrozumienia, iż wycofa się z Wietnamu w ramach tzw. wietnamizacji konfliktu. Z ramienia partii demokratycznej zamiast Johnsona kandyduje dotychczasowy wiceprezydent Hubert Humphrey. Nie potrafił zdobyć się na wyraźne odcięcie od polityki swojego szefa i zdecydowanie stanąć na platformie antywojennej. To go kosztowało wybory. Tak oto sprawa wietnamska nie tylko obaliła prezydenta Stanów Zjednoczonych, ale rozstrzygnęła o wyniku wyborów.

Powróćmy jeszcze do ofensywy „Tet” jako do zasadniczego wydarzenia w dziejach tej wojny. Amerykańskie czynniki oficjalnie stwierdzały, że ofensywa była porażką Frontu, że nie osiągnęła zamierzonych celów, nie wywołała ogólnonarodowego powstania i Frontowi nie udało się utrzymać żadnego z zaatakowanych miast. Za to poniesione straty były ogromne i zaważyły ujemnie na dalszych możliwościach walki rewolucyjnej. W pamiętnikach pisanych w 1970 roku Johnson mówi: „...rząd sajgoński wyszedł z tej próby zwycięsko i cieszy się większym poparciem narodu niż przedtem. Po raz pierwszy Sajgon rozpoczął pełną mobilizację sił ludzkich... Była to wojskowa katastrofa dla Wietkongu i Północnego Wietnamu”.

Pamiętniki Johnsona pisane były z wyraźnym zadaniem usprawiedliwienia jego polityki i w wielu sprawach rozmijają się całkowicie z prawdą. Tak jest i w tym wypadku. Ofensywa „Tet” pozbawiła



ząd sajgoński kontroli nad większością terytorium kraju. Na 1600 gmin około 1300 znalazło się w rękach FWN, który z ogromną sprawnością podzielił tam szybko około 2 milionów ha ziemi uprawnej i utrwalił swoją administrację. Mobilizacja zaś, przeprowadzona istotnie przez rząd sajgoński, miała na celu nie wzmocnienie wojska, a jedynie zamknięcie za drutami i w koszarach jak największej liczby młodzieży, aby utrudnić jej zasilenie kadr powstańczych. Pobór ten przyspieszył jednak w wielu wypadkach decyzję ucieczki „do lasu”.

Abstrahując od osobistych i tendencyjnych ocen byłego prezydenta, musimy uznać niektóre argumenty w jego negatywnych ocenach ofensywy. Nie zdołano utrzymać zdobytych początkowo stolic prowincjonalnych. Nie wywołano ogólnego powstania. Straty były duże i bolesne, wyrwały z szeregów najwartościowsze kadry. Czy więc ta ofensywa była zwycięstwem, czy porażką? Czy decyzja przejścia w tym momencie do otwartej, masowej walki była błędem?

Podsumujmy najważniejsze osiągnięcia Frontu, wynikające z ofensywy „Tet”. Zmusiła ona Amerykanów do ograniczenia działań na terenie Wietnamu Południowego, do obrony miast i własnych baz. Rozbiła bataliony prowadzące pacyfikację. Dezercja w pozostałych oddziałach doszła do 30%. Amerykanie zaprzestali bombardowań DRW. Początkowo na północ od 20 równoleżnika, a od 1 listopada już w całości od 17°. Wojska amerykańskie poniosły bolesne straty.

Jeszcze ważniejsze były psychologiczne i polityczne skutki tej ofensywy. Dotyczyły one nie tylko DRW, gdzie przerwa w amerykańskich nalotach wywołała oczywiście ulgę i wzrost optymizmu. Na Południu cała ludność, zarówno na wsi jak i w mia-

stach, przekonała się o sile i możliwościach armii FWN, a kolaboranci otrzymali zasłużone kary. Wojska Frontu udowodniły, że nie są już nieregularną partyzantką, umiejącą walczyć jedynie nocą i w dżungli, ale regularną, dobrze uzbrojoną, zorganizowaną armią. Rozmiary i charakter ofensywy przekonywająco zdementowały w całym świecie fałszywe relacje rządu USA o sytuacji w Wietnamie. Ludność Stanów ostatecznie przekonała się, że jej rząd nie jest wszechmocny, niezwyciężony i... prawdziwy.

Skutki polityczne ofensywy „Tet” na terenie Wietnamu wyraziły się w ogromnym wzroście prestiżu Frontu wśród ludności. „Tet” stał się decydującym czynnikiem, który zmusił rząd amerykański do rozpoczęcia prawdziwych negocjacji i rezygnacji z dotychczasowych pozornych inicjatyw pokojowych, kończących się zawsze wzmocnieniem nalotów. Stany Zjednoczone musiały też wreszcie uznać FWN za partnera w tych negocjacjach. Nie bez znaczenia była też reakcja w świecie, gdzie po „Tet” nie tylko organizacje pokojowe, ale rządy państw zaprzyjaźnionych z USA zajęły negatywne stanowisko w stosunku do eskalacji.

Ofensywa „Tet” nie była jeszcze zwycięstwem ani nie kończyła tej wojny. Była jednakże punktem zwrotnym, zamykała fazę narastania amerykańskiej siły w Wietnamie. Bitwa pod Stalingradem była ogromnie kosztowna dla armii radzieckiej i nie oznaczała jeszcze zwycięstwa w wojnie. Ale była momentem zwrotnym, od którego skończyły się postępy sił hitlerowskich i rozpoczął się odwrót. Podobny był mechanizm tej krwawej i bohaterskiej ofensywy. Nie osiągnęła ona wszystkich swych celów ani nie rozstrzygnęła o losach wojny. Mimo to przejdzie do historii — obok Dien Bien Phu — jako przełomowe

wydarzenie wietnamskiej wojny. Była wielkim sukcesem, którego następstwami zostały okupione poniesionymi przez patriotów wietnamskich ofiarami.

W ciągu drugiej połowy 1968 roku trwały jeszcze próby, dokonywane przez jastrzębie, storpedowania rokowań pokojowych i powrotu do polityki rozstrzygnięć wojskowych. Ale właśnie dzięki „Tet” powrót był już niemożliwy. W tej sytuacji dalsze losy konfliktu przekazane zostały w spadku przez administrację Johnsona republikańskiemu rządowi Richarda Nixona. Wydawało się wówczas, że nowy prezydent będzie szybko zmierzał do zakończenia wojny. Wynikało to nie tylko z jego przedwyborczych wypowiedzi — bo te zwykle rozmiągają się z rzeczywistością polityczną okresu powyborczego — ale także z faktu, iż głównym doradcą Nixona w sprawach polityki międzynarodowej został Henry Kissinger. Jeszcze przed swą nominacją Kissinger pisał trzeźwo i rozsądnie: „Prowadziliśmy walkę militarną, a nasi przeciwnicy polityczną. Dążyliśmy do ich fizycznego wyniszczenia, a oni zmierzali do naszego psychicznego wyczerpania. W toku walki straciliśmy z oczu jedną z kluczowych zasad wojny partyzanckiej: partyzanci zwyciężają, jeżeli nie przegrywają. Armia konwencjonalna przegrywa, jeżeli nie zwycięża!”

W czasie jednej ze swoich pierwszych rozmów z dziennikarzami, już po nominacji, Kissinger powiedział z przekonaniem: „Nie, my nie powtórzymy ich błędów (miał na myśli poprzednią administrację), my nie pošemy tam pół miliona ludzi. My będziemy tam popełniać własne błędy”.

Kissinger nie wiedział jeszcze wtedy, jak dalece miał rację. Błędy nowej administracji nie okazały się jednak tak bardzo dalekie od tych, które popełniała poprzednia.

W marcu 1968 roku prezydent Johnson zmuszony został do zrezygnowania ze swych iluzorycznych ambicji w odniesieniu do zwycięstwa w Wietnamie. Kapitulacja nie była jednak ostateczna i bezwarunkowa. Prezydent miał jeszcze przez pewien czas nadzieję, że zapowiadane od dawna przez jego doradców załamanie się oporu Wietkongu odwróci bieg wydarzeń, ukoronuje zwycięstwem jego kadencję w Białym Domu, a może nawet pozwoli mu pozostać tam przez dalsze cztery lata. Podtrzymywali go w tym przekonaniu szefowie sztabów, przeciwstawiając się niesłusznej ich zdaniem i uderzającej w honor armii decyzji prezydenta z dnia 31 marca. Twierdzili, że rząd w Hanoi zgodził się tak skwapliwie na rozpoczęcie rokowań tylko dlatego, iż po ofensywie „Tet” znalazł się na progu klęski, siły jego są wyczerpane i rozbite i wystarczy tylko nieco cierpliwości i niewielkich posiłków, aby przypieczętować amerykańskie zwycięstwo. 7 kwietnia generał Westmorland oświadcza: „Nie byliśmy nigdy w lepszej sytuacji. Duch ofensywy panuje w Wietnamie!”.

Pentagon wciąż dostarczał prezydentowi optymistycznych zestawień liczb zdobytej broni, wziętych do niewoli jeńców i zabitych nieprzyjaciół. W tej ostatniej rubryce znalazła się niewątpliwie między

innymi liczba 400 żołnierzy północnowietnamskich, zlikwidowanych dnia 16 marca 1968 roku w wiosce My Lai. Dopiero po kilku latach świat dowiedział się, że tego dnia kompania piechoty USA, dowodzona przez porucznika Williama Calleya, zamordowała tam ponad 400 kobiet, dzieci i starców spędzonych z wioski na pobliskie ryżowisko. W trakcie rozprawy sądowej ujawniono, że ta egzekucja nie była wydarzeniem wyjątkowym i mieściła się w zasadach gry i obyczajach tej wojny, a ofiary takich „incydentów” figurowały w statystykach wykazujących straty nieprzyjaciela. Skazany na 25 lat więzienia Calley został po trzech latach zwolniony i ułaskawiony przez prezydenta Nixona.

Nie tylko koła wojskowe, ale również część cywilnego aparatu Białego Domu starała się skłonić Johnsona, aby nie rezygnował z próby zwycięstwa. Duszą tej akcji był Walt Rostow, który nawet po czterech latach pisze w swych pamiętnikach: „Oświadczenie Johnsona z 31 marca... było niemal powszechnie uważane za pewnego rodzaju uznanie klęski w Wietnamie. W istocie rzeczy (ofensywa) «Tet» i jej następstwa wzmocniły wiarę Johnsona w siłę południowych Wietnamczyków, otworzyły drogę do przyspieszenia pacyfikacji i zapowiedziały na dłuższą metę zmniejszenie komunistycznych wpływów w Azji Południowo-Wschodniej”. Rostow, rozżalony na interwencję przedstawicieli establishmentu, oskarżał biznes i sfery polityczne USA, że nie rozumieją azjatyckich interesów Ameryki, ulegają presji „ulicy” i poddają się wpływom międzynarodowej opinii, która potępia postępowanie Stanów w Wietnamie.

Marcowa interwencja grupy „mędrców” zaostrzyła znacznie w otoczeniu prezydenta różnice pomiędzy jastrzębiami i gołębiami wzmacniając jednocześnie

ten drugi odłam. Gołębie dążyły do poważnego potraktowania okazji pokojowego rozwiązania konfliktu i w tym celu żądały całkowitego zaprzestania bombardowań DRW. Prezydent jednak — pod presją kół wojskowych — opierał się takiemu radykalnemu posunięciu. Przeciwnicy rokowań wiedzieli, że DRW nie zgodzi się na poważne rozmowy, dopóki bomby padają na północ od 17 równoleżnika. Prezydent wyznacza granicę nalotów do 19, potem 18 równoleżnika.

Próby torpedowania rokowań polegały również na wybiegach proceduralnych. Powstaje spór o miejsce rokowań. Mimo że Johnson początkowo oświadczył, że gotów jest do podjęcia rozmów „w każdym miejscu i czasie”, Biały Dom odrzuca propozycję Hanoi rozpoczęcia rozmów w Genewie lub Phnom Penh. Stany Zjednoczone wymieniają ze swej strony Wientiane, Rangun, Dżakartę, New Delhi. 11 kwietnia DRW proponuje negocjacje w Warszawie, gdzie od dłuższego czasu odbywały się rozmowy amerykańsko-chińskie. Mimo to Waszyngton odrzuca tę propozycję i wysuwa całą plejadę możliwości, takich jak Kolombo, Kabul, Tokio, Rawalpindi, Katmandu, Kuala Lumpur, Brukselę, Wiedeń i Helsinki. Wszystkie te propozycje są trudne do przyjęcia dla DRW, ponieważ w miastach tych Wietnam Północny nie ma przedstawicielstw dyplomatycznych czy konsularnych, a więc odpowiedniej bazy dla łączności i długotrwałego pobytu. Dopiero 3 maja Stany Zjednoczone przyjmują następną propozycję Hanoi, a mianowicie Paryż. Stracono miesiąc na niepotrzebne targi. Miesiąc, w czasie którego zginęło w Wietnamie 800 amerykańskich żołnierzy.

13 maja zbierają się po raz pierwszy w Paryżu przedstawiciele DRW i USA. Ale już na samym początku rozmów zarysowuje się zasadnicza przeszkoda.

da. DRW nie zgadza się na rozmowy w czasie bombardowania jej terytorium. Zarówno Pentagon, jak i Biały Dom nie chcą iść na ustępstwa. Nie chcą stracić argumentu siły. Jeden z doradców prezydenta, Chester Cooper, w swojej książce „The Lost Crusade” opowiada: „Kiedyś po południu miałem gorącą sprzeczkę z Waltem Rostowem w związku z planowanym bombardowaniem okolicy lotniska w Hanoi. Tego samego dnia miała tam wylądować polska delegacja na wysokim szczeblu. Przegrałem. Bomby zostały zrzucone. Na szczęście Polacy przybyli dopiero następnego dnia”.

Ambasador Averell Harriman, prowadzący ze strony amerykańskiej rozmowy paryskie, dąży jednak rzeczywiście do porozumienia. Z własnej inicjatywy doprowadza do tajnych spotkań z delegacją wietnamską, próbując znaleźć merytoryczną platformę porozumienia. Ale i te spotkania nie dają rezultatu. Instrukcje Harrimana nie pozwalają mu bowiem na dyskusje na temat politycznego rozwiązania problemu wietnamskiego, a tylko takie rozmowy zainteresują delegację DRW. Amerykanie chcą dyskutować wyłącznie o zaprzestaniu działań wojennych, wycofaniu oddziałów północnych i wymianie jeńców. Domagają się udziału w negocjacjach przedstawiciele Sajgonu, a jednocześnie odmawiają kontaktu z Frontem Wyzwolenia Narodowego.

Liczne sesje otwarte i 10 tajnych spotkań nie posuwają naprzód rokowań. Rośnie atmosfera nieufności i rozczarowania, podsycana nie tylko przez amerykańskie dowództwo i wojenną partię w Białym Domu, ale i przez prezydenta rządu sajgońskiego Tieu. Dla niego rozmowy paryskie są bardzo niebezpieczne. 19 kwietnia zarządza w Południowym Wietnamie powszechną mobilizację. W sierpniu kategorycznie oświadcza, że nigdy nie będzie rokowań z FWN.

Pierwszy przełom w rozmowach paryskich następuje dopiero w obliczu klęski partii demokratycznej w nadchodzących wyborach prezydenckich w USA. Wybory mają się odbyć 3 listopada 1968 roku. Badania opinii publicznej wskazują na niepopularność demokratycznego kandydata, dotychczasowego wiceprezydenta Huberta Humphreya. Popierał on posłusznie linię polityczną Johnsona i nawet w obliczu nadchodzących wyborów nie potrafił się odciąć od polityki wojennej i oprzeć na rosnącej fali protestu stronników pokoju.

Niemal w przededniu wyborów Johnson pod naciskiem działaczy swojej partii decyduje się na złagodzenie instrukcji dla Harrimana. 27 października dochodzi w Paryżu do porozumienia, którego podstawą jest zgoda USA na zaprzestanie bombardowań Wietnamu Północnego i rozpoczęcie rozmów „dwóch stron”, przy czym strona wietnamska składać się będzie z niezależnych delegacji DRW i FWN, a obok USA weźmie udział w rozmowach przedstawicielstwo Sajgonu. Porozumienie to, ogłoszone 31 października, mogło zadecydować o zwycięstwie partii demokratycznej. Szanse Humphreya błyskawicznie rosną. Ale w ostatniej chwili dochodzi do głosu niechlubna koalicja szefów sztabów, części doradców prezydenta, kierownictwa partii republikańskiej oraz rządu sajgońskiego. Republikanie, za pośrednictwem niejkiej pani Chennault, Wietnamki, wdowy po wybitnym generale amerykańskim — porozumiewają się z Tieu, obiecując mu po wygranych wyborach swoje nieograniczone poparcie. Tieu reaguje natychmiast i publicznie odmawia zgody na porozumienie paryskie oświadczając, że jego delegacja nie weźmie udziału w dalszych spotkaniach w Paryżu.

Amerykańska opinia publiczna uważa to oświadczenie za zerwanie paryskiego porozumienia. Na-



dzieje na pokój gasną. 3 listopada Humphrey uzyskuje o pół miliona głosów mniej od Richarda Nixona. Jest to zaledwie 0,7% oddanych głosów, ale wystarcza, aby po 8 latach rządzenia krajem obalić administrację demokratyczną i wprowadzić do Białego Domu republikanina — Richarda Nixona. Tak więc wojna wietnamska po raz drugi w tym samym roku zadecydowała o prezydenturze Stanów Zjednoczonych. Polityka Johnsona nie tylko usunęła go z Białego Domu. Uniemożliwiła też wybór Humphreya na skutek ulegania do ostatniej chwili podszeptom stronników wojny.

Następne trzy miesiące to smutny okres parodii negocjacji w Paryżu. Odchodząca administracja mimo wysiłków Harrimana nie jest w stanie przystąpić do rzeczowych rozmów. Wprawdzie Tieu, spełniwszy swe destrukcyjne zadania, zgadza się pod silnym naciskiem Johnsona na wzięcie udziału w rozmowach i na początku grudnia wysłała do Francji wicemarszałka Ky jako swego przedstawiciela — ale postanawia odłożyć rozpoczęcie pertraktacji do czasu przejścia rządów w Stanach przez nową administrację, czyli do 20 stycznia 1969 roku. Wobec tego Ky wysuwa jako problem zasadniczy sprawę kształtu stołu konferencyjnego. Aż do drugiej połowy stycznia świat z oburzeniem obserwuje gorszące widowisko rozpatrywania przez grono poważnych dyplomatów politycznego aspektu różnych sposobów meblowania sali konferencyjnej. Problem był oczywiście czysto fikcyjny i obliczony na odsunięcie początku konferencji. Rozwiązuje go decyzja, która była z góry do przewidzenia: stół będzie owalny i w ten sposób uniknie się wszelkich problemów prestiżowych. Dwa niewielkie prostokątne stoły ustawione w odległości 45 cm od dłuższych krawędzi owalu będą dyskretnie symbolizować rozdzielenie dwóch negocjujących stron.

Po rozstrzygnięciu tej „zasadniczej” sprawy 25 stycznia 1969 roku, a więc niemal w rok po rozpoczęciu ofensywy „Tet”, a w dziewięć miesięcy po uzgodnieniu przystąpienia do rokowań, cztery zainteresowane strony mogły wreszcie usiąść przy owalnym stole i rozpocząć rozmowy na dobre. Czy naprawdę na dobre?

20 stycznia 1969 roku nastąpiła zmiana administracji w USA. Losy wojny w Wietnamie spoczęły w rękach Richarda Nixona i jego głównego doradcy politycznego, a potem sekretarza stanu, Henry Kissingera. Jaki był program nowego kierownictwa polityki amerykańskiej w sprawie wietnamskiej?

Podczas kampanii wyborczej Nixon mówił bardzo ogólnikowo o konieczności zakończenia wojny. Tyle tylko, ile potrzebował dla krytyki rządów demokratycznych. Ukuł wtedy termin „deamerykanizacji” wojny, który później przekształcił się w „wietnamizację”. Stwierdzał w przemówieniach, że „amerykański wysiłek obrony niepodległości Wietnamu Południowego spowodował rosnące uzależnienie USA od tego konfliktu. Trzeba ten proces odwrócić”. Nie precyzował jednak, w jaki sposób.

W 1969 roku styczniowy numer poważnego kwartalnika amerykańskiego „Foreign Affairs” przyniósł artykuł profesora Henry Kissingera, pisany zanim zaproponowano mu stanowisko doradcy prezydenta. Kissinger wyodrębnił tam dwie płaszczyzny konfliktu wietnamskiego: wojskową — polegającą na faktycznej, choć nie wypowiedzianej wojnie pomiędzy USA i DRW, oraz polityczną — której istotą jest walka o panowanie w Wietnamie Południowym między rządem sajgońskim a FWN.

Ta próba ujęcia istoty konfliktu wietnamskiego zawierała trzy dość zasadnicze nieporozumienia. Primo: mimo że pomiędzy USA i DRW istotnie toczyła się

walka, to DRW była tylko częścią patriotycznych sił wietnamskich. Nie mniej ważnym składnikiem sił wietnamskich był FWN, reprezentujący większość społeczeństwa Południowego Wietnamu. Takie uproszczone ujęcie sytuacji przez Kissingera, sprowadzające pojęcie „wroga” do DRW, pociągnie za sobą fatalne skutki w postaci kontynuacji koncepcji Johnsona, zgodnie z którą można wygrać wojnę i zmusić przeciwnika do kapitulacji przez zniszczenie Północy nalotami bombowymi. Po drugie: nie można oddzielić konfrontacji politycznej pomiędzy Sajgonem i FWN na Południu od sprawy obecności amerykańskiej w Wietnamie. Bez poparcia Stanów Zjednoczonych rząd sajgoński nie mógłby istnieć, nie reprezentowałby żadnej siły politycznej. A więc przeniesienie istoty konfliktu wietnamskiego na konfrontację z podmiotem podstawionym było tylko unikiem, który nie mógł przynieść wyjaśnienia sytuacji ani jej trzeźwej oceny, ani właściwych wniosków.

Po trzecie wreszcie: oddzielanie spraw politycznych od wojskowych w Wietnamie nie było możliwe ani celowe. Formalna manipulacja nie dawała żadnych korzyści dla rozwiązania problemu. Trzeci błąd Kissingera był prostą konsekwencją dwóch pierwszych. Polityczne i wojskowe aspekty konfliktu wietnamskiego były ze sobą nierozdzielnie powiązane. Stany Zjednoczone były decydującą siłą zarówno polityczną, jak wojskową. Zarówno kierownictwo DRW jak FWN wiedziały dobrze, że na obydwu płaszczyznach trzeba walczyć i negocjować z USA, a nie z Sajgonem, a rozdzielanie sprawy wojskowej teraźniejszości od politycznej przyszłości byłoby błędem. Zwłaszcza w sytuacji, kiedy ogromnym wysiłkiem Wietnamczycy osiągnęli równowagę na polu bitwy. Uważali, że wojna rozpoczęta przez polityków może być zakończona tylko przez żołnierzy.

Kissinger reprezentował odmienne stanowisko. Uważał, że skoro nie można wygrać wojny, to trzeba wygrać pokój. Powracał do starej koncepcji wycofania wojsk amerykańskich z większej części kraju i utrzymania ich w umocnionych enklawach dla panowania nad węzłami komunikacyjnymi i głównymi ośrodkami kraju. Strategia taka była może celowa w okresie konfliktu francuskiego, a nawet jeszcze przed czterema laty, kiedy w kraju działały jedynie rozproszone oddziały partyzanckie, niezdolne do większych koncentracji i zmasowanego uderzenia na ośrodki miejskie. Ale teraz było za późno. Ofensywa „Tet” udowodniła, że siły FWN zdolne są do wielkich operacji na terenie całego kraju, a więc nigdzie już nie mogą istnieć bezpieczne enklawy. Zwłaszcza po ofensywie, kiedy to miasta wietnamskie nasiąkły tysiącami uchodźców. Znajdowało się wśród nich wielu żołnierzy FWN, gotowych podjąć w każdej chwili działania na tyłach nieprzyjaciela. Wycofanie do enklaw oddałoby poza tym praktycznie prawie cały kraj w ręce Frontu, pozwalając mu już bez przeszkód organizować normalnie działające państwo, a więc likwidować administrację Sajgonu. Zarówno więc polityczne jak i wojskowe konsekwencje tej strategii byłyby w 1969 roku dla Amerykanów katastrofalne. Kissinger po objęciu stanowiska w Białym Domu zapomniał notabene o swojej koncepcji.

Nie zapomniał jednak o innej znamiennej tezie swojego artykułu. Pisał: „Wielkie mocarstwo musi utrzymać swój prestiż nawet, jeżeliby się okazało, iż jego zaangażowanie było błędem”. Kissinger mógłby istotnie przytoczyć wiele przykładów takiego postępowania wielkich mocarstw w dalszej i bliższej przeszłości. Ale na dłuższą metę okazywało się zawsze, że kurczowe trzymanie się błędnych decyzji przyno-

siło szkody polityczne i w końcu uderzało w prestiż państwa. Prowadzenie polityki prestiżu jest typowe dla przywódców, pozbawionych szerokiego horyzontu politycznego.

Kissinger mógłby znaleźć w bardzo niedawnej przeszłości znamienne dowód tego, że rozumowanie jego jest niesłuszne. Na przestrzeni jednej dekady Francja prowadziła dwie wojny kolonialne. Jedną przegrała w 1954 roku, właśnie w Wietnamie. Druga toczyła się w Algierii i była również niemożliwa do wygrania. W 1962 roku Francja dzięki odwadze i rozsądkowi de Gaulle'a zdobyła się na rezygnację z walki i wycofanie wojsk. Nie ulega wątpliwości, że uparte trzymanie się fałszywych koncepcji było przyczyną klęski prestiżowej Francji w Wietnamie, a wycofanie się z Algierii przyniosło jej właśnie uznanie świata i wzmocniło w rezultacie jej prestiż.

Istniało pewne podobieństwo sytuacji USA w 1969 i Francji w 1962 roku: trudne położenie wojskowe na polach bitew, brak poparcia ze strony większych grup ludności miejscowej, a także brak poparcia i pomocy nawet ze strony zaprzyjaźnionych rządów. W stosunkach wewnętrznych zarówno we Francji, jak w USA sfery wojskowe były przeciwne wycofaniu się. I tu, i tam opinia publiczna była silnie podzielona. Prezydent Francji, którego świat uważał za najbardziej upartego i dumnego przywódcę naszych czasów, zdecydował się na krok racjonalny i zgodny z interesem swego kraju, narażając się na obelgi, ataki i zamachy. Prezydent Ameryki nawet nie próbował wykorzystać poparcia ogromnej fali antywojennych nastrojów w społeczeństwie amerykańskim, domagającym się zaprzestania walki i wycofania z Indochin. Richard Nixon — tak samo jak Lyndon Johnson — uparcie odrzucał możliwość uznania porażki Stanów Zjednoczonych. Zgodnie z zapowiedzią

Kissingera, nowa administracja przystąpiła do popełniania własnych błędów.

Już w styczniu 1969 roku Narodowa Rada Bezpieczeństwa rozpatrzyła 5 wariantów polityki w stosunku do Wietnamu, opracowanych na podstawie memorandum zwanego NSSM1 (National Security Study Memo N. 1). Pierwszy z tych wariantów opowiadał się za próbą osiągnięcia całkowitego zwycięstwa wojskowego, drugi za koncentracją wysiłków dla zniszczenia sił komunistycznych na Południu, przy utrzymaniu bombardowania dróg zaopatrzenia z Północy. Trzeci i czwarty zawierały program stopniowego (w różnym tempie) wycofywania wojsk amerykańskich przy jednoczesnym intensywnym wzmacnianiu wojsk i administracji sajgońskiej. Wreszcie piąty wariant przewidywał szybkie wycofanie sił USA i przyspieszenie rokowań w Paryżu oraz ustępstwa wobec FWN.

Pierwszy, drugi i piąty wariant zostały z miejsca odrzucone. Zgodnie z poglądami Nixona trzeci i czwarty stały się linią kierunkową polityki amerykańskiej w Wietnamie.

Odrzucając możliwość porażki w Wietnamie, Nixon — w odróżnieniu od swego poprzednika — nie widział również możliwości pełnego zwycięstwa. Dążył więc do zastąpienia go takim porozumieniem, które spełniłoby zasadnicze cele amerykańskie w Azji Południowo-Wschodniej. Rozwiązaniem zadowalającym byłoby przyjęcie modelu koreańskiego. A więc powrót do podziału Wietnamu wzdłuż 17 równoleżnika, z tym że południowa część kraju pozostałaby po wycofaniu wojsk amerykańskich bastionem antykomunistycznym w sferze wojskowych i politycznych wpływów USA. Nixon wyobrażał sobie, że rozwiązanie to da się osiągnąć przy pomocy tzw. wietnamizacji. Ten slogan wyrażał wiarę w możliwość

takiego wzmocnienia materiałowego, organizacyjnego, gospodarczego i politycznego rządu sajgońskiego, żeby mógł on samodzielnie doprowadzić do zwycięskiego końca walkę z Wietkongiem i opanować całkowicie całe Południe kraju. Koncepcja traktowała rokowania jako manewr, mający na celu wygranie na czasie. Zadaniem tego manewru było przyhamowanie walk, osłona stopniowego odwrotu armii amerykańskiej i podtrzymywanie złudzeń w kierownictwie DRW, że uda mu się wchłonąć część południową kraju po usunięciu się USA. Wietnamizacja na to jednak nie pozwoli.

Administracja Nixona odziedziczyła po swej poprzedniczce całkowicie niewłaściwą ocenę sił i możliwości armii sajgońskiej. Opierała się na raportach i statystykach fabrykowanych „ad usum Delphini” przez sztab i ambasadę w Sajgonie, a następnie wzmacnianych przez analityków Pentagonu i Białego Domu. Już wtedy prasa i telewizja w USA śmiało i bezlitośnie demaskowały brak realizmu ocen sytuacji Sajgonu. Ale sfery kierownicze uważały te głosy za wyraz opinii liberałów, pacyfistów, ugodowców, a nawet za zręczny podszept piątej kolumny związanej z komunistami z Hanoi. Nixon — tak samo jak Johnson — nie mógł zrozumieć, dlaczego przeszło milionowa armia sajgońska, uzbrojona w najnowocześniejszy sprzęt i ćwiczona przez amerykańskich instruktorów, umundurowana, karmiona i opłacana z amerykańskich pieniędzy, nie jest zdolna do podjęcia zwycięskiej walki dla utrzymania własnego rządu, demokracji, prawa własności, religii i sojuszu z najbogatszym i najpotężniejszym mocarstwem świata. Znowu po raz nie wiadomo który całkowite niezrozumienie charakteru walki narodu wietnamskiego, jego stosunku do narzuconych mu siłą obcych koncepcji ustrojowych i niedoceny

nienawiści zarówno do białych najeźdźców, jak i skorpumpowanej klikki sajgońskiej — podyktowały nowemu rządowi USA kierunek polityki.

Wspomniany już dokument NSSM1 przedstawiał Nixonowi i Kissingerowi obraz wzmocnionej i zahartowanej w twardej próbie ofensywy „Tet” armii południowowietnamskiej, stwierdzał znaczną poprawę sytuacji politycznej na Południu, opisywał szybką odbudowę spacyfikowanych wsi, a wreszcie udowadniał ogromne osłabienie przeciwnika na skutek poniesionych strat.

Wszystkie te oceny opierały się na raportach zawierających ziarna prawdy, ale w sumie było to typowe „wishful thinking”, czyli branie marzeń za rzeczywistość. Poprawa zdolności bojowej armii Południa dotyczyła niektórych tylko, wyborowych jednostek. W pozostałych oddziałach liczba dezertersów w tym czasie rosła katastrofalnie. Oddziały wyglądały bojowo jedynie na uroczystych defiladach. Sytuacja polityczna w Sajgonie ustabilizowała się na krótko w rezultacie pewnego odprężenia, które nastąpiło po oddaleniu bezpośredniego zagrożenia stolicy, jakie istniało w okresie „Tet”. Akcja pacyfikacji przetrwała tylko w tych nielicznych okręgach, w których stacjonowały wyborowe oddziały. Dalsze możliwości jej odbudowy nie wyglądały wesoło. Już w lutym memorandum Departamentu Stanu i Pentagonu, opracowane przy pomocy komputerów w odpowiedzi na NSSM1 oceniało, że pacyfikacja kraju będzie wymagała „od 8,3 do 13,4 lat...”

Straty poniesione przez FWN w czasie ofensywy „Tet” były poważne, ale Waszyngton nie doceniał ogromnej zdolności Wietkongu do uzupełniania kadr i nieograniczonych niemal możliwości czerpania sił ludzkich z wielkiego rezerwuaru sympatyków na wsi wietnamskiej. A wyszkolenie rekruta armii



partyzanckiej jest o wiele szybsze i łatwiejsze niż żołnierza amerykańskiego, którego zdolność do walki opiera się na ciężkim sprzęcie, skomplikowanych środkach łączności i zawilej organizacji.

Rzeczywistość szybko zdemaskowała błędne oceny dowództwa amerykańskiego. Wietnamczycy zorientowali się w kunktatorskim charakterze rokowań paryskich. Już 23 lutego 1969 roku nastąpiła nowa ofensywa Frontu. Nie była tak szeroka i silna jak uderzenie w święto Tet z poprzedniego roku, ale zadała poważne ciosy armii południowowietnamskiej i podważyła optymistyczne oceny Waszyngtonu. Nixon zrozumiał konieczność dokonania korekt w polityce wietnamizacji. Już w marcu zarządził znaczną intensyfikację wojny powietrznej przeciwko DRW. Przystąpił też do ściśle tajnej akcji bombardowania Kambodży pod kryptonimem akcji „Menu”. Operacja ta była skrzętnie ukrywana przed Kongresem i społeczeństwem przez dowództwo amerykańskie, które prowadziło podwójną buchalterię nalotów, informując Kongres, że naloty skierowane były przeciwko pogranicznemu terenom południowowietnamskim. Sprawa wyszła na światło dzienne dopiero w maju 1970 roku. Wybuchł skandal, który spowodował w czerwcu specjalną uchwałę Senatu, cofającą kredyty na prowadzenie operacji wojskowych w Kambodży.

Pod wpływem wiosennej ofensywy 1969 roku Nixon doszedł do wniosku, że liczenie na wyłącznie wojskowe rozwiązanie konfliktu poprzez wietnamizację i uchylanie się w Paryżu od rozmów na tematy polityczne nie przyniesie zamierzonych skutków. Wystąpił więc z nowymi propozycjami negocjacyjnymi i zapowiedział 8 czerwca początek wycofywania wojsk amerykańskich z Wietnamu. Na razie dotyczyło to 25 tysięcy żołnierzy.

Wobec przeszło półmilionowej armii amerykań-

skiej liczba ta miała oczywiście charakter symboliczny i oznaczała tylko rezygnację z polityki eskalacji. Decyzja miała też na celu uspokojenie wciąż wzburzonej opinii publicznej, domagającej się zakończenia wojny. Nowe propozycje Nixona ujęte w ośmiu punktach nie zmieniały zasadniczej linii ograniczenia proponowanego porozumienia do spraw wojskowych. Jedyną nowością było wprowadzenie zasady jednoczesnego wycofywania wojsk USA i DRW. Dotychczas oddziały amerykańskie miały pozostać w Wietnamie do czasu wycofania się wojsk północnowietnamskich. Prezydent ogłosił jednocześnie „zasady kierujące polityką USA”, które zawierały sformułowania, wskazujące na pewną elastyczność stanowiska. Zawierały one zgodę na neutralność Wietnamu, jego ewentualne zjednoczenie, rezygnację z baz wojskowych i akceptację „każdego rządu, który zostanie wybrany przez naród wietnamski”.

Ważniejsza w skutkach okazała się amerykańska inicjatywa rozpoczęcia tajnych rokowań z DRW. W lipcu 1969 roku Kissinger użył pośrednictwa francuskiego dyplomaty, Jeana Sainteny'ego, który odegrał już poważną rolę w Wietnamie w 1945 roku, a następnie przebywał w Hanoi w latach 1955—1956 i nawiązał bliskie osobiste stosunki z Ho Szi Minem. DRW zgodziła się na poufne rozmowy i pierwsze spotkanie Kissingera z przedstawicielem rządu Hanoi, Xuan Thuy, odbyło się w mieszkaniu Sainteny'ego w Paryżu. Nie przyniosło żadnych rezultatów, gdyż tajne propozycje amerykańskie nie różniły się od jawnych i sprowadzały się wciąż do spraw wojskowych: zawieszenia broni, wzajemnego wycofania wojsk, wymiany jeńców i konferencji pokojowej.

Spotkanie to zapoczątkowało jednak długą serię tajnych kontaktów, które dopiero po trzech niemal latach doprowadzić miały do porozumienia. Droga ta

bowiem była jeszcze bardzo trudna i pełna nieporozumień.

W sierpniu 1969 roku Nixon zapowiedział dalsze wycofanie 35 000 żołnierzy. Walki w tym czasie osłabły. FWN nie chciał przyczynić się do hamowania tempa odwrotu Amerykanów przez intensyfikację działań wojennych. Przeprowadzano reorganizację i przegrupowanie wojsk. Śmierć Ho Szi Mina, która nastąpiła 3 września 1969 roku, niewątpliwie spowodowała chwilowe zamieszanie w kierownictwie i społeczeństwie DRW. Pentagon w dalszym ciągu zapewniał Biały Dom, że osłabienie ataków Frontu jest dowodem jego wyczerpania. Protestując przeciw dalszemu wycofywaniu swoich wojsk, generałowie przedstawili prezydentowi nowy program zwycięskich operacji. Społeczeństwo amerykańskie, które miało nadzieję, że nowy prezydent doprowadzi do pokojowego zakończenia konfliktu, poczuło się zawiedzione i oszukane. Nie wystarczały mu uspokajające komunikaty o tym, że liczba zabitych Amerykanów w Wietnamie spadła z 14 600 w 1968 roku do 9500 w roku następnym. W końcu roku 1969 w miastach i na kampusach uniwersyteckich wybuchły gigantyczne demonstracje antywojenne, w których brały udział miliony ludzi. Atmosfera była coraz bardziej napięta. Nixon zmuszony został do przyspieszenia programu wycofywania wojsk. W grudniu rozkazuje zredukowanie korpusu ekspedycyjnego o dalsze 50 000. Ale jednocześnie wzmacnia VII Flotę na wodach terytorialnych Wietnamu i lotnictwo na tym obszarze. Szukając przeciwwagi dla rosnącego protestu antywojennego prezydent wystosowuje dramatyczny apel do tzw. „milczącej większości” społeczeństwa, czyli do nacjonalistycznych, prawicowych i reakcyjnych grup. Szuka w nich poparcia dla swego programu „pokoju z honorem”, wietnamizacji

i utrzymania amerykańskich wpływów w Indochinach. Osiąga w rezultacie jeszcze większe zaostrezenie podziału społeczeństwa i coraz wyraźniej zdaje sobie sprawę z konieczności przyspieszenia likwidacji amerykańskiej obecności wojskowej w Wietnamie. Nie wzmacnia to jego pozycji w rozmowach paryskich.

Negocjacje pokojowe, toczące się w czasie działań wojennych, traktowane są zawsze przez strony jako element walki. Dla patriotów wietnamskich były one środkiem pomocniczym. Na polach bitew mimo ogromnych strat wywalczyli sobie przewagę. Doprowadzili do sytuacji, w której przeciwnik zmuszony został do rezygnacji z możliwości zwycięstwa i nawet zaczął się wycofywać. Wietnamczycy wiedzieli, że jest to proces nieodwracalny, zwłaszcza w obliczu sytuacji wewnętrznej w USA. Zgodzili się na negocjacje, bo uważali, że mogą w ten sposób zmniejszyć koszty wojny, ale ani przez chwilę nie dopuszczali myśli o rezygnacji z zasadniczych celów swojej walki. Przede wszystkim nie mogli się zgodzić na utratę perspektywy uwolnienia Południa i zjednoczenia całego kraju.

Przed samym przystąpieniem do tajnych rozmów w Paryżu, 8 maja 1969 roku, DRW przekazała Amerykanom swoje zasadnicze warunki, mające stanowić bazę negocjacyjną. Były one zresztą tylko rozwinięciem propozycji z roku 1965. Zreasumujmy te warunki zawarte w 10 punktach, gdyż treść ich będzie miała zasadnicze znaczenie dla oceny dalszego przebiegu paryskich negocjacji.

1. Uznanie suwerenności, niepodległości, jedności i integralności terytorialnej Wietnamu, zgodnie z postanowieniami konferencji genewskiej 1954 roku.

2. Wycofanie wszystkich wojsk USA, likwidacja ich baz w Wietnamie.

3. Sprawa „wojsk wietnamskich” zostanie rozwiązana przez samych Wietnamczyków.

4. Powstanie rządu koalicyjnego, reprezentującego wszystkie siły polityczne Wietnamu, utworzonego na podstawie wolnych wyborów.

5. W okresie między zakończeniem walk a wyborami żadna ze stron nie będzie narzucać krajowi swego politycznego systemu.

6. Deklaracja neutralności Wietnamu.

7. Zjednoczenie Północy i Południa pokojowymi środkami zostanie dokonane stopniowo poprzez negocjacje między obiema stronami.

8. Odrzucenie wszystkich sojuszów wojskowych.

9. Rokowania celem zwolnienia jeńców.

10. Międzynarodowy nadzór nad wycofaniem obcych wojsk.

Ogłosivszy swoje stanowisko negocjacyjne strona wietnamska trwała przy nim we wszystkich dalszych stadiach rokowań. Jak zobaczymy, układ końcowy spełnił te wszystkie warunki z bardzo małymi zmianami, a jedynie w punkcie 4 DRW poszła na istotne koncesje. Gdyby więc Amerykanie już wtedy rozumieli sytuację i przyjęli te warunki za podstawę do rokowań, wojna wietnamska skończyłaby się o trzy lata wcześniej, oszczędzając setki tysięcy ludzkich istnień.

Ale Nixon, Kissinger, nowy dowódca w Azji Południowo-Wschodniej, generał Creighton Abrams, i szefowie sztabów nadal wierzyli w wietnamizację, pacyfikację i siłę administracji Tieu. Nie mogli się pogodzić z utratą wietnamskiego bastionu. Nie chcieli się wyrzec wspaniałego poligonu, na którym — nie zważając na straszliwe koszty setek tysięcy istnień ludzkich — wypróbowywali zarówno nowe koncepcje prowadzenia operacji, jak i ogromną ilość najnowszszych wynalazków w dziedzinie uzbrojenia, łączności

i wyposażenia armii. Były tam prócz nowych karabinów, dział, samolotów i helikopterów — celowniki noktowizyjne, czujniki elektronowe, ciepłne i zapachowe, nowe typy bomb, jak na przykład pochłaniające tlen w promieniu kilkudziesięciu metrów i powodujące uduszenie wszystkich żyjących istot, niszczące środki chemiczne i wiele innych morderczych produktów nowoczesnej cywilizacji.

Generałowie nie potrafili zaakceptować konsekwencji porażki. Więc w ciągu następnych trzech lat będą próbować ratować swoją politykę na dwóch płaszczyznach: przez wzmaganie akcji wojskowej i przez najrozmaitsze wybiegi dyplomatyczne.

W dziedzinie wojskowej nastąpiły więc w 1970 roku gwałtowne naloty „odwetowe” na DRW, bombardowanie Kambodży i ekspedycja amerykańskich sił lądowych do tego kraju. W 1971 roku uderzenie na Laos. W 1972 roku wielka wiosenna akcja bombardowania DRW, zaminowanie jej portów oraz wzmożenie walk na Południu. A wreszcie ostatni, straszliwy manewr w postaci „gwiazdkowych nalotów” na DRW.

Te etapy demonstracji siły i woli zwycięstwa przeplatane były przez propozycje pokojowe. Propozycje za każdym razem zawierały pewne ustępstwa. Za każdym razem były jednak za słabe, aby stworzyć płaszczyznę porozumienia. Wtedy następowała nowa faza działań wojennych, która wkrótce okazywała się bezskuteczna. Huśtawka trwała przez trzy długie lata.

## XVI. Kambodża i Laos na marginesie Wietnamu

Laos i Kambodża — dwa państwa Półwyspu Indochińskiego sąsiadujące z Wietnamem — były marginesowymi frontami konfliktu wietnamskiego. Zarówno ich polityczne, jak militarne losy były ściśle sprzęgnięte z tym konfliktem. Wojna toczyła się również na ich terenie, choć z różną intensywnością i w zmiennych formach. Polityczne i wojskowe błędy popełniane w Wietnamie znajdowały swe odbicie i odpowiedniki również i w tych krajach.

Siedmiomilionowa ludność Kambodży była zawsze znacznie mniej świadoma narodowo niż jej wietnamscy sąsiedzi, a zarówno temperament jak i obyczaje Khmerów nie predestynowały ich do wojowniczej działalności. Kraj ten włączył się do walki wyzwolénckiej z Francuzami dopiero w 1953 roku pod przewodnictwem młodego i popularnego króla Norodoma Sihanouka. Człowiek ten jest postacią niezmiernie interesującą i skomplikowaną. Ambitny, kapryśny i zmienny, obdarzony dużą inteligencją i charyzmą przywódcy, Sihanouk jest zarazem nieco dziecinny i skłonny do irracjonalnych odruchów i sprzecznych decyzji.

Kambodża uzyskała niepodległość w układach genewskich z 1954 roku, ale pozostała silnie związana z kulturą i gospodarką francuską. Sihanouk w rok

później abdykował na rzecz swoich rodziców, a po śmierci ojca zrzekł się korony i przyjął tytuł „szefa państwa”. Żeby uchronić swój kraj od udziału w rozwijającej się wojnie wietnamskiej, Sihanouk decyduje się na politykę neutralności. Utrzymanie jej okazuje się bardzo trudne, a ściśle stosowanie niemożliwe. Oddziały powstańcze Wietkongu, operujące w delcie Mekongu, szukały często schronienia i utrzymywały składy zaopatrzenia w słabo zaludnionych i porośniętych gęstą dżunglą wschodnich terenach Kambodży, oddalonych zaledwie o kilkadziesiąt kilometrów od Sajgonu. Wywołuje to narastanie konfliktu ze Stanami Zjednoczonymi, które w tym czasie rozpoczynają interwencję wojskową w Wietnamie. W 1960 roku Amerykanie zakładają wielką misję wojskową w Phnom Penh, a CIA zaczyna rozwijać intensywną działalność przeciw neutralności Kambodży. „Neutralność” jest wtedy pojęciem negatywnym dla polityków amerykańskich. W 1964 roku dochodzi na tym tle do ostrego spięcia z Sihanoukiem. Księżę usuwa z Phnom Penh amerykańską misję wojskową, a w rok później zrywa stosunki dyplomatyczne z USA.

CIA rozpoczyna wówczas ostrą wojnę psychologiczną przeciwko szefowi państwa. Radio Sajgon nadaje w języku khmerskim napastliwe audycje i atakuje politykę księcia, a rząd sajgoński wysuwa wobec Kambodży żądania terytorialne. CIA ćwiczy i wysyła potajemnie do Kambodży oddziały „specjalne”, rekrutowane spośród mniejszości khmerskiej w Wietnamie — tzw. „Mike Forces”, oficjalnie zwane CIDG (Civilian Irregular Defense Groups).

Sihanouk jednak opiera się skutecznie tym atakom, głównie dzięki dużej osobistej popularności w kraju. Ma też sojusznika w postaci de Gaulle'a, który w czasie demonstracyjnej, oficjalnej wizyty w Phnom



Penh umacnia neutralistyczne stanowisko księcia i korzystając z okazji publicznie wzywa Stany Zjednoczone do wycofania się z Indochin. Wywołuje to oczywiście oburzenie w Waszyngtonie i wrogą postawę zarówno wobec prezydenta Francji, jak i księcia.

Sihanouk stara się jednak utrzymać równowagę pomiędzy potężnymi siłami otaczającymi jego kraj. Nawiązuje stosunki dyplomatyczne ze Stanami Zjednoczonymi. Wkrótce jednak uznaje również Tymczasowy Rząd Rewolucyjny FWN. W marcu 1969 roku Amerykanie rozpoczynają akcję systematycznego bombardowania wschodnich rejonów Kambodży. W obawie przed reakcją opinii publicznej i Kongresu operacja ta nie jest ujawniana przez cały rok, a sprawozdania z jej przebiegu i wyników przedstawiane są jako naloty na Południowy Wietnam. W ciągu roku dokonano 3600 nalotów, bombowce B52 zrzuciły w tym czasie na teren neutralnego kraju 100 000 ton bomb. Księżę Sihanouk zachowuje milczenie wobec tego naruszenia terytorium Kambodży, ale coraz bardziej zacieśnia stosunki z DRW i FWN.

Długotrwała akcja amerykańska wzmacniania elementów wrogich Sihanoukowi przynosi wreszcie rezultaty i w marcu 1970 roku, korzystając z nieobecności księcia w kraju, jego premier Lon Nol przeprowadza zamach stanu. W tym momencie Sihanouk dokonuje niezręcznego posunięcia. Zamiast natychmiast powrócić do kraju, gdzie jego popularność wśród wojska i w społeczeństwie przywróciłaby zapewne jego pozycję — najpierw waha się, a potem udaje po radę i pomoc do Pekinu. Tymczasem Lon Nol staje się panem sytuacji w stolicy i natychmiast otrzymuje amerykańską pomoc w postaci broni, pieniędzy i instruktorów. W Phnom Penh zjawiają się „Mike Forces”.

Ale ludność kraju nie popiera Lon Nola. Rozpoczyna się powstanie i wojna domowa. Oddziały powstańcze organizowane są przez utworzony szybko lewicowy FUNK, czyli Front Uni Nationale de Cambodge. W ciągu kilku miesięcy znaczna część kraju znajduje się w rękach powstańców. Wkrótce drogi prowadzące do Wietnamu są przecięte, a stolica kraju zagrożona. Los rządu Lon Nola jest niepewny. Wojska wierne rządowi nie są w stanie przeciwstawić się „czerwonym Khmerom”.

Wówczas Nixon pod naciskiem szefów sztabów i generała Abramsa decyduje się — dla ratowania Lon Nola — na bezpośrednią interwencję. 30 kwietnia 1970 roku wojska amerykańskie przy olbrzymim wsparciu lotnictwa uderzają na Kambodżę w dwóch punktach, zwanych Fishhook i Parrots Beak. Zgodnie z informacjami CIA mają tam być skoncentrowane duże siły Frontu, a w pobliskiej dżungli znajdować się jakoby główna kwatera powstańców w postaci olbrzymiego systemu fortów i podziemnych umocnień, reklamowanego jako wietnamski „czerwony Pentagon”. Zawiadamiając przez telewizję naród amerykański o rozpoczęciu ofensywy Nixon oświadczył, że „tego wieczoru siły amerykańskie zaatakują główną kwaterę wszystkich operacji komunistycznych przeciwko Południowemu Wietnamowi”.

Oprócz likwidacji tego ośrodka kierowniczego cele operacji polegały na próbie odciążenia wojsk Lon Nola poprzez związanie sił komunistycznych, rozbięcie koncentracji wojsk północnowietnamskich i partyzantów Frontu, zlikwidowanie w ten sposób zagrożenia dorzecza Mekongu, a wreszcie ułatwienia dalszego wycofywania się wojsk amerykańskich z Wietnamu.

Tuż przed uderzeniem na Kambodżę Nixon zapowiedział powrót do kraju w ciągu roku dalszych

150 000 Amerykanów, pozostałoby więc w Wietnamie 284 000 żołnierzy; a zatem połowa stanu z 1968 roku. Pentagon, który pogodził się już w tym czasie z nieodwracalnym charakterem decyzji Nixona, obawiał się jednak, iż nieprzyjaciel wykorzysta osłabienie sił amerykańskich i uderzy na wycofujące się oddziały. Toteż uzasadniając wkroczenie do Kambodży prezydent powołał się na swoje konstytucyjne prawo chronienia życia obywateli amerykańskich. Innym celem operacji było podniesienie morale w Sajgonie, gdzie rząd wpadł w panikę na myśl o wycofywaniu się sił USA i perspektywie pozostania sam na sam z FWN.

Skutki decyzji prezydenta były jednak całkowicie odmienne od zamierzonych. Nixon nie docenił i nie przewidział reakcji społeczeństwa USA na tę nową i nieoczekiwaną eskalację wojny w Indochinach. Na prawie wszystkich uniwersytetach amerykańskich wybuchły potężne i groźne demonstracje. 488 uniwersytetów ogarnęły strajki. Na kampusie w Kent gwardia narodowa otworzyła ogień, zabijając czterech studentów. Ulicami przeciągały wielotysięczne, groźne demonstracje. Większość Kongresu wystąpiła przeciw prezydentowi. Edward Kennedy określił akcję prezydenta jako obłąd. Senator Fulbright nazwał go szaleńcem. W maju Senat cofnął kredyty na wojnę wietnamską, a w czerwcu odwołał słynną rezolucję tonkińską, która stanowiła prawną podstawę wojennych uprawnień prezydenta w Indochinach. Wniosek (poprawka) senatorów Coopera i Churcha zabronił prezydentowi używania na przyszłość wojsk USA w tym obszarze bez zgody Kongresu. Nawet członkowie rządu krytykują akcję prezydenta. Sekretarz stanu William Rogers i sekretarz obrony Melvin Laird nie kryją swej dezaprobaty. Wierny jest tylko Kissinger.

Ostre są też reakcje poza granicami kraju. 5 maja po raz pierwszy wypowiada się negatywnie premier Wielkiej Brytanii. 11 maja zwołany przez Stany Zjednoczone zjazd jedenastu sojusznicznych państw azjatyckich z udziałem Japonii — zamiast uchwalenia poparcia i pomocy dla akcji USA — kończy się wnioskiem o przekazanie sprawy do ONZ. Głosy potępiające najazd na Kambodżę odzywają się zarówno w krajach neutralnych, jak i sojusznicznych.

Nixon próbuje uspokoić wzburzoną opinię w kraju i za granicą, ograniczając zasięg operacji. Rezygnuje więc z zamierzonego początkowo desantu w Sihanoukville, oświadcza, że wojska amerykańskie nie posuną się dalej niż 35 kilometrów w głąb terytorium Kambodży, wreszcie zapewnia, iż po wykonaniu zadania, nie później jednak niż 30 czerwca, siły amerykańskie zostaną wycofane.

W ciągu tych dwóch miesięcy atak amerykański to walka z cieniem. Nieprzyjaciel unika bitew, rozprasza się w dżungli i wycofuje poza granicę 35 kilometrów. „Czerwony Pentagon” okazuje się podobnym wytworem wyobraźni, co słynny „potwór z Loch Ness”. Amerykanie znajdują w lesie zwyczajne bunkry, kilka składów amunicji i biorą do niewoli nie licznym jeńców, w tym jednego pułkownika. W końcu maja trzydziestotysięczna armia wycofuje się przy głośnych fanfarach zwycięstwa, ale bez jakichkolwiek poważnych rezultatów. Już po kilku miesiącach partyzanci wznawiają ataki na Wietnam z tych samych terenów.

Mizerne rezultaty wojskowe operacji nie wyczerpują wszystkich jej pasywów. W armii sajgońskiej nie tylko nie rośnie morale, ale przeciwnie — perspektywa rozszerzenia wojny powoduje wzrost dezercji o 34<sup>0</sup>%. Sztab amerykański obliczył, że w tym okresie dezercerowała miesięcznie z wojsk południo-

wowietnamskich równowartość jednej całej dywizji. Raport CIA z tego okresu podaje, iż liczba sympatyków Frontu wzrosła w aparacie rządowym do 30 000. Czy można się w tych warunkach dziwić, że Front jest tak dobrze informowany o każdym posunięciu przeciwnika?

Opuszczając Kambodżę Nixon triumfalnie oświadczył, że jego akcja zapobiegła uderzeniu sił Frontu na osłabione wojska amerykańskie w Wietnamie. Było to jednak twierdzenie pozbawione logiki, zarówno wojskowej, jak i politycznej. W interesie Frontu leżało ułatwianie, a nie utrudnianie likwidacji amerykańskiej obecności w ich kraju. Uderzenie na wycofujące się oddziały byłoby sprzeczne z jego polityką i mogłoby tylko spowodować wzmożenie terroru lotniczego i wstrzymanie ewakuacji. Ho Szi Min jeszcze w 1966 roku powiedział: „Kiedy Amerykanie będą opuszczać Wietnam, wyścielimy im drogę czerwonym kobiercem”.

Cała operacja kambodżańska 1970 roku była bezsensowna. Tak to zostało zresztą powszechnie ocenione w Stanach Zjednoczonych. Zarówno społeczeństwo, jak i sfery polityczne uznały, że nastąpiło ogromne podważenie prestiżu prezydenta i jego „wiarogodności”. Nikt już nie wierzył, że pragnie on rzeczywiście zakończenia wojny. Od tego momentu zaczyna się staczenie Nixona po równi pochyłej. W trzy lata później dobija go afera Watergate.

Akcja obalenia Sihanouka, bombardowanie i agresja na Kambodżę miały mieć długotrwałe ujemne skutki dla pozycji USA w Indochinach. Rozszerzanie wojny w czasie wycofywania wojsk, stworzenie sztucznego i chwiejnego rządu oraz rozbudzenie antyamerykańskich i patriotycznych nastrojów wśród biernego z natury i obojętnego chłopstwa khmerskiego godziło w interesy Stanów Zjednoczonych. Nie

przewidziano możliwości związania się Sihanouka z Pekinem i rozszerzenia się chińskich wpływów w Kambodży. Nie mówiąc już o wielkich kosztach finansowych, związanych z utrzymaniem rządu Lon Nola i jego bezradnej armii. Koszty wynosiły od 1970 roku ponad 300 milionów dolarów rocznie.

Pomimo wycofania w czerwcu 1970 roku z Kambodży Amerykanie prowadzili tam nadal wojnę lotniczą. Przez następne trzy lata na ten kraj zrzucono pół miliona ton bomb. Dopiero w 1973 roku na skutek oburzenia i fali protestów, rosnącej w USA, Kongres podjął uchwałę zmuszającą prezydenta do zaprzestania nalotów na Kambodżę. Pozostało mu tylko finansowe i organizacyjne popieranie Lon Nola. Było to zadanie beznadziejne. Wiosną 1975 roku wojska Czerwonych Khmerów otaczają Phnom Penh i przecinają wszystkie wiodące doń drogi. Nie pomoże most powietrzny, zorganizowany — wbrew uchwałom Kongresu — dla dostaw amunicji. Przedłuży to tylko agonię reżimu i spowoduje wielkie ofiary w ludziach. W kwietniu Lon Nol ucieka amerykańskim samolotem transportowym na Hawaje, wywożąc 15 ton osobistego bagażu i milion dolarów. W kilka dni później odlecą amerykańscy doradcy wojskowi i personel ambasady. Stolica skapituluje. W ostatnich dniach przed kapitulacją Waszyngton podjął próbę ratowania swoich stosunków z Sihanoukiem i zapobieżenia opanowaniu rządu w Phnom Penh przez lewicę. Zwrócił się więc do przebywającego w Pekinie księcia, proponując mu powrót na tron. Przypomina to gest Zagłoby ofiarowującego Szwedom Niderlandy...

Tak zakończyła się pięcioletnia wojna interwencyjna w Kambodży. Jej zasięg i znaczenie były marginalne w stosunku do wojny wietnamskiej. Jest to chyba najbardziej drastyczny przykład bezmyślności

amerykańskiej polityki w Indochinach. Wietnam Południowy miał neutralnego — choć trochę niewygodnego — sąsiada, ale Amerykanie zaktywizowali ludność do walki i doprowadzili do całkowitego opanowania Kambodży przez Czerwonych Khmerów i do wejścia tego kraju w sferę politycznych wpływów Chin. Zginęło 700 000 Khmerów — czyli 10<sup>0</sup>/<sub>0</sub> ludności, a liczba uchodźców przekroczyła 3 miliony. Za tę politykę skarb amerykański zapłacił 7 miliardów dolarów. Straty polityczne i prestiżowe USA w Azji i w całym świecie byłyby trudne do obliczenia.

Polityka USA wobec drugiego indochińskiego sąsiada Wietnamu, królestwa Laosu — była nieco mniej kosztowna i spowodowała mniej ofiar. Odznaczała się jednak tymi samymi cechami: fałszywym rozeznaniem i brakiem zrozumienia sytuacji, opierała się na najbardziej skorumpowanych i niepopularnych osobistościach, odznaczała się nieracjonalnymi decyzjami, które przynosiły skutki przeciwne do zamierzonych.

Laos uzyskał niepodległość na podstawie układów genewskich z 1954 roku. Miał być zneutralizowany pod rządami koalicyjnymi prawicy i lewicy pod kierownictwem konserwatywnego, ale umiarkowanego premiera, księcia Souvanny Phoumy. W tym czasie jednak dla USA „neutralizm” i „koalicja” były pojęciami podejrzanymi. „Przez 16 miesięcy walczyłem przeciw powstaniu rządu koalicyjnego” — oświadczył z rozbijającą szczerością J. Graham Parsons, ówczesny ambasador USA w stolicy Laosu — Vientiane. Premier S. Phouma powiedział o nim, że „jest człowiekiem niktzemnym i szkodliwym. Stał się architektem niegodnej polityki w sprawie Laosu. USA nic nie wiedzą ani o Azji, ani o Laosie”.

Wbrew układowi genewskiemu Stany Zjednoczone

wysłały do Vientiane misję wojskową w cywilu pod nazwą PEO — czyli Program Evaluation Office. Misja ta wyszkoliła 28 batalionów laotańskich, wojska pomocnicze i lotnictwo. Tak jak poprzednio w Wietnamie, tak i tutaj instruktorzy amerykańscy nie brali pod uwagę warunków terenowych i kompletnego braku dróg. Wyposażyli wojsko w czołgi, samochody i ciężką artylerię. Ponadto PEO zajął się wyszkoleniem wojskowym górskiego, dzikiego plemienia Meosów. Olbrzymie fundusze amerykańskie, płynące na utrzymanie tej armii, spowodowały w Laosie inflację, niezadowolenie społeczeństwa i nastroje antyamerykańskie.

Phouma, obawiając się zamachu ze strony elementów lewicowych, próbował pozyskać sobie względy USA. Likwiduje nawet Międzynarodową Komisję Nadzoru i Kontroli, powołaną przez układy genewskie. Ale ambasada amerykańska wołała się oprzeć na polityku bardziej reakcyjnym. Doprowadziła więc do przewrotu, po którym doszedł do władzy Phui Sannanikone. Zlikwidował on natychmiast rząd koalicyjny, usunął ze stolicy przedstawicieli lewicowego stronnictwa Pathet Lao i zwrócił się do USA z prośbą o zwiększenie środków na wzmocnienie armii. W rok później inny konserwatywny polityk, generał Nosa-van, obalił Sannanikone, a następnie zwykły kapitan armii laotańskiej Kong Le opanował stolicę i wezwał do powrotu Souvannę Phoumę. Stany Zjednoczone jednak jeszcze raz dopomogły Sannanikone do opanowania Vientiane i utworzenia prawicowego rządu — tym razem pod kierownictwem operetkowego księcia Boun Ouma.

Rezultatem całej tej akcji było pogłębienie podziału kraju, wybuch powstania przeciwko rządowi i walki bratobójcze. Pentagon brnie jednakże dalej. W 1961 roku wysłała do Laosu 100 doradców wojskowych,



400 żołnierzy „sił specjalnych” i przerzuca tam 800 komandosów, podopiecznych znanego nam już pułkownika Lansdale. Przygotowuje też plany bezpośredniej interwencji wojskowej.

W Waszyngtonie nadszedł jednak okres bardziej racjonalnej polityki. Prezydent John Kennedy zorientował się, że dalsze popieranie skrajnej prawicy i Sannanikone do niczego nie doprowadzi. Zgadza się więc na brytyjsko-radziecką propozycję ponownego zwołania konferencji genewskiej — dla rozpatrzenia wyłącznie sprawy Laosu. Konferencja rozpoczyna swoje prace 16 maja 1961 roku. W Laosie następuje zawieszenie broni i ponownie zaczyna działać Komisja Nadzoru i Kontroli z udziałem Indii, Kanady i Polski.

Konferencja genewska ciągnęła się przez cały rok, nie przynosząc żadnych rezultatów. Jak powiedział jeden z jej uczestników, „konferencja zajmowała się liczeniem łabędzi na jeziorze...” Stany Zjednoczone przeciwne są neutralizmowi Laosu i rządowi koalicyjnemu w Vientiane. Dla wzmocnienia swoich podopiecznych polityków wysyłają VII Flotę do Zatoki Syjamskiej, a wojska do Tajlandii. Sannanikone próbuje uzyskać rozstrzygnięcie sytuacji na polu bitwy i uderza na wojska Pathet Lao. Dopiero kiedy ponosi klęskę pod Nen Tha — zgadza się na kompromis. Trzej książęta — Souvanna Phouma, jego przyrodni brat, przywódca Pathet Lao, Souphanouvong i Phui Sannanikone — spotykają się w Zurychu. Dochodzi do porozumienia. Wtedy konferencja genewska przestaje liczyć łabędzie i szybko znajduje rozwiązanie konfliktu. 22 lipca 1962 roku następuje podpisanie nowego układu genewskiego w sprawie Laosu. Potwierdza on neutralizm i zasadę rządu koalicyjnego — a więc rozwiązania zwalczane konsekwentnie przez USA.

Sytuacja w Laosie jest jednakże tylko funkcją wydarzeń w Wietnamie. A tam tymczasem walki zaostarzają się i interwencja amerykańska się wzmacnia. Wzdłuż wschodniej granicy Laosu prowadzi przez górzystą dżunglę tzw. droga Ho Szi Mina — skomplikowany i przemyślnie rozbudowany szlak o wielu odnogach, którym płynie z Północy na Południe zaopatrzenie dla oddziałów Frontu. W miarę jak zwiększa się aktywność militarna na Południu, nasila się częstotliwość transportów przez Laos. To z kolei pociąga za sobą silne, choć mało skuteczne bombardowania drogi Ho przez lotnictwo amerykańskie. Amerykanie wykorzystują też napięcie, jakie powstało w Vientiane pomiędzy premierem Phoumą a kierownictwem Pathet Lao, popierają naciski prawicy na premiera i doprowadzają do ponownego usunięcia przedstawicieli Pathet Lao z rządu. W 1966 roku sprowadzają do Laosu 5 tysięcy Tajlandczyków w laotańskich mundurach i rozszerzają bombardowania na teren całego kraju.

Obraz wojny jednak się nie zmienia. Pathet Lao panuje nad dużą częścią kraju. Drogą Ho nadal płyną transporty na Południe. Wówczas sztab amerykański, który już od dawna usiłował skłonić prezydenta do bezpośredniego uderzenia na Laos celem przecięcia drogi Ho — wzmacnia swoje wysiłki. Pentagon chce się przy tym posłużyć armią sajgońską, zapewniając jej tylko duże wsparcie lotnicze. Sztabowcy Pentagonu nie tracą nadziei, że armia sajgońska osiągnie wreszcie wysoką sprawność bojową. Celem operacji — poza likwidacją drogi Ho — ma być zniszczenie składów, mostów i rurociągu naftowego, a poza tym podniesienie morale Sajgonu i udowodnienie amerykańskiemu społeczeństwu, że wietnamizacja zdała egzamin.

W styczniu 1971 roku Nixon ulega naciskom

i udziela zgody na przygotowanie operacji pod kryptonimem Lam Son 619. 8 lutego 20-tysięczna armia południowowietnamska przekracza granicę Laosu w pobliżu miejscowości Sepone i amerykańskiej bazy Khe Sau. Wobec wyraźnego brzmienia uchwały Senatu (poprawka Cooper-Church) siły lądowe USA nie biorą udziału w akcji. Ale wspomagają ją potężną siłą lotniczą i to zarówno w postaci bombowców i myśliwców, jak i helikopterów.

FWN, który rozporządzał w tym terenie siłą około 30 tysięcy żołnierzy, był doskonale poinformowany i przygotowany do odparcia ataku. O zaskoczeniu nie było mowy. W dżungli znano wszystkie plany sztabowe Sajgonu. Front nie ma zamiaru cofać się — tak jak przed rokiem w Kambodży. Drogi Ho trzeba bronić. Toteż wojska sajgońskie napotykają na zdecydowany i doskonale zorganizowany opór. Ponoszą porażkę za porażką i nigdy nie dotrą do głównych szlaków rozgałęzionej drogi Ho. Teren ogromnie utrudnia akcję lotnictwa, które w rezultacie równie często atakuje w dżungli oddziały sajgońskie, co wojska Frontu. Dysproporcja wartości bojowej dwóch armii wietnamskich jest ogromna, a ciężki amerykański sprzęt jeszcze raz okaże się nieprzydatny do tego typu wojny.

W połowie lutego Front przechodzi do kontrnatarcia. Porażka zaczyna zamieniać się w klęskę. Oficjalne komunikaty sajgońskie głoszą codziennie sukcesy, opisują zdobyte kryjówki z bronią i amunicją i podają fantastyczne liczby zabitych nieprzyjaciół — ale amerykańscy korespondenci wojenni bezlitośnie demaskują te kłamstwa. Zdumieni i przerażeni telewidzowie w USA oglądają na szklanych ekranach tłumy uciekających żołnierzy sajgońskich, porzucających broń i czepiających się podwozi helikopterów, żeby tylko wyrwać się z piekła tej walki.

Ofensywa zostaje odwołana i po 44 dniach walk resztki wojsk sajgońskich wycofują się, mimo że operacja zaplanowana była na trzy miesiące. W dżungli pozostało 200 zestrzelonych amerykańskich helikopterów.

Cała powyższa operacja zaplanowana była na podstawie fałszywej oceny wartości armii sajgońskiej i lekceważeniu sił przeciwnika, i — jak zwykle — przecenianiu znaczenia wsparcia lotniczego. Straty oddziałów sajgońskich były ogromne i to nie tylko w zabitych i rannych. Załamała się w tych walkach ich wiara w możliwość sukcesu wietnamizacji. A w Stanach Zjednoczonych jeszcze raz podważone zostało zaufanie do prawdomówności prezydenta i rzetelności komunikatów Pentagonu. Uderzenie na Laos nie wywołało w USA tak gwałtownej reakcji jak akcja kambodżańska sprzed pół roku, gdyż tym razem siły lądowe USA nie brały udziału w walkach i nie były narażone na niebezpieczeństwo. Poza tym społeczeństwo amerykańskie zobojętniało już na wojnę wietnamską. Powrót 300 000 żołnierzy przekonał Amerykanów, że proces wycofywania się jest nieodwracalny. Młodzież przestała się obawiać poboru i wysłania na front.

Podobnie jak w Kambodży, tak i w Laosie politycy amerykańscy spowodowali wydarzenia diametralnie sprzeczne z ich zamierzeniami.

W lutym 1973 roku zawarto tam porozumienie pomiędzy walczącymi stronami, które utrzymało przy władzy premiera Souvanę Phoumę, popieranego teraz wojskowo i finansowo przez USA i ich agencję USAID. Jednakże nacisk Pathet Lao wciąż wzrastał. W rok później usunięci zostali z rządu przedstawiciele skrajnej prawicy. Wiosną 1975 roku wielkie demonstracje ludności zmusiły szeroko rozbudowany aparat USAID do opuszczenia kraju. Jednocześnie za-

częli masowo wyjeżdżać za granicę prawicowi politycy laotańscy. W sierpniu Pathet Lao przejął administrację całego kraju, a wreszcie w grudniu 1975 roku nastąpiła abdykacja króla, ustąpienie premiera Souvanny Phoumy i objęcie tego stanowiska przez jego przyrodniego brata, a przywódcę Pathet Lao, księcia Souphanouvonga.

W ten sposób dokonała się bezkrwawo rewolucja, której Amerykanie usiłowali zapobiec za pomocą intryg politycznych, lotniczego terroru, otwartej interwencji wojskowej i olbrzymich nakładów finansowych w ciągu kilkunastu lat.

Nieudana operacja laotańska 1971 roku przyniosła jednak pewne otrzeźwienie polityczne kierownictwa w Waszyngtonie. Klęska wietnamizacji przekonała Biały Dom, że czas przestał już działać na korzyść USA i że trzeba szybko poszukać rozwiązań kompromisowych i uzyskać takie porozumienie, które zapewniłoby Stanom Zjednoczonym wycofanie się z Wietnamu „z honorem”. Kissinger wiedział już, że siła armii wietnamskiej nie jest dostateczną osłoną dla wycofujących się resztek armii amerykańskiej. Trzeba jej szukać w dyplomacji.

Toteż w 1971 roku, po porażce laotańskiej, sekretarz stanu przystąpił do nowej fazy rokowań pokojowych. Nie była to jednak faza ostatnia. Okazało się, że Kambodża i Laos nie stały się wystarczającymi nauczkami politycznego realizmu.

Klęska wojsk sajgońskich w Laosie wzmogła amerykańskie starania o przyspieszenie rokowań pokojowych w Paryżu. Co ważniejsze, wpłynęła ona na zmniejszenie wymagań stawianych przez Biały Dom. Politycy USA przestają liczyć na usunięcie przeciwnika z Południowego Wietnamu i na utrzymanie podziału kraju na linii 17 równoleżnika. Pojawia się koncepcja zamrożenia istniejącej sytuacji i utrzymania status quo.

31 maja 1971 roku, a więc natychmiast po porażce w Laosie, Kissinger składa delegacji DRW w Paryżu nowe propozycje. Zawierają one perspektywę wycofania wszystkich wojsk USA w ustalonym umownie terminie, zawieszenie broni i wymianę jeńców. Wciąż brak jakichkolwiek propozycji, dotyczących politycznej przyszłości kraju, ale też nie ma żądania wycofania z Południa oddziałów DRW. Le Duc Tho nadal nie akceptuje tych warunków. Wówczas 16 sierpnia Kissinger idzie o krok dalej. Proponuje konkretny termin 1 sierpnia 1972 roku na wycofanie wszystkich wojsk USA pod warunkiem, że układ zostanie podpisany jeszcze w listopadzie 1971 roku. Ponadto po raz pierwszy pojawia się w amerykańskich propozycjach przynęta w postaci obietnicy pomocy w odbudowie wyniszczzonego wojną Wietnamu.

Przyczyną dużych ustępstw amerykańskich była nie tylko zmiana oceny sytuacji wojskowej w Wietnamie, ale także poważne przesunięcie kierunku polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych. Przypomnijmy, że 12 lipca 1971 roku osiągnięty został pierwszy poważny przełom w amerykańsko-radzieckich rokowaniach rozbrojeniowych SALT, a 26 lipca Henry Kissinger poleciał do Pekinu. Stany Zjednoczone przyjęły kurs na odprężenie. W tej sytuacji konieczność wycofania się z awantury wietnamskiej stawała się coraz bardziej oczywista i pilna.

Kierownictwo DRW nadal uważało propozycje amerykańskie za niezadowolające. Wobec tego 11 października Kissinger idzie na dalsze ustępstwa, skracając termin wycofania wojsk amerykańskich do 6 miesięcy od daty podpisania układu oraz po raz pierwszy włączając do tekstu układu problemy polityczne. Proponuje mianowicie wolne wybory pod kontrolą państw neutralnych oraz ustąpienie Tieu ze stanowiska prezydenta na miesiąc przed tymi wyborami.

W stosunku do poprzedniego, twardego stanowiska koncesje amerykańskie były istotnie znamienne. Propozycje amerykańskie uznawały de facto utrzymanie władzy FWN na dużej części terytorium Południowego Wietnamu oraz otwierały możliwość rozwiązania problemów politycznych kraju przez samych Wietnamczyków. Kierownictwo DRW nadal jednak odrzucało możliwość zawarcia porozumienia na tych warunkach, podtrzymując twardo żądanie zaakceptowania przez przeciwnika całości swoich propozycji. Dalszy przebieg rokowań potwierdził słuszność wietnamskiego stanowiska. Analizując jednak wówczas przesłanki tego bezkompromisowego stanowiska, można było zakwestionować niektóre argumenty DRW.

W Hanoi istniała w tym czasie silna wiara w siłę

antywojennego ruchu w Stanach Zjednoczonych. Fala oburzenia i protestu społecznego osiągnęła swój szczyt w 1970 roku po inwazji Kambodży. W roku następnym nastroje społeczne znacznie się uspokoiły. W Wietnamie pozostało już tylko 25 000 Amerykanów, a tempo ich wycofywania — około 12 tysięcy miesięcznie — umacniało społeczeństwo w pewności, że proces ten jest nieodwracalny. Młodzież amerykańska uwolniła się od groźby poboru i wysłania na front. Listy strat zmalały do niewielkich stosunkowo rozmiarów. Amerykanie uznali, że wojna wietnamska należy do przeszłości, przestała być powodem do otwartej walki politycznej.

Rząd potrafił też zręcznie rozegrać sprawę jeńców amerykańskich, znajdujących się w niewoli wietnamskiej. Przede wszystkim wyolbrzymiono liczbę tych jeńców, sumując wszystkich zaginionych w czasie walk w dżunglach Wietnamu. W istocie rzeczy w niewoli znajdowało się tylko około 600 żołnierzy i oficerów amerykańskich. Rząd USA wykorzystał fakt, iż DRW nie dopuściła przedstawicieli Międzynarodowego Czerwonego Krzyża do obozów jenieckich, i rozpowszechniał pogłoski o złym traktowaniu jeńców. Wszystko to nastawiało opinię społeczeństwa przeciwko DRW.

W Hanoi uważano lotników amerykańskich, bombardujących bez wypowiedzenia wojny cywilną ludność, raczej za piratów i przestępców wojennych niż za jeńców. Trzeba również wziąć pod uwagę, że obyczaje azjatyckie różnią się nieco od europejskiej tradycji traktowania jeńców wojennych. Mimo to warunki w obozach — jak się okazało później — nie były złe. Jednakże izolacja jeńców ułatwiła Waszyngtonowi rozpętanie dokoła tej sprawy wielkiej akcji propagandowej. W późniejszym stadium rokowań DRW przeceniła chyba znaczenie jeńców jako



atutu przetargowego. Nixon zawsze widział w tej sprawie jedynie jej aspekt propagandowy i nie poświęciłby żadnego istotnego elementu politycznego dla szybszego uwolnienia jeńców. Dopiero w końcowym stadium rokowań jeńcy byli mu potrzebni dla uzasadnienia ustępstw dokonanych w negocjacjach.

Lato i jesień 1971 roku były niewątpliwie okresem trudnych decyzji dla DRW i Frontu. W rozważaniach nad możliwością przyjęcia kompromisowych propozycji amerykańskich nie małą rolę odgrywał brak zaufania do szczerości negocjatorów USA. Nieufność ta została mocno ugruntowana przez fałszywą taktykę Johnsona, którego inicjatywy były zawsze pretekstem do bombardowań i eskalacji wojny. Tym razem nie było już mowy o eskalacji, ale Amerykanie robili nadal wrażenie, jakoby prowadzili podwójną grę, a to wzmagало podejrzliwość w Hanoi.

Jednym z dowodów na podwójną grę Stanów były gorączkowe amerykańskie wysiłki dla umocnienia stanowiska Tieu. Na jesieni 1971 roku Tieu przeprowadził w Wietnamie wybory prezydenckie, które w Waszyngtonie uznane zostały za „wzorowe i demokratyczne”. Zmusił do wycofania się wszystkich groźniejszych kontrkandydatów z „wielkim” Minem i urzędującym wiceprezydentem Ky na czele i dał się wybrać na następną kadencję większością 94,30% głosów. Amerykanie coraz silniej popierali Tieu i to zarówno politycznie, jak i finansowo. Działo się to w tym samym czasie, kiedy Kissinger zapewniał Le Duc Tho w Paryżu, że Stany Zjednoczone utrzymują ścisłą neutralność w stosunku do wewnętrznych rozgrywek politycznych w Wietnamie Południowym oraz że Tieu ustąpi ze swego stanowiska na miesiąc przed wyborami przewidzianymi w układzie pokojowym.

Poważną podejrzliwość wzbudzał przy tym fakt, że

Kissinger nie informował Tieu o przebiegu rokowań w Paryżu i o amerykańskich propozycjach i ustępstwach, dotyczących najżywotniejszych spraw dla losów reżimu sajgońskiego i samej osoby Tieu. Być może, był to po prostu jego styl pracy i zwykły objaw lekceważenia, ale w Hanoi rozumiano to inaczej. Wietnamczycy mogli nie mieć w DRW właściwej informacji o sytuacji w Waszyngtonie, ale wiedzieli dokładnie i bardzo szybko o wszystkim, co się dzieje w Sajgonie, włączając w to pałac prezydencki. Podobnie jak w czasie walk w Kambodży i Laosie sztab FWN stale otrzymywał dokładne informacje o przyszłych operacjach wojskowych, tak teraz DRW wiedziała o tym, że Waszyngton nie informuje Tieu o propozycjach, które jego kosztem Kissinger przekazuje im w Paryżu. Musieli to uważać za dowód nieszczerości koncesji amerykańskich, zwłaszcza że jednocześnie mieli dowody, iż Waszyngton wzmacnia pozycję Tieu.

Dodajmy jeszcze fakt, który bardzo niedawno wyszedł na światło dzienne, ale wtedy był już znany w Hanoi. Dopiero w 1974 roku okazało się, że jesienią i zimą 1971—1972 roku generał John D. Lavelle, dowódca VII armii lotniczej, rozporządzający 400 samolotami i 40 000 ludzi, dokonywał potajemnie systematycznych nalotów na Wietnam Północny. Nalotów w ciągu tej zimy było 147. Po dzień dzisiejszy nie jest jasne, czy była to samowolna akcja generała — który został po jej ujawnieniu usunięty z wojska — czy też działał on z wiedzą i na zlecenie szefa sztabu lotnictwa. Niezależnie od prawdy historycznej kierownictwo DRW nie mogło traktować tych bombardowań inaczej niż jako wyraz świadomej decyzji Białego Domu i Pentagonu. Był to więc dla niego jeszcze jeden przejaw polityki zmuszania do ustępstw i złożenia broni za pomocą terroru lotni-

czego, jeszcze jeden dowód amerykańskiej taktyki kija i marchewki.

Wietnamską nieufność wznieciło również posunięcie Nixona ze stycznia 1972 roku, kiedy dla celów podyktowanych wewnętrzną taktyką polityczną odsłonił społeczeństwu amerykańskiemu szczegóły przebiegu tajnych rokowań paryskich i to mimo solennych obietnic poczynionych Le Duc Tho przez Kissingera co do tajności rozmów.

Zatem rachunek zysków i strat przeprowadzony tej zimy w Hanoi zakończył się decyzją odrzucenia porozumienia w tym stadium wojny i powrotu do walki. 30 marca 1972 roku rusza nowa ofensywa Frontu w Wietnamie Południowym.

Wojska południowowietnamskie znowu ponoszą klęski, Front opanowuje nowe tereny i miasta. Rośnie ilość dezertów w armii sajgońskiej, jeszcze bardziej kompromituje się „wietnamizacja”. Aby ratować sytuację, Stany Zjednoczone wzmacniają wsparcie lotnicze dla sojusznika, a kiedy to nie pomaga, przeczuciają na Daleki Wschód duże siły marynarki i lotnictwa. W końcu kwietnia jest tam już 6 lotniskowców i 200 bombardujących olbrzymów B52. 1 maja Nixon puszcza do prasy informację o możliwości bombardowania tam wodnych i śluz na Północy.

Jednocześnie rozwija się amerykańska akcja dyplomatyczna. W kwietniu Kissinger udaje się do Moskwy i tam proponuje dalsze ustępstwa wobec DRW. Oświadcza już otwarcie, że USA po zawarciu rozejmu domagać się będą wycofania tych tylko oddziałów północnowietnamskich, które wkroczyły na Południe po rozpoczęciu ostatniej ofensywy. W maju powtarza tę ofertę w Paryżu. Ale dowództwo wietnamskie, zachęczone sukcesami, prowadzi ofensywę dalej. W Waszyngtonie rośnie strach przed całkowitym załamaniem się Sajgonu. A przecież w Wietna-

mie przebywa jeszcze 100 000 żołnierzy amerykańskich...

8 maja Narodowa Rada Bezpieczeństwa rozważa wniosek Pentagonu o rozpoczęcie wielkich nalotów na DRW. Pentagon twierdzi, że dalszy rozwój ofensywy zagraża istnieniu rządu sajgońskiego. Nie zapewnia już, że wojsko Tieu potrafi utrzymać linie obronne przy wsparciu lotnictwa USA. Szefowie sztabów proponują zaminowanie Hajfongu i innych portów DRW celem przerwania wielkich dostaw zbrojeniowych napływających z ZSRR i innych krajów socjalistycznych oraz wielką akcją bombardowania wietnamskich miast i linii komunikacyjnych z Chinami. Dyskusja była ostra. Minister obrony Melvin Laird sprzeciwiał się tej nowej eskalacji. Popierał go sekretarz stanu William Rogers i szef CIA Richard Helms. Wniośki wojskowych popierali: nowy doradca prezydenta, były gubernator Teksasu, Robert Connally, i wiceprezydent Spiro Agnew — przyszły bohater afer finansowych w Waszyngtonie. Przyłączył się do nich Henry Kissinger. Nixon był zresztą już zdecydowany. Następnego dnia akcja rozpoczęła się.

Ale i tym razem wojskowi się mylą. Zarówno zaminowanie Hajfongu, jak bombardowanie dróg i transportów nie wpływa istotnie na przebieg ofensywy Frontu, który — wykorzystując zgromadzone na zapleczu zapasy broni i paliwa — posuwa się naprzód. Akcja terroru lotniczego i tym razem nie zmniejsza determinacji kierownictwa DRW. Amerykanie zostają zmuszeni do dalszych ustępstw. 25 maja 1972 roku w czasie ponownego pobytu w Moskwie Kissinger po raz pierwszy zgadza się na rozmowy o przyszłości politycznej Wietnamu i prosi o przekazanie Hanoi propozycji powołania trójstronnej komisji wyborczej z udziałem FWN, Sajgonu i grupy

neutralów wietnamskich. Dyplomacja radziecka, która udzielała stale pomocy politycznej DRW i FWN, widzi perspektywę pokojowego zakończenia konfliktu i rozwija działalność mediacyjną. Ustępstwa Amerykanów stanowią tym razem pierwszy krok w kierunku uwzględnienia żądań DRW w sprawie utworzenia rządu koalicyjnego. Propozycja ta została powtórzona przez Kissingera Le Duc Tho na spotkaniu w Paryżu.

Z tą chwilą rozpoczęła się druga faza konkretnych rozmów. Spotkanie Kissinger — Le Duc Tho miało miejsce 17 lipca 1972 roku — równo w miesiąc po tajemniczym włamaniu się pięciu osobników do lokalu Narodowej Komisji Wyborczej Partii Demokratycznej w Waszyngtonie. Mało kto zwrócił wówczas uwagę na to zdawałoby się niezbyt sensacyjne wydarzenie. Adres lokalu nie nabral jeszcze złowrogiego i brzemiennego w skutkach wydźwięku. Komisja mieściła się w luksusowym budynku mieszkalnym o nazwie „Watergate”, czyli „śluz”.  
Rozpoczynając w lipcu nową fazę rokowań w Paryżu Kissinger nie mógł jeszcze oczywiście przypuszczać, że w ciągu najbliższych dwóch lat afera Watergate podminuje, zniszczy i usunie z urzędu prezydenta. Ale zdawał sobie sprawę, iż mimo osłabienia ofensywy FWN zagraża ona nadal administracji sajońskiej. Co ważniejsze, dobrze pamiętał o listopadowych wyborach prezydenckich. Obawiał się, że ponownemu wyborowi Nixona może zaszkodzić zarówno załamanie się rządu w Sajgonie, jak i użycie wojsk amerykańskich dla ratowania Tieu. Dlatego gotów był do dalszych ustępstw. Nauczony doświadczeniem poprzedniej fazy rokowań leci do Sajgonu, aby poinformować Tieu o swoich propozycjach i namówić go do współdziałania. Popelnia jednak dwa błędy: po pierwsze, zwierza się Tieu, że

musi uzyskać porozumienie jeszcze przed terminem wyborów. W ten sposób podbija cenę zgody Tieu na proponowane warunki. Po drugie, osładza gorzką pigułkę roztaczając przed Tieu widoki na inwazję DRW po wyborach listopadowych, obiecując, że USA dopomogą wtedy wojskom sajgońskim.

Gra ta jednak zawodzi i mści się podwójnie. Tieu nie daje się uwieść perspektywie inwazji, gdyż po zeszłorocznym wypadku do Laosu wie dobrze, że nie stać go na taką akcję, a kierownictwo DRW szybko dowiaduje się o treści rozmów Kissingera z Tieu. Nie ma powodu, aby nie traktować propozycji amerykańskiej poważniej, niż na to zasługuje. Nie można się więc dziwić, iż w następnych spotkaniach paryskich postęp w zbliżaniu stanowisk jest powolny. A kiedy Kissinger widząc zbliżającą się datę wyborów coraz natarczywiej oferuje dalsze ustępstwa — Hanoi 8 października przedstawia w dziewięciu punktach swój ostateczny projekt porozumienia:

1. Niepodległość, suwerenność, jedność i terytorialna integralność Wietnamu.

2. Rozejm w 24 godziny po podpisaniu układu. USA wycofają wojska w ciągu 60 dni.

3. Wymiana jeńców.

4. Trójstronna Narodowa Rada Zgody i Porozumienia dla wykonania układu i organizacji wyborów.

5. Stopniowe zjednoczenie Wietnamu pokojowymi środkami.

6. Międzynarodowa Komisja Nadzoru i Kontroli. Zwołanie w ciągu 30 dni po zawarciu układu międzynarodowej konferencji dla gwarancji układu.

7. Uznanie niepodległości Laosu i Kambodży i nieużywanie ich terytoriów dla zagrożenia innych krajów.

8. USA dopomogą do odbudowy Indochin. Nawią-

zanie wzajemnych korzystnych stosunków DRW — USA.

9. Układ wejdzie w życie natychmiast po podpisaniu.

Kissinger akceptuje ten projekt jako bazę porozumienia. Śpieszy się tak bardzo, że w ciągu następnych trzech spotkań — 9, 10 i 11 października — uzgadnia się prawie cały tekst układu. Pozostają tylko sprawy zwolnienia politycznych więźniów cywilnych i zaprzestania pomocy wojskowej dla obydwóch rządów w Wietnamie Południowym. Ustalono nawet, że Kissinger poleci 24 października do Hanoi, aby parafować układ. Podpisanie miało nastąpić 31 października — a więc na 7 dni przed wyborami w USA.

Nawet w końcowym etapie szybko postępujących negocjacji nie obyło się bez prób rozbicia ich przez Pentagon. 11 października, w dniu ostatecznego redagowania tekstu, dowództwo USA dokonuje wielkiego nalotu na Hanoi. Centrum miasta zostaje silnie uszkodzone. Trafiona została m.in. ambasada Francji, a ambasador ginie od amerykańskiej bomby.

Tym razem jednak próba rozbicia negocjacji nie daje rezultatu. Zostają one zaatakowane skutecznie z innej strony. Kissinger zafascynowany bliską datą wyborów znowu lekceważy swego sojusznika — prezydenta Tieu — i przez cały wrzesień i październik nie informuje go w ogóle o ustępstwach i zobowiązaniach, które podejmuje na wspólny rachunek. Kiedy wreszcie 17 października przybywa do Sajgonu — w drodze do Hanoi — czeka go ciężki cios. Tieu kategorycznie odmawia podpisania układu, który uważa — nie bez słuszności — za początek swego końca. Odrzuca podstawowe założenia kompromisu. Nie zgadza się na zawieszenie broni z zamrożeniem wojsk w miejscu, w którym znajdowały się w chwili układu, protestuje przeciwko trójstronnej komisji,

zgłasza 69 istotnych poprawek do tekstu. Tieu oskarża Kissingera o zdradę, prasa sajgońska atakuje go w niewybredny sposób. 23 października Kissinger zdesperowany odlatuje — ale nie do Hanoi, lecz do Waszyngtonu, a Tieu następnego dnia ogłasza wywiad przypieczętowujący swoją odmowę. Wobec tego Hanoi publikuje tekst uzgodnionego układu i oskarża Stany Zjednoczone, że odkładając datę podpisania, wykazały złą wolę. W USA wybucha konsternacja. Do wyborów pozostało tylko 12 dni...

Następują gorączkowe wielogodzinne narady w Białym Domu. Trzeba za wszelką cenę ratować sytuację i przeciwdziałać atakom partii demokratycznej na politykę Nixona. Kissinger zwołuje konferencję prasową i składa swoje słynne oświadczenie, że „pokój jest w zasięgu ręki”. Mimochodem wspomina o pewnych rozbieżnościach w sformułowaniu tekstów. Wystarczy jeszcze jedno spotkanie, a zostaną usunięte. Wymowa tej wypowiedzi jest jasna — wojna w Wietnamie jest skończona. „Pokój w zasięgu ręki” — to nagłówek na pierwszych stronach wszystkich dzienników. Wybucha ogólna radość, odprężenie i zwyczajka kursów na giełdzie. 7 listopada Nixon i Agnew zostają wybrani na urząd prezydenta i jego zastępcy większością 60,8<sup>0</sup>/<sub>0</sub> głosów. Fałszywe oświadczenie opłaciło się. Społeczeństwo amerykańskie przyjęło je za dobrą monetę, tak samo jak na razie zaakceptowało wypowiedź rzecznika Białego Domu, złożoną o jeden dzień wcześniej. Rzecznik zaprzeczał kategorycznie, jakoby ktokolwiek z Białego Domu brał udział we włamaniu do Watergate lub wiedział o takim planie. Informacje prasowe na ten temat nazwał obrzydliwą kaczką dziennikarską.

Kiedy 20 listopada po zwycięstwie wyborczym Kissinger ponownie spotyka się w Paryżu z Le Duc Tho — już nie lekceważy „drobnych rozbieżności”.



Przeciwnie. Zmienia bezceremonialnie wiele ważnych, uzgodnionych poprzednio postanowień projektu — aby zaspokoić wymagania Tieu. Psuje się cała misterna struktura kompromisu. Rozmowy ciągną się bez rezultatu.

Tymczasem Pentagon, antycypując wojskowe postanowienia układu, gorączkowo wzmacnia armię Południowego Wietnamu uzbrojeniem i ekwipunkiem wojskowym. Tzw. operacja „Enhance”, czyli „Zachęta”, wzbogaca rząd Tieu o amunicję, sprzęt, samoloty i czołgi wartości miliarda dolarów. Sajgon otrzymuje prawie dwa tysiące samolotów i staje się czwartą czy piątą potęgą lotniczą świata, choć nie posiada pilotów, aby móc tę potęgę uruchomić. Wszystko to budzi oczywiście nieufność i protesty delegacji DRW w Paryżu. Ale mimo to powoli, krok za krokiem, w początku grudnia uzgadnia się na nowo klauzule układu. 13 grudnia pozostał już tylko do załatwienia status strefy zdemilitaryzowanej i ceremonia podpisania układu. Tymczasem w Sajgonie Tieu opiera się nadal uznaniu FWN jako partnera porozumienia.

Wtedy następuje w Waszyngtonie najbardziej bezsensowna i tragiczna decyzja tego okresu wojny. 14 grudnia Biały Dom stawia Hanoi ultimatum, żądając ustępstw w sprawach nie uzgodnionych jeszcze klauzul w ciągu 72 godzin. Kissinger składa prasie niezrozumiałe oświadczenie: „Nie damy się zaszantażować porozumieniem”. A 17 grudnia, na pięć dni przed świętami Bożego Narodzenia, Stany Zjednoczone podejmują przy udziale całej swej lotniczej potęgi słynne „gwiazdkowe” bombardowanie DRW. W ciągu 12 dni sto olbrzymów B52 i 150 innych bombowców sieje w Wietnamie śmierć i zniszczenie.

Na całym świecie odzywają się głosy oburzenia. Stany Zjednoczone rozbrzmiewają znowu głosami po-

tężnego protestu, zwłaszcza że obrona przeciwlotnicza DRW zestrzeliwuje 15% amerykańskich maszyn. Buntują się piloci, odmawiają udziału w akcji. Nixon jest zmuszony 30 grudnia ograniczyć naloty do 20 równoleżnika. Boi się reakcji Kongresu, który ma się zebrać 3 stycznia.

Oficjalnie tłumaczono ten paroksyzm terroru chęcią pokazania Hanoi determinacji USA i zapobieżenia w ten sposób możliwości wycofania się DRW z zaawansowanych negocjacji i podpisania układu. Argument był najzupełniej fałszywy, gdyż DRW nie miała najmniejszego zamiaru odstępować od układu, który opierał się ściśle na warunkach proponowanych przez Le Duc Tho. W momencie rozpoczęcia nalotów „gwiazdkowych” toczyły się przecież już tylko spory o redakcję kilku punktów. Po wznowieniu rokowań 8 stycznia punkty te zostały uzgodnione w ciągu 10 dni i to w sposób korzystny dla DRW, która poczyniła ustępstwa tylko w sprawie liczby członków Międzynarodowej Komisji Nadzoru i Kontroli. Takie było osiągnięcie amerykańskich dwutygodniowych nalotów.

Demonstracja siły w stosunku do Hanoi zawiodła i przeistoczyła się w smutny pokaz bezsilności i braku rozsądku. Bombardowanie DRW odniosło natomiast skutek w Sajgonie. Tam Kissinger osiągnął sukces. Uzyskał zgodę Tieu na podpisanie niekorzystnego dla niego układu. Przekonał go bowiem, że USA gotowe są w jego obronie na wszystko. Oszukał go — po raz ostatni. Jak dowiedzieliśmy się w trzy lata później, Nixon udzielił wtedy Tieu pisemnej gwarancji, że w razie wznowienia walk w Wietnamie Południowym Stany Zjednoczone poprą rząd sajgoński wszystkimi środkami. Na szczęście Nixon został usunięty z Białego Domu, a jego następca nie dotrzymał zobowiązania.

Dziwne były te negocjacje pomiędzy Kissingerem i Le Duc Tho, prowadzone przez dwa lata ukradkiem w podmiejskich willach Paryża. Przerywały je co kilka miesięcy wybuchy pokazu militarnej potęgi wielkiego mocarstwa — po czym podejmowano je na nowo, spokojnie i z uśmiechem. Za każdym razem na gruncie nowych ustępstw USA. Po nieudanym wtargnięciu do Kambodży Stany Zjednoczone zgodziły się na pozostanie w Południowym Wietnamie wojsk DRW. Po porażce w Laosie skróciły termin wycofania swoich wojsk do 6 miesięcy, obiecały rezygnację Tieu przed wyborami i zgodziły się na neutralizację Indochin. Po zaminowaniu portów i groźbie zburzenia tam w DRW — Kissinger zgodził się na wycofanie wojsk w dwa miesiące, na Trójstronną Radę, a nawet na pomoc w powojennej odbudowie Wietnamu. W tym czasie strona wietnamska — mimo wszystkich aktów wojennych USA — ustąpiła jedynie w sprawie zastąpienia rządu koalicyjnego przez Trójstronną Radę Porozumienia i Zgody. Poza tym wszystkie warunki wysunięte jeszcze w maju 1969 roku znalazły się w zawartym układzie.

Taki rezultat był logiczną konsekwencją układu sił w Wietnamie. Stany Zjednoczone rozpoczęły negocjacje z pozycji słabości, której nie chciały ani zrozumieć, ani uznać. Słabość tę pogłębiło wycofywanie wojsk, które prezydent USA chciał zastąpić przez bombardowania i groźby. Ale terror powietrzny nie jest namiastką potęgi, a wzmacnianie pogroźek — przy jednoczesnym osłabieniu własnych sił — nie może dać dobrych rezultatów. Richard Nixon musiał wycofywać się z Wietnamu pod naciskiem własnej opinii publicznej i Kongresu. Wiedział w obliczu nadchodzących wyborów, iż jeżeli nie zmieni strategii swego poprzednika, to podzieli jego los. Ale mimo że wycofywał wojska z Wietnamu, zachowy-

wał się tak, jakby nadal utrzymywał w Indochinach półmilionową armię. W rezultacie negocjował z pozycji strusia, a więc z głową w piasku. Kissinger stawiał nieracjonalne warunki, z których musiał się szybko wycofywać, inicjował pokazy bezsilnej potęgi, groził i zwracał się do Związku Radzieckiego o pomoc w przekonywaniu przeciwnika, aby zrezygnował z owoców zwycięstwa. A jednocześnie lekceważył kompletnie swego wiernego sojusznika, dla utrzymania którego USA prowadziły tę wojnę. Kissinger nie informował Tieu o przebiegu rokowań, porozumiewał się z jego przeciwnikiem jego kosztem, demaskował fikcję amerykańskiej gwarancji dla Sajgonu. Tieu miał jednak dosyć siły, aby pokrzyżować plany Kissingera, tak jak to zrobił w 1968 roku w stosunku do Johnsona. Wtedy spowodowało to upadek administracji demokratycznej, teraz „tylko” tysiące ofiar, które zginęły w ofensywie „gwiazdkowej”.

Historia dyplomacji nie zna takich rokowań pokojowych. Nie wiemy i nie dowiemy się nigdy, ilu Wietnamczyków zginęło w ciągu tych trzech lat pod bombami, od napalmu, na polach bitew, od głodu, ran i chorób na uchodźczych szlakach. Statystyki istnieją tylko dla Amerykanów. Mimo że już się wycofywali, wywieźli ze sobą w tym czasie jeszcze 15 000 zabitych i 100 000 rannych.

Za takie rokowania Henry Kissinger otrzymał pokojową Nagrodę Nobla.

## XVIII. Koniec wojny trzydziestoletniej

27 stycznia 1973 roku świat odetchnął z ulgą. Tego dnia w Paryżu ministrowie spraw zagranicznych DRW, Stanów Zjednoczonych, Tymczasowego Rządu Rewolucyjnego Republiki Wietnamu Południowego i Rządu Sajgońskiego złożyli swe podpisy pod układem o „zaprzestaniu działań zbrojnych i przywróceniu pokoju w Wietnamie”.

Tytuł tego układu był tylko w połowie prawdziwy. W ciągu następnych dni nastąpiło istotnie w Wietnamie zaprzestanie działań wojennych. Jednakże druga część tytułu układu pozostała pobożnym życzeniem. Pokój na tym nieszczęsnym półwyspie nie został przywrócony. Paryski kompromis umożliwił wycofanie się „z honorem” w ciągu następnych dwóch miesięcy wojsk amerykańskich i w ten sposób zakończył ośmioletnią wojnę amerykańsko-wietnamską. Ale wojny domowej nie można zakończyć kompromisem. Jest na to wiele przykładów historycznych. Wystarczy przypomnieć sobie Stany Zjednoczone w roku 1863, Rosję w roku 1917, Hiszpanię w roku 1937, Grecję w roku 1947, Malaje, Filipiny, Kubę i Nigerię w ostatnich latach. W wojnie domowej, w rewolucji, jest albo zwycięstwo, albo klęska. W Wietnamie w 1973 roku sytuacja nie była jeszcze wyjaśniona. Toteż układ paryski był porozumieniem połowicz-

nym, tymczasowym i wieloznacznym. Każda z „wysokich umawiających się stron” podpisywała go ze zmruczeniem oka, świadoma niedopowiedzeń i przemilczeń, zawartych w tym uroczystym dokumencie, który pod wieloma względami przypominał układy genewskie z 1954 roku.

Podobnie jak wtedy, tak i teraz w Paryżu zgodzono się co do zaprzestania walk — z pełną świadomością, że jest to tylko zawieszenie działań. A więc rozejm — a nie pokój. Tak jak wtedy Francja, tak teraz Stany Zjednoczone wycofały się z interwencji po poniesieniu bolesnej porażki. Wymieniono jeńców. Powołano komisję kontroli, nie zapewniając jej pełnych możliwości skutecznego działania. Jeszcze raz potwierdzono uroczyście wzniosłe zasady suwerenności, integralności i niepodległości narodu wietnamskiego nie dając mu żadnych możliwości ich realizacji. Wyrzeczono się udzielania pomocy wojskowej i interwencji w wewnętrzne sprawy Wietnamczyków — łamiąc w praktyce te zobowiązania od samego początku. Jak w Genewie, tak i w Paryżu zonglowano mirażem jedności i pojednania narodowego. Ale patrioci wietnamscy, którzy mieli je realizować, wiedzieli dobrze i od samego początku, że do jedności może dojść tylko poprzez walkę.

Jakiż więc był bilans zysków i strat stron, które z większym czy mniejszym zadowoleniem podpisały układ paryski?

Układ umożliwił USA bezpieczne wycofanie pozostałych 100 000 żołnierzy. A jednocześnie pozwalał na utrzymanie obecności wojskowej w Sajgonie i politycznych wpływów w Wietnamie Południowym. Poza tym udało się utrzymać przy władzy rząd Tieu. Był on całkowicie zależny od USA pod względem wojskowym, politycznym i gospodarczym i zapewniał Waszyngtonowi panowanie nad tą częścią kraju,

którą jeszcze administrował Tieu. Rząd amerykański przekazał Tieu wszystkie swoje bazy, lotniska, składy i większą część sprzętu, wycofując tylko te typy samolotów, których sajgońscy piloci nie potrafili obsłużyć, ale sprowadzając na ich miejsce inne. Było to pierwsze naruszenie układu, ale bynajmniej nie ostatnie. W następnych miesiącach płynął do Sajgonu nieustający strumień uzbrojenia i amunicji pod pozorem „wymiany sztuka za sztukę” zużytego sprzętu, co było zastrzeżone w układzie. Jednocześnie rosły kredyty na pomoc wojskową i gospodarczą dla Sajgonu aż do chwili, kiedy w 1974 roku zniecierpliwiony Kongres poważnie je ograniczył. Tak więc Stany Zjednoczone wycofały własne wojska z Wietnamu, ale pozostały tam, żeby walczyć i rządzić per procura.

Drugim osiągnięciem USA było uwolnienie 588 amerykańskich jeńców wojennych. Sprawa tych jeńców została przez administrację Nixona rozdmuchana propagandowo ponad wszelką rozsądną miarę, szczególnie jeżeli wziąć pod uwagę proporcję tej liczby do 55 000 amerykańskich poległych żołnierzy i ponad 300 000 rannych, z których duża część została okaleczona na całe życie. Ale taki już jest mechanizm reakcji społecznych, że powrót kilkuset Amerykanów z niewoli świętowano w USA jako zwycięstwo.

Układ paryski przedstawiono społeczeństwu amerykańskiemu jako „pokój z honorem”, obiecany wielokrotnie przez Nixona. Część społeczeństwa uwierzyła, że „gwiazdkowe” bombardowanie wymusiło podpisanie układu przez DRW i FWN i że ostatnia faza rokowań przyniosła Stanom Zjednoczonym duże korzyści dyplomatyczne. Taka interpretacja układu przyczyniła się do rozładowania w Ameryce napięcia społecznego i całkowicie niemal skreśliła

wojnę wietnamską z listy problemów dręczących i rozdzielających społeczeństwo amerykańskie. Pozostała jeszcze interwencja w Kambodży i sprawa ogromnych obciążeń budżetowych z tytułu dalszej pomocy dla Wietnamu. W następnych latach powstały na tym tle konflikty między władzą wykonawczą i Kongresem, ale wydźwięk tych zatargów nie miał już tak poważnego politycznego znaczenia. Układ paryski przekreślał niejako przeszłość. Był więc dla większości Amerykanów wielkim osiągnięciem ich rządu. Spełniał to, o czym marzyli od wielu lat, czego domagali się od swoich kongresmenów i żądali od prezydenta.

Niewielu zdawało sobie sprawę z faktu, że układ paryski oznaczał zgodę na takie rozwiązanie sprawy wietnamskiej, któremu Stany Zjednoczone sprzeciwiały się już w 1954 roku, odmawiając podpisania układu genewskiego, i przeciwko któremu walczyły przez osiem lat. USA prowadziły tę straszliwą wojnę po to, żeby nie dopuścić do neutralizacji kraju, do uznania FWN i jego udziału w rządach, żeby zniszczyć koncepcję trójstronnych instytucji politycznych, przywrócić rządowi sajgońskiemu pełną władzę w Wietnamie i utrzymać tam amerykańskie wpływy i interesy. Układ paryski nie uznał rządu sajgońskiego za jedyny podmiot suwerenności Wietnamu, zaakceptował panowanie FWN na połowie obszaru Wietnamu Południowego, a wreszcie pominął milczeniem pozostanie tam armii północnowietnamskiej, której przecież tam nie było, kiedy rozpoczynała się amerykańska interwencja. Układ paryski ratyfikował klęskę programów pacyfikacji, wietnamizacji i błędnych założeń, że można zdusić narodowe powstanie za pomocą siły, terroru i politycznej indoktrynacji. Osiem lat tragicznej dla obydwu stron wojny tylko opóźniło uznanie celów tego powstania. Stany Zjed-



noczone podpisały w 1973 roku układ na warunkach podyktowanych przez patriotów wietnamskich jeszcze w 1965 roku. Straszliwą cenę zapłaciły za przesunięcie tego terminu.

Dla DRW układ paryski był niewątpliwie korzystny. Uznawał podstawowe prawa narodu wietnamskiego do samostanowienia, suwerenności, integralności i jedności. Wprawdzie postanowienia dotyczące zjednoczenia kraju sformułowane były nieprecyzyjnie, jeszcze bardziej ogólnikowo niż w układach genewskich, które przewidywały wybory po dwóch latach, ale w Paryżu odebrano rządowi sajgońskiemu status jedyne go prawowitego rządu na Południu. Ponadto układ częściowo spełniał postulat utworzenia trójstronnego organu, jednoczącego główne odłamy polityczne ludności.

Jeszcze ważniejszą formą uznania jedności narodu wietnamskiego było potwierdzenie prawa wojsk północnowietnamskich do pozostania na terenie Południa. Układ ponadto zawierał wszystkie ważniejsze postulaty, kilkakrotnie formułowane przez DRW jeszcze w czasie wojny.

Wycofanie wojsk USA, zawieszenie broni, zaprzestanie bombardowań i rozminowanie portów na Północy działało oczywiście na korzyść DRW. Po stronie aktywów można było również na razie zapisać postanowienie układu, przyrzekające amerykańską pomoc na odbudowę zniszczeń wojennych.

Po stronie pasywów zanotujemy przede wszystkim ogólnikowość wszystkich postanowień układu, dotyczących politycznej przyszłości kraju. DRW nie udało się uzyskać decyzji natychmiastowego ustąpienia Tieu i zastąpienia go przez rząd koalicyjny. Sprawy zjednoczenia, wyborów oraz pojednania narodowego zostały ujęte w formie teoretycznie słusznej i zgodnej z postulatami DRW, jednakże praktycznie nie-

możliwej do wykonania bez dalszej walki. Ale już bez bezpośredniego udziału Stanów Zjednoczonych.

Tymczasowy Rząd Rewolucyjny Republiki Wietnamu Południowego — który stał się formalnym przedstawicielem FWN — zyskał w układzie prawne uznanie jako strona tego porozumienia, równorzędna w stosunku do rządu sajgońskiego. Ta legalizacja miała znaczenie nie tylko dla stosunków zewnętrznych, co wyraziło się od razu w nawiązaniu stosunków dyplomatycznych z wieloma państwami, ale wpłynęła również na wzrost prestiżu rządu rewolucyjnego wśród miejscowej ludności, zarówno na terenach już wyzwolonych, jak znajdujących się jeszcze pod panowaniem Sajgonu.

Rząd Tieu był jedyną stroną, której układ paryski nie przyniósł korzyści. Dlatego też nie można się dziwić oporom prezydenta przeciwko podpisaniu porozumienia. Jedynym jego zyskiem były olbrzymie ilości uzbrojenia i sprzętu, przekazywanego gorączkowo przez wycofujących się Amerykanów. Dopiero w listopadzie 1976 r. Pentagon ogłosił, że wartość amerykańskiego sprzętu wojskowego, pozostawionego w Wietnamie, wynosi 5 miliardów dolarów. Spis broni, która wpadła w ręce DRW, obejmuje m.in. 550 czołgów, 1200 samochodów pancernych, 1300 dział, półtora miliona karabinów, 466 helikopterów, 524 samoloty, 940 statków morskich i rzecznych i 42 000 ciężarówek. Polityczne straty reżimu sajgońskiego były jednak znacznie poważniejsze. Przede wszystkim układ nie pozostawiał już żadnej wątpliwości, że w ciągu dwóch miesięcy Sajgon zostanie sam na sam z przeciwnikiem o wiele silniejszym politycznie i wojskowo — choć słabszym pod względem liczebności wojska. W dalszej perspektywie zapowiadało się zmniejszenie pomocy finansowej USA. Zaprzestanie działań wojennych i redukcja pomocy

oznaczały ponadto konieczność częściowej demobilizacji, bardzo niebezpiecznej dla rządu Tieu. Przecież w 1973 roku trzymał on pod bronią i naciskiem koczowniczej dyscypliny praktycznie całą męską młodzież administrowanej przez siebie części kraju. Presja stanu wojennego ułatwiała mu stosowanie drakońskich metod w obliczu najmniejszych oznak opozycji. Zwalnianie młodzieży z wojska równało się wzmocnieniu opozycji i osłabianiu dyscypliny. Uznanie w układzie TRR i trzeciej, neutralistycznej siły stwarzało możliwości wzmocnienia się podziemnej konspiracji antyrządowej. Podobnie działały postanowienia układu, mówiące o zwalnianiu więźniów cywilnych, zjednoczeniu kraju, zaprzestaniu represji. Właściwie każdy artykuł godził w interesy sajgońskiego reżimu. Nic dziwnego zatem, że od samego początku rząd Tieu konsekwentnie sabotował wykonywanie postanowień układu. Swoją postawę do układu Tieu określił już nazajutrz po podpisaniu go. Stwierdził m.in., że nie zgodzi się na szybkie wybory ani na zmianę konstytucji, która zakazywała istnienia jakichkolwiek organizacji nie tylko prokomunistycznych, ale nawet neutralistycznych. Powiedział, że odrzuca możliwość wszelkiego ruchu osobowego między strefami. Delegacja sajgońska na przewidzianych w układzie rozmowach z TRR — odbywających się we Francji w La-Celle-Saint-Cloud — od początku zajmowała stanowisko negatywne wobec wszystkich postanowień układu, przewidujących „pojednanie i zgodę narodową”, utworzenie Trójstronnej Rady i zorganizowanie wyborów.

Sytuacja była niemal analogiczna do tej, jaka wytworzyła się w 1954 roku po układach genewskich. Wtedy, po wycofaniu się Francuzów, w Sajgonie pozostał rząd Diema, który nie uznał zawartego układu i odmówił wykonania go. Teraz Tieu oskarżył USA

i Kissingera osobiście o zawarciu porozumienia, które narzuciło mu warunki sprzeczne z interesem jego kraju. Uznał swój podpis za wymuszony i nie czuł się zobowiązany do wykonywania porozumienia.

Waszyngton popierał postawę Tieu wobec układu paryskiego. Mimo wyrażonego w nim postanowienia, że „oba kraje nie będą narzucać politycznego kierunku lub jakichkolwiek osób narodowi Południowego Wietnamu”, rząd USA natychmiast po podpisaniu porozumienia oświadczył, iż uważa rząd Tieu za jedyną legalną władzę w kraju. USA zaczęły też natychmiast przekazywać wojskom sajgońskim pozostawioną broń, samoloty, przysyłać nowych instruktorów i doradców wojskowych. Ponadto kontynuowały bombardowania Kambodży. Nie można się dziwić, że rząd Tieu widział w tym postępowaniu analogię do roku 1954, kiedy USA natychmiast po zawarciu układów wzmożyły pomoc dla rządu Diema.

Bilansując rachunek zysków i strat układu paryskiego można powtórzyć wniosek, który wyciągnęliśmy już raz z układów genewskich z 1954 roku. Porozumienie kończyło z przeszłością, ale nie rozwiązywało problemów przyszłości. Przynosiło zawieszenie broni, ale nie gwarantowało pokoju. Uznawało rewolucyjny charakter konfliktu w Wietnamie, ale nie przynosiło pojednania i zjednoczenia narodu.

Stany Zjednoczone wycofywały swoje siły zbrojne, ale pozostawiły w Wietnamie potężną bazę wpływów wojskowych i gospodarczych, działały na opóźnienie procesu zgody narodowej na czas wystarczająco długi dla uratowania politycznej twarzy. Kissinger zawierając porozumienie zdawał sobie oczywiście doskonale sprawę z nieuniknionych konsekwencji amerykańskiego odwrotu. Nie mogło być najmniejszych wątpliwości, że rząd Tieu, który nie mógł pokonać Wietkongu z pomocą potężnej armii

amerykańskiej, nie potrafi się utrzymać, kiedy zostanie sam na sam z przeciwnikiem. Uznając narodowy charakter powstania w Południowym Wietnamie USA musiały też dobrze wiedzieć, że żadne porozumienie nie jest w stanie zahamować dalszego rozwoju tego powstania. Bo — jak się rzekło — wojna domowa nigdy nie kończy się kompromisem. Zwłaszcza po trzydziestu latach krwawych walk. Podpis amerykański w Paryżu służył więc tylko odebraniu się od nieprzyjaciela i stworzeniu pozorów uratowania honoru. Ułatwiał umycie rąk.

Zawierając porozumienie Kissinger spodziewał się, że uda mu się utrzymać stan chwiejnej równowagi w Południowym Wietnamie przynajmniej do 1977 roku, a więc do końca kadencji administracji Nixona. Liczył, że po tym terminie upadek Tieu nie obciąży już konta tej administracji. Przeliczył się podwójnie. Nixon musiał odejść już w 1974 roku, a Tieu w dziewięć miesięcy później.

Podpisując układ paryski Stany Zjednoczone udowodniły, że uznają wreszcie porażkę w Wietnamie i że rozumiały błędy swej polityki. Istniały jednak jeszcze inne przyczyny zawarcia porozumienia. W ciągu ośmiu lat trwania tej wojny sytuacja polityczna na świecie zmieniła się poważnie. Powstał nowy układ stosunków pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Związkiem Radzieckim, w Azji wytworzyła się nowa sytuacja, wzmocniło się znaczenie krajów Trzeciego Świata, w którym przestały obowiązywać doktryny amerykańskie. Ani pomoc, ani rozmiary inwestycji amerykańskich nie decydowały już o polityce młodych państw Azji i Afryki. Skończyła się lądowa epoka zimnej wojny. Stany Zjednoczone musiały dostosować koncepcje swej globalnej polityki do nowego układu sił, musiały zgodzić się na odwilż, na odprężenie, na *détente*. Nie nastąpiło to

od razu, proces ten przebiegał z oporami przy nawrotach prób stosowania polityki siły. Ostatnie lata kryzysu wietnamskiego były przykładem takich politycznych spasmów. Wreszcie w 1973 roku Stany musiały zgodzić się na warunki, które byłyby nie do przyjęcia dla Białego Domu pięć lat wcześniej, musiały zaakceptować porażkę wojskową, która przed 1968 rokiem nie mieściła się w granicach horyzontu politycznego przywódców tego supermocarstwa.

Dlaczego więc pomimo nowego kursu polityki amerykańskiej prowadzono tę wojnę jeszcze przez tak długi okres, chociaż jasne było, że można w ten sposób osiągnąć jedynie odroczenie nieuniknionego końca? I czy koszty tej wojny — w ludziach, polityce i finansach — stanowią właściwą cenę odroczenia? Takiego bilansu nie można przeprowadzić w kategoriach racjonalnego rachunku. Bo cały ten okres był jednym pasmem irracjonalnych decyzji, błędnych akcji i fałszywych wniosków.

Po latach drobiazgowych negocjacji o redakcję każdego paragrafu układ paryski nie był nigdy honorowany. Tieu zakazał wszelkiego ruchu osób między strefami, przeklasyfikował więźniów politycznych na kryminalnych, aby nie zwalniać ich z więzień. Zakazał działalności wszelkich partii z wyjątkiem swojej własnej i nawet nie pozwolił na publikację układu paryskiego. W kilka tygodni po podpisaniu tego traktatu przystąpił do działań wojskowych celem usunięcia wrogich plam ze „skóry lamparta”. Tak obrazowo nazwano mapę Wietnamu Południowego, pokrytą oznakowaniem przemieszanych oddziałów wojsk sajgońskich i oddziałów Frontu.

Działalność ta odbywała się za poparciem amerykańskim. Tieu otrzymał nie tylko przyrzeczenie Nixona, że w razie potrzeby poprze go całą wojskową siłą USA — ale konkretną pomoc. Poza bronią war-

tości miliarda dolarów, przekazaną przez wycofujących się Amerykanów, w 1973 roku otrzymał 2,8 miliarda dolarów pomocy wojskowej i gospodarczej, a w roku następnym 1,2 miliarda.

Odmowa Tieu uniemożliwiła też realizację postanowień układu, dotyczących politycznej przyszłości Wietnamu. W czerwcu 1973 roku przeprowadzono wprawdzie w Paryżu rozmowy, które doprowadziły do zawarcia uzupełniającego porozumienia. Zawierało ono wiele pięknych zwrotów o „jak najszybszym” zwołaniu Trójstronnej Rady, „jak najszybszym” podjęciu konsultacji w sprawie wyborów, o zwolnieniu cywilnych więźniów, „kiedy to tylko będzie możliwe”. Jedynym konkretnym rezultatem tego porozumienia było rozminowanie przez Amerykanów portów DRW. Reszta ustaleń pozostała w sferze pobożnych życzeń.

Taki sam los spotkał artykuł 18 układu, w którym USA przyrzekały, że „przyczynią się do zaleczenia ran wojennych” i do odbudowy Wietnamu, na który Amerykanie zrzucili w czasie tej wojny ponad siedem i pół miliona bomb, a więc prawie cztery razy więcej niż wszyscy alianci w czasie drugiej wojny światowej zrzucili na Niemcy hitlerowskie. W lutym odbyła się w Paryżu konferencja amerykańsko-wietnamska, która potwierdziła zasady tej pomocy. Wszystkie jednak plany jej realizacji, opracowane w Departamencie Stanu i na jego zlecenie przez inne instytucje, a opierające się na oświadczeniu Nixona, że przeznaczą 7,5 miliarda dolarów na ten cel — w tym 2,5 miliarda dla DRW — zostały już w lecie 1973 roku zarzucone. W ten sposób zaprzepaszczono możliwość wejścia na drogę pojednania i nawiązania współpracy między dotychczas walczącymi stronami. W budżecie likwidacji skutków tej wojny suma kilku miliardów dolarów nie znaczyła wiele. Byłaby

o wiele rentowniejsza niż kwoty przeznaczane na podtrzymywanie zachwianego reżimu Tieu. Zwłaszcza że większa część tych sum tonęła w kieszeniach polityków sajgońskich, którzy, widząc nadchodzącą katastrofę, przekazywali je prosto do banków szwajcarskich. Zmarnowana została realna możliwość normalizacji stosunków i odbudowy pozycji USA nie tylko w Indochinach, ale w całej Azji. Niewykonanie tego zobowiązania świadczy nie tylko źle o moralności administracji waszyngtońskiej, ale jest jeszcze jednym dowodem braku wyobraźni i nieumiejętności długofalowego rozumowania w planowaniu polityki światowej tego mocarstwa.

Wydarzenia, które miały miejsce w 1975 roku, potwierdzają taki wniosek. Kiedy w styczniu — po dwóch latach łamania przez Tieu układu paryskiego — ruszyła ofensywa Frontu w północnej części Wietnamu Południowego, rząd USA nawet nie spróbował doprowadzić do porozumienia między stronami i uparcie popierał i finansował Tieu. Nixona już nie było, ale jego następca zaczął popełniać swoje własne błędy. Prezydent Ford w wywiadzie telewizyjnym ocenił optymistycznie sytuację i poparł opinię swego ambasadora w Sajgonie, Grahama Martina, „że jeżeli tylko odpowiednia ilość dolarów zostanie przekazana Sajgonowi w postaci broni i pomocy gospodarczej — Południowy Wietnam stanie na równe nogi w ciągu dwóch lub trzech lat”. Na szczęście mądra uchwała Kongresu z 15 sierpnia 1973 roku zakazała prezydentowi użycia w Indochinach amerykańskich sił zbrojnych. Uniemożliwiło to Fordowi i Kissingerowi spełnienie zobowiązań Nixona do udzielania pomocy zbrojnej rządowi Tieu.

Słabe popieranie rządu Tieu trwało nawet wówczas, kiedy w ciągu kilku wiosennych dni 1975 roku rozpadła się armia sajgońska i wojska Frontu pod-



chodziły pod Sajgon. Do ostatniej chwili Biały Dom żądał od Kongresu uchwalenia wielomilionowych funduszy na broń i amunicję dla armii, która już nie istniała. A kiedy Tieu uciekł wreszcie na Tajwan, a jego następca poddał miasto bez przelewu krwi — Stany Zjednoczone nie uznały nowej sytuacji i nowego rządu. Wydano przedsiębiorstwom i obywatelom USA zakaz prowadzenia handlu z Wietnamem Południowym, mimo że wszystkie państwa zachodnie uznały Tymczasowy Rząd Rewolucyjny Republiki Wietnamu Południowego. Pomoc amerykańska ograniczyła się do finansowania uchodźców. Rząd USA kilkakrotnie sprzeciwił się przyjęciu zjednoczonego Wietnamu w poczet członków ONZ. Wbrew przyjętym zobowiązaniom uchylił się od przyczyniania się do usunięcia zniszczeń wojennych.

Końcowe stronicie tej książki pisane były w ostatnich dniach wojny wietnamskiej. Zwyciężyły w niej nie tylko interesy narodu wietnamskiego i jego bohaterstwo, ale zatriumfowały podstawowe prawa politycznej logiki, strategii i sprawiedliwości. Ci, którzy uparcie łamali te prawa — musieli przegrać.

Po śmierci Ho Szi Mina został opublikowany jego testament, pisany w maju 1969 roku. Twórca DRW pisał tam: „Niezależnie od trudności i poświęceń, które nas jeszcze czekają, naród wietnamski nie wątpi w ostateczne zwycięstwo. Ojczyzna nasza zostanie zjednoczona. Rodacy z Północy i z Południa znajdą się wreszcie pod wspólnym dachem. A nasz mały naród będzie miał szczególnie zaszczyt pokonania swym bohaterskim wysiłkiem dwóch wielkich imperializmów — Francji i Stanów Zjednoczonych”.

Testament wielkiego przywódcy spełniony został ostatecznie w lecie 1976 roku, kiedy dokonano się zjednoczenie Wietnamu.

Wojna wietnamska zniknęła z pierwszych stronic

dzienników, ale skutki jej są i będą jeszcze przez lata odczuwalne w całym świecie. Stworzyła bowiem nowy układ sił w Azji i zmieniła wyobrażenie o polityce amerykańskiej na wszystkich kontynentach. W Stanach Zjednoczonych wojna ta spowodowała rewizję koncepcji, celów i metod polityki zagranicznej. Zarówno politycy, jak szerokie warstwy społeczeństwa zdały sobie sprawę z tego, jak straszliwa cena zapłacona została za trzydziestoletnie opóźnienie w uzyskaniu niepodległości przez naród wietnamski.

Książka ta jest próbą ukazania anatomii błędów popełnianych w Wietnamie, ma ułatwić zrozumienie skomplikowanego i trudnego dylematu, dlaczego ludzie kierujący polityką narodu amerykańskiego w sprawie wietnamskiej wykazali ślepotę i postępowali nieracjonalnie? Dlaczego nie podążali za słusznym instynktem własnego społeczeństwa, które sprzeciwiało się prowadzeniu tej wojny, dając dowody dojrzałości, wartości moralnych i zdrowego rozsądku?

Odpowiedzi na te pytania wskazują, że u korzeni tragedii wietnamskiej leżały przyczyny znacznie głębsze niż błędy i fałszywe decyzje czterech prezydentów amerykańskich i ich administracji. Błędy te wyrastały bowiem z głębokich nawarstwień imperialistycznych ambicji, neokolonialnych zamiarów i doktryn policyjnego podporządkowania sobie świata. Zarówno we francuskiej, jak i amerykańskiej fazie wojny trzydziestoletniej kompleks pychy i prestiżu wielkiego mocarstwa spletał się z naciskiem wąskich grup kapitałowych czy wojskowych i klasowych interesów. Zbieżność tych elementów rodziła ślepotę na wielki ruch niepodległościowy, patriotyczny i socjalny w krajach Azji i niezrozumienie rzeczywistego układu i rozwoju sił na świecie.

Analiza głębokiego podłoża wydarzeń w Wietnamie ma nie tylko znaczenie historyczne. Jest bardzo

ważna na przyszłość. Stany Zjednoczone przegrały w Azji wojnę peryferyjną, ale nie przestały być światową potęgą polityczną i wojskową. Odgrywają zasadniczą rolę w postępie gospodarki i technologii całego świata. Jego przyszłość w dużym stopniu zależy od trzeźwości, rozsądku i realizmu polityki amerykańskiej. A więc także od tego, czy kierownicy tej polityki wyciągną właściwe wnioski z gorzkich doświadczeń wietnamskich.

## Bibliografia

- Aschimore H. i Boggs W.: „Mission to Hanoi”, NY 1968
- Brandon Henry: „The retreat of American Power”, NY 1973
- Brandon Henry: „Anatomy of Error”, NY 1969
- Chomsky Noam: „The Backroom Boya”, London 1973
- Cooper Chester: „The Lost Crusade”, NY 1970
- Delmas Claude: „La Guerre revolutionaire”, Paris 1972
- Draper Theodore: „Abuse of Power”, NY 1967
- Eden Anthony: „Full Circle”, Boston 1960
- Effros William: „Quotations Vietnam”, NY 1970
- Ellsberg Daniel: „Papers of the War”, Boston 1969
- Evans R. i Novak R.: „The Exercise of Power”, NY 1967
- Fitzgerald Frances: „Fire in the Lake”, NY 1973
- Fulbright William: „The Arrogance of Power”, NY 1966
- Goodwin Richard: „Triumph of Tragedy”, NY 1968
- Góralski Władysław: „Polityka Stanów Zjednoczonych w Południowo-Wschodniej Azji”, Warszawa 1968
- Góralski Władysław: „Od Malakki do Wietnamu”, Warszawa 1968
- Halberstam David: „The Best and the Brightest”, NY 1972
- Harriman Averell: „America and Russia in Changing World”, NY 1971
- Hilsman Roger: „To Move a Nation”, NY 1967
- Honey P. G.: „Communism in North Vietnam”, Cambridge 1963
- Hoops Theodore: „The Devil and J. F. Dulles”, NY 1974
- Istorja Wietnamu w nowiejszeje wremia. Moskwa 1970
- Johnson Lyndon: „The Vantage Point”, NY 1971

- Johnson Lady Bird: „A White House Diary“, NY 1970
- Kail F. M.: „What Washington Said“, NY 1966
- Kalb M. i B.: „Kissinger“, NY 1974
- Kalb M. i Abel E.: „Roots of Involvement“, NY 1971
- Kennan George: „America after Vietnam“, Williamsburg 1968
- Klare Michael: „War without End“, NY 1972
- Kraslow D. i Loory S.: „The Secret of Peace in Vietnam“, NY 68
- Le Duan: „Izbrannyje statji i rieczzi“, Moskwa 1971
- Li W. B.: „Strategija i polityka neokolonalizma“, Moskwa 1971
- Manning R., Janeway M.: „Who We Are“, Boston 1969
- Michajew J.: „Amerikancy w Indokitaje“, Moskwa 1972
- Mrozek Bogusław: „Historia najnowsza Azji Południowo-Wschodniej“, Warszawa 1973
- Mus Paul: „Vietnam. Sociologie d'une guerre“, Paris
- Pomonti Jean-Claude: „Des Courtisans aux Partisans“, Paris 1971
- Powers Thomas: „The War at Home“, NY 1973
- Reischauer Edwin: „Beyond Vietnam“, NY 1967
- Westmorland W., Sharp K.: „Report on the War in Vietnam“, Washington 1969
- Rostow Walt: „The Diffusion of Power“, NY 1972
- Schurman Franz: „The Politics of Escalation in Vietnam“, NY 1966
- „South Vietnam — A Political History“, Kissinger's Report, 1970
- Suant Jauques: „Vietnam 1945—72“, Paris 1972
- „The Pentagon Papers“, Sen Gravel Edition. Boston 1971
- „ „ „ NY Times Edition. NY 1971
- Tournere Helene: „Livre Jaune de Vietnam“, Paris 1966
- US Senate: „Background Information. Vietnam“. Washington 1967
- Wise David: „The Politics of Lying“, NY 1973

# Spis rozdziałów

- Wstęp 5
- I. Jak doszło do wojny trzydziestoletniej 11
- II. Pierwsza faza wojny francusko-wietnamskiej 30
- III. Błędy i klęska Francuzów 43
- IV. Konferencja genewska 58
- V. Dyktatura Diema i początek wojny domowej 73
- VI. Stany Zjednoczone a upadek Diema 91
- VII. Dojrzewanie polityki interwencji USA 114
- VIII. Pierwsze naloty amerykańskie 125
- IX. Prezydent Johnson rozpoczyna wojnę 144
- X. Pierwsze rozczarowania i niepowodzenia 157
- XI. Daremne poszukiwania pokoju 174
- XII. Iluzje pacyfikacji 197
- XIII. Złudzenia na wszystkich frontach 214
- XIV. Tet! 229
- XV. Błędy nowej administracji 250
- XVI. Kambodża i Laos na marginesie Wietnamu 250
- XVII. Paryska wojna dyplomatów 284
- XVIII. Koniec wojny trzydziestoletniej 299
- Bibliografia 314











D04683459\$



Duke University Libraries